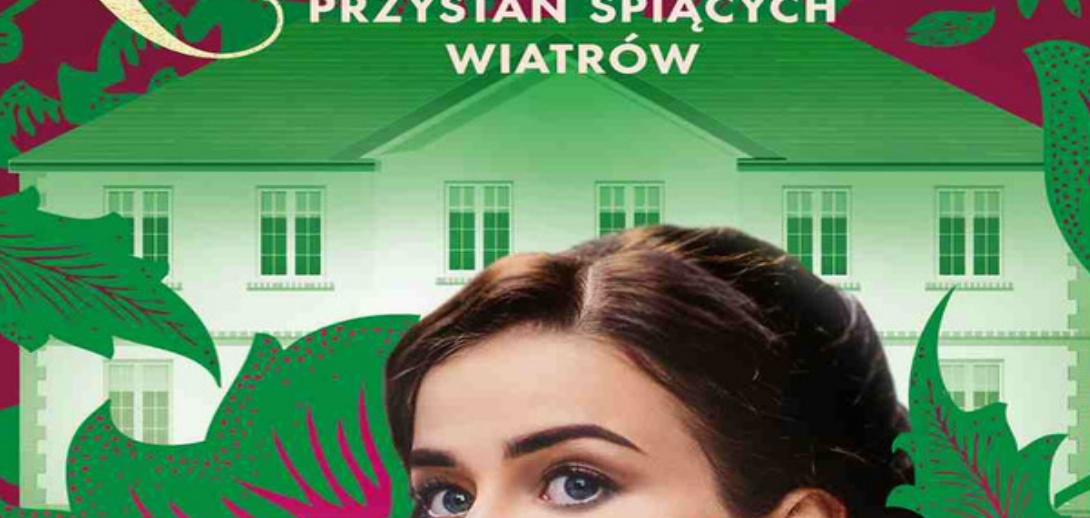


MAGDALENA KORDEL

PRYZAŃ ŚPIĄCYCH
WIATRÓW



WIOSNA
CUDÓW

W
ydawnictwo
ab

Magdalena Kordel

Wiosna cudów
Przystań Śpiących Wiatrów



Copyright © by Magdalena Kordel

Wydanie I

Warszawa MMXXIII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

SPIS TREŚCI

Prolog. Kilka lat wcześniej

Tego wieczoru poszła na długi spacer...

A stary dwór o rozświetlonych oknach...

Dziś

Wichura rozszalała się zniecka...

Teraz, stojąc w otwartym oknie...

Następnego dnia Beniamin zjawił się tuż przed ósmą...

Stella nie miała pojęcia...

Stella oparła się o kontuar...

Ledwo zamknęły się za nią drzwi...

Antoni wyszedł z pensjonatu lekko ubawiony...

Antoni nie miał pojęcia...

Stella po wyjściu z pensjonatu Gąsików...

Późnym popołudniem, które powoli przechodziło w wieczór...

Najstarsze siostry zaanektowały dla siebie...

Stella tymczasem wraz z chłopakami wróciła do domu...

Helenka szła z Bohunem u nogi...

Antoni postanowił spędzić miły wieczór...

Stella przyjechała po kilku minutach...

Na całe szczęście dyżur miał doktor Karski...

Gdy wyszli ze szpitala...

Stella wróciła do domu bardzo późno...

Awiec to tak... ma psa...

Następnego dnia Stella wstała pełna niepokoju...

Tego ranka komendant Robert Bonk...

Stella odczekała jeszcze dwa dni...

Antek czekał na nią przed wejściem...

Za każdym razem...

Franio zażądał stanowczo...

Franio w końcu usnął...

Gdy skończyła mówić...

Minęła dłuższa chwila...

Następnego dnia Stella zadzwoniła...

Tymczasem Gizela zaszyła się...

Mijał już trzeci dzień...

Filip Duńczyk stał przy swoim służbowym samochodzie...

Kuląca się Helenka nie doczekała się bolesnego uderzenia...

Filip już prawie dobiegał na miejsce bójki...

Na komendę przyszli ostatni...

Komendant i nowo przybyły zniknęli w gabinecie...

I rzeczywiście, powiedzieć, że jest źle, to jak nic nie powiedzieć...

Gdy Helenka odprowadziła Filipa do furtki...

Filip wyszedł na ulicę...

Świt przyniósł Filipowi nowe siły...

Spotkanie z Antonim było krótkie...

Henryk nie był w najlepszym nastroju...

Henryk wpadł do Jazdy Bez Trzymanki...

Antoni patrzył oszołomiony...

Stella wróciła do Kotkowa...

Poszła tam jeszcze tego samego dnia...

Stella dotarła do domu przygnębiona...

Mijał już kolejny dzień...

Aldona tkwiła w swoim hotelowym biurze...

Przyszła do Stelli bez zapowiedzi...

Tymczasem po wyjściu Aldony...

Tymczasem Antoni nie mógł uwierzyć...

Następnego dnia zaczął od podpytywania ludzi...

Stella zadzwoniła do Wiktora...

Stella, wracając ze spotkania z Wiktorem...

Siostry Kazimierczakówny stały przyczajone...

Tego wieczoru wszyscy byli szczęśliwi...

Przypisy

Prolog. Kilka lat wcześniej

Stella stała przed ogromnym, zwalistym budynkiem, zadzierając wysoko głowę. Gmach był naprawdę potężny. Kanciasty i wyniosły. Nie miał w sobie nic z tego, o czym tak naprawdę marzyła. Zero werandek, przybudówek, balkoników. Brak swojsko spadzistego dachu.

Właśnie, „brak” to tutaj kluczowe słowo, pomyślała marszcząc brwi. Brak jakiegokolwiek chęci współpracy, doszła do wniosku.

Odkąd pamiętała, dostrzegała w budynkach o wiele więcej niż drewno, cegły i kamień. Traktowała je jak żywe stworzenia. Wyczuwała ich emocje, aurę i nastroje. Jej zdaniem każdy dom, podobnie jak człowiek, miał swój niepowtarzalny charakter.

Szczególnie wyraziste były te opuszczone. Lata osierocenia i pozostawienia ich samym sobie odślaniały to, co w domach zamieszkałych było zamaskowane przez harmider codziennego życia.

I tak Stella dzieliła opuszczone domy na te tęskniące, obojętne i niechętne.

Te pierwsze wciąż były pełne wiary, miały nadzieję. Gdy wyczuwały obecność człowieka, wręcz do niego lgnęły. Ich drzwi, prowadzące do dobrze zachowanych pomieszczeń albo tych, które emanowały największym ciepłem, otwierały się bez trudu. Najcięższe nawet wrota bez najmniejszego wysiłku ustępowały pod lekkim dotknięciem ręki. Przechadzający się po nich ludzie, nawet ci cierpiący na brak wyobraźni, nagle zaczynali widzieć siebie siedzących właśnie w tym, a nie innym pokoju, zaczynały im przychodzić na myśl wygodne fotele, ciepłe kręgi światła, ogień w kominku... W takich miejscach ludzie zaskakiwali samych siebie. Wracały do nich zapomniane dawno marzenia, serca wyrywały się do urządzania, a to sypialni, w której można by się było zaszyć po ciężkim dniu, a to kuchni, gdzie już oczami wyobraźni widzieli wielki stół, który aż prosił się o to, by zgromadzić przy nim

najbliższych. Tłoczące się przy nim krzesła z wygniecionymi swojsko poduszkami. Czasem przymykali oczy i słyszeli bulgoczący przyjaźnie czajnik, w którym gotowała się woda na herbatę, innym znów razem wciągali głęboko powietrze i wydawało się im, że wokół unosi się zapach ulubionego ciasta, takiego, jakie jadali w dzieciństwie, albo czegoś niesprecyzowanego, ale kojarzącego się tak jakoś dobrze, niosącego poczucie bezpieczeństwa. O tak, domy tęskniące były mistrzami, potrafiły umiejętnie kusić i zachęcać. Być może tak dobrze znały ludzkie tęsknoty, bo pragnęły tego samego. Chciały być otoczone opieką, chciały być kochane i żeby do nich wracano. I wiedziały, czym się odwdzińczyć i co zaoferować w zamian. Grube ściany chroniące domowników przed całym światem i ciepłe pokoje – pierwszy, niezmienny punkt kuszącej oferty. Drzwi broniące dostępu złym myślom i trudom dnia – punkt drugi. Tych punktów było o wiele, wiele więcej. Domy tęskniące miały misję i niespożyte pokłady wdzięczności wobec tych, którzy zdecydowali się je pokochać. Ale poza tym, że umiały kusić i przekonywać do siebie, potrafiły też ukrywać swoje braki i słabe strony. Były na swój sposób nieszkodliwie przebiegłe. Drzwi do tych bardziej zniszczonych pomieszczeń zazwyczaj ustępowały niechętnie. Zacinały się, skrzypiały. A miejsca wymagające większych nakładów pracy jakby mniej rzucały się w oczy, rzadko je zauważano. Tak jakby domy tęskniące bały się je pokazać, żeby tylko nikogo do siebie nie zniechęcić. Żeby tylko nie skazać się na kolejne lata samotności.

O tak, Stella głęboko wierzyła, że tak jak istnieją bezdomni ludzie, tak jest na świecie mnóstwo bezludnych domów. Marzących o swoim człowieku. O śmiechu szybującym pod dach, o tupocie stóp na schodach, który wprawiałby w radosne drżenie nie tylko stopnie, ale i cały dom. Tęskniących za kłótniami, po których następowałaby zgoda, za zapachem parzonej rano kawy. Za codziennym zgrzytliwym przekręcaniem kluczy w zamkach. Takie domy zazwyczaj sprawiały, że ludzie zakochiwali się w nich od pierwszego wejrzenia. I długo nie dawały o sobie zapomnieć.

Kolejnym typem budynków w prywatnym rankingu Stelli były te obojętne. One jasno mówiły: jesteś, to jesteś, a jak cię nie ma, to też

niewielki kram. Takie domy były zdystansowane. Nie zależało im na tym, żeby ktokolwiek je zauważył. Były na to zbyt dumne. Obrażone na śmierć i życie. Bo jakże można było tak po prostu je opuścić? Zamiast ogrzewać, dopieszczać, malować, tapetować i stroić w nowe zasłony i firany? Skoro tak z nimi postąpiono, to one nie miały zamiaru się prosić! Ani narzucać! Jeden wielki foch!

Stella skrycie podejrzewała, że domy tego rodzaju, jeżeli tylko dostatecznie długo pozostawały opuszczone, gorzkniały, a ich obojętność powoli przeradzała się we wrogość i antypatię.

I tak właśnie rodziły się domy trzeciego typu: te niechętne i niezycliwe. Domy straszące wręcz i niezyczące sobie niczyjej obecności. To one najczęściej zapadały się w sobie. Niszczą latami i na koniec przerażały upiornym wyglądem.

I oto stojąc przed tym wielkim, opuszczonym, choć całkiem niezłe utrzymanym budynkiem (biorąc pod uwagę wszystkie te lata, gdy był niezamieszany) i patrząc mu głęboko w czeluści okien, coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że właśnie ma przed sobą dom będący na granicy. Już od dawna był obojętny, co do tego akurat nie miała cienia wątpliwości. Jednak teraz zaczynała się w nim przemiana. Sprawiał wrażenie lekko zniecierpliwionego i poirytowanego faktem, że zakłóca mu się spokój. Ludzie zaczynali go drażnić i był już tylko krok od skonkretyzowanej i czystej wrogości.

– No i co? Co uważasz? Tylko nie mów, że ci się nie podoba, bo jest idealny! – W jej rozmyślania wdarł się pełen zachwytu i ekscytacji głos Aldony.

– Cóż... Jak by to powiedzieć... – Stella zawahała się i pokręciła sceptycznie głową.

– No wiesz! Tobie naprawdę trudno dogodzić! Co ci w nim nie pasuje, co? Jest duży, konserwator zabytków nie położył na nim łapy, stosunkowo niedawno, bo jeszcze osiem albo dziesięć lat temu było tu sanatorium. Wiem, wiem, to całkiem długo jak na budynek, ale przez jakiś czas mieszkały tu jeszcze trzy rodziny. Dom był ogrzewany. Pusty i niezamieszany stoi od pięciu albo nawet tylko czterech lat. A to już brzmi inaczej niż dziesięć! Akurat z tym musisz się zgodzić bez zbędnych dyskusji!

– Cóż... Z tym nie zamierzam polemizować – mruknęła Stella, ale w jej głosie nie było słychać przekonania.

– A to, że było tu sanatorium, do ciebie nie przemawia? To przecież niewątpliwa zaleta. Dzięki temu mamy już wydzielone pokoje i nawet jeżeli trzeba będzie coś zmienić, to na pewno nie wszystko. A to oznacza mniej pracy i mniej wydatków. To będzie strzał w dziesiątkę! Wiesz, że mam do tego nosa!

– Cóż... – powtórzyła Stella i odwróciła wzrok od okien, bo miała wrażenie, że budynek łąpie na nią z coraz większą niechęcią.

Znała swoją przyjaciółkę na tyle, żeby doskonale zdawać sobie sprawę, iż nie ma sensu opowiadać jej o rodzajach domów, a tym bardziej przekonywać jej, że ten już na wstępie ma focha i w związku z tym trudno się będzie z nim porozumieć.

– Po prostu nie czuję chemii i tyle – dodała więc tylko z głębokim westchnieniem.

– Do tego tu nie musisz czuć! Zostaw go mnie. Mnie tam żadne porozumienie dusz z kupą cegieł nie jest niezbędne. Dam radę bez tego. Lepiej mi powiedz, czy w ogóle tu kiedyś byłaś? Znasz to miejsce? – Przyjaciółka wbiła w nią pytające spojrzenie.

– Aldona, a co to w ogóle za pytanie! Oczywiście, że byłam. – Stella ze zniecierpliwieniem tupnęła nogą. – W końcu mieszkam w tym miasteczku od urodzenia, więc trudno, żebym przeoczyła coś tak ogromnego. Ale jeżeli mam być szczerą, to nigdy mnie tu nie ciągnęło. Podsumowując zatem: tak, od zawsze kojarzę ten budynek, bo to taki moloch – mimowolnie zniżyła głos, bo choć nie czuła do tego miejsca sympatii, to nie chciała go przecież tak wprost obrażać – że trzeba by być kompletnie ślepym, żeby go przeoczyć, ale przyznaję, że nigdy nie byłam w środku, nie zaglądałam nawet do parku czy ogrodu... Może dlatego, że jest otoczony takim nieprzyjaznym żelaznym ogrodzeniem... Naprawdę nie masz nawet odrobiny takiego poczucia, że to – zrobiła sugestywny ruch podbródkiem w kierunku budynku – jest po prostu odstraszaające? I że ludzie nie będą chcieli mieszkać w takim miejscu? Otoczonym szczerzącym zęby płotem, kojarzącym się z więzieniem...

– A weź idź się utop! – poradziła jej życzliwie przyjaciółka. – Czyś ty zupełnie straciła rozum? Jakie więzienie? Z tego, co mi wiadomo,

więzienia otacza się drutem kolczastym, a nie przyzwoitym ogrodzeniem z kutego żelaza! W które, teraz skup się, nie będziemy musiały dodatkowo inwestować, bo... tadam, już jest! A wiesz, ile kosztowałoby postawienie muru albo innego płotu? – zapytała retorycznie i pokiwała głową. – No właśnie! Przemaluje się je trochę i tyle. Będzie jak znalazł. Przynajmniej na początek, bo potem warto by było pomyśleć o czymś nowocześniejszym. A co do twojej opinii o samym budynku, to akurat o to cię nie podejrzewałam! – dorzuciła z wyraźną przyganą.

– To znaczy o co? O to, że nie będę zachwycona tym topornym, kanciastym i mów sobie, co tam chcesz, ale jednak odstrasającym gmaszyskiem? – Teraz już nawet nie starała się zniżyć głosu. Ten budynek już i tak miał wyrobione zdanie na ich temat i nic, co by powiedziała, nie mogło nastawić go gorzej. Nie chciał ich tutaj, Stella czuła to bardzo wyraźnie.

– Nie, akurat tego się spodziewałam, bo ja wiem, co ty lubisz! Te wszystkie romantyczne, porośnięte mchem, paprocią i pajęczyną ruiny! Ale nie sądziłam, że nie dostrzeżesz w nim potencjału! W końcu to ty z nas dwóch masz większą wyobraźnię! – wyrzuciła z siebie.

– I właśnie ta wyob...

– Nie, poczekaj, nie kończ – weszła jej w słowo Aldona, wymachując gwałtownie rękami. – Najpierw wróćmy do sedna, bo nie bez kozery zapytałam, czy tu byłaś. Ale byłaś tak naprawdę, a nie „kilka razy przeszłam i zerknęłam”. I właściwie nawet nie musiałam czekać na twoją odpowiedź, bo i tak byłam pewna, że nie obejrzałaś ani nie zwiedziłaś całej posiadłości. Gdyby było inaczej i gdybyś wiedziała to, co ja wiem, to pewnie nie byłabyś taka sceptyczna i marudna. Bo tam – wymownie spojrzęła w głąb posesji – są, oczywiście z twojego punktu widzenia, same skarby. Do mnie one kompletnie nie przemawiają, w przeciwieństwie do tego – skinęła głową w kierunku budynku sanatorium – ale mogę dać sobie rękę uciąć, że ty ledwo zobaczysz, o czym mówię, będziesz piała z zachwyty. I dlatego szkoda gadać po próżnicy i się kłócić, skoro i tak wiem, że wyjdzie na moje. Uwierz, to, co tam na ciebie czeka, rozwieje wszelkie twoje wątpliwości. A plus tego jest taki, że nie

będzie problemu z podziałem obowiązków. Bo ja tamtego nawet palcem nie chcę tknąć, a z kolei mój pomysł na sanatorium też będzie daleki od tego, czego ty pragniesz. I właściwie lepiej by być nie mogło. A teraz chodź i przygotuj się na czysty zachwyty – dodała i nie oglądając się za siebie, pomaszrowała niegdyś zapewne szeroką i wypielegnowaną, a teraz niemożebnie zarośniętą aleją prowadzącą w głąb posesji.

Stella westchnęła ciężko i chcąc nie chcąc, podążyła za nią.

Naprawdę nie wiem, co by tam musiało być, żeby wzbudziło we mnie choć nikły entuzjazm, pomyślała i obejrzała się za siebie. Z tej perspektywy stare sanatorium wyglądało jeszcze bardziej ponuro i odpychająco. Stella była przekonana, że gdyby ten dom miał taką możliwość, to na ich widok zatrzęsnałby z głuchym łoskotem wszystkie drzwi i okna, a na koniec zazgrzytał ostrzegawczo każdym zawiasem i czym tam tylko dom może zazgrzytać.

Naprawdę nie podobamy się mu ani trochę, przemknęło jej przez głowę. Wkurza go, że mu się przyglądamy i że wchodzimy na jego teren. I jeżeli tam jest jakiś duch, to z całą pewnością będzie upiorny i strasznie wredny. Poczowała, jak po plecach przebiega jej zimny dreszcz, i w tym samym momencie jej stopa zaplątała się w kłębowisku czegoś, co radośnie wyrosło na środku alejki, i o mało co nie rymśnęła jak długa.

– Uważaj! – Na całe szczęście przyjaciółka miała doskonały refleks i zdążyła w porę ją podtrzymać. – A teraz zobacz – mówiąc to, Aldona przesunęła się tak, żeby nie zasłaniać widoku idącej za nią Stelli. – I spróbuj powiedzieć mi, że nie miałam racji i że cię nie znam!

– O cholera – wyszeptała tylko Stella, a potem zamilkła, bo gardło ścisnęło jej nagłe wzruszenie.

Rzeczywiście Aldona znała ją bardzo dobrze. Bo Stella była oczarowana i oszołomiona. I miała wrażenie, jakby ktoś nagle za sprawą niepojętych czarów przeniósł ją w zupełnie inne miejsce. Trudno było uwierzyć, że za jej plecami nadal straszył ponury gmach dawnego sanatorium – tak bardzo nie pasował do tego pocztówkowego wręcz widoczku, który objawił się jej oczom.

Przed nią, otoczony zdziczałym ogrodem, wyrastał niewielki domek z zaokrąglonym dachem i oknami obramowanymi okiennicami, z których płatami odchodziła farba. Schodki prowadzące na murowany ganek się zapadły, tak samo zresztą jak część gankowej podłogi. Ale to nie miało znaczenia.

– Wyobrażasz sobie, jak tu będzie pięknie, gdy to wszystko będzie wyglądać, gdy otoczy się to należyłą troską i miłością? Gdy przywróci się temu miejscu świetność? – wyszeptała w końcu Stella, odzyskawszy głos.

W odpowiedzi usłyszała trzeźwe:

– Taaa, i wpakuje się w to mnóstwo kasy. A potem dla odmiany podsypie pieniędzmi. Ale na to, jak je zrobić, to ja mam już plan. Ty tylko musisz mi zaufać. A gdybyś mimo tego, co tu zobaczyłaś, miała jeszcze jakieś wątpliwości, to takich domków na terenie jest więcej. Plus zabudowania gospodarcze, które też są w twoim stylu... To co, mamy o czym gadać? – W jej głosie słychać było lekką kpinę.

– Wiesz, rozmawiać zawsze warto... – Stella jeszcze usiłowała zachować powściągliwość, ale czuła, że oszukuje samą siebie.

Kilkanaście minut później, gdy obejrzała resztę terenu, wiedziała już, że przepadła na amen. Powiedzieć, że główny budek jej nie przekonał, to tak, jakby w ogóle nie powiedzieć nic. Nie polubiła go, a i on nie lubił jej. Ani nikogo. Zrobienie w nim tego, co planowała Aldona, nie będzie proste, bo on nie zamierzał współpracować.

Dobrze by było, żeby tylko na tym poprzestał i nie przeszkadzał, pomyślała Stella. Bo już była w takich miejscach, w których najprostsze nawet remonty sprawiały ogromne trudności. Gwoździe nie chciały się wbijać, okna wpasowywać w otwory, stopnie schodów cały czas prowokowały potknięcia.

Oczywiście ludzie zazwyczaj szukali racjonalnego wyjaśnienia takiego stanu rzeczy – a to gwoździe były złej jakości, a to ktoś coś niedokładnie wymierzył, ktoś inny zaś nie zachował ostrożności i dlatego prawie spadł z pierwszego piętra... Co z tego, że takie niefortunne sytuacje zdarzały się podejrzanie często. O tym raczej nie myślano.

Jednak Stella wiedziała swoje. Istniały po prostu takie narowiste i zbuntowane miejsca, które nie zamierzały łatwo się poddawać

i dać się okiełznać.

I nie, absolutnie nie była przekonana do budynku, którym zachwycała się przyjaciółka, choć oczywiście, patrząc racjonalnie, nie mogła nie przyznać jej racji. Był odpowiedni do tego, o czym obie od dawna rozmawiały.

Ale ilu praktycznych zalet by nie miał i jak by jej do siebie nie przekonywał, nawet przez sekundę nie zastanawiałaby się nad sensem wiązania z nim jakichkolwiek planów, gdyby nie to wszystko, co krył w sobie ogromny park-ogród i znajdujące się w nim zabudowania. Bo to z kolei przyciągało ją do siebie z niesamowitą siłą.

Wiedziała to na pewno, bo dokładnie obejrzała wszystko, pogładziła stare kafłowe piece w pierwszym z domków, przyjaźnie poklepała parapety, dodając im otuchy, i oparła się plecami o solidne, stabilne drzwi stodoły, które nawet nie drgnęły, zapewniając ją tym samym o wsparciu.

I po tym wszystkim doskonale wiedziała, że nie będzie mogła ot tak sobie odejść, nie oglądając się za siebie, bo te cukierkowe domki, stara murowana stodoła i pozostałe zabudowania wpadłyby w rozpacz. A tego zwyczajnie nie robi się budynkom, które tęsknią. Nie pozbawia się ich nadziei na kolejne długie lata. Nie zabiera im się człowieka, który pojawił się w ich progach. Szczególnie takiego, który może sprawić, że już nigdy nie będą opustoszałe.

Tego wieczoru poszła na długi spacer...

Tego wieczoru poszła na długi spacer. Potrzebowała czasu, żeby przemyśleć propozycję przyjaciółki. I przekonać samą siebie, że nie powinna mieć wątpliwości.

A może właśnie zupełnie na odwrót? Może powinna je mieć... W końcu zanim będzie mogła zająć się tym, co naprawdę ją przyciąga do tego miejsca, miną lata... Aldona jasno postawiła sprawę i akurat w tym względzie ma rację, rozmyślała Stella, a przed oczami, jakby zadając kłam tym wątpliwościom, stanął jej mały domek, który wyglądał jak żywcem wyjęty z Doliny Muminków.

Ale patrząc na to obiektywnie, jeżeli zaryzykuje, to w końcu się doczeka, kontrargumentowała, i zdawszy sobie sprawę z tego, co robi, uśmiechnęła się rozbawiona. Ni mniej, ni więcej tylko starała się przekonać samą siebie, a to zadanie nigdy nie należało do łatwych. A tymczasem będzie miała oko i na park, i na każdy z domków. Zadba, żeby nie popadały w większą ruinę, myślała, wróciwszy do analizowania plusów. W zimie będziemy w nich palić i dopilnuję, żeby sprawdzić stan dachów i w razie czego je naprawić albo wymienić... Bo najważniejsze, żeby nie dopuścić, by woda się łała do środka. Z kolei stodoła daje tyle możliwości! Można ją tak ładnie zaadaptować na pokoje gościnne. I to dokładnie takie, o jakie mi chodzi, dumiała, maszerując przed siebie.

– No, Stello masz twardy orzech do zgryzienia – wymruczała pod nosem.

Jeżeli się zdecyduje, to chcąc nie chcąc, będzie musiała pracować przy tym odętym, sfoszonym molochu. I to przez dłuższy czas. Choć perspektywa zajęcia się tym, co naprawdę chce robić, jest chyba tego warta. Szczególnie że Aldona nie zrezygnuje... To sanatorium za bardzo jej się spodobało, żeby odpuściła. Zresztą trudno nie przyznać jej racji: biorąc pod uwagę jego użyteczność, ten budynek jest po prostu idealny. I jeżeli Stella nie podejmie tematu, Aldona

znajdzie kogoś innego i jemu zaproponuje dokładnie to, co zaproponowała jej – zabudowania w parku, które Aldony zupełnie nie interesują. Na myśl o tym, że już nigdy nie wejdzie do tych małych domków, że nie będzie uczestniczyć w przywracaniu ich do życia albo, co gorsza, że ktoś zburzy w nich te piękne kaflowe piece, usunie stareńkie parapety, wiekowe, klimatycznie skrzypiące schody wymieni na nowe, zamiast je odnowić, Stella aż zadrżała.

Czy może zaryzykować? Wycofać się tylko dlatego, że się boi?

Zajęta tymi rozterkami nie zauważyła, dokąd niosą ją nogi. Ocknęła się, dopiero gdy stanęła przed ozdobną kutą, otwartą na oścież bramą.

No tak, jakżeby inaczej, pomyślała i z lekkim rozbawieniem pokręciła głową.

Gdzieżby mogła trafić, jeżeli nie w miejsce, które od dziecięcych lat przyciągało ją niczym magnes? Odkąd sięgała pamięcią, ta brama, częściej uchylona niż szeroko otwarta, jawiła się jej jako magiczne przejście łączące dwa światy.

Może dlatego, że za nią rzeczywiście wszystko wyglądało nieco inaczej. Trochę tak, jakby czas tam się zatrzymał. Szeroka, ocieniona wiekowymi lipami aleja prowadziła do ogromnego dworu. Z przestronnym tarasem, osłoniętym dachem, który wdzięcznie podierały białe kolumny, z półkolistym balkonem przytulonym do bielonych ścian, z wykuszami, w które miękko wtulały się witrażowe okna, dom tchnął spokojem i pewnością siebie. Umoszczony wygodnie w minionych latach nawet nie musiał opierać się współczesności, bo zwyczajnie jej nie zauważał. To był stary dwór, dumny z tego, kim się stał przez te lata. Oddychający tym, co minione.

Zakorzenił się w przeszłości, otulił starodawnym parkiem, stawami i przepięknym ogrodem. Otoczył wspomnieniami. Nie pragnął tego, co mogłaby mu podarować nowoczesność, bo wszystko, co istotne, czerpał z wydarzeń już minionych. Tu wszystko zatrzymało się w kiedyś. „Dziś” było koniecznością, której dwór starał się nie dostrzegać. Tu pierwsze skrzypce i tak grało „wczoraj”.

Gdy Stella była mała, żyła w przekonaniu, że z całą pewnością nadal mieszkają tam księżęta i księżniczki. Tę wiarę tym łatwiej było pielęgnować, że stary dwór wszyscy nazywali pałacem.

„A wiecie, że w pałacu ktoś wybił kilka okien na parterze?” „Widziałam, że dziś przed pałacem zatrzymał się obcy samochód, ale nie wpuszczono go na teren. Podobno ten oszołom poszczuł gościa pasami!” „Słyszałeś, że ten wariat z pałacu nadal co wieczór zapala światła w każdym pomieszczeniu?” – szeptali między sobą mieszkańcy miasteczka.

W takich okolicznościach nietrudno było utrwalić w sobie wiarę, że budynek jest najprawdziwszym pałacem, a jego właściciel kimś, kogo należy się wystrzegać, jak złego czarnoksiężnika. Tego wariata, jak o nim mówili, Stella wtedy bała się potwornie. A jednak nawet strach nie zdołał jej powstrzymać i gdy tylko mogła, przybiegała właśnie w to miejsce, wślizgiwała się za bramę i tam od razu stawała się kimś innym. Damą z zamierzchłych czasów. Znikały powyciągane i wypchane na kolanach spodnie i wełniany sweterek. Oczami wyobraźni widziała siebie w długiej, bogato zdobionej sukni z bufiastymi rękawami, z koronkową parasolką i długimi włosami spadającymi kaskadą loków na plecy.

Szła dostojnym krokiem w kierunku pałacu, rozglądała się bacznie i zazwyczaj ośmielała się na tyle, że wchodziła po półkolistych schodach na taras. Tam powinien już na nią czekać książę, ale niestety zawsze, ale to zawsze się spóźniał. A może to ona przychodziła za wcześnie?

Cóż, widać już wtedy przeznaczenie dawało mi znać, że z miłością będę miała pod górkę, pomyślała teraz, z rozrzewnieniem wspominając siebie sprzed lat.

Wtedy była tu naprawdę częstym gościem. I jakoś nigdy nie spotkała przerażającego wariata. Za to imaginowała go sobie wielokrotnie, w jej wyobrażeniach był swoistym skrzyżowaniem potwora z *Pięknej i Bestii* i Edwarda Nożycorekiego.

Za to dosyć często natykała się na przemilego starszego pana, który w ciepłe letnie dni przesiadywał w ogrodowej altance. On też musiał wybierać się na ten sam bal, na który śpieszyła się Stella, bo zwykle był ubrany bardzo elegancko. Z całą powagą kłaniał się

dziewczyńce, pochylając się tak, jakby uchylał przed nią niewidzialny kapelusz. Mała Stella wprost za nim przepadała. Nie umiała wyjaśnić, skąd wzięła się ta sympatia, bo prawdę mówiąc, nigdy w życiu nie zamienili ze sobą nawet słowa. Wprawdzie Stella zawsze na jego widok przystawała i z powagą należną damie mówiła mu „dzień dobry”, ale on nigdy nie odpowiadał. Odkłaniał się jej, a i owszem. Z gracją i wdziękiem. Spoglądając na nią dobrotliwie, wyciągał z kieszeni małe okrągłe pudzeczko z landrynkami, które z namaszczeniem otwierał i wyciągał w jej kierunku. Częstoowała się, po czym dziękowała skinieniem głowy, mimowolnie przejmując jego sposób bycia. Czasem, gdy go nie było, na stoliku w altance leżały czekoladki albo ciasteczka. I choć starszy pan nigdy tego w żaden sposób nie potwierdził, to ona wiedziała, że łakocie czekają właśnie na nią.

– Kiedyś, gdy będę duża, będę miała taki dom – zwierzyła się pewnego razu kamiennemu psu, który strzegł frontowego wejścia do dworu.

I to stało się jej wielkim marzeniem, które czule pielęgnowała przez lata. Wślizgiwała się na dworski teren regularnie. Nawet wtedy, gdy ze zdumieniem odkryła, że przemiły starszy pan i wariat, o którym gadano w miasteczku i którego tak potwornie się bała, to jedna i ta sama osoba.

Trudno jej było uwierzyć w prawdziwość tych stwierdzeń, które wcześniej słyszała. Starszy pan nijak nie wyglądał ani na potwora, ani na wariata, ale babcia zawsze powtarzała, że w każdej plotce jest ziarno prawdy, i Stella rozsądnie postanowiła unikać spotkań z eleganckim siwym jegomościem. Chociaż bardzo jej go brakowało.

Co oczywiście nie znaczyło, że zrezygnowała z penetrowania parku i przesiadywania na schodach prowadzących na taras. Czasem też, gdy już nieco podrosła, zaszywała się w ogrodowej gęstwinie i czekała na zapadnięcie zmroku, a gdy robiło się ciemno, patrzyła, jak po kolei w każdym z pokoi zapalano światło.

Rzeczywiście „ten wariat” co wieczór zapalał je w każdym pomieszczeniu. Stella z zapartym tchem czekała na koniec widowiska, bo miała wrażenie, że to jest czarodziejska chwila, taka, w której rozświetlony dom naprawdę ożywa, zaludnia się dawnymi

mieszkańcami. Znow był młody, znow tętniło w nim życie i pewnie gdyby dobrze się wsłuchać, usłyszałoby się gwar rozmów, dźwięki fortepianowej muzyki i szelest sukien.

To wszystko Stella widziała oczami wyobraźni i wyczekiwała tego momentu, gdy każde z dworskich okien rozbłyskiwało światłem. No, prawie każde, bo był jeden wyjątek: narożny pokój. Tutaj światło bardzo często migotało kilka razy i gasło. Przez chwilę panowała kompletna ciemność, a potem na parapecie pojawiała się latarenka z wstawioną do środka świecą, której drżący płomyk odbijał się w szybie. Stellę ten pokój i ta latarnia na parapecie intrygowały najbardziej. Działy na jej wyobraźnię, podsuwając myśli o tajemnicach i sekretach, które niewątpliwie musiało kryć to intrygujące, mroczne wnętrze. I wielokrotnie marzyła o tym, że kiedyś rozwiąże tę zagadkę, odkryje to, co zapewne pozostaje tajemnicą od lat. I oczywiście wtedy wydawało jej się, że musi to mieć związek z miłością. Najpewniej nieszczęśliwą, bo jakąż by inną? W końcu „i żyli długo i szczęśliwie”, owszem, było pięknym zwieńczeniem niejednej historii, ale nie zostawiało miejsca na dramatyzm, nie mówiąc już o sekretach wewnątrz, które z jakiegoś powodu akceptowały tylko ciepły i drżący blask świecy.

A teraz proszę, po latach trafiła tu znowu. Akurat w tym wyjątkowym momencie, gdy zmierzch niezauważalnie przedziergał się w noc.

Ciekawe, czy on wciąż tu jest... – pomyślała z melancholią, wpatrując się w dwór, na którego widok w jej sercu znow zakiełkowała tęsknota. Czy tak jak dawniej zapala światła w każdym pomieszczeniu i czy to ostatnie nadal wzdryga się na myśl o elektryczności...?

Niewiele myśląc, przemknęła do jednej z bocznych parkowych alejek, bo stojąc na tej głównej, była widoczna z dworskich okien jak na dłoni. Starając się nie czynić najmniejszego hałasu, podkradła się do miejsca, gdzie kiedyś ukryta w bzach i azaliach stała metalowa ławka z oparciem bogato zdobionym w artystycznie gięte róże. Właśnie z niej doskonale widać było dwór, a dodatkowo siedziało się prawie na wprost tajemniczego narożnego pokoju. Ku jej radości ławka stała w tym samym miejscu co przed laty. Choć nie

dało się nie zauważyć, że jest w dużo gorszym stanie niż wtedy, gdy Stella przybiegała tu jako dorastająca dziewczynka. Nawet w półmroku widać było, że oparcie gdzieś zaczyna nadgryzać rdza, farba odłazi, a rosnące wokół krzewy, niegdyś starannie przystrzyżone, teraz rozrosły się i zdziczały.

A więc zapewne zabrakło tego, kto się o nie troszczył, pomyślała Stella z nagłym smutkiem. A co za tym idzie, dwór pozostanie ciemny, nie zabłyszczą światła, a drżący płomyk świecy nie zachybcze się w starej latarence... Bo nawet jeżeli ktoś kupił ten dom, to na pewno nie palił w nim świeceł. Do tego trzeba było być „wariatem z pałacu”.

Stella poczuła niejasny zawód, jakby ją oszukano. Jakby coś właśnie jej odebrano.

Podobne uczucie towarzyszyło jej w momencie, gdy przyłapała tatę na podrzucaniu prezentów pod choinkę. Wtedy też coś się skończyło, odeszła na dobre jakaś część jej dzieciństwa.

– Cholera, niektóre rzeczy nie powinny się wydarzać – wyszeptała do siebie, pociągając nosem, i w tej samej chwili w pokoju na piętrze zabłysło światło.

A potem w kolejnym i w kolejnym. Stella z ulgą wypuściła wstrzymywane bezwiednie powietrze i roześmiała się cichutko, a potem z zapartym tchem patrzyła na to, jak kawałek po kawałku, pomieszczenie po pomieszczeniu, dwór ożywa.

Na koniec żarówka w narożnym pokoju, tak jak to miała w zwyczaju, kilka razy rozbłysła, po czym zgasła i na parapecie pojawiła się latarenka ze świecą. W tle zamajaczyła ciemna sylwetka tego, o kogo Stella przed momentem się zamartwiała.

Śmieszne, pomyślała, kręcąc głową. Śmieszne i niewiarygodne. Przecież starszy pan nie zajmował moich myśli przez tyle lat, a jednak siedząc tu i będąc praktycznie pewną, że go zabrakło, poczułam ogromny smutek i żal. Tak jakbym właśnie pożegnała się z kimś bardzo mi bliskim. Kimś, kto po prostu powinien być na swoim miejscu, odporny na działanie czasu. I można o nim nie pamiętać, ale sama świadomość, że jest, wystarcza. Dobrze, że ten smutek i tęsknotę, które już mnie łapały za gardło, mogę wymienić na ulgę... Dobrze, że starszy milczący pan vel „pałacowy wariat” –

lekko się uśmiechnęła – nadal tu jest i dzięki niemu porządek świata został nienaruszony. Rozświetlający się co wieczór dwór może znów zapraszać w swoje progi tych, których pamięta od setek lat, a ja spokojnie mogę się pożegnać ze swoim dawnym marzeniem po to, żeby zrobić miejsce nowemu, dokończyła w duchu i z lekkim ociąganiem wstała z ławki.

Bo właśnie w tym momencie zdała sobie sprawę, że podświadomie to właśnie ten dwór trzymał ją w miejscu. To wyszeptane przed laty w kamienne ucho psa: „Kiedyś będę miała taki dom”, sprawiało, że nie podjęła do tej pory żadnych kroków, by zacząć robić to, czego tak naprawdę pragnęła. Bo przez cały ten czas nieświadomie szukała jego odpowiednika. Miejsca, które zrobiłoby na niej równie piorunujące wrażenie.

A przecież nie miałam i nie mam na to najmniejszych szans, dotarło do niej z nagłą jasnością.

Bo to zwyczajnie niemożliwe. Zachwyty, który czuła, więź z dworem, parkiem i narożnym pokojem miały swój początek w dziecinnej i niezachwianej wierze w cuda. W baśnie. W przekonaniu, że to miejsce nie jest z tego świata. Znalezienie jego wiernej kopii zwyczajnie nie mogło się udać. Tak samo jak ona nie mogła się cofnąć do przeszłości i na powrót stać się tamtą dziewczynką.

To trochę tak, jakby oczekiwała, że nagle znów zacznie wierzyć w elfy i renifery Świętego Mikołaja. Kuszące, cudowne, ale zupełnie nierealne, skonstatowała z mimowolnym żalem Stella.

Przez moment stała nieruchomo, napawając się widokiem oświetlonego budynku. Patrzyła, jak na parterze w uchylonym oknie lekko powiewa koronkowa firanka. Dzielne światło zapewne ujawniłoby bezlitośnie spłowienie i pożółknięcie niegdyś śnieżnobiałego materiału. Ale zmrok był o wiele łaskawszy. Tuszował, wyoblał, łagodził. Zakrywał coraz bardziej łuszczące się ściany, miejsca, gdzie odpadł tynk, pęknięcia na schodach. W coraz głębszym, przechodzącym w czerń mroku dwór znów stawał się piękny.

I dobrze, że takim właśnie go widzę, pomyślała Stella, przełknęła głośno ślinę i zdecydowanym krokiem poszła w kierunku głównej

alei, zmierzając w kierunku frontowego wejścia.

Przestało ją obchodzić, czy zostanie zauważona, nie zastanawiała się, jak wytłumaczyłaby swoją obecność na prywatnym terenie. W tej chwili zależało jej tylko na jednym: chciała się pożegnać. Chciała, żeby historia w jakiś sposób zatoczyła koło.

Gdy dotarła do frontowych drzwi, było już całkiem ciemno. Wyciągnęła z kieszeni swetra telefon komórkowy i włączyła latarkę. Omiotła smugą światła teren przed sobą i dojrzawszy tego, którego szukała, uśmiechnęła się z czułością.

Po chwili stała już przy nim i obejmując smukłą kamienną szyję, przycisnęła policzek do chłodnego łba.

– Zdaje mi się, że niestety dorosłam i wprawdzie nie będę miała takiego domu, ale uratuję jakiś inny – wyszeptała do kamiennego ucha. – Mam nadzieję, że nie jesteś mną rozczarowany – dodała i jeszcze chwilę stała, gładząc delikatnie kamienną głowę posągu.

A potem szybkim krokiem podążyła w kierunku bramy wejściowej. Dotarło do niej, że spędziła na spacerze dużo więcej czasu, niż zakładała. W domu czekał na nią synek, który wprawdzie był bezpieczny pod opieką jej rodziców, ale lubił, jak była przy nim, gdy zasypiał.

Gdy prawie biegnąc, dotarła do wyjścia, przystanąła zdumiona. Brama była zamknięta. A przecież z budynku nikt nie wychodził... Widziałyby, gdyby było inaczej. Z miejsca, w którym siedziała, dojrzałyby każdego, kto przemierzałby główną aleję. Zmarszczyła brwi i obejrzała się za siebie. Oświetlony rzeźbiście dwór wyglądał tak jak zawsze w takich momentach. Stabilnie, pewnie i przyjaźnie.

Naprawdę chcesz zamienić marzenie o mnie na ten wielki, sfochowany i niełubiący nikogo i niczego gmach? – zaszepotało coś w jej głowie.

– O nie! Bez takich numerów! – mruknęła zirytowana pod nosem. – Muszę zacząć panować nad wyobraźnią! Zero dialogów z domami, dworami i innymi takimi! Dawać im prawo do posiadania uczuć to jedno, ale gadać z nimi to już gruba przesada! A jeżeli chodzi o bramę, to pewnie zamknął ją ktoś, kto wyszedł z jednej z bocznych ścieżek...

W końcu mógł być intruzem tak jak ona i nadejść z zupełnie innej części parku. Albo przebywać tu zupełnie legalnie, przecież Stella nie miała bladego pojęcia, czy starszy pan... Jak on się nazywał? Chyba Wiktor, no więc czy pan Wiktor przez te wszystkie lata nie dorobił się lokatora. Albo kilku. Przekonując tak samą siebie, wyciągnęła rękę i zdecydowanym ruchem pchnęła bramę. Ta ustąpiła z głośnym skrzypieniem. Na ten dźwięk Stella na moment znieruchomiała, czując, że krew odpływa jej z twarzy. Zmrużyła oczy i powoli, z namysłem, przymknęła bramę na powrót. Rozległo się jeszcze głośniejsze skrzypnięcie.

Cholera! Co jest? Wyobraźnia wyobraźnią, ale to powinnam usłyszeć, gdy ów ktoś przymykał bramę, pomyślała. Odemknęła bramę i tym razem nie oglądając się za siebie, szybko opuściła dworski teren. Nic z tego nie rozumiem i chyba nie chcę zrozumieć, bo obawiam się, że mogłoby mi się to nie bardzo spodobać. Tak czy siak, moloch z dąsem czy nie, niewątpliwie jest on kładką prowadzącą mnie do tego, czego pragnę, dokończyła w duchu, a przed oczami znowu stanęły jej małe domki i kamienna stodoła.

Cóż, nie były wprawdzie dworem, ale z całą pewnością nie miały nikogo, kto by o nie zadbał. Czekwały na nią. Tego była pewna. A skoro tak, to trudno, jakoś przetrwa te kilka lat w towarzystwie nabzdyczonego architektonicznego szkaradzieństwa.

– No, to podjęłam decyzję. Oby okazała się słuszna i obym jej kiedyś gorzko nie pożałowała – szepnęła do siebie z determinacją.

A stary dwór o rozświetlonych oknach...

A stary dwór o rozświetlonych oknach wiedział o wiele więcej. Przeżył już tyle, żeby rozpoznawać ludzi, z którymi coś go łączyło. Umiał też być cierpliwy. Bo w końcu cóż znaczyło tych kilka lat wobec całych dekad, które miał za sobą. Kropla w oceanie czasu, którą trzeba było traktować z wyrozumiałością.

W narożnym pokoju znów na moment zabłysło światło, po to tylko, by po ułamku sekundy zgasnąć. Staremu, ogromnemu żyrandolowi znów udało się schwytać w kryształowe sople drobinki blasku, które pozwalały mu nie zapomnieć, jak to było, gdy pomieszczenie tonęło w rześystym świetle. Cały czas miał nadzieję, że w końcu zjawi się ktoś, kto sprawi, że pokój odzyska dawną pewność siebie i znów będzie mógł wieczorem pławić się w świetle wielu lampeczek i żarówek, które trwały w gotowości.

Ten ktoś w końcu musiał się pojawić. Przecież dwór na niego czekał. Dom wiedział, że starszy pan potrzebuje pomocy. I wiedział, że ta pomoc wcześniej czy później nadejdzie.

Dziś

Wichura rozszalała się znieńacka...

Wichura rozszalała się znieńacka. Wystarczyło zaledwie kilka minut, by rozświetlone gwiazdami niebo zaciągnęło się ciężkimi, ciemnymi chmurami. Księżycowa poświata opierała się najdłużej i jeszcze przez kilka sekund srebrzyła dymne brzegi chmur, ale i ona w końcu się poddała. Zapadła całkowita ciemność i cisza, trwająca zaledwie ułamek chwili, a potem rozległ się głuchy pomruk grzmotu, niebo przecięła błyskawica, zawył wiatr i zaplątał się podmuchami w koronach drzew. Młodsze i bardziej giętkie gałęzie poddały się mu z ochotą, wdzięcznie przyginając się ku ziemi. Starsze, dostojne konary krygowały się nieco i skrzypiały w takt coraz to silniejszych podmuchów. Zapachniało nadchodzącą ulewą. I już za moment pierwsze krople deszczu przecięły ciężkie od oczekiwania powietrze.

Pierwsza w tym roku burza, i to w równonoc wiosenną. To musiał być znak.

Stella, stojąc w otwartym szeroko oknie i zadzierając wysoko głowę, lekko zmarszczyła brwi. Nie była specjalnie zabobonna, ale nauczyła się, że znaków nie należy całkowicie lekceważyć.

„Równowaga jest najważniejsza”, natychmiast przypomniały jej się słowa babci Elwiry. „Pamiętaj, wnusiu, Panu Bogu świeczka, a diabłu ogarek. Czucie i wiara, i szkiełko, i oko. Jak dobrze do tego podejdziesz, to jedne z drugimi się nie pogryzą, a ty niczego nie przegapisz”.

I teraz właśnie Stella usiłowała odnieść się do wszystkiego, co wydarzyło się w ciągu ostatniej doby, zgodnie z babcinymi przykazaniami. Ale pomimo tego, że bardzo się starała, to i tak czarno na białym wychodziło jej, że tym razem nie ma nawet co marzyć o złotym środku. Niezaprzeczalnie szala przechylała się w stronę niejasnych, ale za to niedających się zignorować przeczuć. I to takich, które spędzały jej sen z powiek i sprawiały, że czuła niepokojące mrowienie na karku.

Zaczął się niewinnie, od porannej wizyty w piekarni, choć w tym akurat nie było niczego dziwnego. W końcu zazwyczaj wszystko, co potem okazywało się brzemienne w skutki, rozpoczynało się niepostrzeżenie i wydawało się błahe.

Tak jak w tym wypadku wstąpienie po świeże pieczywo do piekarenki. Zachodziła tam razem z synkiem każdego ranka i nic nie wskazywało na to, żeby ta wizyta miała się czymkolwiek różnić od poprzednich.

Po przestąpieniu progu jak zawsze wpadli z Franiem w tłum ludzi stojących w kolejce. Tuż za nimi do środka weszła starsza pani, na której widok twarz Stelli rozjaśnił uśmiech.

– Dzień dobry, pani Helenko – przywitała się ze swoją dawną licealną wychowawczynią, nauczycielką języka polskiego od wielu już lat na emeryturze.

– Dzień dobry – odpowiedziała starsza pani, wyjmując z kieszeni płaszcz dużą kraciatą chusteczkę i ocierając nią zroszone potem czoło. Następnie przyjaźnie zmierzwiła synkowi Stelli włosy. – Dzisiaj właśnie o was myślałam, dawno was u mnie nie było – dodała i lekko przygryzła dolną wargę, jakby chciała ukryć drżenie kącików ust.

Stella z miejsca poczuła zalewające ją ogromną falą wyrzuty sumienia.

– Rzeczywiście trochę panią zaniedbaliśmy i jest mi z tego powodu wstyd... – powiedziała po chwili. – Ale proszę, niech pani stanie przed nami. Będzie nam się wygodniej rozmawiało, coś mi dziś w nocy weszło w kark i nie mogę przekreślać głowy – skłamała gładko i przesunęła się odrobinę, robiąc miejsce przed sobą.

Nie chciała, żeby Helenka stała dłużej, niż to było konieczne. Jej uwadze nie umknęły lekko przyspieszony oddech starszej pani i drżenie dłoni, w której trzymała chustkę. Widać było, że droga do piekarni wyjątkowo ją dzisiaj zmęczyła.

Trzeba będzie poświęcić jej więcej uwagi, pomyślała i spoglądając na drobne, skulone nieco ramiona kobiety, poczuła nagłe drżenie serca. Helenka nigdy nie należała do osób postawnych, była delikatna i filigranowa, ale teraz jej kruchość stała się dojmująca i bardzo niepokojąca.

Trochę tak, jakby czas odbierał jej coraz więcej i więcej, czyniąc ją bardziej bezbroną, przemknęło Stelli przez głowę.

– Wpadnijcie do mnie po południu albo wieczorem, to dam ci, dziecko, maść na ten twój kark, rozgrzeje ci raz-dwa mięśnie i ból zniknie, a dla Frania przygotuję kakao z piankami, takie, jak lubi najbardziej. – W niewesołe rozmyślenia Stelli wdarł się głos Helenki.

– Kakao z piankami! – powtórzył chłopiec z tak rozanieloną miną, że Stelli zachciało się śmiać. Z Frania był niesamowity łasuch i starsza pani doskonale o tym wiedziała. Teraz właśnie głośno przełknął ślinę i sugestywnie poklepał się po czerwonej kurteczce. – Mamusiu, pójdziemy, prawda? Musimy pójść, bo inaczej te wszystkie pianki, które mógłbym zjeść, zmarnują się i będą do wyrzucenia! – Zrobił wielkie oczy.

– To by było prawdziwe nieszczęście, katastrofa – zaśmiała się Helenka.

– Nie możemy do tego dopuścić – przytaknęła z powagą Stella. – Piankom po prostu nie można odmówić. Przyjdziemy na pewno. Prawdę mówiąc, wybierałam się już do pani wczoraj, ale... – Nie było jej dane dokończyć, bo drzwi piekarni znów się otworzyły i wtoczył się przez nie okazałych rozmiarów wózek transportowy, na którym piętrzyły się worki mąki chlebowej. W i tak zatłoczonym już wnętrzu błyskawicznie zrobiło się jeszcze ciaśniej, bo trzeba było utorować drogę na zaplecze dla wózka i pchającego go potężnego mężczyzny; wszyscy musieli się jeszcze bardziej ścieśnić, co kompletnie uniemożliwiło rozmowę.

Piekarenka Kazimierczaków była naprawdę mikroskopijna i o każdej porze dnia panował w niej tłok. Wszyscy mieszkańcy Kotkowa byli do tego przyzwyczajeni i nikomu nawet nie przyszłoby na myśl narzekanie czy rezygnacja z zakupów z tak błahego powodu jak kolejka. Tak jak wszędzie i tutaj sprawdzała się zasada, że żeby zdobyć coś wyjątkowego, trzeba wysiłku i poświęcenia. Nigdzie bowiem w okolicy nie można było kupić tak pysznych bułek czy ciast.

Rodzina Kazimierczaków zajmowała się wypiekaniem pieczywa od pokoleń, ich piekarnię pamiętano jeszcze z przedwojnia. Pilnie strzeżone receptury przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie.

A pilnować było czego, bo kto raz spróbował pieczonego na liściach chrzanu chleba na zakwasie albo chałki pyszniącej się koralami złocistej kruszonki, ten przepadał na amen. Gdy zaś wyborne pieczywo posmarował jeszcze zakupionym w piekarni masłem domowej produkcji i smażoną przez dwie najstarsze siostry Kazimierczakówny konfiturą, nie miał wyboru i gnany przez oszalałe z tęsknoty kubki smakowe wracał do maleńkiego wnętrza, żeby potulnie wystawać w długiej kolejce, znosząc potrącanie, przydeptywanie i ścisk.

I właściwie sam smak i zapach pieczywa był dostatecznym wyjaśnieniem zagęszczenia panującego o każdej porze dnia w piekarni, ale poranki, poranki były wyjątkowe. Oferowały klientom tego smakowitego przybytku dodatkowe atrakcje. Wiadomo bowiem było, że pierwsza zmiana należy właśnie do najstarszych sióstr Kazimierczakówien. Były to dwie leciwe panie, stare panny, jak czasem mruczały zawistnie i złośliwie mieszkanki Kotkowa. A miały im czego zazdrościć, bo siostry, pomimo upływających lat, nadal mogły się poszczycić niezwykle urodą. Włosy schludnie zaplecione w grube warkocze, zawinięte wokół głowy, pomimo siwizny, paradoksalnie odejmowały im lat. Obie miały zadziwiająco gładką cerę z miłymi zmarszczkami wokół oczu i dołeczkami w policzkach, krągłych niczym bułeczki, których pełne blachy codziennie wysuwały z rozgrzanych pieców.

To właśnie ten duet rozgrzewał do czerwoności wyobraźnię odwiedzających piekarnię starszych panów, którzy patrząc na siebie porozumiewawczo, mruclili pod wąsem, że nie bez powodu mówi się, iż w starym piecu diabeł pali.

Siostry Kazimierczakówny oczywiście doskonale wiedziały, co ludzie szepczą za ich plecami, ale bynajmniej nie miały o to pretensji, a wręcz podgrzewały jeszcze atmosferę, szczerze rozdając uśmiechy i dorzucając do zamówień co przystojniejszych kupujących idealnie okrągłe pączki i wypełnione bitą śmietaną ptysie. Doskonale wiedziały, co robią.

Na myśl o przedsiębiorczych siostrach Stella uśmiechnęła się z uznaniem. Nie są w ciemię bite i świetnie zdają sobie sprawę, że gdyby nie zazdrość, duża część klientek w ogóle nie przestąpiłaby

progu piekarni, rozmyślała, wysunawszy dłoń za okno, żeby złapać w nią deszczowe krople. Poprzestałyby na wysyłaniu mężów po świeże wypieki. A tak, chcąc sprawdzić, czy przypadkiem ich ślubni nie zasiedzieli się przy wciśniętym w róg lokalu stoliku, wpadały niby to po dodatkowe sprawunki. Po przekroczeniu progu piekarni obrzucały zaniepokojonymi spojrzeniami stolik, usiłując z min siedzących przy nim mężczyzn wyczytać, czy malujące się na ich twarzach rozanielenie ma związek li tylko z wybornym smakiem popijanej kawy tudzież gorącej czekolady, czy może chodzi jednak o niebezpieczny urok słodkich sióstr. Przy okazji oczywiście notowały w pamięci twarze tych, którzy stolik oblegali. I było wiadomo, że ledwo te spostrzegawcze matrony opuszczą piekarnię, miasteczko natychmiast obiegnie wieść, kto tam siedział i na kogo siostrzyczki zagięły parol.

Siostry Kazimierczakówny nie zwracały kompletnie uwagi na plotki, a niechętnie spojrzenia posyłane im przez zazdrosne żony spływały po nich jak woda po kaczkach. Dla nich liczyło się przede wszystkim to, że dzięki tym kontrolnym wizytom sprzedawały dwa razy więcej chlebów, bułek, makowców i serników.

Jeżeli ktokolwiek zapytałby je o zdanie na temat flirtowania z klientami i podgrzewania atmosfery w piekarni, zapewne zaśmiałyby się, kwitując, że to przecież tylko pewnego rodzaju tradycja, a ten, kto tego nie rozumie i liczy na coś więcej, będzie musiał obejść się smakiem. I oczywiście osłodzić gorycz rozczarowania bitą śmietaną, wypływającą obficie z eklerek, albo rogalami nadziewanymi kremem pistacjowym.

Ale tuż po otwarciu sklepu to nie flirty ani też swoiste manewry skutecznie przez nieufne małżonki były najważniejsze, a to, że najstarsze Kazimierczakówny akurat o tej porze dnia były najbardziej rozmowne. Nie spieszyły się, obsługując stojących w ciasnej kolejce klientów, powolutku wykladały parujące, pachnące bochenki na półki, pakowały je do papierowych toreb z pietyzmem i czułością, dzieląc się przy tym najnowszymi ploteczkami i nowinkami.

Tego ranka wszystko odbywało się jak zwykle i Stelli początkowo nie przyszło do głowy, że nie tylko o Helenkę, ale też o siebie

powinna zacząć się martwić. Bo nic na to nie wskazywało. Jej synek po otrzymaniu solennej obietnicy, że wieczorem odwiedzą starszą panią, zajął się tym, co lubił najbardziej: zaciągnął się z lubością zapachem świeżego chleba i gorących, lśniących od świeżego lukru pączków. Przez moment napawał się tym aromatem, po czym wspiął się na palce, usiłując dojrzeć zza pleców pani Helenki, czy za przeszkloną ladą leżą już jego ulubione bajaderkowe minimyszki, jednak nie mógł ich wypatrzeć.

Facet z wózkiem już zniknął, jednak tłok nie zmniejszył się dzięki temu ani trochę, bo z kolei przybyło kilkunastu nowych amatorów świeżych wypieków.

– O, przyszedł nasz ulubiony kawaler – zwróciła się do Frania starsza z sióstr, Alina. – Już się martwiłyśmy z Misią, że o nas zapomniałeś – uśmiechnęła się do chłopca i rzuciła znaczące spojrzenie na drugą Kazimierczakównę.

– A kto by wtedy zajął się tymi myszami? Jak nic bestie zezarłyby nasze miasteczko do cna. Potrzebny jest nam taki bohater, który co rano się z nimi rozprawia – podłapała w lot Misia i wychylając się zza lady, ukradkiem podała chłopcu bajaderkową myszkę, kompletnie przy tym ignorując zniecierpliwione posapywania stojącej tuż przed nią wypachnionej elegantki.

Stella spojrzała na rozdrażnioną paniusię z zaciekawieniem podbarwionym współczuciem. Nigdy wcześniej jej tu nie widziała, a to mogło oznaczać, że kobieta jest tu po raz pierwszy i kompletnie nie zna sposobu bycia sióstr, które za nic mają pośpiech. Obie zgodnie twierdziły, że chleb nie znosi poganiania, a bułeczki pod wpływem stresu czerstwieją. Każdy, kto Kazimierczakówny usiłował naciskać i pospieszać, zostawał dotkliwie ukarany jeszcze powolniejszą obsługą i wystawał przed ladą dłużej niż pozostali.

Tym razem jednak o dziwo Alina i Misia kompletnie nie zwróciły uwagi na niedopuszczalne zachowanie przyjezdnej elegantki i całą swoją uwagę skupiły na Stelli. Nie zdejmując z niej uważnego, świdrującego spojrzenia, szybko i sprawnie zapakowały wszystko, o co Stella poprosiła.

W tym momencie dziewczyna po raz pierwszy tego dnia poczuła, że coś wyraźnie jest nie tak. Mogłaby przysiąc, że w oczach obu

siostr skrzą się isierki niezaspokojonej ciekawości. Nie wróżyło to niczego dobrego. Siostry nie lubiły być niedoinformowane i wiadomo było, że tego, kogo obrały na swoją ofiarę, nie wypuszczą aż do momentu, gdy wyciągną z nieszczęśliwca wszystko, czego chciały się dowiedzieć. A teraz nie było wątpliwości, że właśnie ją wzięły na celownik. Stella dostała się w podwójne oko cyklonu.

O co im, do diabła ciężkiego, może chodzić? – przemknęło jej przez zaniepokojoną głowę, ale nie dane jej było zrobić pospiesznego rachunku sumienia, bo w tej samej chwili zwróciła się do niej Alina.

– A rodzice to już przyjechali z tych swoich zagranicznych wojaży? – zagadnęła tym charakterystycznym tonem, brzmiącym niby niewinnie, a jednak niepozostawiającym żadnych wątpliwości, że gdzieś tam pod powierzchnią jej pytania kryje się drugie dno.

„Uważaj, siostra, bo za chwilę zło pierdolnie zniecka”, jak na zawołanie przyplęły do Stelli słowa, których zwykle w takich sytuacjach używał jej brat Benjamin.

– Nie, jeszcze nie wrócili – odpowiedziała wolno w zapadłej nagle ciszy. – A coś się stało? – dorzuciła, odruchowo kładąc dłonie na ramionach Frania, który z namaszczeniem kończył właśnie obgryzanie czekoladowych uszek ciasteczkowej myszki.

Wszyscy obecni w piekarni zamarli w oczekiwaniu. Stella mogła się założyć, że tak samo jak ona byli ciekawi odpowiedzi na jej pytanie. Nareszcie zaczęło się to, czego wyglądano każdego ranka: ploteczki i nowinki. W powietrzu zaiskrzyła niezaspokojona ciekawość i nadzieja. Bo kto wie, może to, co właśnie tu się rozgrywało, będzie zwiastować początek jakiegoś skandalu? Siostry nigdy nie zadawały tego rodzaju pytań z grzeczności czy z pustej, niepopartej niczym ciekawości. Niewątpliwie coś musiało się za tym kryć.

Niestety Stella, podobnie jak wszyscy inni stojący w kolejce, była tego świadoma i niestety tak samo jak oni nie miała pojęcia, o co może chodzić.

– A czemu miałyby się coś stać? – Misia w końcu przerwała ciszę i spojrzała na Stellę spod oka. – Ot, pomyślałyśmy tylko, że może się wstrzelili w sezon na powroty. Bo że ów się zaczął, to akurat jest

pewne. Na przykład wczoraj była u nas Paulinka Gąsikowa i mówiła, że właśnie przyjechała siostra jej babki i ponoć chce dożyć tu ostatnich dni i wydać ostatnie tchnienie i...

– I to jest właśnie dowód na to, że nigdy nie należy mówić „nigdy” – zazdrośnie weszła jej w słowo Misia i po jej minie widać było, że nie zamierza dopuścić do tego, żeby Alina była jedyną dostarczycielką najnowszych wieści. – Bo gdy stąd przed laty wyjeżdżała, to zarzekała się, że „w życiu do tej dziury nie wróci”. A tu proszę, jak co do czego przyszło, to jednak umierać się chce na starych śmieciach!

– A z tym umieraniem i wydawaniem ostatniego tchnienia to ja jednak byłabym ostrożna – mruknęła Alina, pieszczotliwie gładząc papierową torbę, w której przed momentem zniknął razowiec na miodzie.

– No ale chyba jeszcze nie musisz się, moja droga, o to za bardzo kłopotać, zdrowa jesteś jak tabun koni, dzikich i narowistych – parsknęła śmiechem Misia. – Na mój gust to w życiu najlepsze i najbardziej kuszące jest nomen omen życie, umieranie można zostawić sobie na później. Przerklamowane strasznie, więc może rzeczywiście jednak masz rację, niby ci nie grozi, ale zapobiegliwość nie zawadzi...

– A czy ja w ogóle wspomniałam o sobie? – oburzyła się Alina, odsuwając z impetem szufladkę kasy i grzebiąc wśród drobniaków. – O siostrze babki Paulinki mówię. Że byłabym ostrożna w tym kładzeniu jej do trumny, bo ja ją dobrze znam, razem ze mną do szkoły chodziła i było z niej niezłe ziółko, i ja wam mówię, że ona jest zbyt żywa jak na prawie że umierającą.

– A ty skąd niby masz tak aktualne dane o jej samopoczuciu? – Zmarszczyła brwi Misia, spoglądając na siostrę z wyteżoną uwagą.

– I co ma babka Paulinki do mnie? – Stella skwapliwie wykorzystała moment, gdy Alina brała wdech.

– Nie babka, a siostra babki – sprostowała Alina z godnością. – Mylić się ich nie godzi, bo babka była bardzo rozważna, a jej siostra to trzpiot do kwadratu. I urodzona komediantka. Byłam u niej wczoraj i od razu poznałam, że to umieranie to pic na wodę

fotomontaż. Z niej jest taka umierająca, jak ze mnie śpiewaczka operowa!

– Poszłaś tam beze mnie? – Misia z impetem rzuciła silikonowe rękawice na ladę i wzięła się pod boki.

– Przecież źle się czułaś...

– Gdy pytałaś o partyjkę remika! Doskonale wiesz, że nie znoszę w niego grać i wtedy zawsze boli mnie głowa...

– Albo dupy połowa – wtrącił czystym głosem milczący do tej pory Franio.

– No właśnie, albo dupy połowa! – z rozpędu powtórzyła Alina i dopiero gdy w kolejce dały się słyszeć chichoty i śmiechy, zdała sobie sprawę, co właściwie powiedziała.

– Franek, tak nie można! – Stella poczuła, jak na policzkach wykwitają jej krwiste rumieńce. – Skąd w ogóle ci coś takiego przyszło do głowy, synku?

– Dziadek tak mówi. A ja robię wszystko jak on, bo ja też jestem prawdziwym mężczyzną – wyjaśnił kompletnie niezmiśnany chłopiec.

– Coś mi się wydaje, że muszę przedyskutować z twoim dziadkiem kwestię pojęcia męskości – mruknęła Stella. – I co przy kim mówi. A teraz, tak na wszelki wypadek, gdybym potem zapomniała, powiem ci, że absolutnie nie wolno tak mówić do starszych.

– A do młodszych można? – Chłopczyk zmarszczył brwi.

– Matko i córko, za chwilę oszaleję – jęknęła Stella. – Nie można. Do nikogo. Pani Alino, pani Misiu, bardzo panie przepraszam – zwróciła się siostr.

– Nie gniewamy się, zresztą my bardzo cenimy prawdziwych mężczyzn, bo to gatunek na wymarciu. – Alina ukradkiem puściła oko do Franka, wyraźnie zadowolona ze zmiany tematu, dzięki czemu nie musiała się teraz tłumaczyć przed siostrą z samodzielnej wycieczki do ich dawnej znajomej.

– No a wracając do sedna, to co powrót umierającej siostry babki Paulinki – wyrecytowała Stella, wznosząc oczy ku górze – ma do nieobecności moich rodziców? – zakończyła na wydechu ze

stanowczym postanowieniem uzyskania w końcu odpowiedzi na dręczące ją pytanie.

– Właściwie to niewiele, ona to tak mimochodem nam przysłała na myśl i się pokojarzyła. – Misia lekceważąco machnęła ręką. – Bo wczoraj Gąsikowie poza tym, że musieli przygotować pokój dla siostry bab...

– A ona przypadkiem nie ma jakiegoś imienia? Ta siostra babki Paulinki – przerwał jej jakiś męski głos z odmětów cały czas powiększającej się kolejki.

– No oczywiście, że tak! Małgorzata, ale co to ma do rzeczy? – zapytała retorycznie Misia i przewróciła oczami. – A więc poza pokojem dla niej wynajęli jeszcze dwa! I to gościom zagranicznym – dodała, przeciągając smacznie ostatnie słowo.

– A co w tym, pani Misiu, takiego niezwykłego? – wtrąciła Helenka, unosząc brwi. – Toż skoro mają pensjonat, to logiczne, że wynajmują pokoje. A że zagraniczni im się trafili, cóż... Odkąd opisali w internecie nasz pałac, a z właściciela zrobili nawiedzonego wariata, to ściągają tu różni amatorzy zabytków, miejsc, w których ponoć straszy. Nie wspominając już o tych, którzy węższą łatwy do zrobienia interes. Podobno co rusz znajdują się tacy, co to proponują odkupienie pałacu za bezcen.

– Prawdę mówiąc, to z tego Wiktora wcale nie trzeba było robić wariata, pomyleniec z niego jest i tyle – mruknął ktoś w kolejce.

– Nie żaden pomyleniec, tylko co najwyżej dziwak – ujęła się za właścicielem dworu Helenka. – Dopóki nikomu tymi swoimi ekstrawagancjami krzywdy nie robi, to nikt mu w życie z butami nie ma prawa wchodzić!

– Jakiegoś konkretnego zła to on może i nikomu jeszcze nie zrobił, ale w głowie to z całą pewnością po kolei nie ma – doleciało z końca kolejki. – Podobno ostatnio za dzieciakami po tym swoim parku latał i wygrażał im widłami. O mało co, a rzucałby w nie niczym oszczepem!

– Matko Boska, i pomyśleć, że na takiego to kary nie ma! Trzeba by go było zamknąć, tak na wszelki wypadek – zakrzyknęła piskliwym głosem jedna z młodszych kobiet.

– A nie lepiej byłoby pilnować swoich dzieci, żeby nie łąziły, gdzie nie potrzeba, i krwi innym nie psuły? – wyrwało się pani Helence, która doskonale znała Weronikę, piskliwą orędowniczkę prewencyjnego działania, i wiedziała, że jej czterej synowie nie dość, że są puszczeni samopas i rozpuszczeni jak dziadowskie bicze, to niejedno mają za uszami. Już kilka razy miała z nimi do czynienia. Ostatnio przepędziła ich ze swojego ogrodu, gdzie usiłowali podpalić szopę na narzędzia. Zdążyła w ostatnim momencie i zdeptała tłący się już porządnie pod drzwiami ogień.

Przepędziłam, akurat, pomyślała w tym samym momencie gorzko. Gdyby nie Bohun, to mogłaby tylko patrzeć, jak ta czwórka, śmiejąc się radośnie, kończy to, co zaczęła.

Na to wspomnienie poczuła, jak żołądek się jej zaciska w bolesną kulę. Niestety, wszystko wskazywało na to, że synowie Weroniki upatrzyli ją sobie na ofiarę. Drobna i dobrotliwa, krucho bezradna i przekonana, że z dziećmi trzeba przede wszystkim rozmawiać, doskonale nadawała się na kozła ofiarnego dla lubujących się w znęcaniu nad słabszymi podrostków. Wychowana na Korczaku i wpatrzona w niego jak w obraz Helenka nagle zetknęła się z czymś, z czym nigdy wcześniej nie miała do czynienia: z czystą, bezmyślną brutalnością. I okazało się, że nie ma z nią najmniejszych szans.

Po raz pierwszy zaczepili ją jakiś rok temu, gdy wracała z zakupami do domu. Zastąpili jej drogę i nie pozwalali się wyminąć. W pierwszym momencie nawet się nie przestraszyła. W końcu pracowała z dziećmi przez tyle lat, była przyzwyczajona do tego, że różne rzeczy chodzą im po głowie. Przystanęła, coś zagadała, z tym swoim ciepłym uśmiechem, który zwykle pozwalał jej dotrzeć do najbardziej zatwardziałych i niechętnych. Rozbrajał największych chuliganów. Ale tym razem stary sprawdzony sposób nie zadziałał. Zaczęli ją popychać, szarpać siatki. Do tej pory ręce zaczynały jej drżeć, gdy wspominała tamten moment. Bezradność i strach, i poczucie, że przecież nie ma szans, stara i słaba w starciu z rechoczącymi, wyrośniętymi nastolatkami. I nie wiadomo, jak by

to się skończyło, gdyby z naprzeciwka nie nadjechał Tadzio, listonosz. Już z daleka zobaczył, co się dzieje, i zaczął wygrażać małolatom. Uciekli. A ona została z poczuciem przegranej, trzęsącymi się rękami, drżącą duszą i rumianymi jabłkami rozsypanymi na drodze.

Powinna wtedy zgłosić zajście na policję, ale cały szkopuł polegał na tym, że zastępca komendanta był ojcem chłopaków. I to takim, co to od kieliszka nie stronił, a i ponoć pod stołem niejedną kopertę przyjął. Nie zniechęciłoby jej to zapewne i mimo wszystko poszłaby na komisariat, ale od tego pomysłu odwiódł ją Tadzio.

– Ich ojciec jest wyznawcą zasady, że rodzina jest najważniejsza – powiedział i oparł rower o pień przydrożnej gruszy, a następnie przykucnął obok Helenki i pomógł jej zbierać rozsypane zakupy do siatki. – A to w tym wypadku znaczy, że zleje chłopców na kwaśne jabłko, co akurat wcale im by nie zaszkodziło, ale potem przykaże, że mają załatwić tę sprawę tak, żeby już nigdy nikomu nie przyszło do głowy o niej wspominać.

– Czyli każe im przeprosić, to chyba dobrze... I wołałabym, żeby na tym poprzestał. Bicie to nie jest żadne rozwiązanie. A ja przecież nie będę tego rozdmuchiwać ani chować urazy – powiedziała, wrzucając do siatki ostatnie leżące u jej stóp jabłko i podnosząc na listonosza wyblakłe, błękitne spojrzenie.

– Pani Helenko, pani naprawdę nie rozumie? – Tadzio spojrzał jej wymownie w oczy. – Przecież z pani jest mądra kobieta, nie urodziła się pani wczoraj... – Znacząco zawiesił głos.

– Aha... – Dopiero po chwili dotarło do niej, co tak naprawdę chciał powiedzieć. – Czyli oni mnie... – przerwała, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Dokładnie, będą się mścić i po swojemu starać się zamknąć pani usta, zgodnie zresztą z przykazaniem tatusia. – Listonosz pokiwał głową i wyjął z jej nagle zgrabiątych dłoni torby. – Odprowadzę panią, pani Helenko, do domu... A przez parę najbliższych dni niech pani postara się nie rzucać im za bardzo w oczy – powiedział, uciekając wzrokiem w bok. – Jak nie będą pani widzieć, to zapomną i dadzą sobie spokój. A gdyby coś się działo, niech pani wali do

mnie jak w dym, mam znajomych, coś tam wspólnie wymyślimy – dodał, ale w jego głosie nie słychać było pewności ani przekonania.

I Helenka poczuła, że nawet gdyby tamci jednak nie zapomnieli, nie miałyby sumienia komplikować Tadziowi życia.

Gdy wróciła do domu i starannie zamknęła za sobą drzwi, przez moment stała bez ruchu w ciemnym korytarzu, zastanawiając się, co w tej sytuacji może zrobić. I czy w ogóle cokolwiek może. Wychodziło jej niestety, że niewiele. I w tym samym momencie poczuła, jak jej dłoń trąca wilgotny, zimny nos. I odetchnęła z ulgą.

– Jak mogłam o tobie zapomnieć? – szepnęła i pochyliwszy się, przytuliła policzek do ciepłego psiego łba. – Jak mogłam pomyśleć, że jestem sama? – dodała i odetchnęła głęboko, czując, że jej serce odnajduje właściwy rytm, a z gardła znika dławiąca gula.

Na całe szczęście miała Bohuna. Dostała go od swoich dawnych uczniów. Wśród nich była grupka, która o dziwo pomimo upływu lat nie zapomniała o swojej ulubionej nauczycielce. Odwiedzali ją co roku w okolicach świąt Bożego Narodzenia. Rozczulało ją to niesamowicie, bo przecież nie musieli, byli już dorośli, mieli pracę, rodziny, obowiązki. A jednak przychodzili z naręczem siatek, z których wysypywały się domowe przetwory, ciasta i ciasteczka, owoce i jakieś drobne prezenciki. Dla niej jednak te torby wypełnione były czymś zupełnie innym, bezcennym: pamięcią i troską. A trzy lata temu wpadli do jej domu podekscytowani, roześmiani, uciszając się nawzajem. Patrząc na nich, Helenka miała wrażenie, jakby czas nagle się cofnął i wszyscy odmłodnieli. Bo z tymi błyszczącymi oczami i zarumienionymi policzkami wyglądali dokładnie tak jak wtedy, gdy jeszcze chodzili do liceum i mieli kompletnie pstro w głowach. I gdy przybiegali do niej po ratunek, bo znów coś przeszkrobali. Pamiętała, jak kiedyś, po jakiejś grubszej aferze ukryła ich przed dyrektorem w przepastnej szafie w pracowni polonistycznej. Do dyrektora pasowało bowiem jak ulał określenie „niespotykany spokojny człowiek, dopóki się nie zdenerwuje”. Kochał młodzież, swoją pracę i szkołę, ale był też cholerykiem, a klasa, do której chodzili Stella, Jasiek, Lidka i kilkoro innych, z którymi Helenka była nad wyraz zżyta, była ogromnie pomysłowa, psie figle się ich trzymały i mieli nadzwyczajny talent do pakowania

się w kłopoty. I dlatego czasem dobrze było dać dyrektorowi ochłonąć, zanim postawiło się przed nim winowajców. I gdy po latach ci najbardziej ulubieni z ulubionych przepychali się w jej przedpokoju, tręcali się łokciami i rzucali sobie porozumiewawcze spojrzenia, nie sposób było nie widzieć w nich tamtych dzieciaków. W końcu trochę się uspokoili i wypchnęli na przód Stellę, jedną z jej ukochanych uczennic, która w rękach trzymała duży wiklinowy koszyk zakryty kraciastym kocikiem. Na pałaku miał zawiązaną ogromną kokardę. Dziewczyna wręczyła go starszej pani z tajemniczą miną. Gdy zaintrygowana Helenka zajrzała pod pled, zobaczyła puchatą kulę z miniaturowym czarnym mokrym noskiem z jednej strony i cienkim, sznurowatym ogonkiem z drugiej. I obie te strony uśmiechnęły się na jej widok. Ogon zamerdał, czarne paciorki oczu załśniły całym morzem sympatii, a nos śmiesznie się poruszył, co z miejsca skojarzyło się starszej pani z królikiem.

– Dzieci, ale wiecie, że ja nie mogę go u siebie zostawić – powiedziała, podnosząc na zgromadzonych smutne spojrzenie, choć jednocześnie ręce same wyciągnęły się jej do leżącej w koszyku kulki.

I nawet nie wiedziała, kiedy piesek znalazł się w jej ramionach, a ona przytuliła do jego łebka policzek.

– Ależ może pani, a nawet musi. On jest samotny, a pani, pani Helenko, też przyda się towarzystwo. Nad czym tu się zastanawiać? Pasujecie do siebie jak ulał. – Stella widać spodziewała się takiej reakcji i zawczasu przygotowała się do odpowiedzi.

– Ale ja naprawdę nie mogę! Jestem w tym wieku...

– W tym wieku, czyli najlepszym – przerwał jej Jasek, postawny i dobrze zbudowany młody mężczyzna, kompletnie niepodobny do tego drobnego blondynka, którego Helenka pamiętała ze szkoły. Chociaż oczy nadal miał takie same, skrzące się humorem i emanujące ciepłem. – W najlepszym z możliwych, pani profesor. A jeżeli pani chodzi o to... – Przerwał i przygryzł dolną wargę wyraźnie zakłopotany.

– No o to, o co pani chodzi – pospieszyła nieudolnie z pomocą Lidka i słysząc, jak to brzmi, sapnęła i przewróciła oczami.

– No to żeśmy sobie pogadali! Wszystko jasne, mówcy z was jak z koziej dupy trąba! – parsknęła śmiechem Stella. – Pani profesor, my jesteśmy na to przygotowani – zwróciła się do tulącej szczeniaka starszej pani. – Na te wszystkie pani argumenty i wiek też – dodała wyjaśniająco.

– A to jesteście w dużo lepszym położeniu niż ja. Bo prawdę mówiąc, ja na te swoje lata kompletnie nie czuję się gotowa – mruknęła kpiąco Helenka.

– A to akurat oczywista oczywistość! Dlatego pani kompletnie się nie zestarzała – rzucił wesoło Jasiek. – Gdyby można było panią, pani profesor, odpakować z tej wierzchniej warstwy, z tego trochę pogniecionego sreberka, to pewnie stanęłaby przed nami dziewczynka ze sterzcącymi tyimi, no, jak to się nazywa, to takie z boków głowy...

– Uszy – podpowiedziała usłużnie Lidka, dusząc się od powstrzymywanego śmiechu.

– Sama jesteś uszy, no te takie z włosów... – męczył się Jasiek. – O, te, kitki! – zakrzyknął wreszcie tryumfalnie.

– Widać, że nie masz córek, Jasiek. – Pokręciła głową rozbawiona Stella. – Chodzi ci o kucyki. I nie, nie, nie! Chwilowo nic już nie mów. – Zamachała gwałtownie ręką, widząc, że Jasiek już otwiera usta, żeby coś odpowiedzieć. – Bo intencje to ty masz dobre, ale wiesz, jak to jest z dobrymi chęciami i co jest nimi wybrukowane. Wystarczy już to twoje wymięte sreberko – parsknęła pod nosem. – W każdym razie, pani profesor, my już postanowiliśmy – zwróciła się następnie do Helenki, stanowczym gestem schowała pusty koszyk za siebie i uniosła wysoko głowę. – Pani potrzebuje towarzystwa. On – wymownie spojrzała na psa – marzy o swoim człowieku. Doskonale, że na siebie trafiliście. A rozwiewając pani obiekcje, to wszyscy jak tu stoimy, uroczymy obiecujemy, że jeżeli będzie taka potrzeba, to się nim zaopiekujemy. Wyprowadzimy, jeżeli akurat pogoda będzie paskudna albo złapie pani jakiś katar – dodała szybko, żeby nie było wątpliwości, co ma na myśli, mówiąc o potrzebie otoczenia psiaka opieką. – A to jest mały dodatek – dorzuciła i spojrzała wymownie na Lidkę, która wyciągnęła z torby grubą kopertę i zamachała nią radośnie.

– No chyba Bóg was opuścił! Psa jeszcze rozumiem, ale żadnych pieniędzy od was nie wezmę – zachnęła się starsza pani.

– Jakie pieniądze, tam jest tylko potwierdzenie wykupienia pełnego psiego szkolenia. Będziemy tam was zawozić na zmianę...

– W sensie raz mnie, a raz psa? – Helenka nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. – Obawiam się, że on sobie dużo lepiej poradzi, bo ja jakoś kiepsko widzę siebie reagującą na „siad” albo „zostań”.

– O matko, no przecież, że nie o to szło! Ja zawsze miałam talent do gmatwania! Zresztą ku uciesze wszystkich, a największej pani profesor – jęknęła Lidka.

– To prawda, masz dar – zgodziła się bez oporów Helenka.

– No więc ja już powiem. – Stella rozpięła płaszcz i ściągnęła czapkę. – My będziemy wozić na zmianę panią i psa, w sensie, kierowcy się będą zmieniać. Już ustaliliśmy harmonogram – zakończyła.

– Ale przecież to jeszcze psie dziecko, nie nadaje się do szkoły! Jak trochę podrośnie, to czemu nie, ale teraz nie ma mowy. – Helenka nawet nie zorientowała się, że w ten oto sposób oficjalnie przyjęła pieska do swojej rodziny i pod swój dach.

– No, czyli najważniejsze mamy ustalone, zgodziła się pani. – Lidka klasnęła w dłonie. – A ze szkoleniem to niech się pani profesor nie martwi, on najpierw pójdzie do takiego psiego złobka, a dopiero potem na poważniejsze kursy – dorzuciła.

I właściwie już nie było o czym rozmawiać. Bo Helenka, tuląc do siebie psie dziecko i czując, jak wzruszenie ściska jej gardło, a serce bije mocniej, doskonale wiedziała, że opiera się tylko dla zasady, a tak naprawdę nie byłaby w stanie już go oddać. Po raz pierwszy od dawna ktoś przytulał się do niej z taką ufnością, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie musiała zostawać w domu sam na sam ze swoją samotnością. I tak oto pod jej dach trafił Bohun, który niepostrzeżenie zmienił się z maleńkiej, bezbronnej kulki w ogromnego, owczarkopodobnego brytana. A wraz z nim zmieniła się codzienność starszej pani. Jej dom nieoczekiwanie znów zaczął tętnić życiem, i to nie tylko za sprawą obecności nowego czworonożnego przyjaciela. Jej uczniowie, wożąc ją na psie zajęcia,

nagle dostrzegli, jak bardzo samotna bywa na co dzień, i zaczęli do niej częściej zaglądać. W psiej szkole Helenka poznała innych psiarzy i zaczęła się z nimi umawiać na spacer, do kina i na popołudniowe herbatki. Życie nabrało smaku i zdarzały się piękne chwile, gdy ze zdumieniem spostrzegła, że nie ma czasu na rozmyślanie o przeszłości, bo dzień dzisiejszy znów wysunął się na pierwszy plan.

Bohun zmienił wszystko, a teraz stał się jej gwarantem bezpieczeństwa. Nie ruszała się bez niego z domu. Zabierała go ze sobą wszędzie i dziękowała losowi za „swoje dzieci”, jak nazywała w duchu uczniów, którzy podarowali jej nie tylko przyjaciela, ale też obrońcę. Piekielna czwórka tylko jeden jedyny raz ośmieliła się ją zaczepić, gdy wędrowała w towarzystwie Bohuna. Kilka dni po tym, jak dorwali ją samotną na drodze i jak wybawił ją listonosz, szła z Bohunem, gdy wychynęli zza zakrętu i obścąpili ją dookoła.

Niewiele z tego zdarzenia pamiętała. Wiedziała, że bezwiednie zacisnęła palce na psiej smyczy tak mocno, że poraniła sobie wewnętrzną część dłoni paznokciami, które wbiły się jej w skórę. I że nie mogła się ruszyć, tak bardzo sparaliżował ją strach. Odebrał jej mowę i nie zdołała wydać Bohunowi żadnego polecenia. Przez ułamek sekundy myślała, że jej przyjacielowi udzieliła się ta sama panika, która oplatała ją tak ciasno, że niemal nie mogła oddychać. Bo stał nieruchomo, wodząc po rechoczących chłopakach czujnym i zaskoczonym spojrzeniem. W całym swoim psim życiu nie spotkał się z czymś takim. Ale na całe szczęście natura jest mądra i czasem nie trzeba mieć doświadczenia, wystarczy odziedziczony po przodkach instynkt. I nagle, gdy jeden z chuliganów zrobił krok ku sparaliżowanej strachem starszej pani, Bohun stulił uszy, uniósł wargi, obnażając wyszczerzone kły, a z jego gardła wydobył się dźwięk tak przerażający i pełen jawnej groźby, że Helenka poczuła, jak na karku włoski stają jej dęba. W oczach psa zaśniła wściekłość, sierść na grzbiecie się zjeżyła. Nie trzeba było posiadać nawet krztyny wyobraźni, żeby zrozumieć, że Bohun nie żartuje i że w tej walce nie będzie brał jeńców.

I to wystarczyło, żeby synowie zastępcy komendanta policji wzięli nogi za pas. Wprawdzie gdy odbiegli już dostatecznie daleko, zaczęli

miotać pogrózki i obelgi, ale Helenka wiedziała, że nie odważą się wrócić. Nie wzięła też sobie do serca większości ich gróźb. Byli tchórzami, zdolnymi do atakowania tych, nad którymi mieli przewagę i których się nie bali. A Bohun w swojej nowej odsłonie niewątpliwie budził przerażenie i wzbudzał respekt. Jedyne, co ją martwiło jeszcze przez długi czas po całym zdarzeniu, to jedno zdanie, rzucone przez któregoś z piekielnych braci: „Otruję ci to bydlę, ty stara kurwo!!!”. Jego wrzask wciąż rozbrzmiewał jej w uszach i sprawiał, że lęk powracał. Bo co będzie, jeżeli oni rzeczywiście dadzą coś Bohunowi?

Ale potem przypomniała sobie, że przecież żeby go nakarmić, trzeba wiedzieć, jak to zrobić. Tego nauczyła go sama, po obejrzeniu jakiegoś filmu kryminalnego, w którym jednym z głównych bohaterów był pies, wytresowany, by nie tykał przypadkowego jedzenia.

Dopóki nikt nie znał tego sekretu, Bohun był bezpieczny. A ona razem z nim. Teraz też czekał na nią przed drzwiami piekarni.

Mówię do pani, ogłuchła pani czy co? – Helenka tak głęboko się zamyśliła, że dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że rzeczywiście od dłuższego czasu ktoś coś do niej mówi.

Zamrugwała szybko i rozejrzała się wokół siebie i z miejsca natknęła się na pełne złości spojrzenie matki piekielnych chłopaków.

– Nie wstyd pani, pani Migrocka? Przeciwno dzieci stawać, a bronić jakiegoś szmyrgniętego wariata? I to kto? Stara nauczycielka! I to ma być przykład dla młodzieży! I to ma być...

– Przede wszystkim nie przeciwko dzieci stawać, a dzieciom – przerwała jej lodowatym tonem Stella i zaniepokojona zerknęła na pobladłą twarz Helenki. – To po pierwsze, a po drugie, to pani Migrocka ma rację, dzieci trzeba pilnować, teren wokół dworku jest prywatny, nie powinny się tam wałęsać. Tym bardziej że wszyscy wiedzą, iż część z tych, którzy tam wchodzi, dokucza właścicielowi, i to porządnie. Szczególnie kilku chłopaków wiecie w tym prym – dodała z naciskiem, nie spuszczać oczu z poczerwieniałego nagle oblicza żony zastępcy komendanta.

– No to niech się ci konkretni rodzice martwią – parsknęła, biorąc się pod boki. – No chyba że to do mnie się tu pije... – zawiesiła na moment głos. – Chociaż raczej to się uwagę usiłuje odwrócić od jakiegoś tematu, bo przecież to nie o mnie tu chodzi, tylko o jakichś zagranicznych turystów i rodziców tej tam. – Machnęła wyciągniętym palcem w kierunku Stelli.

– A proszę mi tutaj łapami nad bułkami nie machać – oburzyła się ostentacyjnie Misia. – I nie wrzeszczeć, bo takie karczemne awantury i burdy to na targowisku można wyczyniać, a nie u nas w szanowanej piekarni. Potem pieczywo będzie wam kwaśnieć w żołądkach!

– No dobrze, ale skoro ten temat wraca już po raz kolejny, to rzeczywiście mogą mi panie powiedzieć, o co chodzi z tym sezonem na powroty? – Stella odwróciła się przodem do lady i uważnie powiodła wzrokiem po twarzach sióstr.

– A tak jakoś nam przyszło na myśl, że czasem dobrze jest wiedzieć, kto do miasteczka przyjeżdża. – Alina zgrabnie zapakowała do torby chleb z ziarnami.

– I dobrze wtedy być na miejscu, żeby trzymać się razem – dorzuciła niewinnym tonem Misia.

– Albo wręcz przeciwnie. – Alina pokiwała głową i wręczyła zapakowane w papierową torbę pieczywo stojącemu przed nią panu z gęstą siwą brodą, obdarzając go rozkosznym uśmiechem. – Być jak najdalej i ściągnąć bliskich do siebie – zakończyła kokieteryjnie, wsuwając za ucho siwy kosmyk, który wymknął się jej z warkocza.

Poskutkowało to tym, że mężczyzna obrzucił starszą z najstarszych sióstr rozanielonym spojrzeniem i idąc do wyjścia, potknął się co najmniej trzy razy.

– Grunt to zrobić komuś dobry dzień – mruknęła niby bez związku Misia.

– Co podać? – zwróciła się do żony zastępcy komendanta.

– A od kiedy to ja muszę mówić, po co przyszłam? To co zwykle, jak co rano. – Weronika spojrzała na Misię ze zdumieniem, bo rzeczywiście tym, którzy zawsze brali to samo, siostry po prostu podawały ulubione pieczywo.

– Nie ma. – Siostry Kazimierczakówny jak na komendę potrząsnęły głowami.

– Ale jak to nie ma? Przecież chleb z formy, ulubiony chłopców, leży jak wół, na półce! I to kilka bochenków! – upierała się kobieta.

– Zamówione. Zarezerwowane. Wszystkie co do jednego. – Alina zacisnęła usta w wąską kreseczkę.

– Dziwne! Nie wiedziałam, że macie jakieś zapisy... To w takim razie niech będą bułki i chleb domowy...

– Same wczorajsze, nie możemy sprzedać! A chleb niewyrośnięty, niedopieczony w środku. – Misia spuściła oczy i strzepnęła niewidoczny paproszek z fartucha.

– Ale że co? Jak to nie możecie... – Weronika zamilkła na moment, potrząsając z niedowierzaniem głową. – Aha! A więc to tak. – Powoli docierało do niej, o co tak naprawdę chodzi siostróm.

– Nie przeszkadza mi to, wezmę wczorajsze i niedopieczone – wycedziła, mrużąc ze złością oczy.

– Niestety już je obiecałyśmy biednym. – Alina stanęła tuż obok Misi, tak że ich ramiona zetknęły się, przysłaniając regały z pieczywem.

Wyglądało to tak, jakby siostry właśnie stworzyły mur obronny.

– Chyba nie odejmie pani biedakom od ust ostatniego kawałka bułki? – Misia zatrzepotała niewinnie rzęsami.

– Czerstwej i suchej – dodała Alina dramatycznym tonem.

– To się w głowie nie mieści! Ludzie, czy wy to słyszycie? – Weronika odwróciła się w stronę zastygłej w bezruchu i zapatrzonej w rozgrywającą się przy kasie scenę kolejce.

– Dobroczynność chwalebna rzecz – odpowiedział jej w końcu listonosz, który wszedł do piekarni niedawno, ale usłyszał dość, żeby domyślić się reszty. – Godna poparcia – dorzucił, uśmiechając się pod wąsem.

Wśród kolejkowiczów rozległ się pomruk aprobaty. I Stella odniosła wrażenie, że chyba jest tu jedyna, która o czymś nie wie. Nie rozumiała ani tego, co przed momentem w zagmatwany sposób usiłowały jej przekazać siostry, ani tego, o co tak naprawdę chodziło w sprawie Weroniki. Fakt, była niemiła i niesympatyczna, ale taka bywała na co dzień. Co więcej, nie słyszano nigdy o tym, żeby

siostry komukolwiek odmówiły sprzedania pieczywa. Bez wątpienia działo się tu coś, o czym Stella nie miała pojęcia. I wszystko w środku niej krzyczało, że czym prędezej powinna się dowiedzieć, o co chodzi.

– A i radziłabym jednak chłopców przetrzymać trochę w domu. Żeby im ktoś w końcu tymi widłami fryzur nie przeczesał. – W jej rozmyślania wdarł się spokojny głos Aliny.

– Te rady to sobie możecie wsadzić w dupę! Chyba zapomnieliście, z kim macie do czynienia! Mój mąż tak tego nie zostawi, jeszcze pożałujecie! A moja noga tu więcej nie postanie! – wrzasnęła rozeźlona Weronika i z furią przepchnęła się w kierunku wyjścia.

Po chwili głuchy huk zatrzaśniętych z impetem drzwi oznajmił wszystkim, że na dobre opuściła lokal.

– No to w sumie dobrze się stało, że rozmowa się tak potoczyła – rzuciła w przestrzeń Misia. – Bo możemy wprost powiedzieć, pani Helenko: przed Kazimierczakami nic się nie ukryje i że my niczego się nie boimy. I mamy w rodzinie kilku chłopów na schwał. Gotowych na wszystko. To tak na wszelki wypadek mówię, gdyby miała pani jakieś wątpliwości, czy może zwrócić się do nas, gdyby coś się działo i wymknęło spod kontroli – dorzuciła i, jak gdyby nigdy nic, sięgnęła po blachę wypełnioną po brzegi sernikiem, odkroiła z niego spory kawałek, zawinęła w biały papier i podała Stelli.

– Ale ja nie miałam zamiaru... – Dziewczyna potrząsnęła głową i zamilkła skonfundowana.

– Jak dają, to bierz, dzisiaj na pewno ci się przyda – mruknęła Alina i znów w jej oczach pojawił się ten niepokojący błysk. – A po odbiór tortu szwarcwaldzkiego przyjdź jutro wieczorem. Jak ochłoniesz.

– Po odbiór tortu wieczorem – powiedziała Stella, powoli przenosząc spojrzenie z Aliny na Misie.

– Jutro – dobitnie powtórzyła starsza z sióstr. – Tylko nie zapomnij!

Teraz, stojąc w otwartym oknie...

Teraz, stojąc w otwartym oknie, wpatrując się w ciemność i słuchając szumu deszczu, jeszcze raz w myślach odtwarzała wydarzenia tego poranka i zachodziła w głowę, skąd siostry wiedziały o zbierających się nad jej głową czarnych chmurach.

Bo rzeczywiście sernik jej się przydał, i to dużo szybciej, niż mogłaby przypuszczać.

Wychodziła z piekarni poirytowana i skołowana, z solennym postanowieniem, że wbrew temu, co przykazały jej siostry, nie będzie czekać do żadnego jutra. Wróci tu od razu po pracy i zapyta, o co im, do diabła, chodzi. Z tym sernikiem i z tortem, którego przecież nie zamawiała.

I zażądam wyjaśnień, po czym niby miałam ochłonąć i co wspólnego mają ci z pensjonatu z moimi rodzicami, i jakie sprawy związane z panią Helenką mogą wymknąć się spod kontroli, myślała, jednym uchem słuchając paplaniny synka.

– No to co, mamusiu, dobrze? Zajmiemy się tym jak najszybciej, jak już odbierzesz ten tort – powiedział, gdy już zmienili buciki na kapciuszki i dawał jej buziaka na pożegnanie.

– Tak, pewnie – przytaknęła i z miejsca poczuła wyrzuty sumienia połączone z lekkim niepokojem.

Te pierwsze były związane z tym, że kompletnie nie słuchała małego, a przecież powinna! Tym bardziej że Franio nie miał taty, więc ona powinna wystarczać mu za oboje rodziców. A niepokój pojawił się na widok pełnego zadowolenia uśmiechu synka.

Cholera, na co ja się znowu tak beztrosko zgodziłam? – pomyślała, wychodząc z przedszkola. – Mam nadzieję, że chodziło o kupno nowych klocków albo puzzli, a nie coś, z czego będę musiała się gęsto tłumaczyć i szukać naprędce usprawiedliwień, dlatego nagle zmieniłam zdanie...

Ale jak się niebawem okazało, postanowienia związane z tajemniczym zachowaniem Kazimierczaków i niepokoje

dotyczące Frania przestały zaprzętać jej uwagę. I to ledwo weszła do hotelu, w którym pracowała. Ba, żeby tylko pracowała! Tak naprawdę była jego nieformalną współwłaścicielką. Prawie wspólniczką. Jednak jak się przekonała, słówko „prawie” nie tylko w reklamie robiło różnicę. W jej życiu okazało się równie znaczące.

Wiązała z tym hotelem całą swoją przyszłość.

Prowadziła go razem z Aldoną od kilku lat.

Ze swoją przyjaciółką, psia jej mać, pomyślała teraz, krzywiąc się szpetnie i zagryzając dolną wargę, żeby powstrzymać łzy cisnące się jej do oczu.

Miały umowę. Najpierw zainwestują w główny budynek. To miało być królestwo Aldony. Urzeczywistnienie jej wizji. Nowoczesność, blask i blichtr. Tu Stella miała się nie wtrącać. Po zapoznaniu się z planami przyjaciółki zgodziła się na to bez szemrania.

– Najpierw doprowadzimy tę część do rozkwitu, uderzymy do bogatych i próżnych, a potem ty dostaniesz pozostałe zabudowania i zrobisz z nimi, co tylko będziesz chciała – przekonywała Aldona. – Kolejność jest ważna, wiesz, jak jest, pieniądź robi pieniądź. Jeżeli podejmiemy do tego rozsądnie, to każda z nas osiągnie to, czego chce...

To brzmiało pięknie i – o zgrozo – nie wzbudziło żadnych podejrzeń Stelli. No, może prawie żadnych, nie licząc tych kilku snów z prababką Marceliną w roli głównej, które dały jej trochę do myślenia i których nie mogła jakoś wyrzucić z głowy pomimo tego, że starała się je zbagatelizować. Właściwie określenie „prababka” było solidnym niedopowiedzeniem. Tych „pra” powinno być więcej, ale nikt nie kłopotał się ich policzeniem. Rodzinna legenda głosiła, że Marcelina, leżąc na łożu śmierci, błagana przez swojego syna o to, żeby go nie opuszczała, ale skoro już musi odejść, to żeby do niego natychmiast po śmierci wróciła i dała jakoś znać o swojej obecności, ponoć prychnęła zniecierpliwiona i kazała mu się wziąć w garść i zacząć zachowywać jak na mężczyznę przystało. Zapowiedziała też, że nie zamierza się wygłupiać i snuć się w jakimś przezroczyście gieźle pośród żywych. Jednakowoż przyznała, że nie sposób nie zgodzić się z tym, że rodzina jest najważniejsza i że byłoby ogromną nieodpowiedzialnością ot tak rzucić wszystko

i beztrąsko sobie umrzeć. Po namyśle oświadczyła zrozpaczonemu potomkowi, że wprawdzie musi sobie wybić z głowy to, że matka dla jego kaprysu zmitręży choćby ułamek wieczności, by nawiedzać ich domostwa i tłuć się nocą po pustych korytarzach i ciemnych pokojach, ale za to może mu obiecać, że w momentach kryzysowych w ramach ostrzeżenia będzie pojawiać się w snach jego lub innych członków rodziny. Oczywiście nie zrobiła tego bezinteresownie i zanim solennie przyrzekła nie opuszczać swojego rodu na wieki wieków, wymusiła na synu pewną obietnicę, której konsekwencje potomkowie Marceliny ponosili do dziś.

No ale cóż, prababka swojego przyrzeczenia dotrzymała i rzeczywiście wracała w snach do tych krewnych, których uznała za stosowne ostrzec przed perfidią losu, więc to, czego zażądała w zamian, faktycznie jej się należało.

Cały szkopuł polegał jednak na tym, że Stella nie do końca wierzyła w tego rzekomego opiekuńczego ducha. Była raczej skłonna przychylić się do teorii, że a i owszem pra-ileś-tam-babka śni się różnym członkom jej rodziny w czasie, gdy podejmowali jakieś ryzykowne działania, ale nie ma to nic a nic wspólnego z jej obietnicą ani z życiem pośmiertnym, a li tylko z siłą sugestii. W końcu w tej rodzinie od dziecka słuchało się opowieści o tym, że gdy przyśni się Marcelina, to trzeba pamiętać, że coś się wydarzy, i to coś niezbyt dobrego.

Już to widzę, myślała sceptycznie. Jak mi się śni ktoś, kogo w życiu na oczy nie widziałam, i z miejsca wiem, że to on. I że przyszedł, żeby mnie ustrzec od złego! Bujać to my, a nie nas!

Dopiero po swoim pierwszym śnie, w którym pojawiła się Marcelina, i co więcej, Stella nie miała żadnych wątpliwości, że ona to ona, musiała nieco zrewidować poglądy. Nie przestała jednak obstawać przy tym, że to pokłosie słuchanych od lat historii. Prababka przyśniła jej się po obfitującym w stresy dniu, w którym Stella zdecydowała się, że zaciągnie pierwszą pożyczkę na wyremontowanie hotelowego parteru. Aldona była tak przekonująca, że Stella pomimo wielu wątpliwości w końcu uległa.

– Słuchaj, dostaniesz taką pensję, że spłata zadłużenia to będzie dla ciebie pikuś, i to mały, to po pierwsze, po drugie, jak trzeba

będzie coś dobrać albo zgromadzić kolejne fundusze, powiedzmy na wyszykowanie pokoi na piętrze, to ja dla banku będę dużo bardziej atrakcyjna i wiarygodna jako ktoś, kto jeszcze nie jest zadłużony. Poza tym zobacz, jeżeli stać mnie na zatrudnienie ludzi i zapewnienie im godziwych zarobków, czego ty będziesz jednym z najlepszych przykładów, to też plus. To będzie działało na naszą korzyść... – mówiła z zapałem.

– Niby tak, ale nie wiem... To bardzo ryzykowne. Jednak wolałabym nie być w tym sama – mruknęła Stella głosem pełnym wahania.

– No przecież mówię ci, że nie będziesz. To będzie tylko chwilowe. Potem to uregulujemy. Zobaczmy jeszcze jak. Bo może lepiej będzie się podzielić własnością i zostawić mi główny budynek, na którym najbardziej mi zależy, zresztą tak to miało być rozwiązane od początku, a tobie przypadłyby w udziale zabudowania, o które przecież ci chodzi. I w sumie tak chyba byłoby najlepiej. Trzymać się tych pierwszych ustaleń. Nie wchodziłybyśmy sobie w paradę. U mnie zatrzymywaliby się goście lubiący nowoczesność i minimalizm, u ciebie gustujący w starym stylu, pajęczynach i brodzeniu w wiekowym kurzu...

– Chyba nie do końca rozumiesz moją wizję – parsknęła śmiechem Stella.

Nie była zaskoczona podejściem przyjaciółki. Aldona nie ukrywała, że kompletnie nie rozumie jej miłości do tego, co wiekowe. Wolała nowoczesne formy, a jedynymi uznawanymi przez nią kolorami były biel, czerń i szarość. Wnętrza musiały być przestronne i ascetyczne, choć niepozbawione luksusów i wygody. I to się niewątpliwie sprawdzało. Ale ilekroć Stella wchodziła do hotelowych pokoi urządzonych przez Aldonę, zawsze miała wrażenie, że marznie. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że przyjaciółka wie, co robi, i bezbłędnie odgaduje, do kogo i jaką skierować ofertę. Znała się na tym rodzaju ludzi, którzy Stelli byli całkowicie obcy. I szczerze mówiąc, Stella w tym właśnie widziała ich siłę i przyznawała rację Aldonie, że taki team jak one ma ogromne szanse powodzenia.

Całkowicie odmienne podejście do ludzi, całkiem inna forma prowadzenia domów gościnnych, jak je w myśli nazywała, bo „hotel” kojarzył jej się jakoś tak zawsze bezosobowo i sztywno.

A jednak w tamtym momencie miała wątpliwości. I być może jednak pra-pra-ileś-tam-babka osiągnęłaby swój cel i odwiodła ją od podpisania umowy kredytowej z bankiem, gdyby nie jedno zdanie, które Aldona zostawiła sobie jako ostatni i najmocniejszy argument.

– Zobacz, ty przecież nie masz żadnej historii kredytowej – powiedziała, pochylając się w stronę Stelli i patrząc jej w oczy. – A brak historii to jeszcze gorzej, niż posiadać jakąkolwiek, nawet złą. Więc jak chcesz potem zainwestować w ten swój staroświecki biznes? Przecież nie możemy wejść w spółkę, jeżeli nie będzie to intratne dla obu stron. A tak, proszę bardzo, weźmiesz niewielki kredycik na remont, potem coś tam dobierzesz. Zbudujesz sobie piękny wizerunek finansowej stabilności.

I na to jak ostatnia idiotka dała się złapać! Pomimo tego, że biedna pra-pra-ileś-tam-babka Marcelina robiła, co mogła, śniąc się jej noc w noc!

Gdybym tylko wcześniej potraktowała te wszystkie rodzinne opowieści poważniej, pomyślała teraz Stella, krzywiąc się szpetnie.

Może wtedy nie musiałyby pocieszać się sernikiem od sióstr, gdy okazało się, że piętnaście minut wystarczyło, by wszystkie jej wieloletnie plany legły w gruzach.

Bo Aldona najzwyczajniej w świecie, patrząc jej prosto w oczy, wystawiła ją za drzwi, mówiąc, że ich wizje zbyt różnią. Bezcelnie dodała, że dziękuje jej bardzo za wkład, jaki przez ostatnie lata wniosła do jej projektu, i że na przyszłość radzi jej jednak wszystko mieć na piśmie.

Jak to śpiewał Czerwony Tulipan?

Niegdyś przyjaciel dobry mój

Dziś długów nie oddaje

Nic złego nie zrobiłem mu

A on mnie nie poznaje...¹

– Jak mogłam być taka głupia? – wyszeptała Stella i wychyliła się przez okno, żeby poczuć krople deszczu na rozpalonych policzkach.

Były lodowate, tak samo jak podmuchy wiatru, który z miejsca zaprosił kosmyki jej włosów do tańca i uniósł je w powietrze po to tylko, by po chwili rzucić je jej prosto w twarz.

Odgarnęła je i poczuła, że jest jej zimno, a po plecach przelatują dreszcze.

I dobrze, przynajmniej wiem, że żyję, pomyślała, zamykając okno. W tym samym momencie niebo rozdarła kolejna błyskawica i rozległ się złowrogi pomruk. Wiatr pochwycił w swoje objęcia strumienie deszczu, cisnął nimi o szybę i zawył przejmująco w kominie.

Patrząc na rozgrywający się za oknem dramatyczny spektakl, Stella miała wrażenie, że przynajmniej pogoda się z nią solidaryzuje.

Też miałabym ochotę tak jęczeć, zawodzić i walić głową o ścianę, pomyślała, pociągając nosem.

Ale na to nie mogła sobie pozwolić. W końcu w sąsiednim pokoju spał Franio i mógł w każdej chwili się obudzić. Stella już dawno sobie obiecała, że zrobi wszystko, żeby jej synek czuł się bezpiecznie. A widok wyjącej i tłukącej głową w ścianę matki raczej nie wpłynąłby na niego kojąco.

I co ja teraz zrobię? – chyba po raz setny zadała sobie dziś to pytanie i niestety nadal nie znalazła na nie odpowiedzi.

Tak samo jak nie miała pojęcia, jak ma powiedzieć rodzicom o tym, co się stało. Wielokrotnie mówili i prosili, żeby w końcu uregulowała z Aldoną hotelowe sprawy.

– Córcia, to jest niepoważne – tłumaczył jej ojciec. – Pracujesz tam całe dni, inwestujesz, i to nie tylko swój czas, wiedzę i zaangażowanie, ale bierzesz kredyty... I tak po prostu godzisz się ponosić ryzyko bez żadnej gwarancji? Bez zabezpieczenia? Słowo honoru zawsze lepiej poprzeć umową i podpisem. Szczególnie jeżeli w grę wchodzi pieniądze. A poza tym naprawdę nie rozumiem, dlaczego nie otworzysz czegoś swojego?

– Tata ma rację, kochanie. – Jak zawsze w takich sytuacjach, mama stała murem za ojcem. – Przecież Aldona ma zupełnie inną wizję niż ty. Ona inwestuje w nowoczesny minimalizm, stal, plastik

i chrom. Od samego słuchania człowiek może się poobijać, takie to kanciaste i nieprzytulne! A ty, odkąd pamiętam, chciałaś uratować jakieś miejsce z historią i dać mu nowe życie! Cały strych w domu mamy zapchany meblami, wiekową porcelaną, lampami naftowymi i Bóg jeden wie czym jeszcze! Wszystko to kupiłaś z myślą o tym swoim wymarzonym dworku, który miałaś przekształcić w pensjonat...

– Raczej jednak gościniec, mamusiu – przerwała jej Stella. – To musi być coś dużego, większego niż pensjonat, ale też nie hotel. Gościniec brzmi lepiej, czuć w nim i przeszłość, i historię, są przytulność i ciepło. To miejsce z tym charakterystycznym czymś... Niby już przebrzmiałym, a jednak wciąż obecnym, co sprawia, że stare domy są nie do podrobienia, a te, które dopiero zostały zbudowane, będą musiały się tego uczyć przez wiele, wiele lat... A ten już by to miał. I byłoby w nim przytulnie i swojsko... – Rozmarzona przymknęła oczy. – Miałyby wysokie pokoje, koniecznie wysokie, bo na strychu mam taki komplet wiszących żyrandoli Maria Teresa, z kryształowymi sopekami, w których pięknie odbija się światło. One tam muszą znaleźć swoje miejsce. Tak samo jak bujane fotele i ten biedny osamotniony szezlong, i sofa na wygiętych nóżkach. Gdy ją kupowałam, to miałam wrażenie, że ona tymi nóżkami przytupuje z niecierpliwością. A na stołach będą leżeć szydełkowe obrusy, w rogach pokoiów do ścian będą się tulić kaflowe piece i bardzo, ale to bardzo chciałabym, żeby tam było takie palenisko i kamienna podłoga... Ostatecznie może być kominek, bo na niego właśnie czekają pogrzebacz i miech, które już dawno skończyły po sto lat...

– No i o tym mówię. Czy ty siebie słyszysz? – przerwała jej mama. – Nieważne, czy to będzie hotel, pensjonat, gościniec czy schronisko! Ważne jest to, że to będzie twoje! Wiesz, że jak tak ciebie słucham, to pomimo tego, że jeszcze nie wiem, gdzie to miejsce jest, już jestem gotowa zaklepać sobie pobyt w jednym z pokoi albo apartamencie! Bo opowiadasz o tym tak, że po prostu widzi się to wszystko! I aż się chce usiąść przy takim stareńkim stole nakrytym szydełkowym obrusem, zapaść w przytulne objęcia obitych pluszem foteli, wyciągnąć nogi na starych dobrych

szezlongach, które w tym twoim wymarzonym miejscu będą mogły odetchnąć z ulgą i przestać się zamartwiać tym, że już dawno wyszły z mody. To jest twoje marzenie i zgadzam się z tatą, że to Aldona i jej hotel nie pozwalają ci po nie sięgnąć.

– No i tutaj się mylicie. Bo to właśnie Aldona i *nasz*, a nie jej, hotel są moją przepustką do zdobycia tego, o czym marzę. To ona zapewnia mi tak dużą pensję, która pozwala mi na spokojne, dostatnie życie i spłacanie kredytów, którymi trzeba było wesprzeć rozwój hotelu. Zresztą to już ostatni, który wzięłam sama. To trochę jak z rozdzielnością majątkową albo intercyzą spisywaną przed ślubem. Zwyczajnie jedna ze stron musi pozostać bezpieczna. Na wszelki wypadek. Ale na całe szczęście dotarliśmy do tego etapu, w którym taka asekuracja już nie będzie potrzebna. Jesteśmy tak stabilne, że już nie musimy się niczym martwić. I jak dobrze pójdzie, to za miesiąc, góra dwa, przeniosę się z głównego budynku w głąb terenu. I zajmę się najpierw domkami ogrodników. Są ich aż cztery. Jak dobrze, że ci dawni właściciele byli nieprzyzwoicie bogatymi krezusami i zupełnie oszaleli na punkcie roślin, ogrodu i oranżerii, więc musieli mieć na miejscu aż czterech zajmujących się ogrodami pracowników. I że oferowali mieszkanie także ich rodzinom! Dzięki temu mam ułatwiony start. Te domki najłatwiej wyremontować i przygotować je na przyjęcie gości. Od dawna już mam wszystko zaplanowane, rozrysowane. Nawet Aldona jest zachwycona moimi projektami. Wprawdzie ona kompletnie nie czuje tego co ja, ale konsultowała to z kimś, kto się na tym zna, i ponoć ten ktoś powiedział, że dawno nie widział projektu, który ma w sobie tak ogromny potencjał! Mamo, tato, zobaczcie, że to będzie wielki sukces...

O tak, dokładnie pamiętała tamtą rozmowę i pewność, którą czuła. I mamę, która najpierw zapytała, kim jest ten ktoś, kto tak entuzjastycznie się wyrażał o jej planach, i czy ona w ogóle wyraziła zgodę, żeby pokazywać je komukolwiek, a gdy Stella prychnęła, że to najmniej istotne, mama uniosła tylko wysoko brwi i nic już więcej nie powiedziała.

I jak się okazało, rodzice mieli rację. Zarówno ojciec, który ją przekonywał, że słowo honoru to za mało, gdy w grę wchodzi

konkretne pieniądze, i mama, która dopytywała o tego tajemniczego ktosia.

Bo okazało się, że była nim siostra Aldony, która właśnie dziś została jej formalną współniczką i otrzymała zadanie zajęcia się domkami ogrodników i pozostałymi zabudowaniami, leżącymi w głębi parku. Aldona oświadczyła, że przyjęła swoją siostrę bynajmniej nie ze względu na koligacje rodzinne, ale dlatego, że ta przedstawiła wielce obiecujące plany dotyczące zagospodarowania wspomnianej części posiadłości.

„A tobie... cóż, zabrakło wyobraźni”, zabrzmiał w uszach Stelli jej kpiący głos, którym zegnała ją, gdy wychodziła z hotelu, dźwigając dwa duże kartonowe pudła ze swoimi rzeczami. Zastała je już spakowane i postawione koło drzwi swojego byłego już gabinetu.

Cóż, co do tego akurat Stella zgadzała się z nią całkowicie. Rzeczywiście zabrakło jej wyobraźni i niewątpliwie rozumu. Ale tej pierwszej starczyło jej na tyle, żeby doskonale wiedzieć, jak po remoncie będą wyglądać domki ogrodników. Wyrwana z głębokiego snu mogła wyrecytować, jakie tapety pojawią się na ścianach, w jakich kolorach utrzymane będą wnętrza, jakie firanki będą miękko otulać parapety. To wszystko było w jej projektach, które – jak twierdziła Aldona – były tylko jej imaginacją.

„Nigdy w życiu niczego takiego mi nie dawałaś”, wyparła się w żywe oczy, gdy Stella poprosiła ją o zwrot dwóch grubych teczek wypełnionych szkicami i planami.

Cóż, mam nauczkę, pomyślała teraz i zagryzła dolną wargę najmocniej, jak mogła, łudząc się, że to powstrzyma napływające do jej oczu łzy.

– Dobrze, że nie zdążyłam dołączyć do papierów adresów dostawców i producentów tego, co chciała zakupić. Przynajmniej tego Aldona i jej siostra nie dostały na tacy – wyszeptała do siebie i cichutko poszła zajrzeć do pokoju Franka.

Synek spał głęboko z rączkami rozrzuconymi na poduszce. Policzki miał nieznacznie zaczerwienione, powieki drgały mu lekko. Gdy Stella pochyliła się, żeby poprawić rozkopaną kołdrę, poruszył się i uśmiechnął przez sen. Ufny i spokojny.

Całkowicie nieświadomy tego, jak bardzo niefrasobliwą ma matkę, przemknęła jej przez głowę kłująca myśl.

Niefrasobliwą! Ładnie powiedziane! Brawo, mistrzyni niedopowiedzeń! – skrzywiła się. – Ma matkę, a i owszem! Głupią, naiwną i bez krzty rozumu, podsumowała się bezlitośnie w duchu, po czym na palcach wyszła z dziecinnego pokoju i udała się do kuchni.

Nie zapalając światła, podeszła do lodówki i wyciągnęła resztkę sernika podarowanego jej rano przez siostry. Dużą część zjadła tuż po tym, jak opuściła hotel. W samotności, no chyba że za towarzystwo można uznać poczucie przegranej i surrealistyczne wrażenie, że znalazła się w jakiejś cholernej, alternatywnej rzeczywistości. Przez moment nie docierało do niej w pełni to, co się właściwie stało. Niby wiedziała, ale to i tak nie przyćmiło wrażenia, że cała ta sytuacja dotyczy kogoś zupełnie innego. Ale była świadoma odprowadzających ją współczujących spojrzeń tych, z którymi pracowała już szmat czasu. Jej ekipa, koledzy. Z większością zdążyła się zaprzyjaźnić i żyć. Wiedziała, jakie mają problemy i bolączki, świętowała sukcesy, dzieliła radości. A teraz zwyczajnie wyrzucono ją z tego świata. Wystawiono za próg, zupełnie jakby ona też była kartonowym pudłem.

I nikt głośno nie zaprotestował, czemu Stella się nawet nie dziwiła. W jej sytuacji to by i tak niczego nie zmieniło, a buntownicy na pewno mieliby problemy.

Kotków był niewielkim miasteczkiem, o pracę wcale nie było łatwo. Nie mogła winić ludzi o to, że myśleli o sobie. Nie mogła, ale jakaś jej część cierpiała z tego powodu.

Gdy zamknęły się za nią przeszklone drzwi wejściowe, jakimś cudem udało jej się dojść aż do bramy, chyba nawet pożegnała się z panem Bolkiem, który tego dnia miał dyżur w ochroniarskiej budce. Nie pamiętała wprawdzie ani jednego ze słów, które pomiędzy nimi padły, zostało z nią tylko niedowierzanie widniejące na twarzy starszego mężczyzny. I współczucie pomieszane z... Chyba gniewem. Ale tego nie była pewna. Nie została, by się przekonać, bo zwyczajnie czuła, że jeżeli ktoś głośno powie coś z założenia budującego i mającego ją podtrzymać na duchu, to

prawdopodobnie nie wytrzyma i rozplącze się w głos. I to takim płaczem, nad którym nie będzie w stanie zapanować. I który jest zapowiedzią czegoś dużo gorszego. Stella знаła się na tyle, by wiedzieć, że po łzach być może przyjdzie trudny do okiełznania gniew. A wtedy będzie miała ochotę rzucać przedmiotami, niszczyć i krzyczeć. Dzięki resztkę świadomości skonstatowała, że jednak lepiej by było nie być wtedy w pobliżu hotelu i Aldony. Odeszła więc szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie, i przystanąła dopiero na skwerku, przy ocienionej gęstymi świerkami ławce. Postawiła na niej pudła i obrzuciła je nierozumiejącym spojrzeniem. Serce jej się ścisnęło. I to bynajmniej nie z powodu straty pracy. Czas na martwienie się tym, jak w tej chwili związać koniec z końcem, miał dopiero nadejść. W tym momencie co innego bolało najbardziej. Bo w pełni i bez żadnego znieczulenia dotarło do niej, że została zdradzona i wykorzystana przez osobę, którą do tej pory uważała za najlepszą przyjaciółkę. Której zwierzała się z najskrytszych marzeń i pragnień. Która, jak mogło się wydawać, traktowała ją tak samo. Powierzała najskrytsze tajemnice, snuła plany na przyszłość. Zwierzała się z romansów i romansików, bo tych Aldona miała naprawdę sporo. Która bywała u niej w domu, spała w jej piżamie i zostawała z Frankiem... Była traktowana jak najbliższa rodzina.

Ból w okolicach serca przybierał na intensywności. Tamował oddech, pozbawiał tchu. Ciężko opadła na ławkę obok pudeł i właśnie wtedy sięgnęła po sernik, który dostała od sióstr. Jadła go prosto z papierka, kawałek po kawałku. Był przepyszny. Z bursztynową polewą o smaku słonego karmelu. Gdy poczuła, że nie zmieści już ani okruszka, starannie zawinęła to, co zostało, i czule zapakowała do torby. Ten sernik nie tylko dostarczył jej dawki cukru, której tak bardzo w tamtej chwili potrzebowała, ale był też dowodem na to, że ktoś się o nią troszczy. Siostry Kazimierczakówny miały swoje własne sposoby na głaskanie ludzi po sercach. Ten sernikowy w przypadku Stelli sprawdził się idealnie.

Nie pamiętała tego, jak długo siedziała na ławce, ani tego, jak dotarła do domu, gdzie z miejsca zapadła się w fotel, przykryła kocem i zastygła w czymś w rodzaju letargu, z którego wyrwał ją

ostrzy dźwięk dzwonka. Potem błogosławiła swój do niedawna zapracowany tryb życia, który zmusił ją do tego ustawienia w telefonie przypominajkowych alarmów.

Cholera, ale późno, pomyślała, spoglądając z niedowierzaniem na wyświetlacz telefonu. Powinna się zbierać po Franka. Niechętnie wygrzebała się spod pledu i gdy wlokąc się do przedpokoju, przelotnie zerknęła w taflę wiszącego w salonie lustra, aż się wzdrygnęła. Z odbicia patrzyła na nią przeraźliwie blada, potargana kobieta ze spojrzeniem pełnym rozpacz. Cienie, które zwykle rysowały się pod jej oczami, zdawały się teraz rozlewać na pół twarzy. Stella oparła się o stojący nieopodal lustra okrągły stolik i ciężko westchnęła. W tym stanie absolutnie nie nadawała się do wyjścia z domu, natychmiast zwróciłaby uwagę każdego, kto by ją mijał, wyglądała bowiem jak jakieś upiorne widmo. Widmo, które maszeruje w kierunku cmentarza, pomyślała w nagłym przypiływie czarnego humoru; przedszkole Frania sąsiadowało przecież z kotkowską nekropolią.

Nie powinna wychodzić w takim stanie, a nade wszystko musi się doprowadzić do porządku przed powrotem synka. Dłużej się już nie zastanawiając, zadzwoniła do brata z prośbą o odebranie małego.

– Dasz radę, Aminku? – zwróciła się do niego zdrobnieniem, którego używała w dzieciństwie w szczególnych sytuacjach, gdy potrzebowała pocieszenia albo Benjamin był wyjątkowo smutny. Zrobiła to instynktownie, nie zastanawiając się nad tym, ot samo wyszło. Ale Benjamin z miejsca zrobił się czujny.

– Oho! Przeczuwam kłopoty. Ty jako jedyna na poważnie potraktowałaś moją prośbę, żeby zwracać się do mnie pełnym imieniem. Rodzice, Mela i Julka są nadal niereformowalni i dla nich chyba do końca życia zostanę Misiem. Albo Beniaminkiem. To drugie pojawia się zazwyczaj wtedy, gdy chcą się ze mną podroczyć. Najmłodszy, jedyny chłopiec w rodzinie, istny beniaminek... Natomiast ty tego „Aminka” wywlekasz z czeluści wspomnień, tylko gdy dzieje się coś poważnego. I nie zaprzeczaj, bo szczerze mówiąc, nawet gdybyś nie wyrwała się z tym dawnym zdrobnieniem, to masz taki głos... Bo ja wiem, jak to określić? Jakbyś mówiła z jakiejś wielkiej, głębokiej i paskudnej rozpadliny życiowej...

– No wiesz, ty to umiesz człowiekowi dodać ducha. – Usiłowała nadać swojemu głosowi normalne, pogodne brzmienie, ale sama słyszała, że wyszło to raczej marnie.

Wiedziała, że Beniamin nie da się zbyć byle czym, i musiała błyskawicznie zdecydować, czy rąbnąć mu prawdą między oczy i zaryzykować, że jej brat jako jedyny obecny w tej chwili pełnoletni męski przedstawiciel rodu Saganków nie postanowi wziąć spraw w swoje ręce i nie ruszy z kruczatą na hotel, czy raczej wymyślić naprędce jakąś w miarę przekonującą bajeczkę i zyskać trochę czasu, by tak przedstawić rodzeństwu historię swojego zwolnienia, żeby żadne nie miało ochoty z jej imieniem na ustach bić, podpalać i mordować.

Bo na kogo jak na kogo, ale na nich mogła liczyć zawsze i bez względu na to, jaki miała problem. A w tej chwili jej problemy wiązały się z Aldoną i hotelem i było jasne jak słońce, że żadne z trójki jej rodzeństwa nie zostawiłoby tej sprawy własnemu biegowi. Mieli niepisaną, ale za to żelazną zasadę: nikt bezkarnie nie miał prawa krzywdzić i oszukiwać któregokolwiek z nich.

– A wiesz, chyba złapało mnie jakieś przeziębienie. Pewnie jakiś wirus, bo jeszcze rano, gdy odprowadzałam Franka do przedszkola, czułam się nieźle, a teraz kompletnie mnie położyło. Znaczy jak będę musiała, to oczywiście po niego pójde, bo przecież nie jestem umierająca... – Bo przecież od tego, że ktoś cię zdradził i oszukał w najgorszy możliwy sposób, się nie umiera, dokończyła w duchu, krzywiąc się boleśnie i przez moment żałując, że jednak nie zdecydowała się na rąbnięcie prawdą między oczy.

Wizja pozbawionej czci i honoru, związanej, rzuconej na wóz z gnojem – nie wiedzieć czemu sytuacja skojarzyła jej się z *Chłopami* Reymonta – i wywożonej przez jej rodzeństwo z miasta Aldony była niezwykle kusząca i pokrzepiająca i trudno było się z nią bez żalu pożegnać.

– Nie no, bez przesady, oczywiście że go odbiorę. – Jej niewesołe rozmyślenia przerwał głos brata. – Miałem dziś wprowadzić w planach popadnięcie w czarną, bezdenną otchłań beznadziei, bo moje oleje zupełnie do nikogo nie przemawiają, ale depresyjna czeluść nie zajac, nie ucieknie – dodał pogodnie.

– A to teraz zająłeś się olejami? Ja nadal jestem na etapie akwareli. – Stella wyteńczyła uwagę.

– Akwarele akwarelami, ale ostatnio poczułem, że oleje, oleje to jest to! I że to jest moje powołanie. Szkoda tylko, że nikt inny nie podziela mojego entuzjazmu. I dlatego sama rozumiesz, siostra, dla przyzwoitości muszę się załamać, bo skoro znowu w życiu mi nie wyszło...

– E tam, od razu nie wyszło! Prawdziwi artyści, tacy idący za głosem serca, a nie z duchem komercji nigdy nie mieli łatwo – pocieszyła go, odruchowo sięgając po torebkę, z której wyjęła kalendarz i wpisała w nim pod jutrzejszą datą: „Beniamin. Koniecznie zadzwonić do Julki!!!”. Opatrzyła wpis trzema wielkimi i pękatymi wykrzyknikami. Sama mogła być w czarnej dupie, ale rodzeństwo to rodzeństwo. Trzeba o nie dbać.

Jednak pokrewieństwa nie da się wyprzeć, pomyślała teraz kpiąco. W końcu już pra-któraś-tam-babka Marcelina, leżąc na tym swoim łożu śmierci, doszła do podobnego wniosku, że rodzina jest najważniejsza, i złazi z tych swoich zaświatów, żeby w krytycznych momentach bić na alarm. My mamy podobnie i robimy, co w naszej mocy, oczywiście jak na nasze ziemskie możliwości... Swoją drogą, gdy Julka dowie się o tych olejach, to niechybnie oszaleje z zachwytu, pomyślała kpiąco. Dopiero co udało jej się w miarę oswoić te nieszczęsne akwarele... Cóż, plus tego jest niewątpliwie taki, że będziemy najbardziej wyedukowaną rodziną w całej okolicy. W kontekście malarskim oczywiście. A teraz weź się w garść i zrób coś ze sobą, ponagliła się w duchu i wygrzebała z torebki kosmetyczkę.

– Ogromna ilość fluidu, korektor pod oczy i róż na policzki powinny załatwić sprawę – mruknęła, idąc do łazienki.

Makijaż to naprawdę dobry wynalazek, takie barwy maskujące, gdy człowiek nagle znajdzie się w otchłani rozpacz, a nie chce za mocno się z tym obnosić, myślała, klepując w twarz puder w kremie. Może jednak Beniamin i Franek nie padną na jej widok z przerażenia. Tym bardziej że jak Beniamin zacznie coś podejrzewać, to za Chiny ludowe nie uda się go stąd wykopać. Zostanie aż do następnego dnia i będzie siostry doglądać, w związku

z czym nawet nie będzie mogła się tłuc w spokoju po nocy. Stella westchnęła ciężko, bo coś jej mówiło, że po tym wszystkim, co dziś przeżyła, nie zaśnie. Wolałaby chyba nie mieć teraz na głowie troskliwego opiekuna i móc w spokoju poużalać się nad sobą.

Wkrótce jednak okazało się, że wszystkie zabiegi kosmetyczne, którym w rekordowym tempie się poddała, poszły na marne, bo ledwo wyszła z łazienki, zadzwoniła jej komórka. Na wyświetlaczu zobaczyła imię brata.

– Stella, jesteśmy już razem z Franiem, ale on prawie tonie we łzach...

– Nie tonę, ani we łzach, ani w niczym! Tylko jestem w nieszczęściu. – Do Stelli doleciało najpierw mokre pociągnięcie nosem, a dopiero potem drżący nieco głosik synka.

– No tak, chłopie, oczywiście. – Benjamin błyskawicznie zdał sobie sprawę z nietaktu, jaki popełnił. – To tylko takie powiedzenie, nie pomyślałem, że przecież mężczyźni nie płaczą... – Wszyscy bliscy Frania wiedzieli, że chłopiec już od jakiegoś czasu ma fazę na bycie prawdziwym mężczyzną, choć nikt do końca nie wiedział, czym ma się to dokładnie objawiać.

– Płaczą, płaczą, dziadek wujkowi nie powiedział? Bo mnie mówił, może tobie, biedaku, zapomniał. Starcy tak właśnie robią i ja nie mogę się doczekać, aż będę takim staruszką i też tak będę miał. Na pewno co rano nie będę pamiętał o tym, żeby chodzić do przedszkola. – Benjamin musiał trzymać Franka na rękach, bo Stella doskonale słyszała jego rozmarzony głos.

– O, o przedszkolu to ty wtedy nawet nie pomyślisz, stary – zgodził się Benjamin. – Ale nadal nie wiem, o co chodzi z tym płaczem...

– O to, że nie ma się czego wstydzić – wyłożył mu siostrzeniec. – Jak wujek chce, to też przecież może popłakać. Nawet teraz – dodał zachęcająco i Stella wyobraziła sobie, jak wbija te pełne niewinności i oczekiwania oczęta w twarz Beniamina. – Płacz, płacz, a ja ci wytrę nos rękawem. – Franio był pełen zaangażowania.

– Eee, to może jednak trochę później. – W głosie brata słychać było skonsternowanie. – Ale mimo wszystko nie jest to do końca

jasne... Skoro mężczyźni płaczą, to czemu toniecie we łzach jest złe?
– dociekał, a Stella odruchowo przewróciła oczami.

Ja tam na jego miejscu bym wolała pozostać w niewiedzy, pomyślała, czekając cierpliwie, aż w końcu brat sobie o niej przypomni.

– Bo prawdziwi mężczyźni, wujku, nie toną – wyłożył mu Franek.

– Nie mogą, co zrobić – dodał tonem doświadczonego przez życie starca.

– Aha. No, tego nie wziąłem pod uwagę – mruknął Benjamin rozbawiony. – I pewnie dlatego...

– A czy ja mogę się dowiedzieć, czemu mój syn jest cały w nieszczęściu? – wtrąciła się w końcu Stella.

– O, przepraszam, jakoś tak wyleciało mi z głowy, że przecież rozmawiam z tobą. Muszę popracować nad podzielnością uwagi. A więc Franio stanowczo domaga się pójścia do pani Helenki. Mówi, że się z nią umówiłaś i że jak nie odbiorę od niej jakiegoś słoika, to na pewno skreśli ci kark. Brzmi to trochę niepokojąco. Swoją drogą, nigdy nie podejrzewałem naszej dobrej, subtelnej Helenki o takie mordercze zapędy.

– A, rzeczywiście, zupełnie wyleciało mi to z głowy. – Stella przypomniała sobie, że przecież faktycznie rano w piekarni obiecała pani Helence, że dziś do niej wpadną.

– Wiesz, ja nie chcę być kontrowersyjny, ale gdyby ktoś mi groził skręceniem karku, to jednak starałbym się o tym pamiętać. – Benjamin najwyraźniej świetnie się bawił.

– Ha, widzisz, my, samotne matki, nie przejmujemy się takimi drobiazgami. Jeden kark w tę czy we w tę, co za różnica – uśmiechnęła się. – A tak serio, to Franio wyłożył ci to po swojemu. Od pani Helenki trzeba odebrać maść, bo mi coś w kark w nocy wlało, a ponoć ona ma na to jakiś cudowny specyfik. – Stella z niesmakiem pomyślała, że chyba sama sprowokowała los, zaczęła dzień od kłamstwa i proszę bardzo, im dalej w las, tym więcej drzew. W końcu bratu też łągała jak z nut o przyczynach swojego złego samopoczucia.

– Jakie ty masz dobre dziecko! Prawie że uton... O, pardon, cały biedak pograżył się w nieszczęściu, bo bał się o twoje zdrowie!

– Cóż nie chciałabym rozwiązać twoich złudzeń, ale poza moim potencjalnie skręconym karkiem Franek ma na uwadze obiecane kakao, z dużą ilością pianek...

– Ooo, to brzmi sensownie, teraz to i ja nie odpuszczę! Wobec tego koniecznie musimy zahaczyć po drodze o dom pani Helenki. Nie masz nic przeciwko? Albo ona? Bo nie wiem, na którą się umawiałyście...

– Nie umawiałyśmy się na konkretną godzinę, przecież ją znasz. Jej drzwi są zawsze otwarte dla każdego, kto zapuka... A w domu będzie na pewno, bo ona ostatnio jakby mniej wychodzi – powiedziała i dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę ze znaczenia swoich słów.

Rzeczywiście od jakiegoś czasu pani Helenka była mniej widoczna. Przestała być popołudniami widywana w parku, z rzadka też zaglądała do kawiarenki i księgarni, a przecież oba te miejsca uwielbiała.

Cholera, tam naprawdę dzieje się coś niedobrego, pomyślała i ta myśl o czymś nieszczęściu zaprzętnęła ją na tyle, że na dłuższą chwilę przestała myśleć o swojej niedoli.

– Wiesz, tak mi przyszło do głowy... – „Może jednak do was dołączę”, miała to już na końcu języka, ale w porę przypomniała sobie, że przecież Beniamin jest przekonany, iż złapała wirusa, a z wirusem nie powinna nawet myśleć o odwiedzaniu kogokolwiek.

– No, co ci przyszło do tej głowy? – ponaglił ją brat.

– Że jak już tam będziesz, to weź dyskretnie się rozejrzyj – powiedziała powoli. Skoro sama się wkopała w siedzenie w domu, to nie było wyjścia, trzeba było to załatwić inaczej. Oczami brata. – Czy nie ma większego bałaganu albo... sama nie wiem. No, zerknij tak od serca. Czy coś nie wzbudzi twojego zaniepokojenia. Bo wydaje mi się, że chyba coś nam umknęło. I to coś nie daje mi spokoju – dodała i natychmiast przypomniała sobie poranne zapewnienie sióstr Kazimierczakówien, że w razie czego Helenka może uderzać do nich jak w dym.

– Dobrze. Wybadam, podpytam i zaoferuję pomoc przy zakupach.

– Wdarł się w jej rozmyślania głos Beniamina. – I oczywiście będę pamiętał o słoiku na skręcony kark – dorzucił i zachichotał. –

A teraz wybacz, prawdziwi mężczyźni słyną z tego, że nie pozwalają, by kakao na nich czekało. Bo w takich sytuacjach oni są w pełnej gotowości w każdej minucie. Prawda, Franiu?

W odpowiedzi wprost do ucha Stelli wdarł się radosny pisk, więc odruchowo odsunęła telefon, w którym zapikał sygnał rozłączonej rozmowy. Przez moment patrzyła na aparat z lekkim uśmiechem, który zniknął natychmiast, gdy jej wzrok padł na stojące w przedpokoju kartonowe pudła.

Rzeczywistość wróciła i uderzyła w nią ze zdwojoną siłą. Znow powlokła się do fotela, podkuliła nogi i zakopała pod kocem.

Do czasu, gdy Beniamin odprowadził opitego kakao i objedzonego muffinkami domowej roboty Frania do domu, jakoś udało jej się pozbierać i być przekonującą na tyle, że brat uwierzył, iż jest zwyczajnie zaziębiona.

Potwierdził też jej przypuszczenia, że z Helenką dzieje się coś niepokojącego, ale jego zdaniem nie miało to nic wspólnego ze stanem zdrowia starszej pani.

– Trzeba będzie ją pociągnąć za język – powiedział, zapinając kurtkę i szykując się do wyjścia. – Ja próbowałem, ale to chyba nie jest robota na jeden raz. Pomimo moich prób nie dawała się podejść. Był taki moment, gdy trzasnęła brama zewnętrzna, Bohun się rozszczękał i ona tak na mnie popatrzyła, tak jakoś przejmująco i ze strachem... Miałem wtedy wrażenie, że chce mi coś powiedzieć. Ale potem spojrzała na Frania, pokręciła głową i tylko poprosiła, żeby na przyszłość staranniej zamykać furtkę... A ja specjalnie ją zostawiłem uchyloną, bo zawsze tak u niej było. Pamiętasz? Zawsze wręcz nalegała, żeby jej nie domykać. Żeby nikt, kto miałby do niej jakąś trudną sprawę, się nie rozmyślił, widząc zamknięte drzwi...

– No wiem. Wręcz nie dawała się przekonać, że dla bezpieczeństwa powinna przekręcać klucz choćby na noc... To wygląda, jakby nagle zaczęła się czegoś bać.

– Dokładnie to chciałem powiedzieć. Zresztą trzeba było ją widzieć, gdy mówiła o tym pilnowaniu bramy... Wyglądała jak bezbronne, przestraszone i skrzywdzone dziecko. I Bohun zachowywał się jak nie on. Zjeżył się, tak jakoś sprężył się cały. A przecież ten pies to chodzący spokój. Takie rzeczy nie biorą się

znikąd. I ja zamierzam dojść do prawdy i jeżeli ktoś jej coś zrobił, gorzko tego pożałuje. Ale jak wspominałem, to nie jest sprawa na jedną wizytę. A i jeżeli chcemy z niej coś wyciągnąć, to musimy iść tam bez Franka. Bo pani Helenka wyglądała tak, jakby nie chciała o tym, co się dzieje, rozmawiać przy nim. Właściwie to chyba w ogóle nie chce o tym mówić, ale przy małym w szczególności – dodał z głębokim westchnieniem.

– No to tym bardziej trzeba z niej wydobyć prawdę – mówiąc to, Stella pomyślała, że kto jak kto, ale ona nie powinna mieć takich oczekiwań odnośnie do kogokolwiek. W końcu sama kłamała jak z nut i chwilowo nie zamierzała się nawracać. Prawda musiała jeszcze poczekać.

Chwilowo potrzebowała się ułożyć sama ze sobą. Przygotować strategię. I siebie na to, z czym przyjdzie się jej zmierzyć, gdy wieść się rozniesie. A to niestety było nieuniknione. Oby tylko nie poszło z szybkością błyskawicy i nie dotarło do jej najbliższych, zanim sama im o tym nie powie.

Wiedziała, że nie ma zbyt dużo czasu. W końcu jej zwolnienie było dość spektakularne. Te kartony ostentacyjnie wystawione za drzwi. Rozmowa na korytarzu, bo Aldona nie wpuściła jej nawet do gabinetu. Świadców było co najmniej kilku, więc to tylko kwestia czasu, kiedy sprawa się rozniesie. A gdy plotka ruszy pełną parą, z dnia na dzień będzie bogatsza w szczegóły. Każdy doda coś od siebie. Stella doskonale wiedziała, jak to działa, w końcu niemal każdego ranka była tego świadkiem; w piekarence Kazimierczaków nie tylko drożdżowe bułeczki pięknie wyrastały...

Najrozsądniej by było niczego nie ukrywać, zacisnąć zęby i nie owijając niczego w bawełnę, powiedzieć, jak się sprawy mają, pomyślała zagryzając wargę.

Ale tylko w teorii było to takie proste.

Najpierw przecież musiała zdecydować, kto ma być pierwszy: rodzice, którzy aktualnie przebywali na swoim najdłuższym i najbardziej na świecie zasłużonym urlopie, czy jednak rodzeństwo, które było bliżej.

W pierwszym i w drugim przypadku jedno było pewne: niełatwo będzie powiedzieć bliskim prosto z mostu, że oto właśnie została

bankrutem, i to z marnymi perspektywami. Dodatkowo z nikłą nadzieją na przyszłość, bo brak rozumu nie wieszczył jej raczej świetlanego jutra.

– I tak oto, moi kochani, zostałam bez pracy, ale za to z kredytem... – pomyślała i aż się wzdrygnęła.

Z historią kredytową, która za chwilę będzie jedną z najczarniejszych, jakie ten bank do tej pory widział. Jak mówiła Aldona? Lepsza fatalna historia kredytowa niż żadna. Stella zaśmiała się gorzko i dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę z tego, że nie jest sama i że Benjamin wpatruje się w nią z widocznym jak na dłoni niepokojem.

– Stella, co ci jest? – Zmarszczył brwi i pochylił się w jej kierunku.

– Nic. – Płynnie zamieniła ten pełen żalu śmiech w kaszel. Nawet nieźle jej szło; łzy, które pojawiły się w jej oczach, jeszcze uwiarygodniły tę całą maskaradę. – Zaraz mi przejdzie – wychrypiała i otarła oczy wierzchem dłoni. – Zadrapało mnie w gardle – dodała już wyraźniejszym głosem. – I nie martw się, naprawdę nic specjalnego się nie dzieje. Katar i lekki kaszel to nie powód, żebyś patrzył na mnie tak badawczo – dorzuciła lekko i zmusiła się do beztroskiego uśmiechu.

– No dobrze, ale pamiętaj, będę przez cały czas pod telefonem. Jakby coś, to dzwoń. A i zapomniałbym, na szafce na buty położyłem plik kartek. To są przedszkolne dzieła Franka. Jest tam między innymi laurka dla ciebie i rodziców, w sensie dziadków. I jakaś koperta. Pani Franka prosiła, żebym koniecznie ci ją przekazał...

– Pewnie będzie jakaś wycieczka albo idą do teatru i trzeba wpłacić kasę – mruknęła i poczuła, jak serce znów jej się ściska.

Co będzie, jak za moment się okaże, że nie stać jej na tak podstawowe rzeczy? Albo jak nie będzie mogła spłacać kredytu...? Ile czasu potrzeba, żeby taka sprawa poszła do komornika?

– Dobra, siostra, to ja uciekam! A, i wpadnę jutro rano po swojego ulubionego siostrzeńca...

– A po co? – Podniosła na niego nieprzytomny wzrok.

– No przecież ktoś musi zaprowadzić go do przedszkola – odparł, patrząc na nią zdziwiony. – Może kaszel, katar, stan podgorączkowy i nadmierna bladość to nie jest jeszcze powód do wzywania pogotowia, ale na pewno nie sprzyja porannym wycieczkom, a małego trzeba odtransportować na miejsce. I nie mów mi tylko, że może zostać z tobą, bo jednak lepiej zdrowieje się w spokoju. To wiem nawet ja, pomimo tego, że jestem tylko wujkiem.

– Aż wujkiem, Misiu, aż wujkiem – uśmiechnęła się i wspięła się na palce, żeby zmierzić mu włosy.

– No wiesz co! I ty przeciwko mnie! Ile razy można powtarzać, że...

– Tak, tak, wiem, przecież przy ludziach zwracam się do ciebie z należytą powagą, ale od czasu do czasu mam ochotę na wersję domową. Zresztą nie udawaj, że tego nie lubisz – dodała.

– Owszem, w odpowiednich okolicznościach, ale jakby doszło do publicznej konfrontacji, to się tego wyprę – zaśmiał się. – To co? Do jutra?

– Do jutra. – Pomachała mu i starannie zamknęła za nim drzwi.

Przez chwilę stała w przedpokoju, czując, jak wraca do niej strach, osamotnienie i żal. Ale w tej samej chwili z pokoju doleciał głos Frania, który przypominał jej, że przecież dziś jest wieczór filmowy. A to oznaczało seans przy nagranych na płyty odcinkach *Niedźwiedzia w dużym niebieskim domu*.

Siedząc z synkiem na kanapie, przytulała go mocno i z rozrzewnieniem patrzyła w ekran, na którym niedźwiedź śmiesznie poruszał ogromnym nochem, wypowiadając ulubiony tekst Frania: „A co tu tak pachnie? Znam ten zapach! A, to wy!”, po czym dodał: „Może was ktoś przytulał? Bo pachniecie jak po mocnym tuleniu...”. Stella objęła synka jeszcze mocniej.

Czy ja w ogóle jestem normalna?, zapytała się w duchu. Właśnie zawaliło mi się całe życie, a ja co? Siedzę i oglądam z małym bajki. Jak gdyby nigdy nic! Powinnam raczej coś postanowić, zaplanować...

Ale przecież jedno nie wyklucza drugiego, szepnęło jej coś w głowie. Nie muszę nigdzie się ruszać, żeby myśleć o przerażającej przyszłości.

Bo oczywiście mogła zostawić Franka na kanapie, pójść do drugiego pokoju, wyciągnąć laptop i... No właśnie, chwilowo kompletnie nie miała pomysłu, co mogłaby zdziałać. Na pewno jednak, nawet jeżeli to jeszcze nie był czas na szczegółowe planowanie kolejnych kroków, mogła chociaż rozpakować pudła i przejrzeć swoje rzeczy, uporządkować papiery. Może patrząc na te żałosne resztki, które zostały z jej zawodowego życia, doznałaby jakiegoś olśnienia... W końcu tak to właśnie zazwyczaj się odbywa w książkach i filmach.

No cóż, ale ona na swoje nieszczęście nie była ani filmową, ani powieściową bohaterką i nikt nie mógł pstryknąć palcami, wziąć jej za rączkę i poprowadzić wprost do happy endu. Niestety. Była zdana na siebie i musiała spróbować jakoś temu wszystkiemu zaradzić.

Nawet jeżeli bardziej konstruktywna działalność ją chwilowo przerastała, to w domu czekało mnóstwo prasowania, pranie do wstawienia... Ale w końcu to był wieczór filmowy mamy i synka, na który Franio czekał cały tydzień.

W domu zawsze znajdzie się coś, co gwałtownie będzie się prosić o poskładanie, wyszorowanie, doczyszczenie... Ale Franio nie zawsze będzie mały. I nie zawsze będzie chciał spędzać wieczór na kanapie ciasno wtulony w objęcia mamy.

I właśnie gdy to do niej dotarło z taką jasnością, załała ją ogromna fala miłości do synka i postanowiła, że się nie da. Dla niego i dla siebie. Pracy w tej chwili nie odzyska, ale kto wie, może właśnie ten moment zostanie na zawsze w pamięci Frania. Więc właśnie, na przekór wszystkiemu i wszystkim Aldonom tego świata będzie teraz siedzieć i oglądać *Niedźwiedzia*. A potem, potem zacznie wszystko od początku. Nie będzie płakać ani rozpaczać. Za to wyciągnie wnioski. Nie będzie już taka łatwowierna. Przyjaźń to kłamstwo. Miłość... Cóż, pewnie gdzieś istnieje, ale jej nie było dane jej spotkać. Oczywiście nie licząc rodziny, bliskim mogła ufać bezwzględnie. No i miała synka, którego kochała najbardziej na świecie. Tak samo jak rodziców i rodzeństwo.

To o wiele więcej, niż mają inni, pomyślała, przytulając policzek do główki Frania i wdychając zapach jego włosów.

Ale łatwo było postanowić, trudniej wykonać. „Nie dać się” wcale nie brzmiało skomplikowanie, ale gdy stary, pamiętający napoleońskie czasy zegar stojący w przedpokoju wybił trzecią nad ranem, poczuła, że dłużej już nie wytrzyma i nie zdoła powstrzymać dławiącego ją w gardle szlochu. I siedząc samotnie w kuchni nad resztką pysznego sernika od sióstr Kazimierczakówien, bezradnie patrzyła, jak łyzy kapią jej z brody wprost na lśniący bursztynowo karmel.

Pomyślała, że siostry wiedziały, co robią, gdy zdecydowały się podarować jej właśnie to ciasto. Przynajmniej jej łyzy doskonale pasowały do polewy. I smakowały wyjątkowo: zrozpaczonym słonym karmelem.

Następnego dnia Benjamin zjawił się tuż przed ósmą...

Następnego dnia Benjamin zjawił się tuż przed ósmą. Zanim Stella wyszykowała Frania, zdążył zaparzyć dwie kawy i zapowiedział, że wracając, podrzuci jej pieczywo.

– Może nawet zjemy razem śniadanie – powiedział, stojąc już w przedpokoju i pomagając Frankowi zawiązać buciki. – A patrzyłaś, co tam było w tej kopercie, którą wczoraj ci zostawiłem? Bo jak trzeba coś zapłacić, to od razu po drodze zajdę do bankomatu – dorzucił, podnosząc się z kucek i patrząc na siostrę z widocznym zastanowieniem.

– Ach, tę z przedszkola, widzisz, kompletnie wyleciało mi z głowy – mruknęła, po czym sięgnęła po leżący na szafce plik papierów i wyłuskała z niego kopertę.

Dziwne, zaklejona... – skonstatowała i nagle poczuła coś w rodzaju niepokoju. Odkąd pamiętała, w przedszkolu nigdy nie zaklejano druczków, które hurtem szły do wszystkich rodziców.

Szybko rozerwała kopertę i wyciągnęła z niej kartkę zapisaną odręcznie.

Przebiegła wzrokiem po pierwszych linijkach i poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

Pani Stello, właściwie powinnam natychmiast do Pani zadzwonić, ale tak się nieszczęśliwie złożyło, że zapomniałam ładowarki i komórka mi padła, a telefon stacjonarny, jak pani doskonale wie, zacznie na powrót działać, jak położę nowe kable. Pomyślałam, że powiem Pani wszystko, gdy zjawi się Pani po Frania, ale potem przypomniałam sobie, że czasem odbiera go wujek. Dlatego na wszelki wypadek przygotowałam sobie ten list. Jeżeli go Pani czyta, to znaczy, że to pan Benjamin odebrał chłopca, a ja muszę jak najszybciej coś przekazać. Nie mogę czekać nawet do jutra. Musi pani wiedzieć...

– tak zaczynał się list. Niby niewinnie, a jednak już po tych pierwszych zdaniach Stella wiedziała, że wydarzyło się coś niedobrego. Potem jej domysły się potwierdziły.

Oparła się plecami o ścianę i doczytała do końca.

– O kurwa jego mać – wyszeptała i jeszcze raz z niedowierzaniem spojrziała na treść listu.

– Stella? – Beniamin zmarszczył brwi i wyciągnął rękę po kartkę, ale siostra schowała ją za plecy i pokręciła głową.

– Franiu, idź, proszę, po Misia Placka, dziś macie zabrać ze sobą ulubionego pluszowego przyjaciela – zwróciła się do synka, mając szczerą nadzieję, że mały był na tyle zajęty drewnianym mieczem, który właśnie dostał od Beniamina, że nie dosłyszał jej nieparlamentarnych słów.

– Ale ja już mam buciki i na pewno nabłocę... – Na całe szczęście rzeczywiście nic do niego nie dotarło, bo gdyby było inaczej, na pewno nie pominąłby tego milczeniem. I z całą pewnością bezlitośnie by jej wytknął, że mówi zakazane brzydkie słowa.

– Nie szkodzi, później pozamiatam, leć, bo Placek na pewno się martwi, że o nim zapomniałeś – dodała i poczekała, aż chłopiec zniknie w swoim pokoju. Dopiero wtedy uniosła głowę i spojrziała bratu prosto w oczy.

– Stella – powtórzył jeszcze raz i zacisnął szczękę. – Co do...

– Posłuchaj, nie mogę ci teraz tego wyjaśnić, a nie chcę kłamać – powiedziała cicho przez zaciśnięte gardło. – Nawet nie wiedziałabym, od czego mam zacząć. – Wzruszyła bezradnie ramionami. – Ale mam do ciebie prośbę... Odprowadź Frania do przedszkola i powiedz pani, żeby nie spuszczała go z oka ani pod żadnym pozorem nie puściła go do domu z nikim, kto nie jest upoważniony, by go odebrać. Bez względu na to, co ten ktoś by mówił albo jakie dokumenty pokazywał. Ja do niej jeszcze później zadzwonię i z nią porozmawiam, ale to koniecznie musisz jej przekazać. Rozumiesz? – Chwyciła go za rękę i mocno zacisnęła na niej palce. Tak mocno, że aż pobieleały.

– Rozumiem. Znaczy to, co mam przekazać, ale nic poza tym! I bardzo, ale to bardzo mi się to wszystko nie podoba. Stella, to nie jest zabawa, do cholery! Nie, kiedy dajesz mi do zrozumienia, że coś wam grozi! To nie jest czas na tajemnice! I nie istnieje nic takiego na tym świecie, czego nie można streścić w dwóch zdaniach! Obiecuję, że powstrzymam się od wszelkich odmian hysterii, nie będę robił wyrzutów ani nikogo obwiniał. I wiedz, że nie ma niczego takiego, co sprawi, że będę cię kochał mniej! Ale muszę wiedzieć! – zawiesił głos, ale siostra w odpowiedzi tylko pokręciła głową. – Jeśli nie chcesz albo z jakiegoś powodu nie możesz mówić, to przynajmniej daj mi przeczytać ten cholerny list! – dorzucił nagłym szeptem.

– Właśnie cały szkopał polega na tym, że nie mogę! Naprawdę chciałabym ci go dać, ale to nie ja o tym powinnam zdecydować! – W jej oczach zalśniła taka rozpacz, że złość z niego z miejsca wyparowała.

– Dobrze... To znaczy kompletnie niedobrze, ale dobrze – mruknął i nerwowo zmierzwił pofalowane brązowe włosy. – Ale w takim razie wyjaśnij mi przynajmniej jedno: co tak naprawdę wydarzyło się wczoraj. I nie wciskaj mi, proszę, tych kitów o wirusie!

– Wiedziałaś? Od samego początku? – Autentycznie się zdziwiła.

– Że mnie kłamiesz, jak to mówi Franio? Od początku to może nie, wyglądałaś marnie i nawet mogłabyś uchodzić za chorą. Pewnie dałbym się nabrać, gdyby nie dwie sprawy. Jedna to ten twój staranny makijaż. Ty się tak nie malujesz nawet na spotkania z klientami czy fety rodzinne, a tu proszę, gorączka, złe samopoczucie, katar i nagle doznajesz natchnienia i malujesz się tak, jakbyś miała zamiar wyjść na randkę, i to taką najważniejszą, z miłością swojego życia.

– Jeżeli chodzi o miłość, to jestem raczej sceptyczna, jak wiesz – mruknęła. – Nie rozwijajmy więc tego tematu, powiedz mi tylko, co było tą drugą sprawą, która mnie zdradziła?

– Ubranie – odpowiedział krótko.

– Ubranie? – powtórzyła zdumiona i obrzuciła spojrzeniem sweter i dzinsy, które miała na sobie. – Co z nim nie tak? – Zmarszczyła

brwi i odruchowo wyciągnęła rękę, żeby spojrzeć na puchaty rękaw swetra.

I to wystarczyło. Benjamin błyskawicznie wyciągnął dłoń i wyrwał trzymany przez nią papier.

Przez moment była tym tak zaskoczona, że nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Ani mi się waż – warknęła w końcu, z trudem dochodząc do siebie. – Słyszysz? – powtórzyła ostro i wyciągnęła rękę, żeby odebrać mu kartkę.

Ale Benjamin nie zamierzał tak łatwo się poddawać.

– Sorry, siostra, ale sprawa jest zbyt poważna, żeby zważać na coś tak banalnego jak tajemnica korespondencji – powiedział i wyciągnął rękę z rozłożoną kartką wysoko ponad jej głową.

Stella przeklęła w duchu naturę, która była odpowiedzialna za to, że mężczyźni zwykle byli sporo wyżsi od kobiet. Mogła tylko pomarzyć o odebraniu listu bratu, który właśnie ze zmarszczonymi brwiami kończył go czytać.

– Kurwa! – zareagował podobnie jak ona przed momentem. – Kto to, do diabła, jest? I czego chce od ciebie... Czekał, właściwie to od nas? To jest ojciec Franka? – zapytał i w tym samym momencie z pokoju chłopca dobiegł jakiś dziwny łoskot.

Benjamin z miejsca ruszył w tamtym kierunku, ale Stella złapała go za rękaw kurtki i przytrzymała.

– Nic się nie dzieje, klocki wysypały się z kosza. – Głos miała nabrzmiały od tłumionego gniewu. – Szuka Placka, specjalnie nie przypomiinałam mu, że utknął za zasłoną, uzbrojony w miecz... Franio postawił go tam na straży, miał bronić zabawki przed ciemnością, a że lokował go tam na wpół śpiąco, była duża szansa, że nie będzie zbyt dobrze pamiętał, gdzie go szukać. A to dawało mi szansę na chwilę rozmowy z tobą bez jego obecności i nadstawionych pilnie uszek...– dorzuciła wyjaśniająco, zagryzła dolną wargę i pokręciła głową. – Niepotrzebnie zabierałeś mi tę kartkę – dodała cicho.

– Bardzo potrzebnie! Teraz już wiem, że absolutnie nie mogę dać się zbyć! Stella, ja naprawdę nie odpuszczę! To jest ojciec Franka,

prawda? Jest jakimś rąbniętym psychopata i dlatego nigdy nie chciałaś nam powiedzieć, kto to jest, dobrze myślę?

– A ja ci powtórzę, że nie mogę ci nic powiedzieć. – Podniosła głowę. – Nie teraz! Dlatego niepotrzebnie tak mnie wypytywałeś. Gdybyś mniej wiedział, tobyś się tak nie martwił!

– Naprawdę tak uważasz? Po tym, co mi powiedziałaś? Że mam przekazać w przedszkolu, żeby wyjątkowo pilnowali mojego siostrzeńca! Chłopca, którego kocham nad życie! Bo ktoś może go chcieć porwać!

– No to jednak wyobraźnia trochę cię poniosła. Nikt nie mówił o żadnym porwaniu – zaprotestowała Stella, podnosząc głos i natychmiast go ścisząc, tak żeby nic z tego, o czym mówią, nie doleciało do dziecinnego pokoju.

– A jak inaczej zinterpretowałaś swoje własne słowa? Żeby pod żadnym pozorem nie mógł go odebrać ktoś inny niż my? No jak? – Benjamin robił się coraz bardziej wciekły.

– No dobrze, przemknął mi przez głowę i taki scenariusz, ale to dlatego, że początkowo spanikowałam. Nie byłam przygotowana na to, co znalazłam w liście. I uwierz mi, też nie wiem, co o tym myśleć! – zamilkła i pokręciła głową.

– Czy to jest ojciec Frania? – Benjamin wbił w nią nagłące spojrzenie, widać było, że nie zamierza odpuścić.

– Nie, to nie jest ojciec Frania – odpowiedziała i przełknęła głośno ślinę.

– Dlaczego ci nie wierzę? Musisz wiedzieć, o kogo chodzi!

– Powiedziałam też, że nie chcę kłamać – przypomniała dobitnie i popatrzyła mu prosto w oczy. – Naprawdę chcesz mnie zmuszać do kolejnych krętałów? Już z powodu tych wczorajszych jest mi dostatecznie głupio... Możesz przyjąć, że skoro mówię, iż chwilowo nie mogę nic zdradzić, to naprawdę nie mogę. Nie dlatego, że mam taki kaprys albo naszła mnie taka fantazja. Tylko z zupełnie niezależnych ode mnie przyczyn.

– No to palnęłaś mi teraz kazanie – mruknął. – Zawsze umiałaś człowiekowi powiedzieć tak, że mu szło w pięty, nawet nie podnosząc głosu. I z jednej strony to w tobie podziwiam, ale

z drugiej szczerze nie znoszę. Bo mam jak najlepsze intencje, usiłuję zachować się odpowiedzialnie i rozsądnie...

– Jak prawdziwy mężczyzna – zaśmiała się, bo pomimo powagi sytuacji nie można było nie dostrzec w niej też komizmu. – Widać, że wczoraj dużo przebywałeś z Franiem...

– A żebyś wiedziała! Nie zagaduj mnie, bo to i tak nic nie da! Ja naprawdę chcę zapewnić tobie i Frankowi poczucie bezpieczeństwa, jak na brata, mimo że nie starszego, ale jednak brata, przystało, i w związku z tym nie powinienem mieć skrupułów, a po takiej mowie, którą właśnie byłaś uprzejma palnąć, jest mi zwyczajnie głupio. Ale żeby nie było, tym razem uważam, że bez względu na to, o co chodzi, powinnaś mi wszystko powiedzieć, wyznać jak na spowiedzi, to po pierwsze. I nie, nie przerywaj mi. – Widząc, że Stella otwiera usta, żeby coś odpowiedzieć, zamachał gwałtownie ręką. – Cokolwiek tam masz na końcu języka, i tak nie zmienię zdania i chcę wiedzieć, ile w twoim pojęciu znaczy „chwilowo”. Bo powiedziałaś, że chwilowo nie możesz mi nic zdradzić, ale ja muszę znać chociażby przybliżony termin poznania tych rewelacji. To po pierwsze. Po drugie wydaje mi się, że w najbliższych dniach Franek nie powinien chodzić do przedszkola. Skoro się o niego boisz i masz jakieś powody, a masz, bo tu – potrząsnął trzymaną w dłoni kartką – jest jak wół napisane, że ktoś był w przedszkolu i pytał o niego i o jego babcię, to zn...

– To znaczy, że Franek będzie funkcjonował normalnie – weszła mu w słowo z wyraźnym zniecierpliwieniem. – Bo absolutnie nie zamierzam mu dać odczuć, że coś jest nie tak, tym bardziej że sama nie wiem, czy cokolwiek się dzieje. Muszę najpierw to sprawdzić. A poza tym uwierz mi, ostrzeżenie pań z przedszkola wystarczy. Będą go pilnować jak oka w głowie. A i to być może bym odpuściła, żeby nie wzbudzać niepotrzebnej sensacji, ale jednak lepiej dmuchać na zimne. A co do twojego pierwszego pytania... O to, ile czasu mi potrzeba – przypomniała, widząc, że jest skołowany. – Daj mi trzy, cztery dni, powinno wystarczyć – dorzuciła i widząc Frania wychodzącego z pokoju z misiem pod pachą, natychmiast przybrała pogodny wyraz twarzy. – To co lecisz z wujkiem, tak? – zapytała,

pochylając się do chłopca i poprawiając mu sztruksową czapeczkę, która podczas poszukiwań maskotki zjechała mu niemal na oczy.

– Pewnie... lecimy.

Beniamin tylko pokręcił głową. Stella doskonale wiedziała, że nie jest przekonany, ale widać postanowił chwilowo nie protestować.

– A, słuchaj, mam kupić ci to pieczywo? – zapytał, stojąc już w otwartych drzwiach.

– Nie, mała zmiana planów, będę musiała wyjść. Mam coś pilnego do załatwienia – mruknęła.

– Tylko nie zapomnij się przebrać – powiedział i obrzucił ją zatroskanym spojrzeniem.

– A no właśnie, w końcu mi nie powiedziałaś, co masz do moich ciuchów? – przypomniała sobie.

– To zależy. W kontekście twojej rzekomej choroby tyle, że gdyby była prawdziwa, to pierwsze, co byś zrobiła po przyjsciu do domu, to zrzuciłabyś dzinsy i sweter i wskoczyłabyś w piżamę i szlafrok. I to, że tego nie zrobiłaś, już dało mi do myślenia i wzbudziło moją czujność. A to, że się w ogóle nie przebrałaś, nawet na noc, tylko mnie w tym utwierdziło. I tym samym mi przypomniałaś, że to też musimy obgadać. Bo w końcu nie wiem, co cię skłoniło do tych wszystkich wczorajszych kłamstw. Gdybyś miała jakiegoś faceta, tobym przypuszczał, że się pokłóciliście albo że cię rzucił, albo coś w ten deseń. Ale nie masz nikogo, więc to odpada...

– Zapamiętam na przyszłość – parsknęła pod nosem. – Trzeba mieć jakiegoś faceta pod ręką w ramach alibi na wszelkie komplikacje.

– Nie zmieniaj tematu. I tak nie zapomnę i jeszcze do tego wrócimy. Strasznie się jakoś wokół ciebie zageściło, moja droga siostró. Gdyby babcia żyła, to na pewno zaczęłaby podejrzewać, że ktoś na ciebie rzucił urok albo inną klątwę – dodał dla rozluźnienia atmosfery, ale ledwo to powiedział, zrozumiał, że chyba mu nie wyszło, bo Stella aż się wzdrygnęła i odruchowo spojrzała na kartony stojące w przedpokoju.

Beniamin nie zwrócił na nie do tej pory uwagi, ale teraz, podążając za wzrokiem siostry, zobaczył wystający z górnego pudła

kubek wypełniony długopisami i żółty skoroszyt. Takich Stella używała tylko w pracy.

– O cholera – mruknął z nagłym zrozumieniem.

– No właśnie. – Z piersi Stelli dobyło się ciężkie westchnienie. – Tylko niech cię ręka boska broni mówić cokolwiek pozostałym – dodała natychmiast. – Chwilowo nie jestem gotowa na zlot rodzinny i ciągnące się po nocach narady.

Rozsądnie przemilczała, że jeszcze bardziej obawia się tego, co jej rodzeństwo mogłoby zrobić Aldonie, gdyby poznało całą prawdę.

– Wujku, idziemy? I tak już nie zdążę na śniadanie – zamarudził za plecami Beniamina Franio.

– Idziemy, pewnie, że idziemy – zareagował natychmiast, ale zanim ruszył, obrzucił Stellę spojrzeniem pełnym troski. – Tylko nie rób głupstw – powiedział w końcu, po czym podsadził sobie Franka na barana i po chwili już ich nie było.

Stella zamknęła za nimi drzwi i sięgnęła po zostawioną przez brata na szafce na buty kartkę.

Raz jeszcze dokładnie ją przeczytała i nie zwlekając, wygrzebała z kieszeni swetra komórkę.

– Mamo, dzień dobry. – Zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby jej głos brzmiał spokojnie i pogodnie. – Nie, nic się nie stało. No coś ty. Przecież ledwo co wczoraj rano rozmawiałyśmy. Nic właściwie się nie zmieniło, tylko widzisz, właśnie w pracy – wymówiła to z wyraźnym trudem – dostaliśmy wiadomość, że coś się dzieje z Facebookiem. Jakieś włamanie, kradzieże danych na kontach, które są dostępne publicznie. Ogranicz sobie tę funkcję na wszelki wypadek – powiedziała szybko i słysząc, jak koślawo to brzmi, przewróciła oczami.

Kolejne kłamstwo w ciągu niespełna doby, pomyślała z niesmakiem. I to nawet podwójne... U mnie dobrze, oczywiście, od wczoraj nic się nie zmieniło, poza tym, że za moment zostanę bez środków do życia i znienacka objawił się jeden facet z przeszłości... A poza tym to wszystko po staremu.

– Przepraszam, nie słyszałam, powtórzysz? – Zajęta swoimi niewesołymi myślami dopiero po chwili zorientowała się, że mama cały czas coś mówiła. – Aaa, nie wiesz jak... To słuchaj, daj mi

swoje hasło, ja ci to zaraz pozmieniam – powiedziała, głęboko wciągając powietrze.

Po chwili siedziała już przy laptopie i przeglądała konto facebookowe mamy, tak jakby widziała je pierwszy raz w życiu. I rzeczywiście coś w tym było, bo z taką uwagą jeszcze go nie śledziła. No oczywiście, dobrze myślała. Mama wrzucała swoje zdjęcia z Frankiem niemal każdego dnia – stąd drań wiedział to, co wiedział. Łatwo było z nich wywnioskować, że wnuczek jest jej oczkiem w głowie. Na tych zdjęciach widać było, jacy są zżyci i szczęśliwi. Razem w wesołym miasteczku, przed piekarnią sióstr Kazimierczakówien, objadając się ogromnymi ciachami z kremem, w parku, na huśtawce pod przedszkolem. Piękne to były obrazki, rodzinne. Tyle tylko, że w tak małym miasteczku jak Kotków każde z tych miejsc było banalnie proste do zlokalizowania, nawet nie trzeba było jakoś specjalnie się starać. Ot, wystarczyło przejść się spacerkiem i poodbijać w boczne uliczki od rynku. Albo ewentualnie, jeżeli się było bardzo leniwym i nie miało ochoty na dreptanie w tę i we w tę, można było zagadnąć pierwszego lepszego przechodnia. A jeżeli było się stąd, to znalezienie konkretnych miejsc w ogóle nie przysparzało trudności.

Stella jeszcze raz przewinęła stronę do góry i jej wzrok zatrzymał się na dłużej na fotografii zrobionej przed piekarenką. I wtedy ją olśniło. Już wiedziała, o co chodziło siostron... Jak one się wyraziły? „Że dobrze jest być na miejscu, żeby trzymać się razem” – to były chyba słowa Misi. A potem Alina dorzuciła, że albo wręcz przeciwnie. Być jak najdalej i ściągnąć bliskich do siebie... A to wszystko w kontekście tajemniczych gości, którzy zatrzymali się w pensjonacie Gąsików.

No to przynajmniej wie już, od czego ma zacząć. Stella wylogowała się z konta mamy i energicznie zatrzasnęła laptopa.

Świetnie się składa, że lubimy się z Paulinką, to mi na pewno sporo ułatwi, pomyślała jeszcze, ściągając sweter przez głowę i idąc do łazienki. W przedpokoju potknęła się o pudła, ale nie poświęciła im większej uwagi. Wprawdzie jej sytuacja od wczoraj się nie zmieniła i nadal wisiało nad nią widmo utraty środków do życia, niemożności spłaty kredytu i perspektywa zaznajomienia się

z komornikiem, ale teraz miała o wiele ważniejsze i pilniejsze sprawy do załatwienia.

Zanim wyszła na dobre z podwórka, wracała się aż trzy razy. Raz, żeby sprawdzić, czy na pewno zamknęła drzwi na dwa zamki, potem, gdy była już za furtką, dopadły ją wątpliwości co do okien, więc znów zawróciła i na wszelki wypadek oprócz parteru obeszyła jeszcze piętro. Oczywiście wszystkie okna były zamknięte. Tym razem przezornie skupiła się na ponownym zaryglowaniu drzwi, tak żeby potem nie mieć najmniejszych wątpliwości, że zrobiła to tak, jak powinna.

– Jeden i drugi – powiedziała do siebie, przekręcając klucz w obu zamkach.

A potem, gdy już była na ulicy, nie mogła pozbyć się wrażenia, że z tego wszystkiego nie zamknęła porządnie furtki, więc zawróciła po raz kolejny. I rzeczywiście tym razem miała rację. Zatrzasnęła ją więc porządnie i przystanęła w pół kroku.

– Cholera, trzeci raz – mruknęła, przypomniawszy sobie, co w takich sytuacjach zawsze radziła babcia, według której liczba trzy była magiczna i nie należało z nią igrać.

A potrójne wracanie się po wyjściu z domu ani chybi miało skutkować pechem, chyba że się go przełamie, przysiadając na moment.

Gdyby to wydarzyło się dwa dni wcześniej, Stelli pewnie nawet by przez myśl nie przeszło, żeby zawracać sobie głowę szczególnym znaczeniem trójki i babcinymi poglądami na ten temat. Ale w tej chwili, pomna tego, co wydarzyło się po tym, jak zlekceważyła nawiedzającą ją ofiarnie w snach prababkę Marcelinę, wołała nie igrać z ogniem ani z potencjalną mocą zabobonów. Bo już istniejącego pecha miała pod dostatkiem i kolejne, świeżutkie i pełne woli działania partie złej passy z całą pewnością nie były jej potrzebne.

Z westchnieniem rozejrzała się wokół siebie. Niestety, nie było niczego, na czym mogłaby przycupnąć.

– Naprawdę, babciu? – mruknęła pod nosem i jeszcze raz rozejrzała się dookoła. Nie dostrzegła nikogo w zasięgu wzroku. – Nie wierzę, naprawdę nie wierzę, że to robię – jęknęła i szybko przysiadła na chodniku tuż przed furtką. – Raz, dwa, trzy, przepadniesz ty! Trzy, dwa, raz, odejdiesz zaś, raz, trzy, dwa, zostaję ja – wyrecytowała wierszyk, który w takich sytuacjach zalecała mówić babcia. – O, dzień dobry, pani Walusiak – dodała z rozpędu, bo poniewczasie zobaczyła, że zza ogrodzenia sąsiedniej posesji przygląda jej się z zainteresowaniem sąsiadka.

– No dla mnie faktycznie dobry, ale ty, moja droga, to raczej nie możesz o sobie tego powiedzieć, a o dzieciaku to nawet nie wspomnę – powiedziała kobieta, kręcąc potępiająco głową. – Słońce ledwo wstało, a ty już pod wpływem! Siedzisz na chodniku i mamroczesz coś niezrozumiałego! To pewnie dlatego brat musi się Frankiem zajmować! Bo matka pija...

– A pani, pani Walusiak, to już kompletnie zgłupiała? Pod jakim wpływem! Jaka pijana! – Stella zerwała się na równe nogi, pomstując w duchu na cały świat, zabobonnych przodków i wścibskie sąsiadki, czające się za płotami. – Człowiekowi się w głowie zakręci, przewróci się i co? Zamiast pomocnej dłoni dostaje garść kalumnii i pomówienia prosto w twarz! Wstydziłaby się pani, ciekawe, co na to ksiądz i jego kazania o miłości bliźniego – dorzuciła potępiająco, robiąc aluzję do gorliwej regularności, z jaką sąsiadka biega do kościoła. I wypuściwszy tę zatrutą strzałę, bez oglądania się za siebie ruszyła w drogę, odprowadzana wzrokiem przez osłupiałą kobietę.

Dobrze tak tej jędzy, pomyślała i na wspomnienie oszołomionego wyrazu twarzy Walusiakowej parsknęła śmiechem, jednocześnie sięgając do kieszeni płaszcza, żeby wydobyć z niej dzwoniącą komórkę.

– Oczywiście, któż by inny – mruknęła, widząc na wyświetlaczu imię brata. Przecież to było wiadome, że nie odpuści... – Tak, słucham? – Przytknęła aparat do ucha.

– Franek w przedszkolu, a ja właśnie ledwo żywy wyszedłem z piekarni – zameldował Beniamin. – Siostry wzięły mnie w krzyżowy ogień pytań. Co z tobą; w sensie z *tobą*, nie ze mną –

podkreślił. – Bo cię rano nie było, bo one są całe w niepokoju. I chałki im nie wyszły po raz pierwszy od czasów, gdy wojna wybuchła. I tu chyba miały na myśli cały swój piekarski ród, bo nie wiem, czy one już w trzydziestym dziewiątym piekły... I ja nie bardzo zrozumiałem, czy te chałki to z twojego powodu oklapły, ale bałem się dopytać. I kazały ci przypomnieć, że wieczorem masz odebrać tort. A ja idę właśnie do ciebie. Mam twoje ulubione bułki, te z rodzynkami i orzechami laskowymi. Siostry dorzuciły też jakąś nowość posypaną wytrawną kruszonką migdałową. I nie interesuje mnie, czy jesteś, czy cię nie ma, bo najwyżej poczekam, aż wrócisz. Mam przecież swój komplet kluczy. Albo przyjdę wieczorem. W każdym razie nie pozbędziesz się mnie, nic z tego!

– Rozumiem, ale mnie nie ma i raczej przez dłuższy czas nie będzie – powiedziała Stella, skręcając gwałtownie w jedną z bocznych uliczek, bo właśnie uzmysłowiła sobie, że jeżeli pójdzie obraną wcześniej trasą, to najprawdopodobniej wpadnie prosto na zmierzającego od strony piekarni Beniamina. – Tak więc, drogi bracie, nie wygłupiaj się, tylko zostaw mi te bułki, bo narobiłeś mi nieziemskiego apetytu, i zamiast bezproduktywnie tracić czas na snucie się od okna do okna i wypatrywanie mnie, wracaj do siebie i bierz się za malowanie. Światło dzisiaj masz przednie – dorzuciła, spoglądając w niebo.

Rzeczywiście zapowiadał się przepiękny dzień. Wiatr rozganiał właśnie ciemne chmury i zza ich pierzastych, siwych krawędzi wyzierały skrawki oszałamiającego błękitu, podbitego, niczym mieniącym się aksamitem, złotymi promieniami słońca.

– Ale...

– Żadnego ale. Nie zapominaj, kto z nas dwojga jest starszą siostrą i kto kogo przez całe dzieciństwo wyciągał z opresji. W dorosłym życiu też umiem sobie radzić – dorzuciła z pewnością siebie, której prawdę mówiąc, w ogóle nie miała. – A Franka też ja odbiorę; jak już wiesz, mam mnóstwo wolnego czasu i im prędzej zacznę się z tym oswajać, tym szybciej wezmę się w garść. A właśnie, jak będziesz zostawiał pieczywo, to nie zdziw się, jeżeli zaczepi cię Walusiakowa. Uważa, że popadłam w alkoholizm i piję od bladego

świtu. Albo ewentualnie nie zdążyłam jeszcze wytrzeźwieć po wczorajszym.

– A to ciekawe. Ona zawsze miała interesujące pomysły, ale na litość wszystkiego, co skłoniło ją do snucia takich podejrzeń? – zainteresował się Beniamin.

– W sumie to wszystkiemu winna jest babka Elwira. Pamiętasz, jak mówiła, że jak się człowiek trzy razy wraca...

– To potem musi koniecznie przysiąc i wyklepać ten wierszyk z kombinacją raz, dwa, trzy – dokończył za nią Beniamin. – I co to ma wspólnego z twoim domniemanym alkoholizmem?

– No właśnie według pokrętej logiki Walusiakowej ma, bo ja się trzy razy wracałam i niby nie wierzę w te bajdy, zresztą co ja ci będę tłumaczyć, sam wiesz, że to nie w moim stylu.

– Fakt. Od bezwzględnej wiary w te wszystkie gusła i znaki mamy Julkę – przytaknął brat. – Ale rozumiem, że tym razem jednak postanowiłaś nie kusić losu.

– Z ust mi to wyjąłeś! A jeszcze rano rzuciłeś mi ten tekst o klątwach i przekleństwach i jakoś tak to wszystko się skumulowało. Poczułam, że nie mam innego wyjścia, i prewencyjnie przysiadłam. Tam gdzie stałam, na dróżce, tuż pod furką, bo pod domem nie ma niczego, co by się do tego nadawało. I w tej dość nietypowej sytuacji przyuważyła mnie nasza urocza sąsiadka. I usłyszała, że coś tam mamrocę, sam rozumiesz, że nie recytowałam wierszyka pełnym głosem, no i dodała dwa do dwóch i wyszło jej, że ani chybi wpadłam w szpony nałogu.

– Było jej powiedzieć, że ma rację i że życie na trzeźwo jest nie do wytrzymania – ubawił się Beniamin. – Przynajmniej miałyby o czym myśleć...

– I o czym gadać na prawo i lewo... Jednak podziękuję.

– E tam, w ogóle nie umiesz się bawić – wytknął jej. – A wracając do tego siedzenia na ścieżce, to miałem rację, gdy mówiłem, żeby tej ławki, która stała pod ogrodzeniem, nie usuwać. Widać babcia miała jakiś konkretny powód, gdy kazała tam ją zamontować dziadkowi.

– Pewnie, że miała, i to jaki – przytaknęła Stella. – Tyle tylko, że bardziej przyziemny. Od momentu, gdy tam stanęła, dziadek zamiast się włóczyć wieczorami po miasteczku, siadał sobie razem

z kumplami na tej ławeczce właśnie i tam sączyli piwko i grali w karty. A babcia dzięki temu mogła mieć ich na oku – wyjaśniła mu ubawiona Stella.

– A to tego nie wiedziałem... Z babci to była podstępna bestia. Szkoda, że znałem ją najkrócej. Konsekwencje bycia najmłodszym. Ale abstrahując od powodów, dla których ławka stanęła w tym, a nie innym miejscu, gdyby nadal tam była, to Walusiakowa nie miałaby dowodów na twoje marne prowadzenie.

– Niby tak, ale znasz ją. Znalazłaby inne. W każdym razie ostrzegłam cię i wiesz, czego możesz się spodziewać. A teraz kończę, bo z drugiej strony ulicy macha do mnie Paulinka Gąsikowa – dorzuciła, myśląc, że właściwie udało jej się prawie nie skłamać.

Bo Paulinka rzeczywiście do niej machała, tyle tylko, że nie z drugiej strony ulicy, a z okna recepcji. I bynajmniej nie było to spontaniczne i niespodziewane dawanie znaków, a odpowiedź na dźwięk dzwonka, który przed momentem nacisnęła Stella. Ale tego Benjamin nie musiał wiedzieć. Tak samo jak tego, gdzie jego siostra się wybrała i o co chciała spytać córkę Gąsików.

– Stella, a może jednak ja na ciebie poczekam albo przynajmniej odbiorę Frania, co? Byłbym trochę spokojniejszy, wiedząc, że z nim wszystko w porządku. I że ty się jakoś trzymasz...

– No przecież słyszysz, że nie jest ze mną tak źle – westchnęła. – Na razie umówmy się tak, że po prostu dam ci znać, jak wrócę do domu. A potem, gdy wrócę z Frankiem, natychmiast zadzwonię i się zamelduję... Wpadnij do nas koło dwudziestej. Na ten tort, co to go przyniosę od sióstr. A teraz muszę kończyć, odezwę się – powiedziała i zakończyła rozmowę.

A z tego tortu to kochane siostrzyczki będą musiały się wytłumaczyć, dodała już w myślach. Bo jeśli dobrze rozumiała, a przynajmniej tak jej się wydawało, o co im chodziło, gdy wspomniały o pensjonacie i rodzicach, to kwestia tortu wciąż stała pod znakiem zapytania. Tak samo zresztą jak to, skąd siostry wiedziały o tym, że właśnie tego dnia z hukiem wyleci z pracy. No i zostawała jeszcze zagadka z Helenką w roli głównej. Ale w tej kwestii Stella zmieniła nieco swoje pierwotne plany i nie zamierzała w ogóle wspominać siostrom o nauczycielce. Bo o ile mogła

naciskać w sprawach, które dotyczyły bezpośrednio jej i jej rodziny, to w sprawie Helenki nie powinna ciągnąć ich za język. Byłoby to nie w porządku. Ten problem zamierzała załatwić bezpośrednio ze starszą panią. Ale to później; jeśli cokolwiek ma się udać, trzeba działać małymi kroczkami i po kolei.

Najpierw Paulinka, pomyślała Stella, odmachując po raz kolejny stojącej w recepcyjnym oknie dziewczynie i gestem dając jej znać, że rozumie i że idzie.

Pchnęła furtkę i weszła na teren pensjonatu. Zanim jednak skierowała się do wejścia, obrzuciła uważnym spojrzeniem okna na piętrze, tam gdzie znajdowały się pokoje wynajmowane gościom.

Nie dostrzegła niczego niepokojącego, zero sylwetek czających się za firanką, brak jakiegokolwiek poruszenia. Uspokojona wbiegła po schodkach i weszła do środka.

Stella nie miała pojęcia...

Stella nie miała pojęcia, że jednak ktoś ją zauważył i stojąc w bezpiecznej odległości od zasłoniętego szczelnie firanką okna, nie spuszczał jej z oczu. Gdy zniknęła mu z pola widzenia, sięgnął po komórkę i odszukał ściągnięte niedawno z Facebooka zdjęcie, po czym wyświetlił je, przybliżając ekran do twarzy. Tak, kobieta z fotografii i ta, która weszła właśnie do pensjonatu, to jedna i ta sama osoba.

Ciekawe, co ją tu przywiało... Przecież nie mogła się jeszcze o nim dowiedzieć, bo i skąd, pomyślał, wkładając pośpiesznie buty. Koniecznie musiał się przekonać, po co tu przyszła. Musiał wiedzieć, na czym stoi. I jak bardzo zdoła ją zaskoczyć.

Stella oparła się o kontuar...

Stella oparła się o kontuar i wyczekująco spojrzała na Paulinkę.

– Ale dlaczego pytasz? – Dziewczyna zniżyła głos i nachyliła się do Stelli.

– Bo wszystko wskazuje na to, że on... albo oni, choć nie ukrywam, że nie wiem, co może ich łączyć, przyjechali tu, żeby napsuć krwi mojej rodzinie – odpowiedziała, starannie dobierając słowa.

Wiedziała, że w tej sytuacji musi uchylić chociaż rąbka tajemnicy i że powinna mówić prawdę. Znały się z Paulinką nie od dziś i Stella nie chciała jej okłamywać. A poza tym to, o co ją prosiła, absolutnie nie było w porządku. I obiektywnie na to patrząc, nie zdziwiłaby się, gdyby Paulina jej odmówiła. A biorąc pod uwagę, że liczyła na to, iż jednak nie odmówi, tym bardziej chciała być uczciwa.

– Zrozum, to jest związane z naszą przeszłością. Nie mogę teraz powiedzieć, o co chodzi, ale jeżeli nie dowiem się od ciebie, to będę musiała do tego dotrzeć w jakiś inny sposób. I nie wiem, jakie to będzie miało konsekwencje...

– Wiesz co, kiedy tak cię słucham, to zaczynam się bać – mruknęła Paulinka. – Czy on... Czy oni – poprawiła się po chwili wahania – są niebezpieczni?

– Nie sądzę. A przynajmniej nie w taki sposób, o jakim myślisz – westchnęła Stella. – Jeżeli nawet o coś im chodzi, to tym czymś, a raczej kimś, jestem ja... – Albo Franio, dokończyła w myślach, ale tym przypuszczeniem nie zamierzała się dzielić.

– Jeżeli myślisz, że mnie uspokoiłaś, to ci nie wyszło – mruknęła Paulina. – To zabrzmiało trochę jak fragment dialogu z gangsterskiego filmu...

– No, jeżeli już tak to porównujemy, to możesz być spokojna, to żaden thriller, a raczej kiepski romans albo wręcz telenowela. I to taka z tych, co to szmirowaci bohaterowie pojawiają się nagle po latach i cóż... całość wypada żałośnie. A nie bez kozery używam

liczby mnogiej i mówię „bohaterowie”, a nie „bohater”, w odniesieniu do tej konkretnej sytuacji, bo o ile dobrze zrozumiałam, to potwierdziłaś moje domysły, że jest ich dwóch... – zawiesiła głos, a Paulina skinęła głową.

– To akurat żadna tajemnica. – Wzruszyła ramionami. – Tym bardziej że Alina Kazimierczakówna, która przyleciała akurat wtedy do mojej ciotecznej babki, widziała, jak się meldują... A znając tendencję obu sióstr do dzielenia się wszystkimi nowinami, to za moment będzie o naszych gościach wiedzieć pół miasteczka.

– Czas przeszły dokonany. Nowina już poszła w świat – uświadomiła jej Stella. – Była o nich mowa wczoraj rano w piekarni.

– Widzisz, nie doceniłam jej – parsknęła śmiechem Paulinka. – A wracając do tematu, to pani Alina w ogóle niesamowicie się wstrzebiła, bo przyszła akurat w momencie, gdy przyjechał młodszy z nich, i słyszała, jak go meldowałam. I widać było, że strzyże uszami na całego. Zanim poszła do babci na górę, to obejrzała go sobie dokładnie, ale z jakiegoś powodu straciła nim zainteresowanie. Jak się domyślasz, przyjełam to z ulgą, bo to było trochę dziwne, gdy tak stała, świdrując nas podejrzliwym spojrzeniem. A gdy wychodziła, natknęła się z kolei na starszego. Akurat podawał nazwisko. I już wtedy powinno mnie coś tknąć, bo przystanęła jak wryta i widać było po jej minie, że to coś więcej niż zwykła ciekawość, potem zaś bardzo ociągała się z wyjściem, a to niby coś poprawiała przy buciku, a to biedziła się z guzikami od płaszcza. Wyszła, dopiero gdy nasz gość udał się na górę...

– Oczywiście znając starszą z sióstr, to tak to urządziła, że musiał przejść tuż koło niej – dorzuciła domyślnie Stella.

– Rzecz jasna, i patrz, człowiek to jednak głupi się urodził i głupi umrze, bo dopiero teraz do mnie dotarły dwie rzeczy. Pierwsza, że ona od niego oczu nie mogła oderwać... – Paulina na moment zamilkła, kręcąc głową. – I tak jak wspominałam, ja to nawet zauważyłam, ale złożyłam to na karb jakiegoś dziwnego zauroczenia. Bo sama wiesz, jakie są siostry. Lubią flirt, dobrze im robi na biznes i cerę i chyba muszę to zapamiętać na przyszłość, bo biorąc pod uwagę widoczne rezultaty, to stosując ich recepturę, jest

spora szansa, że oszczędzę na kremach i kosmetyczkach – dodała ze śmiechem.

– O, kochana nie byłabym taką optymistką, myślę, że siostry stosują i jedno, i drugie, ale masz rację, nie zaszkodzi spróbować. Na flirt przynajmniej nie trzeba się zapisywać ani pamiętać o wklepywaniu go rano i wieczorem.

– Tak myślisz? To zależy, jak bardzo zaawansowaną formę zastosujesz, bo przy niektórych wklepywanie, ugniatanie i...

– Nie kończ! I absolutnie nie zwierzaj mi się z tego, jak bardzo zaawansowana jesteś – przerwała jej Stella, machając ręką, jakby chciała od siebie odpędzić natrętną muchę.

– A skąd wiesz, że ja mówię o sobie? W końcu zaczęliśmy od sióstr...

– O nie! Pamiętaj, co raz usłyszysz, nie dasz rady odusłyszeć! Wyobrażanie sobie sióstr, które wklepują i ugniatają, to jest coś, co absolutnie mnie przerasta! Ale skoro jesteśmy przy nich, to starsza siostra i jej fascynacja przyjezdnym... – Stella znacząco zawiesiła głos.

– No i po zabawie, a moja wyobraźnia dopiero ruszała. – Paulinka śmiesznie zmarszczyła nos. – A tak na poważnie, to pomyślałam po prostu, że to taka reakcja na nową twarz. Wiesz, przystojny, zadbany i elegancki. Mógł się jej spodobać. Chociaż moim zdaniem nie umywa się do młodszego, o, tam to jest dopiero na czym oko zawiesić! Powiem ci, że gdybym nie miała swojego Piotrka, to chyba na oku bym nie poprzestała i zawiesiła coś o wiele bardziej konkretnego na czymś bardzo, ale to bardzo konkretnym. – W jej głosie dało się słyszeć rozmarzenie.

– No wiesz co! Przecież Piotrek poza tobą świata nie widzi. – Stella udała oburzoną, ale oczy jej się śmiały.

– No i właśnie dlatego zastrzegłam, że gdybym go nie miała. Ale wracając do sprawy, pani Alina od tego starszego nie oderwała oczu aż do momentu, gdy zniknął na półpiętrze, a potem w jakiś cudowny sposób odzyskała władzę w palcach i w mig zapięła guziki. I to jest ta pierwsza rzecz, która jak byk świadczy o tym, że to ociąganie się to był mistrzowski popis aktorski. A druga to to, że potem do mnie podeszła i weszła za kontuar pod pretekstem, że

złapał ją skurcz i musi koniecznie usiąść. I wiesz, co ja natychmiast zrobiłam?

– Zerwałaś się i ustąpiłaś jej miejsca – domyśliła się Stella.

– Jak ta ostatnia kretynka dałam się podejść, bo dopiero przed momentem do mnie dotarło, że tutaj jest mnóstwo miejsc do siedzenia. O, proszę, nie trzeba daleko szukać. – Wskazała podbródkiem stojące naprzeciwko dwa fotele. – Tam w kącie jest jeszcze stolik z krzesłami, a obok drzwi stoi ława. Cały pułk sióstr Kazimierczakówien by się zmieścił, nie tylko jedna, pojedyncza pani Alina! No po prostu zrobiła mnie na szaro!

– Wiesz, każdy na twoim miejscu, a przynajmniej każdy, kto zna siostry, zrobiłby dokładnie tak samo – mruknęła Stella. – Szacunek do wieku i wypieku...

– I strach przed tym, co następnego ranka usłyszysz w piekarni na swój temat – dokończyła Paulinka z wyraźną kpina.

– Ale czekaj, bo o ile rozumiem twoje zachowanie, to nie mam pojęcia, o co mogło chodzić starszej z sióstr.

– Naprawdę nie wiesz? To chodź, odegramy scenę, tylko poczekaj chwilkę, bo coś muszę włączyć – dodała Paulina, przebiegając szybko palcami po klawiaturze komputera. – Już, chodź, ja jestem sobą, a ty najstarszą Kazimierczakówną... No dalej – ponagliła ją. – Siadaj!

Stella obrzuciła ją zdumionym spojrzeniem, ale w końcu ruszyła i weszła za kontuar i posłusznie usiadła na jej miejscu.

– No i teraz co? – Paulinka przygwoździła ją wzrokiem, oczekując widocznie czegoś, co Stella powinna już dawno zrobić.

– Eee, wybacz, ale trochę się pogubiłam. Mam jęknąć?

– Zwariowałaś? Pomyliłaś scenariusze, to nie ta produkcja, gdzie trzeba sapać...

– Wariatka! Chodziło mi o ten skurcz i potencjalny jęk bólu. W końcu kazałaś mi udawać siostrę, umiejętnie udającą cierpienie... Eee, sama już się pogubiłam w tej mnogości udawań. – Machnęła ze zniecierpliwieniem ręką.

– No bo za dużo kombinujesz, po prostu zamilcz na chwilę i popatrz. – Ostatnie słowo Paulinka wymówiła z naciskiem.

Dopiero wtedy Stella spojrzała na monitor komputera i w mig zrozumiała. Paulinka nie tylko odgrywała scenkę, ale w ten pośredni sposób spełniała jej prośbę. Stella natychmiast się pochyliła, wpatrując się pilnie w widniejące na nim nazwiska ostatnich zameldowanych gości. To samo chciała zobaczyć najstarsza siostra i zapewne właśnie to ukazało się jej oczom, gdy podstępnie zajęła miejsce Pauliny. Wystarczyło kilka sekund i Stella upewniła się, że jej domysły były słuszne, a to, czego do tej pory nie rozumiała, stało się jasne. I gdy już otwierała usta z zamiarem podziękowania Paulince, ta sugestywnie położyła palec na wargach i ze zmarszczonymi brwiami spojrzała w kierunku schodów.

– No i właśnie tak to jest, jak się żyje w małym miasteczku – ryknęła nagle tubalnym głosem, od którego niemal zatrzęsły się ściany.

– Jeżu malusieńki, o mało co dostałabym zawału! A czemu, na litość wszystkości, tak wrzesz...

– Cicho, ktoś nas podsłuchuje – zaszepotała gorączkowo w odpowiedzi Paulinka. – Tutaj wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą! – zagrzmiała znów. – Schody gdzieś skrzypną, tak wiesz, charakterystycznie, a już rozpowiadają, że to kochanek się skrada – zakończyła i wytrzeszczając oczy, wymownie machnęła ręką w kierunku wejścia na piętro.

– Aaa. – Stella w końcu zrozumiała. – No tak, taka specyfika małych miejscowości. – Błyskawicznie weszła w rolę, jednocześnie bezszelestnie podnosząc się zza biurka i na palcach skradając się w kierunku wyjścia.

– Prawda? Człowiek kichnie, a na następny dzień wszyscy pytają go o to, czy bierze coś na przeziębienie. – Paulina zmrużyła oczy i przekrzywiła głowę, żeby lepiej widzieć schody.

Stella tymczasem delikatnie otwierała drzwi na zewnątrz. Niestety, cała ta konspiracja poszła na marne, bo ledwo je pchnęła, zawiasy zapiszczały przeraźliwie. Dziewczyna zamarła z ręką na klamce.

– Idziesz już? – Paulina w lot zareagowała. – Dziękuję, że wpadłaś, bardzo mi pomogłaś. Powiedz siostrze, że naprawdę mają chore myśli, w końcu cioteczna babcia ma ze sto lat i może

przyjmować kochanków legalnie! Nie musi się z tym kryć – powiedziała i nie zwracając uwagi na osłupienie Stelli, ponagliła ją ruchem dłoni. – No idź, idź, ja tutaj wszystkiego dopilnuję – dorzuciła z naciskiem.

Na tak jawną sugestię Stella w końcu otrząsnęła się z obezwładniającego zdumienia.

– Eee, tak, powiem im dzisiaj, jak wpadnę do nich po tort. No to idę, pozdrów kochanka i babcię... cioteczna – powiedziała, robiąc wielkie oczy, i posłusznie wyszła.

Ledwo zamknęły się za nią drzwi...

Ledwo zamknęły się za nią drzwi, Paulina jednym dużym susem znalazła się w korytarzu. Tak na wszelki wypadek stanęła tuż przy schodach i pochyliła się nad skrzynią z zabawkami, udając, że coś tam w niej poprawia.

O ile znała się na ludziach, to jej obecność właśnie w tym miejscu była bardzo potrzebna. Nie wiedziała wprawdzie, o co tak dokładnie chodzi w sprawie, w której Stella poprosiła ją o pomoc, ale tyle, ile się domyśliła, wystarczyło, żeby zyskała pewność, iż coś tu jest mocno nie w porządku. I że za chwilę będzie trzeba wyżyć wszystkie siły, żeby zyskać na czasie. A akurat o tym, że Stella go potrzebuje, Paulinka była całkowicie przekonana.

Jakby w odpowiedzi na te rozterki schody zaskrzypiały i rozległy się na nich szybkie, zdecydowane kroki. Widać komuś, komu jeszcze przed momentem bardzo zależało, by nie być słyszany, nagle zaczęło się spieszyć i zrezygnował z konspiracji.

Paulinka wzięła głęboki wdech i przygotowała się do działania. Gdy tuż obok niej pojawił się starszy z gości, uniosła głowę i uśmiechnęła się szeroko.

– A to pan, jak dobrze, że akurat pan zszedł... – przerwała, bo w tym samym momencie na schodach pojawił się młodszy mężczyzna.

Tego się nie spodziewała. Właściwie założyła, że trzeba się zająć starszym, jakiś wewnętrzny głos, którego nauczyła się nigdy nie lekceważyć, podpowiadał jej, że to on stanowi problem. Ale teraz już nie była o tym taka przekonana. Głos głosem, a jak by nie patrzeć, stało przed nią dwóch facetów, z których każdy zmierzał do wyjścia.

O nie, bratki złociuteńkie, nic z tego, pomyślała zdeterminowana.

– O, i mamy pana Antoniego. – Przywołała na twarz promienny uśmiech. – Widać Opatrzność nad nami czuwa, bo musiałabym

panów łapać, a tak, proszę bardzo, możemy to załatwić od ręki – powiedziała pewnym głosem.

– Ale co załatwić? – Starszy, którego imię chwilowo wypadło jej z pamięci, obrzucił ją zniecierpliwionym spojrzeniem. – Ja teraz nie mam czasu, spiesz mi się! – dorzucił ostro i zrobił krok w kierunku wyjścia.

– Naprawdę, ja zajmę panom tylko chwilkę, no, może dwie, a formalności nie mogą czekać. Gdybyśmy, nie daj Boże, teraz mieli kontrolę, to lepiej nie mówić! – Zamachała dramatycznie ręką.

– Jakie znowu for...

– Ale daj spokój, Heniu – wtrącił się młodszy, niespodziewanie przychodząc jej z pomocą. – Skoro pani mówi, że to zajmie tylko moment, to nie ma sensu sprawiać kłopotu.

– Jak na razie to nie ja sprawiam kłopot, tylko mnie go sprawiają – burknął starszy. – Formalnościami zajmowaliśmy się wczoraj! Wszystko wypełniłem, podpisałem, ba, nawet zapłaciłem!

– I ma pan rację, ale formularze chyba się pomieszały, coś tam pomiędzy sobą przeskoczyło i ja po prostu muszę się upewnić. To tylko minutka, zerknięcie do pliku. – Paulinka nie zamierzała czekać na rozwój wypadków ani na to, że Henio jednak się znarowi i nie bacząc na wszystko, będzie chciał wyjść, bo wtedy nie pozostałoby jej nic innego, jak rzucić się mu pod nogi i własnym ciałem zatarasować przejście. A tego jednak wolą unikać. Z tego wszystkiego zapomniała odłożyć wygrzebane z kosza z zabawkami wiaderko pełne żółtych gumowych kacuzsek. Dlatego niewiele myśląc, wcisnęła trzymany w rękach kubek w ręce piekłającego się Henryczka i pomaszerowała w stronę recepcji.

– Proszę, pierwsza jest karta meldunkowa pana Antoniego – powiedziała i gdy już zamierzała podsunąć laptopa młodszemu, kątem oka zobaczyła, że jednak musiała źle kliknąć i wyświetliła formularz starszego.

Cholera, zakłęta w duchu, szybko przełączając okienka, ale niestety nie miała wątpliwości, że Antoni zauważył te jej niezgrabne manewry.

Spojrzał na nią spod oka, uniósł brwi, ale ku jej wielkiemu zaskoczeniu pomieszanemu z ulgą zmilczał i w skupieniu pochylił

się nad laptopem.

– I co, wszystko się zgadza? – odchrząknęła, wymyślając sobie w duchu od idiotek. Przecież nie od dziś wiedziała, że nie nadaje się do kręcenia, a aktorka jest z niej taka jak, nie przymierzając, z koziej dupy trąba.

– Tak, zero błędów. – Nie uszło jej uwadze, że kąciki ust mu drgają.

– To proszę, teraz pan. – Jak gdyby nigdy nic podsunęła laptopa wściekłemu Heniowi.

– Wszystko jest dobrze, cóż za niesamowite zaskoczenie! – burknął po chwili. – Zawracanie głowy – dodał i nie kryjąc złości, zawrócił w kierunku schodów.

– Nie wychodzi pan? – wyrwało się Paulince, zanim ugryzła się w język.

– Nie, skutecznie popsuła mi pani plany – parsknął, po czym wszedł na schody i tam dopiero zauważył, że nadal trzyma w ręku pałąk wiaderka z kaczkami. Z irytacją cisnął nim do pojemnika z zabawkami i nie oglądając się za siebie, wszedł na górę.

– Coś mi mówi, że lepiej by było, żeby nie wchodziła mu dziś pani w drogę – mruknął młodszy mężczyzna, odprowadzając go wzrokiem, a potem znów spojrzał na Paulinę i uśmiechnął się lekko.

Takim uśmiechem, że pod Paulinką ugięły się nogi i musiała natychmiast sobie przypomnieć, że kocha Piotrka najbardziej na świecie. I że w sumie szkoda, że go tu nie ma, bo może gdyby zobaczył, jak inni się do niej uśmiechają i patrzą ciemnymi przepastnymi oczami wprost w jej oczy, toby się w końcu wziął opamiętał i oświadczył!

Przecież to już najwyższy czas, pomyślała, zerkając zza firanki na wychodzącego z pensjonatu przystojniaka. Poszedł w stronę rynku, a więc w przeciwną niż dom Stelli, zauważyła z ulgą. Więc albo nie ma w planach dotarcia do niej, albo nie wie, gdzie ona mieszka. Albo jest sprytniejszy, niż przypuszczała, i chce zmylić tropy...

Tylko do czego i dlaczego, i w ogóle o co w tym wszystkim chodzi, i czemu to interesuje siostry Kazimierczakówny...?, pomyślała i z niecierpliwością zabębniła palcami o parapet.

Postanowiła, że skoro to Stella ją w to wszystko wciągnęła, to Stella musi jej wyjaśnić, o co właściwie chodzi. Tyle jej się przecież należało, bo skoro już w czymś uczestniczy, ma prawo, a wręcz musi wiedzieć, na co trzeba się przygotować.

Zajrzę do niej pod wieczór, postanowiła.

– I za nic w świecie nie dam się zbyć! – dodała głośno z całą stanowczością, na jaką ją było stać, po czym wcisnęła pstryczek elektrycznego czajnika.

Po tych wszystkich emocjonujących wydarzeniach potrzebowała kawy.

Jeszcze lepszy byłby dzin z tonikiem, ale nie wypadało pić przed wybiciem południa, a już na pewno nie wtedy, gdy było się w pracy, a na górze miało się potencjalnego...

No właśnie, kogo? O tym Paulinka nie miała pojęcia, ale zamierzała się dowiedzieć.

Antoni wyszedł z pensjonatu lekko ubawiony...

Antoni wyszedł z pensjonatu lekko ubawiony, czego absolutnie nie ukrywał, ale też mocno zaniepokojony, czego z kolei w ogóle nie dał po sobie poznać.

Nie podobało mu się zachowanie Henryka. Ani to dzisiejsze, ani wczorajsze, gdy stanął naprzeciwko przedszkola i zachłannym wzrokiem patrzył na biegające po placu zabaw dzieciaki.

– Myślały, że mnie wykiwają, pieprzo... – Tu widocznie przypomniał sobie o tym, że nie jest sam, bo zmiął w ustach przekleństwo i rzucił Antkowi spode łba ponure spojrzenie. – Powiem ci jedno, stary, nigdy nie wierz kobietom! Nigdy! Ale ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Zobaczymy, co zrobią, gdy upomnę się o to, co mi się należy! – dodał z taką złością, że Antka aż zatkanęło.

Znał Henryka na tyle dobrze, żeby wiedzieć, co w jego ustach znaczy „należy mi się!”.

Ni mniej, ni więcej oznaczało kłopoty. I biorąc pod uwagę poprzedzające to stwierdzenie słowa, należało się spodziewać, że to będą raczej problemy dużego kalibru. Natychmiast zmarszczył brwi i usiłował przypomnieć sobie, czy Henryk wspominał wcześniej o jakiejś kobiecie, z którą się spotyka. Biorąc pod uwagę wściekłość, jaką obudził w nim widok przedszkola, można było wywnioskować, że być może jest jakaś, z którą Henryk aktualnie się spotyka i która zataiła przed nim, że ma dziecko...

W sumie to byłaby zdrowa reakcja, doszedł do wniosku, krzywiąc się. On też by nie narażał dzieciaka na spotkania z kimś takim jak Henryk. Gdyby tylko miał możliwość, sam by jej poradził, żeby trzymała swoją pociechę jak najdalej od tego gbura.

Antek nie miał o Henryku najlepszego zdania. Łączyło ich to, co łączyło, ale jednocześnie to absolutnie nie sprawiło, że nagle oślepl i nie widział, z kim ma do czynienia. Owszem, widział. I to bardzo wyraźnie. Henryk miał łeb do interesów, podpisywał intratne umowy, wyszukiwał doskonałe zlecenia i właściwie na tym kończyły

się jego zalety. No, był jeszcze przystojny, zadbany i dość majątny, i na to niewątpliwie nabierały się kobiety.

Poza tym był zapatrzonym w siebie arogansem z tendencjami do chorobliwej kontroli i stawiania na swoim. A gdy tylko mu się to nie udawało, pokazywał kolejną swoją odsłonę: prostackiego awanturnika. Nie było łatwo z nim się dogadywać i trzeba było mieć żelazne nerwy.

Antoniemu jakimś cudem do tej pory się to udawało. A jednocześnie nie pozwalał sobie wejść na głowę ani narzucić zdania. Wymagało to nadludzkiej cierpliwości, niezłomności i dyplomacji, ale biorąc pod uwagę wszystko, co zaliczało się do atutów Henryka, to jednak to poświęcenie się opłacało. Choć czasem bywało gorąco, to nigdy nie zdarzyło się, żeby coś, co ich poróżniło, postawiło sprawy na ostrzu noża. Może właśnie dlatego, że Antek doskonale wiedział, z kim ma do czynienia. I że zdawał sobie sprawę z wymiernych korzyści, jakie ten układ mu przynosił.

Dlatego wtedy, stojąc pod przedszkolem, stłumił zdenerwowanie i spróbował załatwić sprawę taktownie.

– Posłuchaj, nie wiem, o co ci chodzi, ale może chodźmy stąd – zaproponował, marszcząc brwi. – Dwóch facetów gapiących się na bawiące się dzieci na pewno zwróci w końcu czyjąś uwagę... Przynajmniej moją by zwróciło – dodał, myśląc, że najlepiej by zrobił, gdyby nie dociekał, o co, do diabła, Henrykowi chodzi. A jednak wiedział, że tym razem nie da rady zignorować jego zachowania. – A poza tym to, co mówisz o tym, żeby nie ufać kobietom, chyba nie ma nic wspólnego z dziećmiakami – dorzucił więc wbrew sobie.

Doskonale wiedział, że nakłanianie Henryka do zwierzeń zazwyczaj przynosi li tylko kłopoty. Ale tym razem po prostu nie miał wyjścia. Jego zachowanie było tak dziwne, że nie mógł nie spytać.

Nie wtedy, gdy w jego głowie zakiełkowała obawa, że tu rzeczywiście może chodzić o dziecko. Choć wydawało mu się to mało prawdopodobne. Henryk nie lubił „bachorów”, jak nazywał maluchy, więc jeżeli nawet coś mu się w tej chorej głowie uroiło, to raczej miało związek z matką dzieciaka, a nie z nim samym. Ale...

no właśnie, tego „ale” Antek nie mógł się pozbyć. Drapało go uporczywie w podstawę czaszki i nie dawało spokoju.

– Nie tam, z jakimi dzieciakami, czy ja ci się kojarzę z czymś rozwrzeszczanym i lepiącym? – prychnął w odpowiedzi Henryk i ostentacyjnie strzepnął z rękawa granatowej marynarki niewidoczny pyłek. – Tak mi się tylko ten widok skojarzył z pewną dawną sprawą – mruknął w odpowiedzi, ale coś w tonie jego głosu sprawiło, że Antek, zamiast poczuć się uspokojony, jeszcze bardziej się zaniepokoił. – Wiesz, że ja tutaj kiedyś mieszkałem? Nie na stałe, na moment, można by rzec: przejazdem – ciągnął, nie czekając na odpowiedź Antka.

– Tak? To dziwne, że cię tu nikt nie pamięta, bo w takich miasteczkach, niewielkich i zżytych, ludzie mają pamięć do przyjezdnych.

– A wiesz, byłem tu krótko, wyjechać też musiałem nagle, poza tym czas robi swoje. Inaczej wyglądał dziś, inaczej wyglądałem wtedy. A słuchaj, Antoni... chciałbym, żebyś mnie dobrze zrozumiał, nie zależy mi na tym, żeby komuś się jakoś szczególnie przypominać, to tak na wszelki wypadek ci mówię, żeby była jasność – rzucił niby od niechcienia i wyjął z kieszeni płaszcza paczkę papierosów. – Dajmy szansę tym, którzy powinni mnie pamiętać, może mnie jednak rozpoznają i będzie niespodzianka – dorzucił nieprzyjemnym tonem, a potem pstryknął zapalniczką, zapalił cienkiego mentolowego papierosa i z lubością się nim zaciągnął.

I właśnie w tej chwili Antek nabrał niemal stuprocentowej pewności, że dzieje się tu coś niedobrego. I wszystko aż w nim krzyczało, że cokolwiek to jest, powinien trzymać się od tego jak najdalej.

Ale biorąc pod uwagę, po co tu przyjechałem i ile czasu będę musiał spędzać z Henrykiem, trzymanie się na odległość raczej nie będzie możliwe, skrzywił się i potrząsnął głową. Ale może przynajmniej w kwestii dziecka się myliłem, może chodzi o coś zupełnie innego, pomyślał, gdy Henryk bez zbędnych protestów odszedł spod przedszkola, skupiając się na opowieści o tym, jak bardzo się ucieszył, gdy okazało się, że to niesamowicie dobrze

rokujące zlecenie i cała praca związana z nim jest właśnie tutaj, w Kotkowie.

– Wiesz, taka podróż sentymentalna do czasów młodości ponoć dobrze robi każdemu – stwierdził i z obleśnym uśmiechem obejrzał się za przechodzącą obok nich kobietą, która, a jakże!, uśmiech odwzajemniła!

Ładne opakowanie robi swoje, pomyślał Antek, zerkając z ukosa na markowy garnitur Henryka, a potem obejrzał się za kobietą i śmiechem parsknął pod nosem, bo okazało się, że ona nadal się oglądała, ale nie patrzyła na Henryka, tylko na niego.

No to co ja tam sobie myślałem o opakowaniu? – zaśmiał się w duchu i popatrzył na swoją sylwetkę, odbijającą się w witrynie mijanego sklepu. Sztruksowa marynarka i dopasowane granatowe dżinsy. Może nie był to garnitur, ale Antek wiedział, że w tym zestawie wygląda dobrze.

Elegancja, ale na luzie. Opięte na muskularnych nogach dżinsy, koszulka widoczna spod rozpiętej marynarki doskonale uwypuklała umięśnioną klatkę piersiową.

Ten strój zazwyczaj rezerwował na spotkania, w których dogadywali się z kobietą. Fakt, była to drobna manipulacja, ale nie robiła nikomu krzywdy, więc nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia, korzystając z atutów, którymi obdarzyła go natura, a które wspomagał ciężką pracą.

Między innymi dlatego, że od niej nie stronił, miał tak wielki szacunek u swoich ludzi. I porządne bicepsy bez chodzenia na siłownię. A bonusowo kobiece, pełne uznania spojrzenia. Czasem coś więcej, ale tylko wtedy, gdy sprawa była jasna: to tylko przygoda na jeden raz. Żadnych obietnic. Żadnych długotrwałych romansów. Wspólnych planów. Już raz obiecywał i słyszał obietnice. Tylko z tobą, na zawsze, nigdy cię nie opuszczę, w zdrowiu i w chorobie... I wyszło, co wyszło. I nie zamierzał tego powtarzać. Za bardzo bolało. A najgorsze, że nie tylko jego. Już odrobił tę bolesną lekcję, oblał egzamin i nie zamierzał podchodzić do niego ponownie.

Nie był Henrykiem i nie lubił nikogo wykorzystywać. I dlatego zazwyczaj spędzał noce w samotności. Dzięki temu mógł bez

wyrzutów sumienia patrzeć w swoje lustrzane odbicie i nie mieć do siebie żalu. A to już całkiem sporo. Ale dziś właśnie to sumienie nie dawało mu spokoju.

Bo wprawdzie po tym, jak ruszyli spod przedszkola i udali się na umówione spotkanie, na którym Henryk zachowywał się normalnie, to znaczy był maksymalnie skupiony na papierach, cyferkach, planach i punktach umowy, Antoni doszedł do wniosku, że chyba wyobraźnia spletała mu figła.

Henryk był taki jak zwykle. Mało sympatyczny buc i tyle. Ale niemiły gbur to jednak nie to samo co ktoś, kto planuje coś paskudnego albo zaczaja się pod przedszkolem z niecznymi zamiarami.

To musiał być przypadek, przekonywał sam siebie.

I może nawet by mu się udało ugruntować się w tym przekonaniu, gdyby nie dzisiejszy poranek. I nie to, że zobaczył, jak Henryk skrada się po schodach, a potem wychylony przez poręcz obserwuje recepcję, w której pojawiła się młoda, prześliczna kobieta.

I gdyby nie to, że nieświadomy jego obecności tuż za jego plecami Henryk w pewnym momencie wyszeptał pod nosem: „A to suka, jeszcze mnie popamięta”.

I gdyby nie zdumiewające i sytuacyjnie komiczne zachowanie dziewczyny z recepcji.

Pomógł jej na tyle, ile mógł, zatrzymał Henryka, żeby tamten nie poszedł za kobietą, która w wyraźnym pośpiechu opuściła pensjonat. I nijak nie można było tego zinterpretować inaczej, niż tylko jako ucieczkę.

A to w połączeniu z wczorajszą sytuacją uruchomiło w jego głowie alarm, który pomimo tego, że Antoni cały czas powtarzał sobie, że to nie jest jego sprawa, za żadne skarby świata nie chciał dać się uciszyć.

Antoni nie miał pojęcia...

Antoni nie miał pojęcia, że nie wie wszystkiego. I to dzięki temu jego niepokój, choć wydawał się nieznośny, tak naprawdę był niczym w porównaniu z tym, co by czuł, gdyby miał świadomość tego, co wydarzyło się wczoraj. Że po spotkaniu biznesowym Henryk wcale nie wrócił do pensjonatu, tylko udał się prosto do przedszkola, gdzie uciął sobie pogawędkę z jedną z wychodzących mam.

I miał pewność, iż był tak sprytny i czarujący, że z całą pewnością nie wzbudził w niej żadnych podejrzeń. Zdziwiłby się niepomrotnie, gdyby ktoś mu powiedział, że zaraz po tym, jak pożegnał się ze swoją rozmówczynią, ta zawróciła do przedszkola i przekazała wszystko opiekunkom.

Ale cóż, ani Henryk, ani Antek nie byli tego świadomi. I paradoksalnie każdy z nich był dzięki temu spokojniejszy.

Pierwszy, bo nadal myślał, że nikt o nim nie wie i że w związku z tym może bezkarnie realizować swój podły plan. Drugi, bo naprawdę nie miał pojęcia, co się święci i w czym niebawem przyjdzie mu wziąć udział.

Stella po wyjściu z pensjonatu Gąsików...

Stella po wyjściu z pensjonatu Gąsików spokojnym krokiem dotarła na róg ulicy i dopiero za zakrętem, gdy miała pewność, że już jej nie widać z żadnego z okien hoteliku, przyspieszyła tak bardzo, że niemal biegła. Zdyszana dotarła do ulicy, przy której stało przedszkole Franka, i przystanęła po drugiej stronie, nieświadoma, że zatrzymała się dokładnie w tym samym miejscu, w którym wczoraj stał Henryk. Przez moment tkwiła bez ruchu, uspokajając oddech. W końcu przyglądała włosy i już miała przeciąć na ukos jezdnię, gdy jej wzrok padł na ławeczkę stojącą nieopodal przedszkolnego placu zabaw. Oddzielała ją od niego siatka o dużych oczkach. Stamtąd jak na dłoni widziało się nie tylko to, co dzieje się na huśtawkach i w piaskownicy, ale też kto wchodzi na ogrodzony teren.

Teraz ławeczka była zajęta i na widok tego, kto na niej siedzi, serce Stelli ścisnęło wzruszenie. Niewiele myśląc, wycofała się w głąb porośniętej wiekowymi kasztanowcami ulicy. A potem wyciągnęła z kieszeni płaszczka telefon.

„Jednak odbierz Frania. Jeśli masz ochotę, to nawet przed obiadem, bo mówił, że marzy o pizzy z wujkiem” – wystukała wiadomość i wysłała ją do brata, po czym znów zalała ją falą czułości i wdzięczności.

Jak mogła w ogóle pomyśleć, że on da się zbyć albo że wiedząc, że dzieje się coś niedobrego, po prostu wróci do siebie? To było kompletnie nie w jego stylu. To właśnie on siedział na ławce i Stella doskonale wiedziała, że nie ruszy się z niej aż do momentu, gdy ona przyjdzie po chłopca, a potem będzie szedł za nimi, bo będzie musiał upewnić się, że bezpiecznie dotarli do domu.

Dobrze, że nie pada i że jest ciepło, pomyślała, bo doskonale zdawała sobie sprawę, że Benjamin tkwiłby na swoim posterunku bez względu na pogodę.

Cholera, tak nie może być, dotarło do niej. Nie może go odsuwać i odtrącać, odmawiając wyjaśnień. Należą mu się jak psu zupa. A właściwie nie tylko jemu, ich siostronom również.

Stella musi coś postanowić. Przełamać się i jednak zwołać naradę rodzinną... No i chyba nie ominię jej telefon do rodziców. Wszystko wskazuje na to, że przyszedł czas ujawnienia skrywanych od lat tajemnic.

Dopóki się nie upewniła, kim są przyjezdni, jeszcze łudziła się, że być może ta wczorajsza sytuacja w przedszkolu Frania okaże się czymś w rodzaju jakiegoś kiepskiego dowcipu. Ale teraz zyskała pewność, że to nie był ani żart, ani przypadek.

Tyle tylko, że ta wiedza poza wzmożonym lękiem dawała jej niewiele. Kompletnie nie wiedziała, co może z tym zrobić.

Chyba trzeba będzie poczekać na pierwszy krok tamtych, pomyślała, z trudem przetykając ślinę przez zaciśnięte nagle gardło. Wtedy przynajmniej będzie miała jakąś podstawę...

No i koniecznie musi zdecydować, co zrobić z rodzicami. Najlepiej by było przekazać im hiobowe wieści prosto w oczy. Poczekać na w miarę odpowiedni moment i jakoś delikatnie im powiedzieć. Telefon utrudniał subtelne załatwienie sprawy, niestety jednak nic nie wskazywało na to, żeby rodzice zamierzali w najbliższym czasie wracać. Mogła oczywiście się wstrzymać dzień czy dwa, tydzień nawet, ale tato w jednej z ostatnich rozmów wspominał, że mają możliwość wynajęcia swojego apartamentu na kilka najbliższych miesięcy, i Stella miała wrażenie, że wspominając o tym, badał grunt. Sprawdzał, jak ich dzieci to przyjmą. Przyjęły ze spokojem. W końcu wszystkie były dorosłe.

Tyle tylko, że wtedy jeszcze nie miałam pojęcia, co się wydarzy, pomyślała Stella z ciężkim westchnieniem.

Choć co by to dało, gdyby byli na miejscu? Więcej nerwów i frustracji. I jeszcze dodatkowo oprócz Frania musiałyby mieć oko na mamę, a przede wszystkim na ojca...

Patrząc na to z tej perspektywy, to dobrze, że ich nie ma, doszła do wniosku i humor jakby jej się poprawił.

Tak czy owak, sytuacja nie jest za ciekawa i niestety wszystko wskazuje na to, że będzie się rozwijać, i dlatego Stella nie może

zostawić tego, co wie, dla siebie. Choć ujawnienie prawdy może przynieść konsekwencje, o których nawet boi się myśleć...

Dam sobie czas do wieczora i zanim rozpętam burzę, dowiem się najpierw, o co chodzi siostronom Kazimierczakównom, postanowiła. Pomyślawszy o nich, zdecydowała, że zadzwoni do Julki, i w tym samym momencie komórka, którą wciąż trzymała w dłoni, zawibrowała sygnałem przychodzącego połączenia.

Stella spojrzała na wyświetlacz i uśmiechnęła się szeroko.

– No proszę, właśnie miałam do ciebie dzwonić. To chyba jakaś siostrzana telepatia, Juleczko.

– Taaa... ale chyba głównie moja, bo ty się kłamliwie zarzekasz, że nic a nic nie wierzysz w takie rzeczy. A skoro już przy tym jesteśmy...

– Przy mojej niewierze? – upewniła się Stella.

– Poniekąd. Bo jeszcze nic nie powiedziałam, a i tak doskonale wiem, co za chwilę usłyszę. Proszę bardzo, od razu mogę wyrecytować twoją kwestię: dajże mi święty spokój z tymi bzdurami, i w ogóle, i w szczególności! Ale uwierz, nie mam wyjścia! Całą noc nie spałam i kolejnej nie zamierzam zarywać! – Jakby na potwierdzenie prawdziwości tych słów Julka głośno ziewnęła. – Bo coś mnie tknęło i wczoraj wieczorem postawiłam karty. W twojej intencji i...

– A ile razy ci mówiłam, że nie chcę, żebyś mi wróżyła o mnie za moimi plecami! – przerwała jej z wyrzutem Stella.

– Wróżyła o mnie? Niby wiem, o co ci chodzi, ale jakoś to dziwnie brzmi...

– Skoro można powiedzieć: mówić o kimś za jego plecami, to i wróżyć można, w tym wypadku za moimi! I wracając do sedna, to tysiąc razy ci powtarzałam, żebyś tego nie robiła!

– Ty naprawdę nic nie rozumiesz! Powtarzałaś, mówiłaś i tyle twojego! Czasem jest tak, że ja wiem swoje, a karty swoje. I nie dają mi spokoju. Palce mnie mrowią, w głowie huczy i wtedy już wiadomo, że jestem na przegranej pozycji. Przecież nie raz i nie dwa tłumaczyłam ci jak krowie na miedzy, że moje talie są ze mną w sposób szczególnie związane. Łączy nas specjalna więź. Karty w odpowiednich rękach ożywają...

– Aha, i chcesz mi powiedzieć, że to właśnie twoje są tymi odpowiednimi...

– A żebyś wiedziała!

– No przecież wiem, tak się tylko z tobą drocę! To, że staram się stąpać twardo po ziemi, wcale nie znaczy, że podaję w wątpliwość twoje umiejętności. A że nie chcę, żebyś grzebała w mojej przyszłości i podglądała przeznaczenie, to cóż... Chyba mam do tego prawo.

– No chyba że palce mnie świerzbią...

– Tak, tak, a w głowie huczy – dokończyła za nią Stella, przewracając oczami.

– O widzisz, jak chcesz, to rozumiesz – roześmiała się Julka. – A poza tym do znudzenia ci powtarzałam i będę powtarzać, że podglądanie przeznaczenia jest wskazane, bo to nie wyrocznia. Jeżeli wiesz, na co masz uważać, możesz wszystko zmienić. Czasem wystarczy skręcić w drugą stronę, niż początkowo się zamierzało, i nagle okazuje się, że twój samochód nie zderzył się z autobusem, a tym samym przedłużyłaś linie życia, i swoją, i jeszcze kilka innych najprawdopodobniej.

– Dobrze już, dobrze, zreasumujmy: mrowiło ci i huczało, i wiedziałaś, że chodzi o mnie. I teraz wykrztuś to w końcu. Co one ci tam takiego powiedziały? Te karty, rzecz jasna.

– No właśnie to mnie najbardziej w tym wszystkim niepokoi i dlatego w ogóle do ciebie dzwonię, bo po raz pierwszy w całej mojej praktyce nie powiedziały niczego konkretnego. Rozumiesz? Niczego! Tak jakby same się w tym wszystkim, co widzą, pogubiły. I teraz wiem tylko, a właściwie aż tyle, że z każdej strony nadciąga jakieś niebezpieczeństwo. Sfera finansów i miłości, i rodziny... Wszystko zdaje się trząść w posadach. Ale jednocześnie cały układ dawał tak sprzeczne sygnały, że kompletnie nie umiem tego zinterpretować. Bo wyglądało to trochę tak, jakby wszystko się waliło, a jednak paradoksalnie umacniało. I dlatego bardzo cię proszę, powiedz mi, że chwilowo, na ten jeden raz straciłam swoje zdolności, intuicja mnie zawiodła, karty wystrychnęły na dudka i bez sensu zarwałam noc. Krótko mówiąc, upewnij mnie, że u ciebie wszystko w porządku – zakończyła na wydechu.

– Cóż... bardzo bym chciała, ale tym razem te twoje karty gadały nawet sensownie, bo rzeczywiście wszystko zaczyna się komplikować – mruknęła Stella. – Jak tak dalej pójdzie, to chyba zacznę regularnie zamawiać u ciebie wróżbiarskie sesje...

– Jeżu malusieńki! W twoich ustach to brzmi jak wstęp do jakiejś wielkiej tragedii! Nie ciskasz się, nie wkurzasz i nie każesz mi iść z tym całym karcianym bredzeniem do diabła! Teraz to już na pewno nie prześlę żadnej z kolejnych nocy, dopóki nie dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi! Powiesz mi, co się dzieje? – Ostatnie zdanie zabrzmiało trochę jak pytanie, a trochę jak rozkaz.

– Jeszcze nie mogę. – Stella przymknęła oczy i westchnęła głęboko. – I poczekaj, zanim zaczniesz na mnie krzyczeć, to daj mi skończyć – dodała natychmiast, bo usłyszała charakterystyczny dźwięk gwałtownego wciągania powietrza i domyśliła się, że siostra chce jej przerwać. – Naprawdę jeszcze nie mogę nic powiedzieć. Nawet nie dlatego, że nie chcę, a przynajmniej nie tylko – dodała uczciwie. – Tak naprawdę to jestem jak te twoje karty. Ogłupiała i skołowana. Wiem, że wali mi się wszystko, z każdej strony, że coś się dzieje, ale jeszcze nie wiem, co tym czymś jest. I dopóki się w tym chociaż trochę nie rozeznam, to wybaczone, ale nie jestem w stanie udzielać precyzyjnych informacji. Bo jak? Akurat po tym, jak nic nie wyczytałaś z wczorajszej wróżby, powinnaś mnie rozumieć. Bo nie wyczytałaś? Niczego przede mną nie ukrywasz? – zawiesiła pytająco głos.

– Nie ukrywam i nie kręcę – mruknęła Julka. – I nie jesteś perfekcyjną starszą siostrą, bo nie uspokoiłaś mnie ani trochę – dorzuciła, siląc się na żartobliwy ton.

– Cóż, moje okrucieństwo nie zna granic, bo ty jesteś trzecia z kolei i nie masz tendencji do wpadania w czarne dziury nastrojów, a dokładnie to samo powiedziałam Beniaminowi. I tak wychodzi na to, że Mela, jako jedyna, jeszcze nic nie wie. I dobrze by było, żeby tak zostało. Nie dzwoń do niej, Julka, bardzo cię proszę – dodała, poważniejąc.

– A po co miałabym robić coś tak bezproduktywnego? Żeby jej powiedzieć, że wiem, że nic nie wiem? – prychnęła zniecierpliwiona Julia.

– Może po to, żeby gremialnie mnie przycisnąć? – Stella uśmiechnęła się pod nosem.

Doskonale znała swoje rodzeństwo i nie chciało jej się wierzyć, że zostawią ją samej sobie. To tylko kwestia czasu, kiedy Benjamin za jej plecami ściągnie tu wszystkich. A jeżeli Julka nie wytrzyma i do niego zadzwoni, to zapewne cała akcja zostanie jeszcze przyspieszona.

– To rzeczywiście brzmi jak plan... Nie bez powodu się mówi, że w kupie siła, ale może jednak powiesz mi chociaż tak oględnie, co się wydarzyło...

– Dobrze. Wybierz sobie jedną sferę. Miłość, rodzina, finanse, kariera... – Stella znacząco zawiesiła głos.

– Gdybym cię nie znała, to zapytałabym o miłość i rodzinę, ale niestety znam cię jak zły szeląg i doskonale wiem, że skoro nie bardzo chcesz mówić, to jeżeli napomknę coś właśnie o tym, w odpowiedzi usłyszę wyssane z palca historyjki... Albo ewentualnie okrojone tak, że i tak niczego się nie dowiem. Dlatego oszczędzę cię i nie będę zmuszała do łągania... Wybieram finanse. Tylko z obowiązkiem mówienia prawdy – zastrzegła.

– Dobrze, zgoda. Ale obiecaj, że po tym, co powiem, nadal nie zadzwonisz do Meli. Ani nie zrobisz nic. NIC – podkreśliła – dopóki sama nie zwołam sagankowego sabatu. Ja naprawdę potrzebuję czasu, bo sprawa jest z tych poważnych i mogących zaważyć na całym życiu.

– Nie powiem, żebyś mnie uspokoiła, i chyba niczego tak nie lubię jak obiecywania w ciemno. Ale jesteś moją siostrą i dlatego dobrze, obiecuję. – W jej głosie słychać było narastający niepokój.

– No to teraz jeżeli stoisz, na wszelki wypadek usiądź. Już? I dobrze. Miejmy to za sobą. Aldona mnie wyrzuciła. Zostałam z niczym. Nie, przepraszam, nie doceniłam jej, nic to by było w tym wypadku coś wspaniałego i wielkodusznego. Ja zostałam z kredytami. I z trzymiesięczną odprawą, którą musi mi wypłacić, bo to miałam zapewnione w umowie. A jak wiesz, wszystko inne załatwialiśmy na piękne oczy. Wszystko, co włożyłam w ten cholerny, pieprzony hotel, co miałam odzyskać w momencie, gdy zaczęłam remontować domki ogrodników i pozostałe zabudowania,

poszło... No, jak to obrazowo ująć... Poszło się jebać. Przepraszam cię za rynsztokowe słownictwo, ale chyba żadne parlamentarne określenie nie odda tego, co się stało. Ani tego, jak się z tym czuję. I błagam, nie mów mi tylko: „A nie mówiłam”, bo wtedy chyba popełnię harakiri!

W słuchawce na moment zapadła cisza. Widać Julka przetrawiała to, co właśnie zostało powiedziane.

– A to suka! Bura i wyliniała! – wykrztusiła wreszcie, odzyskawszy głos. – Ale właściwie mnie to nie dziwi, bo nigdy jej nie lubiłam i jak widać na załączonym obrazku, miałam rację! I mam ogromną ochotę powiedzieć to, czego mam nie mówić! Ale się powstrzymam. Nie będę kopać leżącego. Zostawię siły na tego parszywca! Jeszcze będzie przeklinała dzień, w którym tknęła palcem jedną z nas! Natomiast teraz mam dwa pytania, na które bezwzględnie musisz mi odpowiedzieć. Pierwsze to: co zamierzasz z tym zrobić? A dokładniej: co planujesz JEJ zrobić? – Słowo „jej” wymówiła z zabójczą dokładnością. – Bo chyba tego tak nie zostawisz!

– Julka, a co ja mogę? Chyba tylko przeklinać swoją głupotę! Ona jest na prawie, a ja... ja jestem głupia! A poza tym to nieprawda, że nigdy jej nie lubiłaś. Na początku czułaś do niej taką samą sympatię jak i ja. Potem dopiero się to zmieniło. Właściwie to te twoje anse w stosunku do niej zbiegły się z tym, jak weszłam... Nie, czekaj, wydawało mi się, że weszłam z nią w spółkę...

– A wiesz, że masz rację. Już o tym zapomniałam, ale rzeczywiście tak było. Teraz dopiero uzmysłowiłam sobie, że ja do niej nic nie miałam. Dopiero gdy zaczęła pracować w tym starym sanatorium, zaczęła być w moich oczach odpychająca. Tak jakby... Sama nie wiem, czy mogę powiedzieć na głos to, co mam na końcu języka, bo nawet dla mnie brzmi to nieprawdopodobnie i groteskowo.

– Tak jakby to miejsce ją zmieniło, to masz na myśli, prawda? – dokończyła za nią Stella.

– Dokładnie tak, a więc ty też tak uważasz?

– Szczerze mówiąc, nie przeszło mi to wcześniej przez myśl, dopiero teraz, gdy to zasugerowałaś, uzmysłowiłam sobie, że masz

rację. Tylko ja te zmiany kładłam na karb zmęczenia i przepracowania. Wsiąkła w ten projekt bez reszty. Wydawało mi się, że to dlatego, że jest perfekcjonistką i że zależy jej na czasie... Ale teraz... teraz...

– To wygląda trochę tak, jakby ten budynek przejął nad nią kontrolę. Zmienił ją. Urobił na swoją modłę – wyręczyła ją Julka.

– Brrr, mam dreszcze! Jednak chyba fantazja nas poniosła. Przynajmniej lepiej tak załóżmy i przyjmijmy, że to kasa ją zmieniła. Zawsze lubiła mieć. I pieniądze, i najlepsze ciuchy, i władzę absolutną. I to wystarczyło, żadne upiorne domostwa nie musiały w tym maczać swoich kościstych dachówek...

– Niech ci będzie, nie będę się z tobą kłócić, bo właściwie wolę opętanie kasą niż jakiegokolwiek inne – skapitulowała bez żalu, ale też bez większego przekonania Julka. – Ale absolutnie nie zgadzam się z tym, żeby nic z nią nie robić.

– A co proponujesz? Wywiezienie jej za miasto i porzucenie w ciemnym lesie?

– Brzmi o wiele sensowniej niż nic! Tylko ja bym ją jeszcze rozebrała do rosołu i wychłostała!

– O tak, słodkie średniowiecze, wróć! – zakpiła Stella.

– Wiesz co, to nie byłoby wcale takie głupie! To nie może ująć jej na sucho! Musi zostać ukarana!

– Tak jak w bajkach, tak? Dobro zostaje nagrodzone, zło ukarane, a paskudne wiedźmy i podłe macochy obrócone w pył. Tylko, Juleczko, życie to nie je bajka. I dobrze o tym wiesz.

– Wiem, ale nie przyjmuję do wiadomości! I na pewno tak tego nie zostawię! Jak już zdejmiesz ze mnie tę krępującą obietnicę milczenia, razem z Misiem i Melą coś wymyślimy. Zobaczysz!

– Tego się właśnie obawiam – mruknęła Stella.

– I słusznie! Pamiętasz? Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego! Ale chwilowo to zostawmy, wrócimy do tego, gdy nadejdzie odpowiedni moment, a teraz jeszcze jedna sprawa nie daje mi spokoju.

– Aha, rzeczywiście mówiłaś o dwóch pytaniach. Pierwsze dotyczyło zdradzieckiej Aldony i mojej głupoty, a drugie?

– Dotyczy tych pozostałych rzeczy, o których nie chcesz jeszcze mówić. Powiedz, że one są mniejszego kalibru niż sprawa z hotelem. Mniej problematyczne i nie tak brzemiennie w skutki, prawda?

– Hm... Jeżeli wolno mi skrzyżować palce przed odpowiedzią, to mogłabym cię uspokoić... Ale domyślam się, że nie o to ci chodzi. I dlatego powiem ci z ręką na sercu: gdyby Aldona i brak pracy i kasy były w tej chwili moim jedynym zmartwieniem, to czułabym się beztrosko i lekko jak... jak coś najbardziej niefrasobliwego. Jak frunący w stronę słońca Ikar, zanim zorientował się, że zaraz rymśnie na dziób... – Stella nabrała duży haust powietrza i dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, że od jakiegoś czasu stoi przed swoją furtką. Nawet nie zauważyła, kiedy dotarła pod dom.

– A niech to diabli, Stello! Co tam się w takim razie nawyprawiało? Ty kręcisz, karty kręcą...

– Ej, nie taka była umowa – przerwała jej bezpardonowo Stella. – Obiecałaś nie dociekać. Ja odpowiedziałam na twoje pytanie szczerze i szczegółowo. Obiecuję, że za kilka dni wyznam wam – tobie, Beniaminowi i Meli – wszystko. Jak na spowiedzi, masz moje słowo – dodała, przyciskając telefon do ucha ramieniem i grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kluczy. – A teraz zmieńmy chwilowo temat, bo ten ze mną w roli głównej już się wyczerpał, a jest jeszcze taka jedna sprawa niecierpiąca zwłoki. Jak tam twoja wiedza na temat akwareli? – zawiesiła wyczekująco głos.

– Ooo, nie znoszę takich niby-niewinnych pytań, bo zazwyczaj okazują się podchwytliwe i problematyczne... I mam nadzieję, że to nie jest nieudolna próba odwrócenia mojej uwagi – mruknęła po chwili ciszy Julka.

– A nawet gdyby, to chyba nie jest karalne... Ale tym razem to pytanie naprawdę musiało paść. – W końcu wygrzebała klucze i weszła na podwórko, a potem do domu. – I nie ma w tym żadnego podstęp, nawet sobie wczoraj zanotowałam w kalendarzu, żeby zadzwonić do ciebie w tej sprawie – dodała, starannie zamykając za sobą drzwi i idąc do kuchni, gdzie na stole leżała zostawiona przez Beniamina torebka z pachnącym kusząco pieczywem.

– No niech ci będzie, a więc powiem tak: jeżeli chodzi o akwarele, jest coraz lepiej. Moi klienci, oprócz tego, że uważają mnie za

wspaniałą przepowiadaczkę przyszłości, zaczynają cenić mnie również jako znawczynię malarstwa. Właściwie to nie jest takie trudne, wystarczy umiejętnie operować fachowymi określeniami. Zresztą najlepszym dowodem jest to, że w zeszłym tygodniu opchnęłam dwa obrazy Beniamina. Szkoda, że nie wie, że to ja byłam pierwszą nabywczynią, bo mogłabym mu opowiedzieć, jaki te bohomyzy wzbudziły zachwyty... Wiesz, te smugi, te dziwne fioletowe i zielone, i te takie wypustki, które z nich wyłaziły, przedstawiłam jako zagmatwaną, wyboistą i pełną raniących cierni drogę artysty do twórczej doskonałości. Fiolet jako stany depresyjne, a zieleń jako dominującą i zwyciężającą wszystkie trudności – nadzieję. Ten obraz zatytułowałam *Droga na szczyt*. Benjamin będzie musiał mi wybaczyć ten drobny wkład w jego twórczość, ale tytuły robią robotę. Drugi nazwałam: *Zmartwychwstanie nadziei*. Wiesz, ten taki z pokręconymi, unoszącymi się w czarnej otchłani psychodelicznymi kwiatami. Pierwszy kupił ode mnie nieprzyzwoicie bogaty biznesmen, w ramach uczczenia intratnego kontraktu. Przemówiła do niego mozolna wizja wspinania się i zdobywania obranego celu, a także chlubna misja wspierania początkujących i świetnie rokujących artystów. Drugi kupiła pani Nina, powinnaś ją kojarzyć z moich opowieści, ta aktorka teatralna, miła i na swoje nieszczęście pozbawiona siły przebiccia. Ma talent, i to duży, ale jednocześnie kompletnie nie umie knuć intryg i podstępnie kopać pod innymi dołków. W jej zawodzie to bardzo utrudnia życie...

– Już wiem, to ta, która dostawała same drugoplanówki i przychodziła do ciebie, żeby utrzymywać się w wierze, że wielka rola czeka na nią tuż za rogiem...

– Ta sama. I wyobraź sobie, jakiś czas temu dostała coś większego, nawet nie dopytywałam, co dokładnie, bo sama wiesz, jak jesteś wróżką, to lepiej nie wiedzieć, żeby potem nie wyszło, że ciągniesz za język i podstępem zdobywasz informacje. Ja tam wolę dmuchać na zimne, chociaż nie jest to wcale łatwe. Szczególnie przy tych, którzy są stałymi bywalcami. Jakoś tak samo wychodzi, człowiek nawet nie wie, kiedy się zżywa, zakolegowuje i łapie się na tym, że wie o wiele więcej, niżby chciał... Doszło do tego, że bardzo

często ci moi przychodzą, siadają w fotelu albo na kanapie i zwyczajnie opowiadają mi o swoich kłopotach, nadziejach, sukcesach. Pijemy kawę albo herbatkę, oni zadają pytania i nawet nie czekają, aż wyjmę karty. Pani Hortensja, taka jedna bardzo sympatyczna babka, chyba ci o niej jeszcze nie wspominałam, ostatnio widząc, że sięgam po talię, machnęła z niecierpliwością ręką i wprost mi powiedziała, żebym dała sobie spokój i tak zwyczajnie po ludzku, od serca, jej poradziła, co bym na jej miejscu zrobiła...

– No widzisz, może ta twoja psychologia, papiery dające możliwość otwarcia gabinetu i ludzie, którzy do ciebie, ciebie nie kart – podkreśliła – przychodzą, to znak, że wrózenie mogłoby być twoim hobby, a tak na poważnie powinnaś zająć się psychoterapią... – mówiąc to, wyciągnęła z torebki bułkę, odgryzła kawałek. Podeszła do okna i uchyliła je lekko. Do wnętrza natychmiast wpadło nagrzone słońcem, pachnące świeżością i zapowiedzią wiosny powietrze.

– Oszalałaś? – Stella oczami wyobraźni zobaczyła, jak siostra z lekceważeniem wydyma usta. – Przecież nikt z tych, którzy mnie odwiedzają, wtedy by do mnie nie przyszedł! Oni nie z tych! Pójść do wróżki to zupełnie inna para kaloszy, niż iść do gabinetu specjalisty! A że u mnie często mają i jedno, i drugie... Cóż, dopóki nikt im tego nie uzmysławia, to każdy wygrywa. I ja, bo mam z czego żyć, mogąc robić to, co kocham, i oni, bo na całe szczęście, poza tym, że czytam z kart i zaglądam tam, gdzie wzrok większości nie sięga, to dodatkowo wiem, co robić w przypadkach, gdy bardziej chodzi o przeszłość niż przyszłość i inne różne życiowe naleciałości... No a teraz dodatkowo jeszcze zaczynam być wykwalifikowanym marszandem. Doprawdy, jestem człowiekiem wielu talentów, aż sama siebie podziw...

– Ano właśnie, dobrze, że wróciłyśmy do sedna – przerwała jej Stella. – Bo widzisz, obawiam się, że o ile marszandem możesz być nadal, to akwarele są już dawno nieaktualne od wczoraj...

– O nie! Nie cytuj mi tu kawałków z *Kilera*, a już szczególnie jeśli znaczą to, co przypuszczam! Nie mów mi tylko, że Benjamin znów poczuł nowe, jedyne i słuszne powołanie!

– Mogę nie mówić, co nie zmienia faktu, że teraz na topie jest olej! Bo olej to jest właśnie to! To są słowa naszego brata, który...

– Nie kończ! Błagam! I tak wiem, do czego zmierzamy! Oczywiście nie może ich nikomu wcisnąć, pies z kulawą nogą się nie interesuje jego dziełami, Beniamin ma z tego powodu doła głębokiego jak krater wulkanu i równie rozległe poczucie niezrozumienia, jego przez świat, rzecz jasna, bo przecież wyraźnie czuje, że to jest jego żywioł, jego powołanie! Oleje do niego tęsknie nawołują pośród bezsennych nocy! A co za tym idzie, ja muszę znów zainwestować w książki i podręczniki traktujące o malarstwie olejnym!

– Skąd wiedziałaś? – mruknęła rozbawiona Stella, wyjmując z torby drugą bułkę i wgryzając się w smakowicie chrupiącą skórkę.

– Bo, do cholery, z jakiegoś powodu jestem wróżką! Wyczytałam ze smug na okiennych szybach! Albo wywróżyłam z kawowych fusów! A jeszcze lepiej z maźnięć pędzlem! Albo tym razem wyjątkowo użyłam trudnej sztuki dedukcji! Nie wiesz, ile tego mamy? – zakończyła na wydechu.

– Tych olei? Nie mam pojęcia, ale obstawiam, że niezbyt wiele. O ile zdążyłam się zorientować, to faza olejna trwa od niedawna, bo przecież jak byłaś ostatnio, to jeszcze cały czas była mowa o akwarelach...

– No i już się łudziłam, że tak zostanie! Ciekawe, co będzie następne? – zastanowiła się Julka ponuro. – Zobaczysz, to będzie coś wielkiego! Ani chybi ceramika albo rzeźba i nie pozostaje nam nic innego, jak już odkładać na dłuta i młotki, i co tam jeszcze jest do tego potrzebne! I zapisać się gdzieś na zajęcia praktyczne!

– Przypominam ci, że ja jestem prawie bankrutem. Za trzy miesiące nie będę miała za co żyć. Nie przypuszczam, że będzie mnie stać na jakikolwiek kurs, o dłutach i innych rzeźbiarskich przydasiach nie wspominając.

– No chyba że pójdiesz, ale od drugiej strony... Kiedyś chyba tak właśnie było, że ubogie kobiety zarabiały pozowaniem, to będziesz pasowała jak ulał.

– Dziękuję ci, nie ma to jak dobre słowo od kochającej rodziny, przypomnę ci tylko, że zdrowe zęby też dawały sobie wyrwać

i sprzedawały bogaczom... – sarknęła Stella.

– A właśnie, bardzo dobrze się składa, że do tego wróciłaś. Znaczący nie do twoich zębów, ale uczciwie chciałam ci zakomunikować i uświadomić, że ja nie jestem tak cierpliwa jak Benjamin. Poza tym karty wczoraj wariowały. A ja im wierzę, i to bezapelacyjnie. Dlatego po szybkiej analizie i przemyśleniu sprawy nie zgadzam się na żadne długotrwałe i bezterminowe milczenie!

– Julka, bardzo cię proszę, nie zaczynaj od początku! Zresztą miałyśmy już nie wracać do mnie!

– A to, kochana, twoje, nie moje postanowienie. Zawsze byłaś wobec nas apodyktyczna... Może to wynikało z tego, że jesteś najstarsza i musiałaś nam trochę matkować? Jednak podkreślę to z całą stanowczością, to wcale nie znaczy, że do końca życia będę ci bezwolnie ulegać! Dorośliśmy, siostrzyczko, to tak na wszelki wypadek ci o tym przypominam, gdybyś nie zauważyła! I czy chcesz, czy nie, musisz czasem dla odmiany pozwolić nam zaopiekować się sobą!

– Ależ proszę bardzo! Zawsze! Byle nie w tej konkretnej, wyjątkowej sytuacji! Poza tym obiecałaś! Ja ci odpowiadam szczerze na jedno pytanie, ty dajesz mi spokojnie działać i milczyć!

– I zamierzam dotrzymać słowa. Masz ode mnie tydzień. Zauważ, że dla kogoś, kto biernie musi czekać, to jest niewyobrażalny szmat czasu, ciągnących się w nieskończoność minut i godzin! Załatw te swoje sprawy, tak jak chcesz i po swojemu. I nie mów mi, że to za mało! Bóg w takim czasie uporał się ze stworzeniem całego świata, a jakby tego nie było dość, to jeszcze jeden dzień poleniuchował. Więc i ty dasz radę. Ale potem, ledwo wybije północ kończąca siódmy dzień, sama się zwalniam z obietnicy milczenia i bierzemy z Melą i Beniaminem sprawy w swoje ręce. Rodziców nie ma co w to mieszać, bo nie ma sensu ich denerwować. Chociaż i tak w końcu będziesz musiała im jakoś powiedzieć o Aldonie i o tym, jak wystrychnęła cię na dudka. Ukryć się na dłuższą metę tego nie da. Zmiana pracy i tak dalej... Ale w tym wypadku to zastosowałabym w praktyce powiedzenie: co się odwlecze, to nie uciecze. Takie nowiny mogą poczekać. A ty na całe szczęście masz nas. Muszę ci powiedzieć, że nawet rysuje mi się pewien plan, i to

z chwili na chwilę coraz wyraźniej. I może w końcu ten niewydarzony chłop Meli na coś się przyda...

– O nie! Ja się w ogóle nie zgadzam na nic, co powiedziałaś, a już w szczególności na mieszanie w to Jacusia Zgredusia!

– A kto cię pytał o opinię? Ciebie nie można zostawić samej z tak poważnymi sprawami, bo jesteś najeżona skrupułami niczym jeż po świeżej wylinkce... Chociaż wylinka to chyba tylko gady i takie tam podobne... A jeże?

– Co z nimi? – jęknęła zrozpaczona Stella.

– W ogóle zmieniają igły?

– Julka, na litość boską, jak z tobą rozmawiam, to czuję się, jakbym właśnie kręciła się na karuzeli, i to takiej, która dopiero nabiera rozpędu! Nie nadążam za tobą, słowo daję! Aż się boję pomyśleć o tym, któredy podążają kręte ścieżki twojego umysłu! I już wiem, po kim Franio odziedziczył słowotok!

– I dlatego jest taki słodki! A właśnie, za pamięci, powiedz mojemu ulubionemu siostrzeńcowi, że go kocham nad życie i obsypię go prezentami, jak tylko przyjadę.

– Dobrze, powiem, jak tylko wróci z przedszkola, o ile nie zapomnę. – Stella potrząsnęła głową, usiłując nadążyć za skaczącą z tematu na temat siostrą.

– To raczej postaraj się pamiętać, dziecko musi czuć się kochane i wiedzieć, że ma rodzinę. A wracając do Jacusia Zgredusia, to twoje protesty są absurdalne! Jest prawnikiem? Jest! Musimy znosić jego pyszałkowatość w milczeniu z miłości do naszej siostry? Musimy! Wszystko do tego momentu się zgadza? Zgadza! No to niech choć raz się wykaże i odkupi choć w części swoje winy, aczkolwiek nie wiem, co musiałby zrobić, żeby w pełni nam zadośćuczynić! Chyba wybronić cię od kary śmierci! Albo dożywotniego więzienia.

– Przepraszam cię bardzo, ale chyba aż tak na jego odkupieniu mi nie zależy – parsknęła Stella.

– Mnie też niekoniecznie, tylko Meli mi szkoda, bo wspomnisz moje słowa, to się nie skończy dobrze. To buc nad buce. A teraz przepraszam cię bardzo, ale muszę kończyć, bo zaraz mam pierwszego klienta. Tarot – dorzuciła wyjaśniająco i w tym samym

momencie w słuchawce rozległ się dźwięk dzwonka dzwiczącego w mieszkaniu Julki.

– Jasne, to do usłyszenia później – powiedziała Stella i się rozłączyła.

Przez chwilę w zamyśleniu patrzyła przez okno, przetrawiając rozmowę z siostrą. Szczególnie te słowa o chwilowym odsunięciu rodziców od całej afery nie chciały dać jej spokoju.

– Cholera, gdyby można ich było w to nie mieszać – szepnęła do siebie.

Ale oni muszą się dowiedzieć o wszystkim. Również o tym, o czym Julka nie ma pojęcia, pomyślała. Stawka urosła, bo jak się przed momentem okazało, musi się z tym uporać najdalej w tydzień, bo znając jej w gorącej wodzie kąpaną siostrzyczkę, ta nie odpuści i nie przedłuży Stelli czasu, a potem przystąpi do realizacji własnej wizji i operacji pod kryptonimem „Zatłuc Aldonę” i nie zawaha się do tego użyć wszystkich dostępnych środków. Nie pomijając faceta Meli, którego solidarnie z resztą rodzeństwa nie cierpieli.

Jacusia Zgredusia akurat konsekwentnie i ze wszystkich sił zamierzała unikać i za nic nie planowała wtajemniczać go w swoje sprawy. Tym bardziej że wiedziała, iż w takiej sytuacji, w jakiej się znalazła, żaden prawnik, nawet najlepszy, niczego nie wskóra.

Znając życie, Aldonie wszystko ujdzie na sucho i będzie żyć jak pączek w maśle. Bo przecież tak jak Stella powiedziała Julce, rzeczywistość w niczym nie przypominała bajki. No, może z wyjątkiem złych wiedźm. Te istniały naprawdę i zazwyczaj miały się całkiem nieźle, skrzywiła się Stella i znów zerknąwszy za okno, zamarła.

Na chodniku stał facet w garniturze. Ten sam, którego kartę meldunkową oglądała dziś w pensjonacie u Paulinki. Rozpoznała go bez trudu. Cóż, nie tylko on umiał korzystać z Facebooka, Stella wcześniej wyszukała jego profil i obejrzała świeżutkie zdjęcie, które wstawił wczoraj na tle...

– Cholera, jak to możliwe, że dopiero teraz skojarzyłam – mruknęła w nagłym olśnieniu, jednocześnie przyciskając dłoń do klatki piersiowej, jakby to mogło uspokoić tłukące się szaleńczo serce.

I co to, do diabła, mogło znaczyć? Przypadek? Nie sądzę... – dodała w myślach, nie spuszczać z faceta oczu i na wszelki wypadek sięgając po odłożony na stół telefon.

Mężczyzna tymczasem obciągnął rękawy marynarki, rozejrzał się bacznie dookoła, a potem podszedł skradającym się krokiem do furtki. Stella znieruchomiła i z trudem przełknęła ślinę. Gardło miała wyschnięte na wiór. Matko jedyna, niech tylko się okaże, że tym razem nie zapomniałam przekręcić klucza, zaklinała w duchu rzeczywistość.

Nie mogła sobie za nic przypomnieć tego momentu z powrotu do domu. Zajęta rozmową z siostrą, kompletnie nie zwracała sobie głowy skupianiem się na czymś tak banalnym jak zamykanie bramki.

Ale na całe szczęście musiała zadziałać instynktownie, bo furka pod naporem silnego ramienia szczęknęła złowieszczo, ale nie ustąpiła.

Mężczyzna prychnął zirytowany i zadarł głowę, obrzucając analitycznym spojrzeniem siatkę.

No chyba nie będzie przełaził przez ogrodzenie? – pomyślała Stella, jednocześnie wybierając drżącymi palcami numer Beniamina, tak żeby w razie potrzeby móc natychmiast nacisnąć zieloną słuchawkę. I w tym samym momencie zdarzyły się dwie rzeczy jednocześnie: mężczyzna chwycił siatkę obiema rękami, ale zanim zdołał uczynić cokolwiek więcej, zza płotu sąsiedniej posesji wychyliła się rozczochrana głowa Walusiakowej.

– A czego tutaj szuka? Współczesnego Szpicbródkę udaje? – zapytała donośnym, tubalnym wręcz głosem, wbijając w intruza przeszywające, uważne spojrzenie zmrużonych oczu. – Przygruby, trochę zdiadziały i nie tak przystojny... Ale próbować zawsze warto – dodała, przekrzywiając głowę i oglądając go sobie dokładnie.

– Że co? Kogo? – zdumiony mężczyzna jak na komendę puścił siatkę i odstąpił od ogrodzenia. Widać było, że nie przywykł do takiego traktowania.

– Że co, że jak, że kogo... A co, ja niewyraźnie mówię? Takiego bandziora, co to we frakach łąził i kradł, i serca łamał. Ale ja się tak

łatwo nabrać na byle marynarkę z bazaru nie dam! Nie ze mną te numery! Wilka w owczej skórze na kilometr wyczuwam!

– Mój Armani z najnowszej kolekcji z bazaru! Świat się kończy – zatchnął się tamten, a Stelli niespodziewanie zachciało się śmiać i pogratulowała sobie w duchu, że uchyliła wcześniej okno, dzięki czemu teraz mogła dokładnie słyszeć każde słowo z toczącej się na zewnątrz rozmowy.

A potem pomyślała, że wybacza Walusiakowej wszystkie dotychczasowe wścibskie występy i awansem kilka kolejnych. I że w sumie to nawet lubi tę poczciwinę i nie wie, dlaczego ta kobiecina tak ją do tej pory drażniła.

– No i sam przyznał, że z kolekcji z bazaru! No to po co te nerwy? W takim Armanim to u nas co drugi chłop chodzi! – parsknęła ironicznie Walusiakowa.

– Ja przyznałem? Kiedy? – Facet wybałuszył na nią oczy.

– No przecież na własne uszy słyszałam: mój Armani z najnowszej kolekcji z bazaru. Tak przed momentem mówił. Wymskło się, co? – Uniosła wysoko brwi. – Ale teraz dość żartów. Niech lepiej bierze nogi za pas i stąd idzie, i nie wraca! Bo jak nie, to policję wezwę! Jeszcze tak nie było, żeby pod moim nosem ktoś porządnych ludzi okradał! Wstydu nie ma za grosz, żeby tak w biały dzień, na oczach! Szpicbródka albo ten, co z łukiem latał po lasach, to przynajmniej tyle przyzwoitości mieli, że bogatych grabili i o biednych się troszczyli! A ten tu co? – zawiesiła głos i wbiła w intruza wyczekujące spojrzenie.

– Eee, droga pani, to jakaś pomyłka i ja...

– Taaa, akurat, pomyłka! Wstyd i tyle – podniosła jeszcze bardziej głos i Stella była przekonana, że teraz Walusiakową słyszać co najmniej na połowę ulicy. – Żeby na porządnych, walczących codziennie o byt ludzi się zasadać! Po moim trupie! Jak wezmę miotłę – złapała to, co miała pod ręką, czyli oparte o siatkę grabie – to skórę przetrzępię, tak że ten tani Armani w strzępkach zostanie – pokrzykując, zrobiła kilka energicznych kroków w kierunku swojej furtki.

– Wariatka! Jak Boga kocham, peron paniusi to już dawno odjechał! – krzyknął mężczyzna, jednocześnie odskakując jak

najdalej od ogrodzenia. A potem odwrócił się tak gwałtownie, że poły marynarki aż załopotwały, i nie oglądając się, pognął przed siebie.

Aż do momentu, gdy zniknął za rogiem, towarzyszyło mu gniewne pokrzykiwanie zaciętrzewionej sąsiadki.

Stella obserwowała rozgrywającą się za oknem scenę z zapartym tchem. I z niedowierzaniem.

Choroba, nie podejrzewałam Walusiakowej o taki hart ducha, pomyślała. I o to, że będzie mnie bronić jak lwica! I to po tym, jak jej rano nagadałam! Jednak chyba naprawdę będę musiała zmienić o niej zdanie!

– No! Załatwione! – W tym samym momencie powiedziała do siebie Walusiakowa, odstawiając grabie na ich poprzednie miejsce pod płotem. – Pijaczka nie pijaczka, ale nasza! No i jednak samotna matka – dodała z westchnieniem, otrzepując ręce, a Stella stwierdziła, że jednak chyba przesadziła z tą pocziwiną.

A potem obiecała sobie w duchu, że jak najszybciej sprawi sobie psa. Albo najlepiej dwa. I założy alarm. I kamerę. I zmieni furtkę na taką, która zatrzaskuje się automatycznie. Bo przecież następnym razem Walusiakowa może nie wystarczyć...

– A teraz przede wszystkim przestanę panikować – mruknęła, biorąc głęboki oddech. – Czas najwyższy!

Bo co to w ogóle było! – zbeształa się w duchu. Ten paraliż, który ją owładnął? Zamiast się bezwolnie gapić, jak ten tam usiłuje sforsować ogrodzenie, powinna była zadzwonić po policję albo po Marcina ze straży miejskiej. Przyjechałyby natychmiast i nie zadając zbędnych pytań, załatwiłyby sprawę. Właściwie wystarczyłoby, żeby wysiadł z samochodu. Był wielki i masywny i nikt przy zdrowych zmysłach nie pragnął wchodzić z nim konflikt ani wprawiać go w irytację. A ona co? Tkwiała przy oknie, gryząc palce i trzęsąc się ze strachu! I gdyby nie Walusiakowa, to kto wie, czy bezwolnie niczym to ciele nie patrzyłaby, jak tamten włązi jej do domu!

Kompletnie mi odbiło! Gdzie mój instynkt samozachowawczy? Jeszcze tak naprawdę nie stanęłam z nim oko w oko, a już dałam się zastraszyć, dotarło do niej. Ale na całe szczęście on o tym nie wie. I się nie dowie. A ona z kolei ma świadomość tego, co się z nią

działo, i za nic po raz kolejny do czegoś podobnego nie dopuści! A poza tym zyskała to, na czym jej zależało: niezbitą pewność, że nie ma mowy o żadnym przypadku i że cholerny Henryczek czegoś chce. I z całą pewnością tego nie dostanie. Chyba że po jej trupie! I już nigdy jej nie przestraszy!

– Nigdy! – wyszeptała z mocą i sięgnęła po komórkę. – Benjamin? – powiedziała po chwili, gdy usłyszała w telefonie głos brata. – Posłuchaj, ja ci już pisałam, żebyś jednak odebrał Frania... I wiesz co, proszę mam. Zabierz go dzisiaj do siebie, co? Chciałabym pójść do sióstr po tort bez niego... Czemu? Bo wydaje mi się, że one mają mi coś konkretnego do przekazania i że nie będą mogły mówić wprost przy małym. Chyba chodzi o tego gościa, który wypytywał o nas w przedszkolu – dodała ku swojemu zdumieniu, bo początkowo nie zamierzała o tym wspominać.

Ale może to i dobrze, że tak wyszło, niech Benjamin na wszelki wypadek wie choć w zarysie, co tu się dzieje, bo ktoś powinien, pomyślała.

– To ja ci bardzo dziękuję i dam znać, jak będę wracać. To mnie zgarniesz, bo to przecież po drodze – dodała i usłyszała, jak jej brat wypuszcza wstrzymywane do tej pory powietrze.

Stella doskonale wiedziała, co oznaczał ten głęboki wydech: ulgę. Ucieszył się, że go do siebie dopuściła i że nie będzie musiał pilnować jej z ukrycia.

Julka w tym względzie miała absolutną rację. Stella była najstarsza i naturalną kolejną rzeczą przywykła, że to ona się o wszystkich troszczy. Ale teraz sytuacja się zmieniła i to ona potrzebowała wsparcia. Benjamin i tak już się martwił od momentu, gdy przeczytał list napisany przez wychowawczynię Frania. I podłością byłoby dokładanie mu trosk. A jej bezsensowne chojrakowanie prowadziło prościutko do narażania siebie i Franka na niebezpieczeństwo. Nie miała pojęcia, czy było duże, czy małe. I czego może chcieć od niej ten podlec Henryk. Ale tak czy siak ryzyko, i to całkiem realne, istniało. Nosiło garnitur od Armaniego i wystawało pod przedszkolem jej synka i pod ich domem. Ale na całe szczęście nie była z tym sama.

Jak to Julka powiedziała? W końcu wszyscy już dorośli i czasami powinna im pozwolić dla odmiany zatroszczyć się o nią. I w tym momencie postanowiła posłuchać swojej młodszej siostry. Bo tylko głupiec odmawia, gdy mądry proponuje. Nawet jeżeli ten mądry ma mniej lat i wróży z kart.

Późnym popołudniem, które powoli przechodziło w wieczór...

Późnym popołudniem, które powoli przechodziło w wieczór, Stella pospieszyła na rynek. Siostry Kazimierczakówny czekały na nią w swoim mieszkaniu. Piekarnia zajmowała parter kamienicy, a na górze, na dwóch obszernych piętrach, mieszkała cała rodzina Kazimierczaków. Tak było od zawsze, już najstarsi mieszkańcy miasteczka kojarzyli ten budynek z piekarską rodziną. Ich babki i dziadkowie również. Ciasta i chleby od Kazimierczaków od pokoleń uświetniały wszelkie rodzinne uroczystości mieszkańców Kotkowa. Nawet podczas wojny, gdy do domów przy rynku weszli Niemcy, wszyscy i tak nazywali ją „kamienicą Kazimierczaków”. I jakoś nikt nie wątpił, że w końcu szwaby muszą dostać łupnia, a wtedy rodzina wróci na stare śmieci, bo światem jednak musiał rządzić jakiś porządek, a jednym z jego niezmiennych punktów było to, że na dole kamienicy była piekarnia, na górze zaś dom tych, którzy sztukę wypiekania wynieśli na szczyt szczytów. Stella pamiętała jedną z opowieści wojennych babci, dotyczącą momentu, gdy do miasteczka weszła armia niemiecka i wysiedliła tych mieszkających w rynku.

– Wtedy zrozumieliśmy – opowiadała babcia – że to nie może potrwać długo. Że ani los, przeznaczenie, ani Bóg, czy jak tam różni zwą siłę, która czuwa nad nami, nie mogą pozwolić na coś takiego, na kompletne przewrócenie do góry nogami odwiecznego porządku rzeczy. Wyszli Kazimierczaków! To się w głowie nikomu nie mieściło. I dla wszystkich stało się jasne, że przesadzili. I że choćby dlatego muszą ponieść klęskę. I jak się okazało, mieliśmy rację. Nieszczęśnicy nie zdawali sobie sprawy, że tym jednym wyrzuceniem na bruk podpisali na siebie wyrok. Czara goryczy się przelała i los nie mógł obojętnie patrzeć, na to, co pod jego nosem wyprawiają.

– I to dlatego Niemcy przegrali? – pytała ją zawsze w tym momencie mała i bardzo zaaferowana Stella.

– Może nie tylko, ale na pewno miało to niebagatelne znaczenie – uśmiechała się babcia, głaszcząc wnuczkę po główce.

Przypomniawszy sobie tę historię, Stella poczuła rozrzewnienie połączone z ogromną tęsknotą. Tak bardzo brakowało jej babci Elwiry i jej przewrotnego spojrzenia na świat. Jej opowieści, które doskonale dopasowywała do uszu każdego z wnucząt. Do wrażliwości i do ich wieku. I bardzo, całym sercem żałowała, że Franio nie będzie mógł dorastać otoczony jej czułą troską. Tym światem, który nosiła pod powiekami i który grał jej w duszy starą, zapomnianą nieco melodię.

Takie dawne życie, które trąciło myszką, ale jednocześnie kusiło niedostępnym czarem, uśmiechnęła się nostalgicznie, świat, który wraz z nią odszedł. Jakże żałowała, że nie słuchała jej uważniej, że gdy dorosła, nie notowała tych wszystkich snutych przez nią historii. Nie widziała takiej potrzeby, przecież babcia zawsze była obok. A potem nagle, gdy jej zabrakło, a pamięć okazała się niewystarczająca, nie było już kogo dopytać.

A przecież mogłam namówić ją, żeby spisała dla nas to, o czym tak pięknie opowiadała, pomyślała z westchnieniem Stella.

Bo to nie tak, że niczego nie pamiętała, wprost przeciwnie, umiała odtworzyć z babcinych historii całkiem sporo. Ale to jednak nie było to samo. Nie mogła przecież spojrzeć na Kotków oczami babci. I z całą pewnością nie będzie potrafiła tak barwnie odmalować tego, co Elwirze przychodziło z zadziwiającą naturalnością.

Ale zrobię, co w mojej mocy, babciu, pomyślała teraz. Żeby Franio też podążał tymi ścieżkami, którymi ty mnie prowadziłaś i które uczyłaś mnie pamiętać – złożyła solenną obietnicę i uśmiechnęła się na myśl o opowieści o kamienicy, do której właśnie zmierzała.

Bo oczywiście doskonale zdawała sobie sprawę, jak bardzo dziecinnie i niedorzecznie brzmiała historia o wysiedleniu Kazimierczaków w kontekście przegranej Niemców. Wiedziała też, że wtedy działy się tu o wiele tragiczniejsze rzeczy. Tak samo zresztą jak w każdym innym zakątku opętanej wojną Polski. Całe

rodziny znikwały bez wieści, wiał wiatr historii i rozwiewał ludzi, ścierał ich lodowatymi, pozbawionymi uczuć podmuchami na pył. Strach kneblował innym usta, nawet szeptem bano się wspominać tych, którzy jeszcze do niedawna byli najbliższymi sąsiadami i przyjaciółmi.

Ale babcia opowiadała o tym po swojemu, wiedziała, jak oswajać dzieci z wojenną historią, która przecież była również częścią tych, którzy urodzili się później. Starannie dobierała słowa, snuła niemal baśniowe opowieści o złu, które przecież musiało zostać pokonane przez dobro. Wraz z tym, jak wnukom przybywało lat, dokładała do tych historii coraz więcej szczegółów. Zdziwiająca, ale nigdy nie padły z jej ust opisy żadnych drastycznych scen, nie było mowy o ludziach wywlekanych siłą z domów ani o tym, co potem z nimi robiono, a jednak pomimo tego Stella i jej rodzeństwo znali historie i tych, którzy wrócili na swoje miejsce, tak jak Kazimierczakowie, ale też pamiętali o tych, którzy nigdy ponownie nie stanęli w progach swoich domów, nie wyszli do ogródków, nie zapalili szabasowych świec. Pamiętali, choć przecież nie mieli szans nigdy ich zobaczyć, pozornie ich historia nie splatała się z ich życiem, bo tamci należeli do przebrzmiałej przeszłości. A jednak w opowieściach babci ożywali, znów spacerowali po uliczkach Kotkowa, zaglądali do sąsiadów z wizytą, wpadali w niedzielę do Kocura, baru, gdzie w czasach młodości babci Elwiry podawano najlepsze flaczki po kotkowski i paprykarz cielęcy z francuskimi kluseczkami. I omlet biszkoptowy z konfiturą – ten ostatni najbardziej działał na wyobraźnię, bo jawił się jako coś dla niej niedostępnego, a jednocześnie brzmiącego tak pysznie, że gdy tylko o nim pomyślała, czuła nieopanowany głód i musiała szybko przeliść ślinę. Widziała tych wszystkich nieznanymi, a jednak w jakiś przedziwny sposób bliskich ludzi, odmalowywanych plastycznie przez babcię, która prowadziła ją za rękę po dawnych ulicach Kotkowa i przedstawiała jej tych mieszkańców zaludniających najdalsze i najgłębsze zakamarki w jej pamięci. Ocalała od zapomnienia i uczyła historii. Bez zadęcia i patosu. Zwyczajnej historii. Tej najpiękniejszej, ludzkiej. Patrzącej czuymiś rozkochanymi, niebieskimi oczami, smakującej omлетem

biszkoptowym i wpadnięciem do baru na jednego. Straszącej tupotem podkutych żołnierskich butów i rozwiewającej lęki słonecznym porankiem, który nastał, gdy Kazimierczakowie wrócili do domu, a Niemcy uciekali, aż się kurzyło...

W opowieściach babci właśnie od tamtej chwili powoli wszystko wracało do życia.

Od tego momentu, gdy Kazimierczakowie wrócili do swojej kamienicy, w której mieszkali aż do dziś.

Najstarsze siostry zaanektowały dla siebie...

Najstarsze siostry zaanektowały dla siebie sporą część pierwszego piętra. Każda miała swoją sypialnię z przylegającymi do nich gotowalniami, jak zwykła nazywać te malutkie pomieszczenia Misia. To były ich prywatne pokoje. Gości przyjmowały w obszernym salonie, urządzonego tak, że wchodząc do niego, miało się wrażenie, że czas się cofnął i że wprost z dwudziestego pierwszego wieku jakimś niepojętym sposobem wpadło się w wiek dziewiętnasty, a może nawet i dawniejszy. Przy jednej ze ścian pysznił się empirowy biały piec na ozdobnych nóżkach, zwieńczony figurą orła z rozpostartymi skrzydłami, mahoniowe fotele obite pluszem w przepięknym kolorze butelkowej zieleni zapraszały do tego, by się w nie wtulić, odchylić głowę i zapatrzeć w okna obramowane draperiami z białego muślinu, obszytego zielonymi frędzlami. Firany podtrzymywane były przez brązowe koła, które przechodziły przez rzeźbione lwie paszcze. W rogu stała gustowna biblioteczka z fazowanymi szybkami, zza których widać było grzbiety starych książek. Część z nich oprawiono w półskórek o złożonych brzegach, a część w pąsowy safian. Poza tym tuż obok foteli stały okrągły stolik na rzeźbionej masywnej nodze i zgrabna pluszowa sofa, która choć wyróżniała się bordowym kolorem i pochodziła z innego kompletu, wpasowała się tu idealnie i widać było, że doskonale się czuje w tym całym wiekowym towarzystwie.

Choć Stella bywała już u sióstr, to tak jak zawsze przy każdej poprzedniej wizycie, tak i teraz poczuła absurdalne zaskoczenie, że Alina i Misia ubrane są całkiem współcześnie. Biorąc pod uwagę wystrój saloniku i reszty mieszkania, rzeczywiście można było ulec złudnemu wrażeniu, że po przekroczeniu progu w jakiś czarodziejski sposób zmieni się również strój zarówno domowników, jak i odwiedzających.

Teraz też Stella z lekkim zakłopotaniem zerknęła na swoje dzinsy i nieco powyciągany sweter i siadając w jednym ze wskazanych

przez siostry foteli, pogładziła go przepaszająco po pluszowym podłokietniku. Biedny, zakotwiczony w dawnych czasach długich sukien, jedwabi i koronek, musiał czuć się potwornie niekomfortowo w zetknięciu z szorstkim dżinssem.

Siostry ubrane w materiałowe spodnie i długie powłóczyste swetry zdawały się nie mieć takich dylematów, umościły się wygodnie w swoich fotelach i spojrzały na Stellę wyczekująco.

W saloniku zapadła dziwna, nabrzmiała oczekiwaniem cisza, przerywana jedynie cykaniem stojącego na przytulonej do ściany konsolce stareńkiego kominkowego zegara, zdobionego na szczycie napoleońskim orłem.

– No to przyszłam po ten tort. Szwarzwaldzki. Ten, o którym miałam nie zapomnieć i którego nie zamawiałam – przemówiła w końcu Stella i poruszyła się niespokojnie, speszona baczным spojrzeniem dwóch par oczu, które ani na chwilę się od niej nie odrywały.

– Taaak, dobrze, że przyszłaś – pierwsza przemówiła Misia, po czym wstała i poszła do kuchni, z której wróciła, niosąc przed sobą ogromny tort.

Pysznił się białymi chmurami kremu, wiśnie tworzyły misterny wzór i jak to zwykle bywało z wypiekami Kazimierczaków, cały był bezapelacyjnym wielkim dziełem sztuki. Jedna tylko rzecz wyglądała nieco dziwnie i z miejsca zwracała uwagę: ustawione na środku marcepanowe figurki. Nie pasowały do tego białego zwiewnego kremu, odstawały od zarumienionych policzków wiśni, ale niewątpliwie zostały tam umieszczone celowo.

Stella spojrzała na tort, potem przeniosła zdumiony wzrok na siostry i pochyliła się w kierunku stolika, na którym Misia umieściła ciasto. Przechyliła głowę tak, żeby móc lepiej się przyjrzeć marcepanowym postaciom. Przedstawiały mężczyzn i były wykonane z niesamowitą dbałością o szczegóły. Na pierwszy rzut oka było widać, że jeden z nich jest starszy, a drugi młodszy. Mikroskopijna twarz tego starszego miała widoczne zmarszczki na czole. Marcepanowe brwi marszczyły się posępnie, nadając twarzy nieprzyjemny, odpychający wyraz. Garnitur zaś był zrobiony tak precyzyjnie, że Stella bez trudu rozpoznała w tym gościu faceta,

który czaił się pod jej domem. Druga figurka też przedstawiała mężczyznę. Młodszego i kompletnie jej nieznanego, choć domyślała się, kim jest. Ale chociaż rozpoznała postacie, nadal nie mogła zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Wybaczcie mi, pani Misiu, pani Alino, ale ja naprawdę nie wiem, co to ma znaczyć – powiedziała w końcu.

– Nie wie – mruknęła Alina, patrząc na Misię znacząco.

– No jak nie wie, to nie wie. Chociaż dobrze by było wiedzieć, czy nie wie zupełnie, czy tylko trochę. – Wyraźnie zafrasowana Misia pokiwała głową.

– Wie całkiem sporo. – Stella automatycznie dostosowała się do wypowiedzi siostr i zaczęła mówić o sobie w osobie trzeciej. – Wiem też, że pani, pani Alino, bardzo zainteresowała się tym starszym, o wiele bardziej niż młodszym, i doskonale zdaje sobie sprawę, kim on jest, bo zajrzała pani do komputera Paulinki...

– Podstępnie. – Donośny głos Pauliny zabrzmiał niczym wystrzał z armaty, wprawiając wszystkich w konsternację. – Domyśliłam się dopiero dziś, kiedy Stella do mnie przysłała z... – przerwała zakłopotana, bo pod zdumionym i przygważdżającym spojrzeniem siostr nagle straciła całą pewność siebie.

– Z pewną sprawą – dokończyła za nią pospiesznie Stella, która błyskawicznie otrząsnęła się z zaskoczenia. – A tak abstrahując od tematu rozmowy, to skąd ty się tutaj, na litość boską, wzięłaś? Pojawiałaś się bezszelestnie niczym duch!

– No proszę, widać nie tylko mnie to zaintrygowało – przemówiła starsza z siostr, która widać pierwsza doszła do siebie po zjawieniu się niespodziewanego gościa. – A skoro, moje dziecko, wspomniałaś o podstępności, to zawsze tak nomen omen podstępnie zakradasz się do czyichś domów i podsłuchujesz czy to wyjątkowa sytuacja? – Alina zmrużyła oczy.

– Przepraszam, ale dzwonek nie działał, no to pukałam i pukałam, ale mnie nie słyszałyście, to w końcu nacisnęłam klamkę, drzwi były otwarte i weszłam. – Paulina w geście bezradności rozłożyła ręce.

– Dla przyzwoitości mogłaś przynajmniej kasznąć albo chrząknąć, ewentualnie chrumknąć... – burknęła Misia. – To nieetyczne czaić się w progu i strzyc uszami!

– Niczym nie strzygłam! A stałam zaledwie chwilę i usłyszałam tylko ostatnie zdanie. I przepraszam bardzo, ale wypraszam sobie te insynuacje, bo może i nie chrząkałam, ale to ja odezwałam się pierwsza!

– Fakt, punkt dla ciebie – przyznała jej Misia.

– No, same panie widzą! – Paulinka odetchnęła z widoczną ulgą. – Ale pośrednio macie rację, przyszłam tu zasięgnąć języka. – Widać sytuacja jej ciążyła i chciała sprawę wyjaśnić do końca. – Chcę wreszcie się dowiedzieć, w jaką kabałę zostałam wpakowana! Ale nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby podsłuchiwać albo podstępnie wydobywać z was informacje – podkreśliła raz jeszcze. – Wiedziałam, że Stella ma tu być i że ta wizyta jest jakoś związana z tymi dwoma, co mieszkają u nas. I ja was z góry przepraszam... Co ja właściwie mówię! Nie przepraszam, bo nie mam za co! Zwyczajnie muszę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi i kogo mam pod swoim dachem, i nie ruszę się stąd, dopóki się tego nie dowiem! Bo wystraszyłaś mnie dziś porządnie – zwróciła się do Stelli. – Wiem, wiem, niby mówiłaś, że to nic takiego i że nawet jeżeli o coś im chodzi, to na pewno nie o mnie, tylko o ciebie. I usiłowałaś sprawiać wrażenie, jakby to nie miało wielkiego znaczenia. Ale ja tego nie kupuję! Rozumiecie? Tu nic się ze sobą nie zgadza! Gdyby to było takie NIC, NIC, to pani, pani Alino, nie inwigilowałyby mojego komputera, a ty – spojrzała znacząco na Stellę – byś mnie o tych facetów nie wypytywała! A z kolei żaden z nich nie chciałby cię śledzić! A przynajmniej jeden miał taki zamiar! Wściekł się jak diabli, gdy okazało się, że mu zniknęłaś z oczu! Rzucił nawet wiaderkiem z kacuzzkami, jednej do tej pory nie mogę znaleźć...

– Jakimi kacuzzkami? – Misia nie lubiła być niedoinformowana.

– Gumowymi, nieważne. Tak powiedziałam z rozpędu, bo mi się przypomniało! Ale to akurat nie ma znaczenia! Kacuzzki znalazły się w tej historii przez przypadek. W przeciwieństwie do mnie, bo skoro nie prosząc o to, zostałam wciągnięta w środek tego niezrozumiałego bałaganu, to wybaczenie, powiem to jeszcze raz, muszę wiedzieć, w co się wmieszałam, a w zasadzie, w co wy mnie

wmieszałyście – zakończyła na wydechu i potarła purpurowe od emocji policzki.

– No, no, a ja myślałam, że ty jesteś taka cicha, potulna myszka – zacmokała z podziwem Alina. – A tu proszę, pomyliłam się! Temperamencik aż miło!

– Poczekajcie, nie odbiegajmy od tematu – wtrąciła Stella, unosząc się z fotela. – Bo wszystkie cztery lubimy mówić, wplatać dygresje i tak dalej, i tak dalej. I jeżeli damy tej dyskusji popłynąć wolno i swobodnie, to do konkretów dotrzemy rano! Zacznijmy od tego, skąd na litość wszystkiego, wiedziałaś, że tu będę? – zwróciła się do Pauliny, postanowiwszy samowolnie przejąć ster.

– Bo miałaś dziś pod wieczór odebrać tort. Sama mi o tym wspomniałaś. I to już dało mi do myślenia, bo od kiedy zamówione wypieki odbiera się u pań w domu? – Spojrzała przelotnie na siostry, a potem przeniosła wzrok na pyszniący się na środku stolika tort i na jej twarzy odmalowało się skonsternowanie. – Coś takiego, a jednak tort jest – mruknęła, marszcząc brwi.

– Widać od czasu do czasu robimy wyjątki – uśmiechnęła się uprzejmie Misia, a w jej oczach zamigotały figlarne iskierki.

No proszę, najwidoczniej siostry doskonale się bawią, skonstatowała Stella. Ale w sumie nie było w tym nic tak bardzo dziwnego. Nie od dziś było wiadomo, że najstarsze siostry Kazimierczakówny uwielbiały, żeby działo się dużo i intensywnie. A tu sytuacja z minuty na minutę się coraz bardziej komplikowała i gmatwała, i z perspektywy Aliny i Misi musiała wyglądać obiecująco.

– Mniejsza o większość. – Paulinka machnęła ręką i widać było, że postanowiła nie dać się zbić z pantafelku. – Pomijając miejsce i czas odbioru ciasta, to skojarzyłam cię i twoje zainteresowanie naszymi gośćmi z dziwnym zachowaniem pani Aliny i tym tortem, którego przecież wcale nie zamawiałaś. – Paulina spojrzała wymownie na Stellę. – No i wyszło mi, że jeżeli mam się czegoś dowiedzieć, to tylko tu i teraz, gdy zebrałyście się wszystkie razem. No to przyszedłam.

– No to może skoro przyszedłaś i jesteś, to w takim razie usiądziesz. – Z braku wolnych foteli Misia wskazała jej sofę. – Tylko bardziej

z prawej strony, z lewej wyskakują sprężyny... Tam sadzamy tylko tych, których nie lubimy – dodała z szelmowskim uśmiechem. – Napijemy się herbatki? – zaproponowała następnie.

– Może później. W tej chwili nie jestem w stanie niczego przełknąć – mruknęła Stella, myśląc, że obecność Paulinki mocno skomplikowała jej życie.

Początkowo zamierzała z siostrami porozmawiać od serca, nie bawiąc się w niedomówienia i zagadki, ale teraz wiedziała już, że absolutnie nie może mówić wprost. Paulina nie powinna dowiedzieć się wszystkiego.

Mam nadzieję, że i Misia, i Alina też są tego świadome, pomyślała w nagłym popłochu.

Nie miała wprawdzie pojęcia, co siostry wiedzą, ale o tym, że wiedziały na tyle dużo, by w razie jakiejś nieprzemyślanej uwagi skomplikować jej życie, była przekonana.

– To zacznijmy od tej całej tortowej maskarady... Po co ta słodka przykrywka? – Stella zdecydowała, że nie ma na co czekać i pora przejść do konkretów.

– Bo chciałyśmy ci dać znak. – Alina wzruszyła ramionami. – Wiedziałyśmy, kto przyjechał do pensjonatu Gąsików. I że będą z tego kłopoty. Chociaż mówiąc szczerze, początkowo nie byliśmy pewne... Ale wiedziałyśmy, że to zagraniczny gość, z Niemiec...

– Chciałyśmy cię nakierować tym szwarcwaldzkim – dorzuciła Misia. – Wtedy pomysł wydawał nam się dobry, ale teraz, jak na to patrzę z perspektywy czasu, to rzeczywiście bez odwoływania się do tego, co już wiedziałyśmy, można było nie wpaść, o co nam idzie – przyznała.

– No rzeczywiście było raczej trudno, choć w końcu tę wzmiankę o zagranicznych gościach rozgryzłam. – To, że wpadła na to dopiero po tym, jak dostała list od wychowawczyni Frania, rozsądnie pominęła.

– No właśnie, Paulinka, oni mają to samo nazwisko, ale nie mogę dociec, to jest ojciec i syn czy raczej bracia? – zwróciła się do młodej Gąsikowej Alina.

– Nie mam pojęcia. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Stawiałabym raczej na braci, bo mówią do siebie po imieniu, ale

pewności mieć nie można, bo nie takie rzeczy widziałam przez te wszystkie lata pracy z ludźmi. W końcu może być i tak, że syn nie mówi do niego „tato”. Ale mi się wydaje, że kimkolwiek oni dla siebie są, to Antoni, ten młodszy, nie bardzo przepada za starszym. Nie wiem, jakie mają plany i czy łączy ich coś zawodowo, czy prywatnie, ale stawiałabym bardziej na interesy, albo konkretną sprawę do załatwienia, ale na pewno nie na sympatię. I skoro już o tym mówimy, to chciałam wprost zapytać: czy to ty jesteś tym potencjalnym interesem? – Skinęła głową w kierunku Stelli.

– No raczej... – zaczęła wolno Misia.

– No raczej, że tak – przerwała jej prędko Stella, jednocześnie posyłając siostrze znaczące spojrzenie i lekko, prawie niezauważalnie, pokręciła głową.

Zrozumiały w lot, ale jednocześnie nie wiedziały, czego Stella od nich oczekuje i ile mogą mówić, więc skonsternowane na moment zamilkły.

– No to może kontynuuj? – Paulinka pochyliła się w kierunku Stelli. – Czego oni od ciebie chcą? To musi być naprawdę coś wielkiego, skoro wynajęli u mnie pokoje na trzy miesiące z możliwością przedłużenia o kolejne dwa – dorzuciła.

– O cholera, trzy miesiące? – wyrwało się Stelli.

– Albo pięć – doprecyzowała Paulinka.

– A bo to pewnie jest powiązane z pracą. – Alina w końcu odzyskała głos i pospieszyła Stelli na ratunek. – I Aldoną. I samą Stellą oczywiście... Nie ma co tego dłużej ukrywać, skoro domyśliłaś się tyle, to lepiej będzie, jeżeli usłyszysz od nas resztę – dorzuciła, patrząc Paulince prosto w oczy. – Nie wiem tylko, od czego zacząć, żeby było prosto i klarownie... – zawiesiła na moment głos.

– Chyba najłatwiej będzie od początku – poradziła jej życzliwie Paulinka.

– Cały szkopuł polega na tym, że nie wiem, gdzie jest ten właściwy początek. Ale jedno jest pewne, to Stella odgrywa tu główną rolę. Swego czasu załazła starszemu, temu całemu Henrykowi – wypowiadając jego imię, Alina wzdrygnęła się nieznacznie – za skórę. Bo on już kiedyś był w Kotkowie. Przyjechał tu... Nie pamiętam dokładnie. Kilka lat temu. Już wtedy zawodowo

związany był z budowlanką... I to był ten czas, kiedy zaczęło się coś dziać z tym starym sanatorium, co to teraz zostało hotelem...

– A, tym twoim i Aldony – bardziej stwierdziła niż spytała Paulinka. – Czyli to musiało być wtedy, jak postanowiliście działać razem. Bo przecież wcześniej nikt tym miejscem się nie interesował i popadało w ruinę. Dopiero wy to zmieniliście – mówiła powoli i widać było, że w ten sposób układa sobie w głowie to, co właśnie usłyszała. – Ja wtedy pojechałam z Piotrkim na rok do Francji. Wtedy dostaliśmy pracę w pięciogwiazdkowym hotelu. Nie wiem, czy wiecie, ale to był taki moment, że nad naszym pensjonatem wisiała groźba bankructwa, gdyby nie ta zagraniczna praca, a właściwie moja pensja, i to, że naprawdę dużo się tam nauczyłam, nie wiem, czy wyszlibyśmy z tego obronną ręką... – Zamyśliła się. – Ale poczekajcie, bo ja tutaj oddaję się wspominkom i odbiegłam od tematu, a przecież nadal nie rozumiem... Jak Stella mogła zająć za skórę komuś, kto przyjechał... No właśnie, po co? Najpewniej do pracy, bo któraś z pań wspomniała przecież, że ma coś wspólnego z budowlanką. – Obrzuciła siostry uważnym spojrzeniem. – Ale to nadal nie wyjaśnia, co on ma do ciebie, Stello. – Zmarszczyła z namysłem brwi.

Stella przełknęła głośno ślinę i pomyślała, że też chciałaby to wiedzieć. Do głowy nie przychodziło jej kompletnie nic, co mogłoby pomóc w skojarzeniu, do czego w swojej opowieści dążyła Alina.

– Ma, bo Stella doprowadziła do tego, że musiał zwinąć manatki i jak niepyszny uciekać z Kotkowa. – Na całe szczęście siostra podjęła opowieść. – Miał pracować przy projekcie przebudowy sanatorium, ale wyobraź sobie, zaczął dobierać się do jednej z dziewczyn, które tam pracowały, nietutejszej, nawet nie pamiętam teraz, jak miała na imię. Jak tam pomiędzy nimi, w sensie nią i tym gburem, na początku było, to nie wiem, przypuszczam, że panna nie była mu niechętna i wdała się z nim w romans. Tacy jak on potrafią nieźle namieszać w głowie obietnicami pięknego życia w luksusie i bogactwie, a jak co do czego przychodzi...

– To dają nogi za pas. – Paulinka pokiwała ze zrozumieniem głową. – Ale nadal nie widzę związku ze Stellą...

– Gdybyś nie przerywała nieustająco, to może już byś widziała, panno raptusińska – sarknęła Misia. – Co nagle, to po diable, daj Alinie spokojnie mówić!

– Ale, ale... Właściwie to czemu panie mi to opowiadają? – Paulinka nagle stała się podejrzliwa. – A Stella, której ponoć dotyczy ta historia, milczy jak zaklęta?

– A to we własnym domu będzie mi ktoś odbierał prawo do mówienia? – Alina aż uniosła się z fotela i wzięła pod boki. – A poza tym nie przyszło ci przypadkiem do głowy, że dla niej – spojrzała wymownie na Stellę – to wcale nie musi być łatwe? Pewnie, że nie przyszło, bo nie wiesz, czym to się skończy! – Sama z przekąsem odpowiedziała na zadane przez siebie pytanie, nie dopuściwszy Paulinki do głosu. – No właśnie! A więc teraz słuchaj, postaram się streszczać, bo szczerze mówiąc, dość mam już tego przesłuchania i gdyby nie to, że może rzeczywiście powinnaś wiedzieć, z kim masz do czynienia, bo w końcu oni mieszkają u ciebie i u twoich rodziców, to w ogóle bym ci nic nie powiedziała! Działasz mi na nerwy swoją podejrzliwością! Kto to widział, żeby smarkateria zwracała mi uwagę, świat się kończy! – fuknęła porządnie zirytowana, a obserwująca to wszystko Stella mimowolnie poczuła podziw dla umiejętności konfabulacji i kunsztu aktorskiego obu siostr. – Ale sytuacja jest jaka jest i tylko dlatego ten jeden jedyny raz puszczę w niepamięć prawie obraźliwe insynuacje... To na czym w końcu stanęło? Wybiłam się z rytmu... – Alina w najlepszym stylu wracała do snucia opowieści.

– Na tym, że jak co do czego przyszło, no wiesz, w związku z tym podlecem... – podsunęła jej Misia.

– A tak, rzeczywiście. A więc panna wpadła po uszy, wdała się z nim w romans, a potem okazało się, że niestety będą tego konsekwencje. – Słyszac ostatnie słowa Aliny, Stella zamarła i pobladała.

– Czyli zaszła w ciążę, ta dziewczyna – domyśliła się Paulinka.

– Zaszła, a jak Henryk się dowiedział i usłyszał, że nie zamierza pozbywać się problemu, to pobił ją prawie do nieprzytomności. – Gdy Alina kończyła opowieść, głos jej zadrzał, a dłonie zacisnęły na poręczach fotela tak, że jej długie, smukłe palce pobielały.

Niespodziewająca się kompletnie takiego rozwoju sytuacji Stella zrobiła się niemal przezroczyta, a w jej oczach zalśniły zdradliwe łzy. W głowie miała taki mętlik, że zupełnie nie wiedziała, co ma myśleć o tym, co tu się właśnie wydarzyło. I czy powinna na Kazimierczaków być zła, czy raczej odczuwać w stosunku do nich wdzięczność.

– Stella o tym wiedziała, bo to ona znalazła tę skatowaną małą, to ona uratowała i ją, i dziecko, bo gdyby trafili do szpitala później, to nie wiadomo, jak by się to skończyło. Ale nie udało się jej przekonać tej dziewczyny, żeby wniosła oskarżenie. Bała się, wręcz wariowała ze strachu, i w sumie nie można jej za to winić ani tym bardziej oceniać. I jedyne, co można było zrobić, to doprowadzić do tego, żeby ten skurwiol, przepraszam za wyrażenie, przeraził się tak, żeby uciekał stąd jak niepyszny i bał się wracać. I Stella do tego doprowadziła, umiejętnie go postraszyła i ten szantaż w dobrej wierze działał aż do teraz – zakończyła Misia, a Stella poczuła narastającą panikę.

– A co się stało z tą dziewczyną? – zapytała Paulinka, popatrując na Stellę ze współczuciem przemieszonym z podziwem. Teraz rozumiała, dlaczego koleżanka nie chciała o tym mówić. To musiało być wstrząsające. No i nie dziwiło jej już zainteresowanie Stelli tym podlecem, miała prawo się bać odwetu i zemsty z jego strony.

– Wyjechała. Ale wiemy, że urodziła zdrową córeczkę – zakończyła Alina, z niepokojem patrząc na Stellę. – To teraz chyba możemy napić się herbaty, przyda nam się na uspokojenie – dorzuciła, patrząc znacząco na siostrę.

– A tak! I zanim pójdziemy dalej w tej rozmowie, to zjemy drożdżówki – podłapała w lot Misia. – Mamy przepyszne jagodzianki. Wprawdzie jagody były mrożone, ale bułeczki o tym nie wiedzą i smakują tak, jakby było już upalne lato. Pachną leśnymi zielonymi jagodziskami i słońcem.

– To ja pójde wstawić wodę i przygotować filiżanki. – Alina się podniosła. – Pomożesz mi? – zwróciła się do Stelli.

– Pewnie. – Dziewczyna przełknęła głośno ślinę i poczuła, że za moment nie zdoła opanować łez, które coraz bardziej wzbierały w jej oczach. Prawie że po omacku poszła za Aliną do kuchni, po raz

pierwszy chyba głucha i ślepa na urok mieszkania sióstr. Nawet nie spojrzała w stare kryształowe lustro, które zawsze witało ją nieco przydymionym odbiciem, które bardzo lubiła, bo przywodziło jej na myśl ten dawny świat, który kiedyś musiał odbijać się w jego tafli. Nie musnęła dłonią leżących na stoliku pod oknem starych książek, a w kuchni nie rozczuliła się na widok prostego wiejskiego stołu, który w każdej z widocznych rys przechowywał masę wspomnień. Oparła się obiema rękami o solidny drewniany blat i wzięła głęboki oddech, kątem oka rejestrując, że starsza z sióstr przymyka kuchenne drzwi.

Przez chwilę w pomieszczeniu panowała dogłębna cisza, odmierzana miarowym kapaniem wody; widać ktoś nie dokręcił kranu.

– Musisz wziąć się w garść – przemówiła w końcu Alina, wciskając w ręce Stelli dwa listki papierowego ręcznika. – I zanim zadasz mi pytanie, czemu to wszystko przedstawiłam tak, a nie inaczej, to mnie posłuchaj, i to uważnie. Trzeba było jej coś powiedzieć. Miała rację, domagając się wyjaśnień. Należały jej się po prostu. Tym bardziej że nie powodowała nią jedynie pusta ciekawość, ale troska. O siebie, o rodziców, o pensjonat, ale też o ciebie. A mnie życie nauczyło jednego: jeżeli nie możesz powiedzieć prawdy, kłam tak, żeby historia, którą komuś podajesz jako prawdziwą, była jak najbardziej zbliżona do tej autentycznej i zawierała jak najwięcej faktycznych elementów...

– Ale czemu... Nie rozumiem, dlaczego pani, pani Alino, oddała mi swoją rolę! To przecież pani, nie ja...

– Ciii, po co mówić głośno to, co obie doskonale wiemy – przerwała jej, zerkając nerwowo w kierunku drzwi. – Lepiej nie kusić losu i nie sprawdzać, czy ściany przypadkiem nie mają uszu. A co do twojego pytania... Widzisz, teraz łatwiej będzie nakłonić ją do milczenia. Po wszystkie odpowiedzi na pytania, jakie jej się nasuną, przyjdzie do ciebie. A nie jesteś, dziecko, głupia i wiesz, co robić, żeby chwilowo historia nie zatoczyła szerszych kręgów...

– Nie do końca prawdziwa historia. – Stella wytarła oczy ręcznikiem i jeszcze raz wzięła głęboki oddech. – Nie daj Boże, żeby zaczęła rozpytywać o tę dziewczynę...

– Którą doskonale znamy i która, jak doskonale obie wiemy, była dokładnie w tej sytuacji, którą opowiedziałam – przerwała jej Alina.
– I dziecko też było, i ucieczka tego tchórze. Patrząc na to w ten sposób, naprawdę niewiele minęłam się z prawdą.

– To fakt, ciekawe tylko, co teraz zrobimy... Bo po tym, co usłyszała, jest przerażona. A mnie bardzo zależy, żeby dowiedzieć się, po co on tu przyjechał... I co zamierza... I dobrze by było go zbyt wcześnie nie spłoszyć.

– I właśnie w ten sposób wyjaśnimy to Paulince. Ona cię lubi i nie jest tchórzem podszyta. Tym bardziej że tak na dobrą sprawę nie wiadomo, czy on tu rzeczywiście nie pojawił się z powodu dziwnego zbiegu okoliczności... Ale o tym porozmawiamy w salonie. Woda się zagotowała, musimy wracać. Opanowałaś się? – Alina obrzuciła ją wnikliwym spojrzeniem, podeszła i lekko uszczypnęła ją w policzki.

– No, już lepiej – stwierdziła. – Nie do twarzy ci w tej trupiej bladości, powinnaś zawsze mieć pod ręką kosmetyczkę, a w niej róż – dodała, stawiając filiżanki na srebrnej tacy. – Weź, proszę, patere z jagodziankami, stoi na szafce – dorzuciła, otwierając stopą przymknięte drzwi i idąc do salonu, gdzie w najlepsze trwała ożywiona dyskusja.

Zarumieniona Misia usiłowała przekonać do czegoś Paulinkę, która siedziała z zaciśniętymi mocno ustami i zapalczywie kręciła głową.

– Próbuję tej upartej kozie przemówić do rozumu – powitała je z wyraźną ulgą młodsza z sióstr. – W zaistniałej sytuacji nic nie możemy Henrykowi zarzucić, nic na niego nie mamy, a ona chce go wywalić na zbity pysk z pensjonatu – zraportowała krótko i posłała Alinie spojrzenie jasno mówiące: „Tym razem przesadziłaś!”.

– Posłuchaj, siostry mają rację. – Stella przysiadła na fotelu i splotła ręce na kolanach, usiłując okiełznać galopujące w głowie myśli. – Tak naprawdę nic na niego nie mamy...

– Powtarzacie mi to non stop, jakbym była głucha i głupia, i za pierwszym razem nie usłyszała, i nie pojęła! Ale słyszę i się nie zgadzam! Bo co? Tylko dlatego, że jest bezkarny, mam pozwolić, żeby takie bydlę mieszkało u nas w domu? – Głos Pauliny zawibrował tłumionym niepokojem pomieszanym ze złością. – To,

że niczego nie można mu udowodnić, nie znaczy, że można się godzić! Na... Na... Cholera, zabrakło mi z tego wszystkiego słów! Na to wszystko po prostu! Ten, kto biernie godzi się na zło, też jest współwinnym! I ja nie chcę! Nie zgadzam się! Nie będę...

– Ja też tak uważam! Naprawdę – przerwała jej Stella, czując coraz większy popłoch.

Bo było widać jak na dłoni, że wszystko wymyka się spod kontroli. Plan sióstr, zakładając oczywiście, że w ogóle jakiś miały, wydawał się nie działać.

– Ale tak jak już mówiłyśmy, nic na niego nie mamy! Powtarzam to, bo jest kluczowe – ponowiła próbę, starając się brzmieć przekonująco. – Nawet nie wiemy, po co on tu przyjechał... I dlaczego zabrał ze sobą tego... Nie wiem, syna albo brata. A właśnie, skoro jesteśmy w tym temacie, to nie wicie przypadkiem, jaki on może mieć tam interes...

Przerwała na moment i wyjęła z kieszeni dzinsów telefon. Kliknęła w ikonkę Facebooka, szybko weszła na profil Henryka i podsunęła wszystkim jego zdjęcie, które oglądała wcześniej. Elegancki i przystojny, w nienagannie skrojonym garniturze, stał na tle hotelu, z którym jeszcze do wczoraj wiązała wszystkie swoje plany.

– Dobrze, że o to zahaczyłaś, bo to dokładnie miałam na myśli, gdy mówiłam ci w kuchni, że jego przyjazd może być zupełnie niepowiązany z tą starą historią – wtrąciła Alina, obrzucając zdjęcie pobieżnym spojrzeniem.

I tu się mylisz, pomyślała Stella, ale nie powiedziała tego głośno. Gdyby nie było żadnych powiązań, nie wypytywałby o Franka, nie stałby pod moim domem...

– Bo tego akurat zdążyłyśmy się z Misią dowiedzieć. – W jej rozmyślania wdarł się głos Aliny. – On i ten młodszy, Antoni, tak? – upewniła się, zerkając na Paulinę, która kiwnęła głową – będą zajmować się pracami remontowymi w sanatorium. Syn lub brat ma się zająć zabudowaniami gospodarczymi i domkami ogrodników – zawiesiła na ułamek sekundy głos i spojrzała na Stellę przepraszająco. Widać było, że czuje się niezręcznie, poruszając ten delikatny temat.

– Ale zaraz... To dlaczego ty o tym nic nie wiesz? – Paulina zmarszczyła brwi i odwróciła głowę w kierunku Stelli. – Przecież od dawna wiadomo, że te domki to miała być twoja działka... Nie dalej niż parę dni temu opowiadałaś mi przecież o tym, jaki masz na nie plan i jak to wszystko będzie wyglądać, a ja stwierdziłam, że brzmi tak pięknie, że wynajmę sobie jeden z nich na weekend poślubny... Zakładając oczywiście, że Piotrek w końcu się ogarnie i oświadczy – dodała na wydechu. – I chcesz mi powiedzieć, że oni przyjeżdżają do hotelu, którego jesteś współwłaścicielką, a ty nic nie wiesz? Kim są i że będą z tobą pracować przy twoim własnym projekcie?

– No to mleko się rozlało – mruknęła Misia i ze współczuciem poklepała Stellę po ręce.

– No cóż... Prędzej czy później i tak by się to wydało... Nie wiem wprawdzie, skąd panie wiedziały przed wszystkimi... Ba, co ja mówię! Wszystkimi! Panie były poinformowane nawet przede mną! I nawiasem mówiąc, czekam na w miarę przystępne wyjaśnienia. – Stella zamilkła, patrząc wyczekująco na siostry.

– Matko jedyna, takiego galimatiasu to ja w życiu nie widziałam! – Paulinka patrzyła na nie z wyraźną fascynacją. – O co chodzi tym razem? Moje spokojne i nieco trącające nudą życie nagle zaczęło przypominać jakiś film szpiegowski ...

– Bardziej serial, bo szybko to się raczej nie skończy – mruknęła Stella i pomyślała, że pierwsza o tym wspomniała Paulince, mówiąc, że ta historia wypisz wymaluj przypomina szmirowatą telenowelę brazylijską. I nadal uważała, że stanowczo ma więcej z niej niż z przyzwoitej produkcji sensacyjnej.

– Jak zwał, tak zwał! Ale mamy złoczyńcę i jego tajemniczego towarzysza i jeżeli wszystko ma być zgodne ze sztuką, to zobaczycie, że ten zagadkowy znieścacka okaże się pozytywnym bohaterem. Taką odmianą księcia na białym koniu. I oto tym sposobem mamy też intrygę. Mamy siostry węszące i wciskające we wszystko swój wścib...

– No, no nie pozwalaj sobie! – przerwała jej nieco urażona Misia.

– Przepraszam, zagalopowałam się. – Paulinka zrobiła skruszoną minę. – Ale nie sądzicie, że to wygląda jak fragment czegoś, co mogłybyśmy oglądać w kinie?

– No, biorąc pod uwagę, że kultura ostatnio zesłała na psy, to rzeczywiście jest to całkiem prawdopodobne – sarknęła Alina, sięgając po jagodziankę.

– Dzięki! Właśnie pięknie podsumowałyście moje życie – mruknęła Stella. – Marność nad marnościami!

– Nie no, zupełnie nie to miałam na myśli. – Zakłopotana Alina potarła ręką czoło.

– Teraz to ja już kompletnie się pogubiłam i nie wiem, o czym tu jest mowa – westchnęła Paulina.

– I obawiam się, że jeżeli wszyscy będą wtrącać swoje trzy grosze, to prędko się nie dowiesz – uświadomiła jej Stella. – Jeżeli nie zachowamy choć szczątkowego porządku w tej rozmowie, to gwarantuję ci, że to, co i tak jest zagmatwane, zapłącze się jeszcze bardziej. I dlatego proponuję: pytanie i konkretna odpowiedź. Moje już padło: skąd wiedziałyście, że wylecę? – Konsekwentnie wróciła do tematu, wbijając przynaglające spojrzenie w siostry.

– A w tym akurat nie ma nic nadzwyczajnego ani tajemniczego. – Misia wzruszyła ramionami. – Poprzedniego dnia, przed twoim zwolnieniem – doprecyzowała – wieczorem moja przyjaciółka od...

– Naleweczki – podpowiedziała Alina z diabelskim błyskiem w oku.

– Od robótek szydełkowych. – Misia zmierzyła ją wzrokiem. – Otóż ona właśnie słyszała, jak siostra Aldony gadała jak najęta przez telefon o tym, jaka jesteś naiwna i głupia i jak prosto było cię wysiudać. I że ona teraz ma wszystko podane na tacy i nie musi nawet palcem kiwnąć, a kasę i wielki sukces zagarnie ot tak. Przepraszam, może powinnam to jakoś ładniej ubrać w słowa i nie cytować tak dokładnie...

– Cóż, to nie nowina, że delikatność nie jest twoją najmocniejszą stroną – parsknęła Alina.

– Ha, ha, ha, a to dobre! Odezwała się ta...

– Nie, nie, nie! Dość! – przerwała im stanowczo Stella, nie dopuszczając tym samym do głosu wyraźnie zszokowanej Paulinki, która właśnie nabierała głęboko powietrza w płuca i szykowałą się do zadawania kolejnych pytań. – To przekroczyło wszelkie granice! Ta nasza dyskusja przypomina piętrową, barokową mowę, w której

wszyscy już się pogubili i zapomnieli o myśli przewodniej! Teraz wszyscy milczą, a mówię ja! Spróbuję to wszystko podsumować i wyjaśnić klarownie. Miałaś rację – zwróciła się do Pauliny – gdy pytałaś, dlaczego nie wiem, że ten cały Antoni i Henryk przyjechali pracować przy hotelu i domkach. Bo na logikę powinnam być tego świadoma. Ba, powinnam ich zatrudnić, bo miało być tak, jak mówiłaś, domki ogrodników i cały kompleks parkowych zabudowań miał należeć do mnie. Ale Aldona mnie wczoraj wyrzuciła z pracy. Formalnie jej współniczką miałam zostać na dniach. Przynajmniej tak mi się wydawało. Ale widać ona miała inne plany. Krótko mówiąc, załatwiła mnie bez mydła. No i jestem bezrobotna.

– Ale przecież ty jesteś współwłaścicielką... – Paulinka wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami.

– Formalnie nie jestem. Od wczoraj nawet to słówko „formalnie” też mogę wykreślić i zostanie stan faktyczny, czyli nie jestem. Jak do tego doszło, opowiem ci kiedy indziej. Teraz nie to jest najistotniejsze. Wracając do tematu, siostry dały mi wczoraj rano do zrozumienia, że przede mną bardzo ciężki dzień. I później dotarło do mnie, że wiedziały i o przyjeździe Henryka, i o tym, co mnie czeka po przyjeździe do hotelu. I teraz po prostu chciałam się dowiedzieć tego, co jeszcze było niejasne, czyli jakim cudem weszły w posiadanie informacji o wyrzuceniu mnie z roboty. I to już wiemy. Przyjaciółka od naleweczki vel robótek szydełkowych znalazła się we właściwym miejscu i we właściwym czasie. Szkoda, że mnie tam nie było, choć w sumie nie wiem, co mogłabym zrobić... Ale abstrahując od dywagowania, co by było gdyby, to to jest właśnie odpowiedź na pytanie, dlaczego nie wiedziałam, po co przyjechało tych dwóch. A to z kolei dowodzi, że Aldona przygotowywała się do tego, żeby wyciąć mi taki numer, już od dawna. Kto wie, może od samego początku miała taki plan. Bo przecież w każdej innej sytuacji to ja załatwiałam wykonawców i podwykonawców, a przynajmniej zajmowałam się negocjacjami, papierami i umowami. Aldona tego nie cierpi. Od początku to ja byłam od kartek, segregatorów i utrzymywania w nich porządku. Potem odciążała mnie Kasia, moja sekretarka, ale i tak wszystkie ważne sprawy zatwierdzałam ja, czyli ta została specjalnie przede

mną zatajona... Ale mniejsza o to, bo to są niewarte uwagi i nic niewnoszące do tej historii szczegóły. I rzeczywiście, patrząc na to z tej strony i wiedząc to, co wiemy, chociażby długi czas rezerwacji pokoi twoich gości, Paulinko, to panie – spojrzała na siostry – mogą mieć i pewnie mają rację. Henryk i Antoni przyjechali do pracy przy hotelu. Usuwając ich, nic nie zyskasz. Wszyscy wiemy, że to nie jest wysoki sezon i kasa wam się przyd...

– A tam, wysoki sezon – weszła jej w słowo Paulina, krzywiąc się niemiłosiernie. – Jakoś do hotelu cały czas napływają goście.

– Bo tam jest SPA i sale konferencyjne, firmy organizują eventy... Zresztą, co ja ci będę tłumaczyła, sama przecież wiesz. To nie jest kwestia tego, co ty robisz, ale możliwości...

– Wiem i tak szczerze mówiąc, to w ogóle nie o tym chciałam mówić! To był tylko pretekst, żeby jakoś zacząć, nawiązać do hotelu, bo kompletnie nie wiem, jak się zachować, co powiedzieć! W głowie mi się nie mieści, że ona cię oszukała! I co ona w ogóle sobie wyobraża! Że ludzie puszcza to płazem? Kotków jaki jest, taki jest, ale w takich sytuacjach ludzie umieją stanąć po właściwej stronie, przecież ją zjedzą! I nie żeby było mi jej żal, ale po prostu nie dociera do mnie, że się na coś takiego odważyła! Zobaczysz, wszyscy staną za tobą murem! Zbojkotujemy ją – wyrzuciła z siebie zapalczywie Paulinka.

O, kochana, dobrze, że nie wiesz, z czym ona tak naprawdę mnie zostawiła, bo wtedy dopiero odjęłoby ci mowę, pomyślała Stella, a przed oczami zamigotały jej cyfry miesięcznej raty kredytu. I zapewne gdyby dotarło do wszystkich tutaj, jaka jestem głupia, toby ze mną w ogóle nie gadali, bojąc się, że takie zaawansowane zidiocenie może być zaraźliwe...

– Nie przejmuj się, bo to taka sytuacja, w której trudno coś sensownego, a jednocześnie niebędącego banałem, powiedzieć – westchnęła, wracając do rozmowy. – Sama jestem sobie winna, nie byłam dostatecznie czujna i cóż... Wpadłam w gów... – przerwała, przypomniawszy sobie o obecności Kazimierczakówien.

– No, wpadłaś, dziecko, wpadłaś w to gówno po uszy. – Misia lekko się uśmiechnęła. – I spokojnie, to, że jesteśmy stare, nie znaczy, że nie znamy brzydkich słów...

– Znaczy wręcz coś dokładnie odwrotnego. Znamy ich dużo więcej, a repertuar mamy jeszcze przedwojenny, dziadzius lubił odpowiednio dać rzeczy słowo. Był krasomówcą, szczególnie gdy wpadał we wściekłość. Och, ilu to rzeczy się od niego z Misią nauczyliśmy. – W głosie Aliny dało się słyszeć rozmarzenie.

– Pięknie się go wprawiało w irytację... Ty chyba, Alinko, prowadziłaś nawet taki zeszycik, gdzie wpisywałaś wszystkie nowe słówka, które ulatywały z naszego dziadziusia wraz ze złością, której w ten sposób dawał upust – zaśmiała się Misia. – Ale wracając do tego, w czym właśnie utknęłaś – zwróciła się do Stelli – to sytuacja rzeczywiście jest nieciekawa. Chociaż zastanawiające jest to, na co zwróciłaś już uwagę. – Z uznaniem skinęła głową w kierunku Paulinki. – Czy ona, w sensie Aldona, jest tak głupia i krótkowzroczna, że nie pomyślała o ludzkim gniewie? My możemy na co dzień się kłócić, obrabiać sobie cztery litery, nawet się nie lubić, ale takie jawne oszustwo, którego ofiarą pada jeden z nas? Taka krzywda? To zawsze wszystkich jednoczy, tworząc zwarty i wrogi front. Nie chce mi się wierzyć, że Aldona o tym nie pomyślała...

– Bo pomyślała. I wyciągnęła właściwe wnioski. Zwyczajnie wyszło jej, że bliższa ciału koszula. Wiecie, ilu ludzi u niej ma pracę? A ilu jeszcze zatrudni, gdy wdroży w życie mój projekt? Oczywiście po cichu, w domach, za jej plecami będą gadać, jaka jest podła. Dostanie jej się niejedno paskudne słowo. Ale czy ją to obejdzie? Otóż nic a nic. – Stella energicznie pokręciła głową. – Dlatego zapomnijcie o zbiorowym potępieniu i stawianiu za mną murem. Bo to niemożliwe. Wszyscy muszą żyć i zarabiać. Nikt nie położy na szali swojego bezpieczeństwa, żeby mnie bronić. No chyba że ten twój rycerz na białym koniu. – Obrzuciła Paulinkę przelotnym spojrzeniem i roześmiała się z przymusem. – I to ostatnie to był żart – dodała, widząc, że dziewczyna już szykuje się, żeby bronić swojej wizji. – Rycerze i ich białe rumaki wyginęli wraz ze smokami, tak wynika z mojego doświadczenia. A nawet gdyby jakiś się ostał, to musiałby stać się jakiś cud, żeby wpadł akurat na mnie.

– No, a co ci szkodzi wierzyć w cuda? Co? – zapytała Paulinka zapalczywie. – Albo w dobre zakończenia? Ja je uwielbiam. I romanse lubię czytać między innymi z tego powodu. Bo ludzie kręcą nosem, mówią, że to naiwne i nieżyciowe. Ale zapytaj takiego jednego z drugim, co by wybrał: życie w znoju i cierpieniu, naszpikowane grozą i podłością, trud i mordęgę czy jednak spokój, miłość, wspólne radzenie sobie z ciężkimi momentami i dobrą, choć może zwyczajną codzienność. Jestem ciekawa, ilu z tych marszczących się i wąpiących wybierze to pierwsze. A, i jeżeli któraś z was chce mi teraz powiedzieć, że to, co mówię, to piękna mrzonka, to uprzedzam, że nic z tego. Nie dam się przekonać. Bo to, jak wygląda nasze życie, jest kwestią wiary i wyborów. Ja wierzę i wybieram opcję drugą. Choć oczywiście zdaję sobie sprawę, że elementy tej pierwszej też mnie nie ominą. Ale to będzie ta szczypta, która sprawi, że wszystko inne będzie smakować jeszcze lepiej! – zakończyła, a w salonie zapadła pełna zdumienia i lekkiej konsternacji cisza.

– No to powiedziałaś – pierwsza odezwała się Stella i pokręciła głową.

– Bo to prawda. – Paulina wzruszyła ramionami. – Dostaniesz dokładnie to, w co całym sercem wierzysz. Ludzie zazdroszczą albo wyśmiewają książki, filmy, w których bohaterowie w końcu spełniają jakąś część swoich marzeń, ale ucieka im jedno: to, że oni, ci książkowi i filmowi szczęściarze, nigdy, ale to nigdy nie godzą się z tym, czego nie chcą. Walczą o swoje. Idą po to, a przy okazji zauważają swoje błędy i starają się ich nie powtarzać...

– Dobrze, dobrze, może już starczy, czuję się trochę, jakbym brała udział w wielkim grupowym coachingu! – przerwała jej Stella, widząc, że siostry na dobre zamurowało. – Ale masz rację! Ja też chcę dla siebie i swojego synka dobrego wszystkiego, bo zakończenie to jednak brzmi zbyt ostatecznie. I postaram się o tym pamiętać i wierzyć... Może nie w białe konie i tak dalej, ale w dobre rozwiązania.

– E tam, ja bym poszła na całość – przemówiła Misia, która była nie tylko młodsza, ale też bardziej romantyczna. – Co ci szkodzi założyć, że właśnie rozpoczyna się twoja własna prywatna wiosna

cudów? Pełna wszystkości, w tym tych koni i jeźdźców postawnych i apetycznych?

– O tak! Jeżeli utrata pracy i reszta to właśnie jest ten cud, to ja jednak chyba podziękuję – roześmiała się Stella w przypiływie czarnego humoru.

– No coś ty, to po prostu początek. Wszystko, co dobre, zaczyna się od ogromnych komplikacji – wyjaśniła jej niezrażona Paulinka.

– Aaa, to w takim razie, biorąc pod uwagę, jakich rozmiarów i jak bardzo złożone są te moje kłopoty, to będzie coś naprawdę giga rewelacyjnego – mruknęła Stella i w tym momencie rozdzwoniła się jej komórka. – Przepraszam, muszę odebrać – powiedziała, naciskając zieloną słuchawkę. – No cześć... Już wychodzicie? No dobrze, to ja za dziesięć minut będę gotowa – powiedziała i się rozłączyła. – Będę musiała się zbierać, Benjamin po mnie przyjdzie, Franio był u niego po przedszkolu, teraz będzie go odprowadzał i chłopaki zgarną mnie po drodze.

– A, to i dobrze, lepiej, żebyś o tej porze nie chodziła sama – mruknęła Alina. – Strzeżonego Pan Bóg strzeże – dorzuciła i dopiero gdy to powiedziała, dotarło do niej, że właśnie robi krecią robotę, bo przecież ich celem było wyciszenie obaw Paulinki.

– Jak zwykle przesadzasz, moja droga. – Widać Misia doszła do podobnych wniosków i posłała siostrze karcące spojrzenie.

– Możecie przestać. – Paulina z westchnieniem pokręciła głową. – Przecież ja naprawdę nie jestem głupia. Chcecie zwyczajnie uspić moją czujność, ale próżny trud. Nie zamierzam przymykać oczu...

– Paulina, bardzo cię proszę, nie postępuj pochopnie – przerwała jej Stella, rezygnując z podchodów.

Nagle poczuła się potwornie zmęczona i zupełnie niezdolna do uczestniczenia w zawilej grze, której reguły znały tylko siostry.

– Jak chcesz to pow...

– Poczekaj – przerwała jej zniecierpliwiona Paulina. – Chciałam tylko powiedzieć, że mnie przekonałyście. Bez sensu jest wyrzucać tych dwóch, bo coś jest w tym powiedzeniu, żeby przyjaciół trzymać blisko siebie, a wrogów jeszcze bliżej. Tym bardziej że dotarło do mnie, iż eksmitowaniem ich nic nie zyskam. Nie usunę ich z miasteczka, bo nie wyjadą, tylko przeniosą się do hotelu. Swoją

drogą to dziwne, że nie zatrzymali się tam... Ale mniejsza o to. Zostawiam ich i nawet słówkiem nie pisnę, że coś wiem o tym, co mi tu powiedziałyście. Nikomu – dodała znacząco, patrząc na zebrane kobiety. – Przecież o to wam chodziło, żeby to nie poszło dalej w świat, bo jest coś, jakiś fragment tej historii, którego nie chcecie mi zdradzić. I ja to rozumiem, chociaż szkoda, że nie powiedziałyście mi tego prosto w oczy. Byłoby przyjemniej mieć świadomość, że mi ufacie, a tak...

– Nie no, co ty, dziecko, w ogóle opowiadasz, przestań! – Zarumieniona nagle Misia wzięła głęboki wdech, przygotowując się do dalszej przemowy.

– Nie, to my przestańmy. – Stella zerwała się z fotela, obciągnęła sweter i spojrzała na zgromadzonych z nagłą powagą. – W tym, co mówi Paulina, jest sporo słuszności. Skończmy z tym. Masz rację, nie mówimy wszystkiego, bo nie możemy. – Zwróciła się do dziewczyny: – Zresztą tak naprawdę to tu nikt nie zdaje sobie do końca sprawy, ile wiedzą inni, i każdy zachowuje ostrożność. I pewnie dlatego ta nasza rozmowa wyglądała trochę tak jak przechodzenie przez pole naszpikowane minami. Kluczenie, kluczenie i jeszcze raz kluczenie. Ale fakty znane literalnie wszystkim prowadzą do jednej, jedynej konkluzji: zależy nam na tym, żeby ci dwaj jak najdłużej niczego nie przeczuwali. Nie zorientowali się, że o nich wiemy, bo skoro dziś, gdy byłam u ciebie, Paulinko, nie chcieli się ujawnić, tylko podglądali i podsłuchiwali nas z półpiętra, to prawdopodobnie łudzą się, że się jeszcze nie dowiedziałyśmy, albo że ja się nie dowiedziałam, o ich obecności. I pewnie niestety nie są tu tylko ze względu na pracę, skoro mnie unikają...

– Albo wręcz przeciwnie – wtrąciła Misia. – Unikają cię, bo się boją, że będziesz bruździć im w robocie. Jeżeli wiedzą, jak Aldona cię wysiudała, no i biorąc pod uwagę, kim jest Henryk i co zrobił, to mają prawo przypuszczać, że będziesz chciała robić im pod górkę.

– Wszystko jedno, przecież i tak w tej chwili nie dojdziemy do tego, co im tak naprawdę chodzi po głowach i co wiedzą, a czego nie. – Paulina wyglądała na zniecierpliwioną. – I dlatego będę ich miała na oku. I jakby coś się działo, to dam wam znać – dodała

z westchnieniem. – A teraz już pójdę, bo odkąd przyjechała babcia Małgorzata, mama ma z nią sto pociech i powinnam ją trochę odciążyć...

– A co, nadal umiera? – ożywiła się Misia. – W sensie twoja babka cioteczna, a nie mama, rzecz jasna.

– Chwilowo zrobiła sobie przerwę, bo zmienia strój do trumny – skrzywiła się Paulinka. – Stary jej się nie podoba. I babcia zapowiedziała, że nie umrze, zanim nie zatwierdzi swojego pośmiertnego przydzwiewku. Poinformowała też wszystkich, że ona doskonale zna podły charakter swojej rodziny, czyli nas, i na pewno jeżeli zostawi nam wolną rękę, to ją ośmieszymy i wystawimy jej zwłoki w jakimś kabaretowym stroju z piórami i cekinami...

– I tak oto można dowiedzieć się o skrytych marzeniach co poniektórych – parsknęła pod nosem Alina. – Siostra twojej babki, Paulinko, zawsze miała takie ciągotki. Marzyła jej się nawet praca w rewii, tyle tylko, że biedaczce słoń na ucho nadepnął i nie miała nie tylko głosu, ale też wyczucia rytmu.

– No proszę, a to ciekawostka, muszę kiedyś do pań przyjść po te bardziej pikantne szczegóły naszej rodzinnej historii – stwierdziła Paulinka w drodze do przedpokoju, odprowadzana przez siostry i Stellę, która zamierzała wyjść razem z nią i właśnie sięgała po płaszcz. – W każdym razie, biorąc pod uwagę tempo, w jakim idzie kompletowanie trumiennych akcesoriów, to zejdzie się z tym jeszcze co najmniej z rok – dodała, marszcząc śmiesznie nos. – Na razie mamy kapelusz, z którym babka uparła się iść do modystki...

– A gdzie ona na litość wszystkiego w tych czasach chce znaleźć modystkę z prawdziwego zdarzenia? – Na twarzy Aliny odmalowało się autentyczne zdumienie. – I na chorobę jej ktoś taki w kontekście trumiennego kapelusza?

– A bo zamierza go dopasować do pozycji leżącej. W sensie modystka ma mu wyciąć tył, tak żeby podczas leżenia układał się idealnie. Babka zażyczyła sobie, żeby zabrać do kapeluszkarki duże lustro, chce je powiesić nad jakąś leżanką i obejrzeć siebie w pozycji horyzontalnej. W kapeluszu – mówiąc to, Paulinka spojrzała na miny pozostałych i parsknęła śmiechem.

– Żartujesz, prawda? – Misia potrząsnęła głową z niedowierzaniem. – Małgorzacie zawsze było nie po drodze z rozsądkiem, ale to to przesada, nawet jak na nią!

– Niestety. To szczerą prawdą. Teraz musimy znaleźć nie tylko po prostu modystkę, ale taką modystkę, która posiada leżankę...

– A nie lepiej od razu trumnę? Byłoby bardziej realistycznie – podrzuciła pomysł ubawiona Alina.

– O, na pewno, ale na całe szczęście babka na to nie wpadła i niech was, moje drogie panie, ręka boska broni podsuwać jej coś takiego, bo jeszcze okaże się, że poza lustrem będę musiała wozić ze sobą zgrabną trumienkę. – Paulinka wywróciła oczami. – A teraz przepraszam, ale muszę pędzić.

– Poczekaj, ja też wychodzę...

– A ty dokąd? – Alina spojrzała na Stellę ze zdumieniem. – A tort? Musimy go jeszcze zapakować – dodała.

– A, rzeczywiście, zapomniałam z tego wszystkiego. Z kolei Franio i Beniamin na pewno pamiętają! Ten tort zaprzęta myśli Frania, odkąd o nim usłyszał – uśmiechnęła się Stella.

– No to ja w takim razie lecę. Do zobaczenia! Będę miała oczy i uszy otwarte – dorzuciła Paulinka i zniknęła za drzwiami.

Siostry natomiast udały się do salonu, skąd za moment wróciły z kartonowym pudełkiem przewiązanym wstążką.

– Dziękuję paniom bardzo. – Stella ostrożnie ujęła pakunek od spodu. – Ile jestem winna?

– No i na koniec zepsuła atmosferę – parsknęła Misia. – Tak było miło, a ona co? O pieniądzach! To prezent od nas. W końcu, jak słusznie zauważyłaś, ty go nie zamawiałaś – dodała.

– To nam zachciało się bawić w zagadki – poparła stanowczo siostrę Alina. – Stello, a teraz powiedz mi jeszcze jedno, co z rodzicami, bo wiesz... – zawiesiła znacząco głos.

– Wiem. Jak to panie powiedziały? W takich sytuacjach dobrze by było, żeby byli blisko...

– Albo wręcz przeciwnie, na tyle daleko, żeby inni mogli do nich pojechać – powtórzyła Misia to, co Stella słyszała już od nich w piekarni. – Dzwoniłaś już do nich? – zapytała, przerywając ciszę, która na chwilę zapadła.

– Nie, jeszcze nie. Ale będę musiała to zrobić... Nie mam wyboru.
– Zagryzła dolną wargę i zafrasowana pokręciła głową.

– Wiesz co, jeżeli mogę ci coś doradzić... – Alina spojrzała na nią z namysłem. – To ja chwilowo o gościach Gąsików powiedziałabym tylko mamie. O reszcie niech ona zdecyduje. Ty rzeczywiście, tak jak powiedziałaś sama, w tej kwestii nie masz wyboru, ale ona już tak – dodała i niespodziewanie pogładziła Stellę po ramieniu. – A teraz już idź, bo jak pakowałyśmy tort, to z dołu słychać było głos Frania. Czekają już na ciebie – zakończyła, chowając rękę za plecami.

A potem razem z Misią stały w otwartych drzwiach aż do momentu, gdy dziewczyna zniknęła im z oczu. Dopiero wtedy wróciły do salonu i przez moment patrzyły na siebie w milczeniu.

– Wychodzi na to, że wie więcej, niż zakładałyśmy – mruknęła w końcu Alina.

– Chyba nawet wszystko – dorzuciła Misia. – Swoją drogą, czemu nie pociągnęłaś jej bardziej za język? Jakbyśmy z niej wydobyły więcej szczegółów, to może zyskałybyśmy pewność, że już z niczym nie musimy się czaić, a tak...

– A tak, moja droga siostró, jesteśmy niczym ci prawdziwi mędracy – weszła jej w zdanie Alina.

– To znaczy? – Misia zmarszczyła brwi.

– To znaczy, iż wiemy, że nic nie wiemy – zaśmiała się Alina.

– Eee, jednak jesteśmy lepsze niż może i prawdziwi, ale jednak przeciętni mędracy. – Misia zebrała na srebrną tacę puste filizanki. – Bo jednak wiemy dużo więcej niż przed jej wizytą. Pozostaje tylko pytanie, co my z tym wszystkim zrobimy, moja kochana siostró. Bo że coś zrobić musimy, to pewne.

– Fakt, coś musimy – zgodziła się Alina i głęboko westchnęła. – Ale wiesz, co nagle, to po diable. Wstrzymajmy się chwilę i zobaczymy, jak to się wszystko rozwinie...

– Aha, czyli dajemy czasowi czas. – W oczach Misi błysnął blask aprobaty.

– Czas lubi mieć czas. Jak to powiedział Lewis Carroll, w *Alicji w Krainie Czarów*? Pamiętasz, Misiu? Ty miałaś zawsze lepszą

pamięć do cytatów. – Alina spojrzała na młodszą siostrę z wyczekiwaniem.

– Czekaj, czekaj, to szło jakoś tak... „W tym właśnie sęk, że Czas nie znosi, aby go zabijano. Gdybyś była z nim w dobrych stosunkach, zrobiłby dla ciebie z twoim zegarem wszystko, co byś chciała”².

– No to co, czekamy?

– Czekamy – przytaknęła Misia i pozorując roztargnienie, sięgnęła po kolejną jagodziankę.

Rzeczywiście bułeczki musiały być kompletnie nieświadome tego, że ich wnętrze wypełniały mrożone jagody, bo smakowały środkiem nagrzanego słońcem lata i zapowiedzią kolejnych gorących popołudni. Pachniały wolnością, bieszczadzskimi połoninami i zapowiedzią przyjemności, które dopiero nadejdą.

I zapewne dlatego jeszcze tego wieczoru wszystkie zniknęły z porcelanowej patery. Nie pozostał po nich nawet okruszek kruszonki, o co zadbała tuż przed północą starsza z sióstr, która wymknęła się ze swojej sypialni i z rozkoszą zajęła się ostatnią bułeczką, myśląc o tym, że przecież zaokrąglonymi biodrami łatwiej zalotnie kręcić i że te dwa albo trzy potencjalne centymetry więcej dodadzą jej li tylko ogromnego uroku.

Stella tymczasem wraz z chłopakami wróciła do domu...

Stella tymczasem wraz z chłopakami wróciła do domu, gdzie z miejsca rozprawiono się z tortem, który okazał się jeszcze pyszniejszy, niż na to wyglądał. Ku ogromnej uldze Stelli zniknęły z niego dwie budzące niepokój męskie figurki, a siostry zastąpiły je niewinną marcepanową babeczką, zwieńczoną małą cukrową lśniącą wiśnią, którą od razu pożarł Franio.

Beniamin, chyba ze względu na obecność chłopca, dał sobie chwilowo spokój z zadawaniem kolejnych pytań. Ale jeżeli Stella sądziła, że ma go z głowy, to bardzo się myliła.

– Słuchaj, dzwoniła do mnie Julka – wyszeptał do niej, gdy zbierał się w przedpokoju do wyjścia.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – warknęła przez zaciśnięte wargi Stella. – Obiecała mi trzymać język za zębami! To po pierwsze! Po drugie, nie mam już dzisiaj siły wałkować tego wszystkiego. Siostry wymagowały mnie tak, że nie wytrzymam kolejnych tortur ani minuty dłużej!

– A właśnie, dobrze, że mi przypomniałaś, bo intrygowało mnie to, odkąd wspomniałaś o tym przez telefon. Co mają siostry do tego gościa, który wystaje pod przedszkolem? I skąd one w ogóle o nim wiedzą? – Beniamin jeszcze bardziej zniżył głos, a Stella ponieważ zorientowała się, że się zagalopowała.

Umknęło jej, że przecież jej brat nie wie wszystkiego. A już z całą pewnością nie jest świadomy tego, jaką rolę odegrały w tej sprawie siostry. Wprawdzie sama wspomniała mu o nich przez telefon, ale – o zgrozo – umknęło jej, że w takim wypadku powinna mieć w zanadrzu jakieś wyjaśnienie.

– A z nim akurat nie mają niczego wspólnego – powiedziała powoli, usiłując naprędce ułożyć jakąś wiarygodną i zgrabną historyjkę. I w tej samej chwili przypomniała sobie słowa Aliny:

„Jeżeli nie możesz powiedzieć prawdy, kłam tak, żeby historia, którą komuś podajesz jako prawdziwą, była jak najbardziej zbliżona do tej autentycznej i zawierała jak najwięcej faktycznych elementów”.

– Chodziło im o hotel i o Aldonę – powiedziała w przyływie natchnienia. – Bo widzisz, one wiedziały, co się święci, jeszcze zanim ja się dowiedziałam. I chciały to ze mną przedyskutować. A sam wiesz, co znaczy dyskusja w wydaniu sióstr! Wzięły mnie w krzyżowy ogień pytań i wycisnęły jak cytrynę.

– No to Aldona od jutra może pożegnać się ze świeżymi wypiekami. – Beniamin z zadowoleniem zatarł ręce. – Niby niewielka rzecz, a zobacz, cieszy!

– A skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? – zdumiała się Stella.

– Bo znam je na tyle, i nie tylko je, ale wszystkich Kazimierczaków, żeby wiedzieć, iż nie będą chcieli dłużej dostarczać jej do hotelu pieczywa i słodkości... Nie po tym, co zrobiła. Nie muszę nawet tego od nich usłyszeć, żeby wiedzieć. Znając ich kodeks moralny i zasobność portfela, po prostu jestem przekonany, że tak właśnie postąpią. A wspomniałem konkretnie o siostrach, bo to one mają decydujące zdanie. Ale do tego to cię akurat jakoś specjalnie nie muszę przekonywać, bo sama wiesz, kto obecnie trzęsie całą tą liczną rodzinką.

– Cóż... Nie myślałam o hotelu i siostrach w kontekście dostaw pieczywa... Może między innymi dlatego chciały wyciągnąć ze mnie wszystkie szczegóły tego mojego nieszczęsnego zwolnienia, właśnie po to, żeby potwierdzić to, co już wiedziały, i podjąć jakieś decyzje... I chyba rzeczywiście masz rację. I w tym, że to koniec ich współpracy z Aldoną, i w tym, że to cieszy. – Stelli autentycznie poprawił się humor. – Ale nie myśl, że mnie zagadasz i że zapomnę o naszej Julci, która miele jęzorem niczym ciele ogonem!

– A właśnie, nie wiem, czemu tak się wściekasz. Ona po prostu powiedziała mi, że sama przyznałaś, że ja wszystko wiem. Do Meli nie zadzwoni, jakoś wytrzyma – dorzucił z półuśmiechem. – A mnie poinformowała po prostu, że masz tydzień i żebym ci dał przez te siedem dni święty spokój. Więc niejako wstawiła się za tobą. Ale może nie byłaby tak spolegliwa, gdyby wiedziała to, co ja

wiem. Bo z tego, co się zorientowałem, to wtajemniczyłaś ją li tylko w hotelowy dramat, a o facecie kręcącym się koło Franka i ciebie na razie nie wspomniałaś.

– No, jeżeli dla ciebie moje niewątpliwe bankructwo mieści się w kategorii „li tylko”, to naprawdę gratuluję optymizmu – mruknęła Stella. – A teraz przywołaj na twarz uśmiech numer pięć, Franek idzie – dorzuciła i na widok synka dźwigającego w objęciach największego ze swoich misiów z miejsca się rozpromieniła.

Nawet nie musiała jakoś specjalnie się starać; zwyczajnie miłość, która zalała ją od stóp do głów, wystarczyła.

– No dobrze, a teraz ty i miś dajcie buziaka wujkowi i pożegnajcie się najładniej, jak potraficie – powiedziała z uśmiechem.

– A mogę, żegnając się, złożyć wujkowi życzenia? Bo był tort, a przy torcie zawsze się czegoś życzy, a my zapomnieliśmy...

– No pewnie, oczywiście, dawaj. – Beniamin z powagą pokiwał głową.

– Do zobaczenia, stary chłopie, skop im wszystkim dupę – wygłosił Franio czystym głosem, wprawiając i Stellę, i Beniamina w konsternację.

– Że co? – Spojrzała wielkimi oczami na Beniamina.

– Bo dzisiaj wujek, jak skończył rozmawiać przez telefon z cicią Julcią, to powiedział do siebie, że marzy o tym, żeby móc tym... Ty, mamó, nie lubisz tego słowa, pewnie dlatego, że nie jesteś prawdziwym mężczyzną, i nie wiem, czy mogę to powiedzieć...

– Lepiej nie. – Beniamin zamachał gwałtownie rękami.

– No ale chciałeś tym wszystkim, no, tym wiesz, skopać dupy, prawda? To chyba dobrze, że o tobie pamiętałem, wujku, prawda? – Spojrzał na nich swoimi wielkimi, niewinnymi oczami.

– O tak, bardzo miło z twojej strony – zapewniła go Stella. – A ty – zwróciła się do Beniamina, z trudem zachowując powagę – nie zapomnij, jak dojdiesz do domu, zdmuchnąć świeczki, żeby się spełniło. Na całe szczęście prawdziwi mężczyźni zazwyczaj to robią już po pożarciu tortów – dodała i pocałowała brata w policzek, a potem mocno się do niego przytuliła.

– A to za co? – Przygarnął ją do siebie. – Prędzej się spodziewałem, że zmyjesz mi głowę...

– No coś ty, za to, że chciałbyś tym wszystkim skurwysynom, którzy psują mi życie, skopać dupy? – powiedziała, upewniwszy się, że Franio zniknął w kuchni, gdzie przystawiał właśnie taboret do okna. – Musiałabym być skończoną idiotką. Dziękuję ci, braciszku – dodała. – A teraz już leć! Aha, i zamknij furtkę na klucz. I nie zapomnij pomachać Frankowi. Już czeka na to w oknie – uśmiechnęła się, po czym po wyjściu brata przekręciła klucz w zamku i poszła do synka, który właśnie klęczał na parapecie i obłąkańczo machał obiema rączkami.

– Do zobaczenia, wujku, nie tęsknij za bardzo, wrócimy niedługo – krzyknął i obejrzał się za siebie.

Na widok Stelli wyszczerzył się, zgramolił się z parapetu i pobiegł do pokoju, skąd po chwili dobiegł łoskot czegoś spadającego z impetem na ziemię.

Stella błyskawicznie się tam zjawiała i ze zdumieniem zobaczyła, że mały z trudem wyciąga z szafy upchaną w jej najdalszy kąt walizkę. Na podłodze w nieładzie leżały pudełka, które wypadły podczas wydobywania bagażu.

– A co ty, Franiu, robisz? – zapytała, unosząc wysoko brwi.

– No jak to co? Przecież musimy się spakować. – Chłopiec spojrzał na nią, jakby właśnie powiedział coś najoczywistszego na świecie. – Przecież obiecałaś. W przedszkolu. Pamiętasz? Powiedziałaś, że tak...

– A tak dokładniej co obiecałam? – Stella błyskawicznie przypomniała sobie sytuację, o której mówił chłopczyk.

Wyszli z piekarni po całej tej niezrozumiałej wtedy dla Stelli dyskusji o tortach i sezonie na powroty... Zajęta swoimi myślami kompletnie nie słuchała Frania, ba, nie tylko nie słuchała, ale bezmyślnie przytaknęła, gdy o coś spytał.

– Ale z ciebie jest gapa, mammo! Że jak zjemy tort, to pojedziemy do babci i dziadka! – odparł rozkosznie.

– O matko – mruknęła Stella, pocierając nerwowo policzek. – Tak powiedziałam? Że pojedziemy?

– Nie. Ja zapytałem, czy pojedziemy, a ty powiedziałaś, że tak. I potem jeszcze obiecałaś. A obietnic...

– ...się dotrzymuje – dokończyła za niego, zastanawiając się, jak u diabła, ma mu powiedzieć, że akurat tę będzie musiała złamać.

Ale dlaczego? – przemknęło jej coś przez głowę. Właściwie dlaczego nie? Może właśnie los podsuwa jej rozwiązanie. Myślenie nad sposobem, by to wszystko, co tu się wydarzyło, zwięźle i w miarę dyplomatycznie przekazać rodzicom przez telefon, spędzało jej sen z powiek.

A tak, proszę, mogłaby nie złamać danej dziecku w pijanym widzie obietnicy i rzeczywiście pogadać z mamą i z tatą tak od serca. I w cztery oczy. Dozując informacje, żeby nie przyprawić ich o zawał serca.

– Wiesz co, synku... – zaczęła, ale nie dane jej było skończyć, bo właśnie rozdzwonił się jej telefon. Zabrzmiął jakoś tak głośniejsze i bardziej alarmująco niż zwykle i Stelli z miejsca ścisnęło się serce. Zanim jeszcze spojrzała na wyświetlacz, wiedziała, że stało się coś złego.

Helenka szła z Bohunem u nogi...

Helenka szła z Bohunem u nogi, dziarskim krokiem przemierzając rześkie oświetlone żółtym latarnianym światłem ulice miasteczka. Widać coś zaczynało kwitnąć, bo powietrze pachniało przepięknie i kojarzyło się Helence z młodością i pierwszymi randkami. Na pewno nie był to zapach bzów ani jaśminów, bo na nie było jeszcze o wiele za wcześnie, ale z całą pewnością był to aromat wiosny i sprawiał, że jej dusza z minuty na minutę młodniała. W ogóle było jej dobrze, po raz pierwszy od wielu dni opuściło ją uczucie duszącego lęku. Pewnie miało to związek z tym, że przed południem zajrzał do niej listonosz i przyniósł dwa apetycznie grube listy od jej przyjaciółek, w których zapowiedziały one swój przyjazd. Spotykały się regularnie każdej wiosny i tym razem zlot miał się odbyć u Helenki. Wprawdzie dopiero pod koniec maja, ale czas miał to do siebie, że szybko leciał, szczególnie gdy człowiek był zajęty, a ona przecież miała jeszcze tyle do zrobienia przed ich przyjazdem! Wysprzątać porządnie pokoje, w których je ulokuje, wybrać się na zakupy, bo wymarzyła sobie, że nabędzie z tej okazji całkiem nowe komplety pościeli, i to nie tylko dla przyjeżdżających do niej dziewczyn, ale też dla siebie. Ułoży cały jadłospis i przygotuje pyszne jedzenie. Przystroi dom... Krótko mówiąc, huk roboty. I dobrze, Helenka nareszcie poczuła, że znów z niecierpliwością na coś czeka, i przypomniała sobie, jakie to fajne, ożywiające zarówno duszę, jak i ciało uczucie. Na dodatek listonosz poza listami przyniósł jej też dobrą nowinę: ponoć koszmarni bracia, którzy ją dręczyli, dostali od ojca szlaban. Wprawdzie nie taki całkowity, ale mieli wracać do domu wcześniej niż zwykle. Dla Helenki była to informacja na wagę złota. Zła była tylko na to, że nie dopytała, co dokładnie znaczy to enigmatyczne „wcześniej niż zwykle”. Ale wykombinowała, że najpewniej w takim razie mają wracać do domu przed zmrokiem. A to znaczyło, że przynajmniej przez jakiś czas wieczorami będzie bezpieczna. I spokojnie, bez ciągłego,

nerwowego oglądania się za siebie i strzelania oczami na boki, może wybrać się na długi spacer. Taki cudowny jak sprzed tego incydentu z torbami i popychaniem. Podczas którego mogła zatopić się w myślach i oddychać pełną piersią, bez lęku, że za chwilę ktoś ją zaczepi, uderzy albo z daleka będzie obrzucał obraźliwymi epitetami, czy nie daj Boże małymi kamieniami... To też już się zdarzyło. Wprawdzie tylko raz, ale jednak... Teraz nakazała sobie z całą stanowczością o tym nie myśleć. Przez kilka najbliższych dni znów będzie mogła poczuć się wolnym człowiekiem. A że tylko wieczorami... Cóż, trzeba się cieszyć tym, co się ma. Helenka z niecierpliwością czekała, aż się ściemni. Gdy zmierzch już zapadł, dla pewności, już w butach i z przewieszonym przez oparcie krzesła płaszczem, odczekała jeszcze dwadzieścia minut, aż zmrok zgęstnieje i zacznie przechodzić w noc. W końcu zawołała Bohuna i uszczęśliwieni wyszli.

Już od pierwszego kroku było wspaniale, spuściła psa za smyczy, a sama zwyczajnie odetchnęła pełną piersią i zatopiła się w myślach. Nawet nie zauważyła, że nogi same ją poniosły jej starą, ulubioną trasą, prowadzącą bocznymi uliczkami Kotkowa. Było tu mniej ludzi niż w centrum, co pozwalało Bohunowi biegać swobodnie, a jednocześnie nie było kompletnie bezludnie, bo do późna były tu otwarte i pub, i restauracja, które wieczorami wypełniały się aż po brzegi. Dziś było podobnie. Puste ulice, tylko przed otwartymi lokalami stały grupki mieszkańców Kotkowa, zapewne tych, którzy opuścili gwarne wnętrza, żeby zapalić. Gdy tylko zbliżyli się do ludzi, Bohun błyskawicznie znalazł się przy jej nodze i odbiegł, dopiero gdy minęli zatłoczony odcinek i przeszli na drugą stronę ulicy. Kiedyś pies kompletnie nie zwracał uwagi na ludzi, poza tymi, którzy przychodzili do nich do domu – tych lubił, ale inni mu nie przeszkadzali, ale też zbytnio go nie interesowali. Jego całym światem była Helenka. Jednak po tamtym incydencie, gdy zostali napadnięci, jego podejście się zmieniło, już nikomu nie ufał i zapewne dlatego teraz wolał być w pobliżu Helenki, gdy przechodzili blisko innych. Tak na wszelki wypadek. Przeprowadził ją przez tłum i dopiero potem pobiegł załatwiać swoje psie sprawy.

Helenka odprowadziła go wzrokiem pełnym czułości i znów zaczęła popadać w miłą zadumę, gdy nagle jej uwagę zwrócił jakiś dziwny szeleszczący dźwięk dobiegający z tyłu. Obejrzała się i w tym momencie wpadła na nią elektryczna hulajnoga, prowadzona przez jakiegoś wyrostka. Helenka upadła na chodnik, uderzając z całym impetem o betonowe płyty. Przez chwilę była zamroczona upadkiem i dopiero po chwili poczuła przeszywający ból w lewej ręce. Promieniował aż na plecy. Zebrała się w sobie na tyle, żeby nieco się unieść, i wtedy z odjeżdżającej hulajnogi dobiegł ją krzyk:

– I co, stara ruro? Trzeba uważać, jak się chodzi!

Wtedy do Helenki z całą jasnością dotarło, że godzina „wcześniej niż zwykle” jeszcze nie nadeszła. Zachciało jej się płakać.

Co ja mam teraz zrobić, pomyślała z przestraczem, patrząc na stojącą wciąż na chodniku hulajnogę i trzymającego jej kierownicę chuligana. Przecież nawet nie mogę się podnieść; jeżeli tamten będzie miał fantazję wrócić, to będzie mógł ze mną zrobić, co zechce... Nawet mnie przejechać. Poczwała, że drży, a ramię zaczyna boleć jeszcze bardziej. I wtedy dostrzegła pędzącą kulę futra. Bohun zareagował błyskawicznie. W kilku skokach dopadł do stojącego przy hulajnodze wyrostka i skoczył na napastnika. Ten wrzasnął przerażony, a pojazd ze zgrzytem przekoziółkował po chodniku. Pies całym swoim ciężarem przygniatał leżącego chłopaka, wyszczerzone zęby tuż przy jego twarzy napawały grozą. Nic dziwnego, że tamten zaczął wrzeszczeć niczym zarzynane prosię. Helenka, widząc, co się dzieje, zebrała wszystkie siły i mimo obezwładniającego bólu z trudem zawołała Bohuna. Wiedziała już, kto ją napadł, i nie chciała, aby pies zrobił mu krzywdę. Wiedziała, że w takiej sytuacji i tak całą winę przypiszą jej, bo uznają, że to pies zaatakował spokojnie jadące dziecko.

– Bohun, do mnie! – zawołała ponownie, bo na pierwsze wezwanie pies nie zareagował.

Teraz niechętnie puścił chłopaka, ciągle warcząc, a ten poderwał się jak oparzony, spojrział na Helenkę nienawistnie i pokazał jej środkowy palec.

Bohunowi się to widać nie spodobało, bo szczerką donośnie, na co przerażony chłopak doskoczył do hulajnogi i odjechał, a pies znalazł się błyskawicznie koło swojej pani.

– Dobry piesek, grzeczny, dobry piesek. – Helenka przyłożyła policzek do ciepłego psiego boku. – Tak, kochany, teraz musimy tylko się jakoś pozbierać – dodała, ale okazało się, że łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Bo mimo tego, że próbowała się dźwignąć, nie dała rady. Już nie tylko ręka ją bolała, ale rwał cały lewy bok. Bohun usiadł koło niej i patrzył na nią z wyraźną troską pomieszaną z bezradnością.

I właśnie to wierne i ciepłe psie spojrzenie zabolowało Helenkę chyba jeszcze bardziej niż potłuczone ciało. Nauczycielka poczuła, że dłużej już nie wytrzyma. Coś w niej pękło i z jej oczu wezbraną falą popłynęły łzy, które do tej pory udawało jej się powstrzymać.

Siedziała na chodniku, drobniutka, z przetrąconym sercem i ręką, zdeptaną godnością, i płakała rozpaczliwie, nie wydając przy tym ani jednego dźwięku. Tak jak ci, którzy straciwszy całą nadzieję, boją się nawet głośno zapłakać nad sobą, nad utratą wiary w ludzi i świat.

Antoni postanowił spędzić miły wieczór...

Antoni postanowił spędzić miły wieczór, a to znaczyło, że musi się pozbyć męczącego towarzystwa Henryka. Już to, że większość dnia spędzili razem na terenie hotelu i w przylegającym do niego parku, było dostatecznym wyzwaniem i Antek czuł, że jeżeli nie uwolni się od swojego towarzysza i jeszcze raz usłyszy jego obleśne mlaśnięcie na widok przechodzącej obok kobiety – a mlaskał, cmokał i mrużył te swoje oczka na widok praktycznie każdej – to chyba nie wytrzyma i przygrzmoci mu w ten wypełniony zberezestwami łeb. Dlatego jak tylko skończyli obchód i wykonali wszystkie niezbędne pomiary, wymknął się po cichu. Dotarł do pensjonatu przed Henryczkiem i zaszył się w swoim pokoju, a potem poczuł, że koniecznie, ale to koniecznie musi napić się piwa. Jeden, a może nawet i dwa kufelki. Ot tak, dla rozluźnienia. W recepcji tym razem nie było Paulinki, za kontuarem siedziała chyba jej matka w towarzystwie trajkoczącej jak najęta staruszki, która – o ile Antoniego oczy nie myliły – z ogromnym zaangażowaniem przeglądała katalog trumien. Starowinka na jego widok wyprostowała się i poprawiła ufarbowane na jakiś dziwny, wpadający w fiolet kolor włosy, po czym rzuciła mu powłóczyście spojrzenie, co wywołało u niego nagły dreszcz zgrozy.

Opanował się jednak szybko i przywoławszy na twarz jeden ze swoich najszerszych uśmiechów, uprzejmie zapytał, gdzie w miasteczku można coś zjeść, a przy okazji napić się piwa.

– No jak to gdzie? – Starowinka zrobiła coś dziwnego z oczami, prawdopodobnie w jej mniemaniu miał to być zalotny trzepot rzęs.
– Tylko U Kocura. Nigdzie indziej. Ależ tam jest jedzenie! A towarzystwo – rozmarzyła się. – Ja mogę nawet cię tam zaprowadzić, młody człowieku, i wprowadzić cię we właściwe kręgi.
– Z energią, o którą nikt by jej nie podejrzewał, odrzuciła katalog trumien i zerwała się z krzeselka.

Antoniego zamurowało. Poczuł, że robi mu się na przemian zimno i gorąco.

To już chyba lepszy byłby Henryk, pomyślał z rozpaczą. Przynajmniej nie próbowałby go podrywać jak ta najwyraźniej żądna wrażeń babina. A gdyby mnie totalnie wkurzył, to przynajmniej mógłbym go walnąć, albo powiedzieć mu dosadnie, co myślę. Ze staruszkami sprawa nie jest taka prosta. Nie czuł się na siłach – ani przecież nie chciał – lżyć i znieważać staruszek!

– A ciocia to już doszczętnie pamięć straciła? Niech ciocia siada i się nie wygłupia. – Ku jego ogromnej uldze matka Paulinki złapała starszą panią za łokieć i stanowczym gestem usadziła ją z powrotem na krześle. – Zapomniała ciocia, że właśnie umiera? I że w takim stanie nie wypada włączyć się po knajpach, bo jeszcze, nie daj Boże, wyda ciocia to swoje ostatnie tchnienie przy wódce, a wtedy to dopiero ludzie by gadali – dorzuciła z błyskiem w oku. Antoni pomyślał, że jeszcze nic dzisiaj nie wypił, a czuje się wypisz wymaluj jak po paru głębszych.

Co za dziwna rodzina! Wmawianie komuś zbliżającemu się do setki, że umiera, powinno chyba być zabronione?! I zmuszanie do przeglądania katalogu trumien, przemknęło mu przez głowę, ale rozsądnie postanowił przynajmniej chwilowo w to nie wnikać. Podziękował więc tylko grzecznie, zapewnił, że o knajpę U Kocura rozpyta się po drodze, i czym prędzej opuścił progi pensjonatu. Ledwo jednak zamknął drzwi, dogoniła go matka Paulinki.

– Proszę poczekać – zawołała za nim. – Ja pana strasznie przepraszam za Małgorzatę... W sensie za ciocię – dorzuciła wyjaśniająco. – Uparła się, że jest umierająca, i teraz właśnie planuje swój pogrzeb. Ze szczegółami. I jak tak dalej pójdzie, to najpierw wykończy nas wszystkich – dodała znękany głosem. – Ale właściwie to ja nie o tym chciałam, tylko o Kocurze. Nie ma pan co o niego pytać, bo taki lokal nie istnieje. Istniał przed wojną, ciotka Małgorzata zresztą doskonale o tym wie, widać uznała, że to świetny dowcip. Doskonale karmią natomiast w Jeździe Bez Trzymanki. Łatwo trafić – dorzuciła i objaśniła mu, jak ma iść.

No to poszedł. I rzeczywiście było warto. Już wiedział, że będzie tu wracał, a pieczona golonka z zasmażaną czeską kapustką

i podpiekanymi na złoto ziemniaczkami będą mu się śniły po nocach. Zjadł, zamówił drugie piwko i żeby jakoś wypełnić sobie czas oczekiwania, wyszedł na zewnątrz. Pomyślał, że to doskonały moment, żeby zadzwonić do domu. Sięgał już po telefon, gdy nagle jego wzrok przyciągnął jakiś ruch po drugiej stronie ulicy. Po chodniku mknęła rozpedzona do niemożliwości elektryczna hulajnoga. Zbliżała się niebezpiecznie do idącej wolnym kroczkiem starszej, elegancko ubranej kobiety. I wcale nie wyglądało na to, żeby chciała ją wyminąć, choć jednocześnie niemożliwym było, żeby kierujący nią jej nie widział. Antoni znieruchomiał i w osłupieniu patrzył, jak hulajnoga wpada na kobietę, która przewraca się i uderza z impetem o chodnik.

– Ożeż kurwa – wyrwało mu się i bez chwili zastanowienia ruszył w tamtą stronę.

Musiał jednak przystanąć przed ulicą i przepuścić jadące samochody. Staruszka się nie podnosiła, a kierujący hulajnogą zatrzymał się i Antoni pomyślał, że chyba jednak się pomylił w ocenie i z jakiegoś powodu chłopak nie zauważył idącej przed nim kobiety. Bo skoro się zatrzymał... I w tym samym momencie dwie rzeczy stały się niemal jednocześnie.

– I co, stara ruro? Trzeba uważać, jak się chodzi! – Do uszu Antoniego doleciał skrzekliwy głos podrostka i jego paskudny rechot, a potem zobaczył, jak coś wielkiego i ciemnego pojawia się jakby znikąd i chłopak ląduje na ziemi, przygnieciony potężnym psim cielskiem. Przez moment stał w bezruchu, ale w końcu otrząsnął się ze zdumienia i ruszył biegiem na drugą stronę.

– Niedoczekanie, żeby na moich oczach jakiś gówniarz znęcał się nad bezbronnymi starszymi ludźmi! – mruczał, ale gdy dobiegł wreszcie do siedzącej wciąż na chodniku starszej pani, zrozumiał, że się spóźnił.

Pies został odwołany, sprawca zniknął. A ona, opierając czoło o psi bok, płakała rozpaczliwie. Bez żadnego dźwięku. Gdy się zbliżył, pies uniósł łeb i ostrzegawczo pokazał mu zęby.

Kobieta też uniosła głowę i spojrzała mu w oczy, wzdrygając się z przerażenia. Czuł, jak to mokre, słone, zrozpaczone spojrzenie przenika przez jego oczy i dociera wprost do serca, powodując

bolesny skurcz. Zobaczył w nim strach, gdy patrzyła na niego tak bardzo przerażona, nie wiedząc, jakie ma zamiary. Antoniemu zrobiło się źle na samą myśl, że mogłaby przypuszczać, iż on jest podobny do tamtego małego, tchórzliwego skurwysyna, który na nią najechał.

– Proszę pani, proszę się nie bać... Ja wszystko widziałem, chcę pomóc – powiedział cicho, cofając się o krok, bo jednak trochę bał się wyszczerzonych w jego kierunku psich zębów.

– Bohun, spokój, to jest... – Helenka pociągnęła nosem i jeszcze raz obrzuciła Antka uważnym spojrzeniem – to jest przyjaciel – dorzuciła po chwili. – Nie rusz.

Pies jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki uspokoił się i położył obok swojej pani, sadowiąc łeb na jej kolanach. Ale nie spuszczał z Antka oczu.

– Proszę pani, ja myślę, że trzeba wezwać policję – Antek z wahaniem zrobił krok do przodu i widząc, że pies nadal jest spokojny, zdecydował się wolno, bez gwałtownych ruchów, przykucnąć. – Tak jak mówiłem, ja wszystko widziałem, złożę zeznania...

– Pan nic nie rozumie. – Helenka na moment przymknęła oczy i zdrową ręką obtarła mokre policzki. – O cokolwiek ktokolwiek pana zapyta, pan nic nie widział – powiedziała, otwierając powieki i znów spojrzała Antoniemu prosto w oczy.

– Ale tak nie można, przecież...

– On mnie chciał przejechać. Wiem. Ale wiem też, kim on jest. Uprzedzając to, czego się domyślałam: proszę nie pytać, bo nie powiem. Ale jeżeli złożę skargę, to wie pan, jak to się skończy? – zamilkła na chwilę i spazmatycznie zaczerpnęła haust powietrza. – Zabiorą mi Bohuna. – Spojrzała na psa. – Zamkną go na obserwacji, a potem uśpią. Albo znajdzie się w jakimś schronisku, bo udowodnią, że je nie jestem w stanie nad nim zapanować. Nie mogłabym żyć, gdybym wiedziała, że on jest przeze mnie nieszczęśliwy. A poza tym bez niego... Bez niego oni zrobią ze mną, co będą chcieli. Jego się boją... Proszę mi obiecać, że zapomni pan o tym, co pan tu widział – dodała, usiłując się podnieść, ale nie dała rady. Z jej ust wyrwał się stłumiony jęk.

Antoniego na ten widok coś złapało za gardło i przez dłuższą chwilę nie chciało puścić. Dławiła go mieszanka wściekłości, bezradności i niezrozumienia. Kim był ten pieprzony gnojek? – zastanawiał się ze zmarszczonymi brwiami, patrząc na zrozpaczoną i potłuczoną starszą kobietę. Kogo można się tak bać? Dotarło do niego, że nawet jeżeli znajdzie odpowiedź na to pytanie, to w tej chwili nie ona jest najważniejsza.

– Nie, proszę pani, nie mogę pani obiecać, że zapomnę – powiedział w końcu powoli. – Bo to niemożliwe. Ale mogę nie wezwać policji i chwilowo o tym nie mówić – dorzucił, widząc przerażenie w jej spojrzeniu. – Ale w takim razie musimy wezwać karetkę. Musi panią obejrzeć lekarz...

– Nie możemy wezwać karetki...

– O nie, tu nie ma możliwości negocjacji – przerwał jej stanowczo. – Nie mogę przecież pani tak zostawić. Pani nie może nawet się podnieść!

– Bo odebrało mi siły ze stresu. Nic sobie nie złamałam, naprawdę, proszę popatrzeć – Zebrała się w sobie, zmobilizowała całą siłę woli i opierając się na zdrowej ręce, podźwignęła z chodnika. – Pomoże mi pan dojść do ławki? – zapytała, podtrzymując się jego wyciągniętej silnej dłoni.

– Oczywiście, że pomogę, ale to i tak nie zmienia faktu, że tak pani nie zostawię. Lekarz jest tu niezbędny!

– No przecież nie wsiądę do karetki z psem – wysapała po chwili, gdy już usiadła na ławce. Te parę kroków, które zrobiła, jawiło jej się jako potwornie długa wędrówka, na czoło wystąpiły jej kropelki potu. – A samego go też nie zostawię...

– Ja bym mógł panią zawieźć, gdyby nie to, że wypłem piwo – mruknął. – Z Bohunem może też jakoś bym się dogadał – dodał już mniej pewnym tonem, na co Helenka uśmiechnęła się nieznacznie. Wiedziała doskonale, że jej czworonożny przyjaciel budzi respekt. Wiedziała też, że Bohun nawet muchy by nie skrzywdził... No, pod warunkiem że ta mucha nie chciałaby skrzywdzić jej.

– Cóż, najchętniej posłałabym pana do diabła – powiedziała po chwili, usiłując się uśmiechnąć, choć łatwo nie było, bo teraz już bolało ją dosłownie wszystko przy choćby najmniejszym ruchu. –

Ale nie mogę tego zrobić, bo niechętnie, ale jednak przyznaję, że ma pan rację. Powinien mnie obejrzeć lekarz. A pan nie powinien prowadzić po alkoholu ani zajmować się moim psem, choć doceniam tę propozycję. Cóż, nie pozostaje mi nic innego, jak zadzwonić do kogoś, kto zwyczajnie rozwiąże nasze problemy, chociaż niestety będzie zadawał mnóstwo niewygodnych pytań – westchnęła. – Czy mógłbyś, młody człowieku, sięgnąć do lewej kieszeni mojego płaszcza? Tam mam telefon. Podam ci cyferki do odblokowania... A potem powiem, do kogo zadzwonisz... Ja chyba nie dam rady unieść tak wysoko ręki... Ani jednej, ani drugiej, bo jak się gramoliłam z chodnika, to chyba w tej mniej poszkodowanej też sobie coś naciągnęłam – przyznała się niechętnie.

A potem z rezygnacją patrzyła, jak przystojny i troskliwy nieznajomy wydobywa z jej kieszeni komórkę i dzwoni pod wskazany numer.

Stella przyjechała po kilku minutach...

Stella przyjechała po kilku minutach. Błada i zdenerwowana wypadła z auta. Na tylnym siedzeniu wpięty w fotelik siedział zaaferowany Franio.

– Dziękuję, że pan zadzwonił – zwróciła się do Antoniego, a ten ze zdumieniem rozpoznał w niej kobietę, która rano uciekała z pensjonatu Gąsików. – Pani Helenko, co tu się stało? – Dziewczyna z troską pochyliła się nad starszą panią.

– A to Bohun coś zauważył, kota, albo może szczura, i pociągnął mnie tak, że rymsnęłam jak długa na ziemię – powiedziała szybko starsza pani, posyłając jednocześnie Antoniemu ostrzegawcze spojrzenie. – Pan to wszystko widział i był tak miły, że pomógł mi się pozbierać, no i zadzwonił do ciebie. Obawiam się, że bez lekarza się nie obejdzie... A byłoby mi rażniej z tobą, no i Bohun nie może zostać bez opieki, w razie gdyby. – W tym momencie głos Helenki zadrżał, a Stelli ścisnęło się serce.

– Jedyne „gdyby”, które tu widzę, to jeden, może dwa dni na obserwacji – powiedziała, przybierając dziarski ton. – Bohun przez ten czas nie zginie, zajmiemy się nim z Beniaminem jak własnym dzieckiem... i siostrzeńcem – dodała, puszczając do Helenki oko. – A swoją drogą, to jakim cudem Bohun tak się rozhulał? – Spojrzała ze zdumieniem na siedzącego koło ławki psa. – On w życiu za niczym nie gania, a poza tym przecież na wieczornych spacerach spuszcza go pani ze smyczy – dodała i z miejsca zarejestrowała, że teraz pies też jest puszczonej wolno, a smycz wystaje z kieszeni płaszcza Helenki.

– A to jakoś tak nieszczęśliwie się złożyło – mruknęła starsza pani, uciekając w bok spojrzeniem.

– Ja tak sobie myślę, że pytania to można zostawić na potem, a teraz to przede wszystkim trzeba jechać do szpitala i zobaczyć, czy nic podczas tego upadku się nie złamało – wtrącił się Antoni, na co Helenka posłała mu spojrzenie pełne wdzięczności.

Zbyt pochopnie, pomyślał Antoni. Wcale nie miał zamiaru ułatwiać starszej pani sprawy, uważał tylko, że pytania mogą poczekać. Nie zamierzał tego tak zostawić. Owszem, obiecał, że nie pójdzie na policję, co nie znaczyło jednak, że odpuści. Wręcz przeciwnie, był zdecydowany odkryć, kim był ten mały, tchórzliwy gnojek, i spuścić mu solidne manto. Żeby zapamiętał sobie, że już nigdy w życiu ma nawet nie pomyśleć o krzywdzeniu starszych i słabszych.

– Ma pan rację. My się chyba nie znamy. Stella. – Kobieta wyciągnęła do niego drobną, ale nadspodziewanie silną dłoń.

– Antoni – uśmiechnął się nieznacznie. Kącik jego ust powędrował do góry, w oczach zalśniło ciepło.

Seksownie, przemknęła Stelli przez głowę myśl, którą natychmiast przepędziła. No nie, kochana, przywołała się do porządku. Naprawdę idealny moment sobie wybrała na takie skojarzenia i romantyczne ciągoty! Helenka w rozsypce, Franio w samochodzie, a jej się marzy... Sama nawet nie wie, co dokładnie! Choć nie można mu odmówić, temu Antoniemu, że ma sporo uroku... Ale to pewnie wina tych nieszczęsnych, świecących romantycznym, rozproszonym światłem latarni i wiosennego zmięzchu. Nawet w książkach piszą, że to niebezpieczne połączenie, odbierające trzeźwość myślenia nawet tym twardo stąpającym po ziemi! No to czas wracać na ubity, bezpieczny grunt, nakazała sobie.

– Pomożesz mi przetransportować panią Helenkę do auta? – zapytała, potrząsając głową, jakby chciała się upewnić, że wypłoszyła każdą niechcianą myśl.

– Właśnie miałem to zaproponować... A poza tym chętnie pojedę z wami, może się na coś przydam. Tylko na chwilę muszę wskoczyć do Jazdy Bez Trzymanki i zostawić kasę za obiad. Jak tutaj się to...

– zawahał się, co nie umknęło uwagi Stelli – no, to wszystko wydarzyło, to wybiegłem z restauracji i co za tym idzie, nie uregulowałem rachunku. Nie chcę, żeby mnie posadzili o złodziejstwo i wywiesili moje zdjęcie z podpisem: „Tego pana nie obsługujemy” – dorzucił z uśmiechem, biorąc panią Helenkę pod ramię.

I gdy w końcu usadowili ją na tylnym siedzeniu obok Frania, Stella w duchu podziękowała Opatrzności za to, że zeszła jej Antoniego. Pomimo tego, że to on głównie dźwigał starszą panią, Stella i tak była zdyszana i spocona jak ruski termos. Sama w życiu nie dałaby rady jej dotransportować do samochodu. Tym bardziej że nie można jej było trzymać z całych sił, bo przy każdym mocniejszym uścisku Helenka krzywiła się z bólu, a raz zbladła tak bardzo, że Stella przestraszyła się, że ani chybi za moment starsza pani zemdleje.

W końcu wszyscy łącznie z Antonim, który w rekordowym tempie opłacił rachunek, znaleźli się w aucie i mogli ruszać.

Na całe szczęście dyżur miał doktor Karski...

Na całe szczęście dyżur miał doktor Karski, również były uczeń Helenki, który darzył swoją dawną nauczycielkę ogromnym sentymentem. Dzięki temu, że to właśnie on wychylił się z gabinetu i zobaczył bledziutką twarz starszej pani siedzącej w poczekalni w towarzystwie Stelli, Frania i nieznanego mężczyzny, weszli do gabinetu bez kolejki.

– Pani Helenko, co się stało? – zapytał, odgradzając ją i siebie parawanem od pozostałych, którzy weszli do gabinetu.

– A nic takiego. Bohun mnie zaskoczył, pociągnął, no i jest, jak jest – mruknęła niepewnie pacjentka.

– Bohun? – Doktor, podobnie jak wcześniej Stella, nie mógł ukryć niedowierzania. – Nie widziałem, żeby prowadzony na smyczy kiedykolwiek chociaż trochę przyspieszył! Opiekuje się panią lepiej niż niejeden człowiek. Czasem mam wrażenie, że obchodzi się z panią jak z jajkiem.

– Ale to jednak zwierzę i widać instynkt zadziałał, nic się na to nie poradzi – obstawała twardo przy swoim Helenka, obiecując sobie w duchu, że jakoś wynagrodzi Bohunowi te wszystkie oszczerstwa.

Doktor, patrząc na nią, tylko uniósł brwi i pokręcił głową.

– Jest pani potwornie poobijana! – powiedział po chwili, gdy udało mu się zdjąć jej bluzkę. – Ja tutaj niewiele zziałam. Trzeba zrobić prześwietlenie i rentgen, upewnić się, czy nic nie jest złamane. No i z całą pewnością zostanie pani u nas na kilka dni – dodał, a w jego oczach zamigotała troska. – Za chwileczkę zabierze panią pielęgniarka i zawiezie gdzie trzeba – zapowiedział. – Ale pani Helenko, co się dzieje, czemu pani chce płakać? – zapytał, widząc, że w oczach starszej pani zbierają się łzy.

– Bo ja nie wiem, jak... Co... No, co zrobię z Bohunem – wydusiła w końcu.

– No przecież już powiedziałam, że się nim z Beniaminem zajmujemy. – Zza parawanu doleciał stanowczy i dodający otuchy głos Stelli.

– Bohun z nami będzie mieszkał? – ucieszył się Franio.

– Trochę z nami, trochę z wujkiem Beniaminem – odpowiedziała Stella pogodnie, poczochnęła synka po i tak już zmierzwionych włoskach i krzepiąco uśmiechnęła się do Helenki, którą pielęgniarka sadzała właśnie ostrożnie na wózku. – Pani Helenko, niech się pani nie martwi – powiedziała. – Zajmę się wszystkim, Bohun będzie miał u nas jak pączek w maśle, obiecuję. A i jak da mi pani klucze, to przywiozę z domu wszystko, co potrzeba. Kosmetyki, piżamę i co tam będzie niezbędne.

– Klucze są w płaszczu. Dziękuję wam bardzo, moje dzieci – uśmiechnęła się do nich blado Helenka.

– Pani Stasiu – doktor zatrzymał na moment pielęgniarkę – niech pani weźmie na moment ze sobą chłopca – spojrzał wymownie na Frania – i powie pani Irence na recepcji, żeby pokazała mu, jak wygląda serce od środka – dodał, a Franio aż podskoczył z ekscytacji.

– Serce od środka? – powtórzyła Stella, gdy synek wraz z Helenką i pielęgniarką zniknęli za drzwiami.

– Mamy takie fajne organy, które można rozebrać na części...

– Mam szczerą nadzieję, że sztuczne – mruknęła Stella.

– Nie, no co ty, akurat nam się trafił nieboszczyk... Matko, co ja mówię! Zawsze przy tobie robiłem się nieco makabryczny! – Doktor potrząsnął głową. – A tak serio, odesłałem małego, bo nie powinien słyszeć tego, o czym chcę pogadać... I skoro już zostaliśmy w węższym gronie, to teraz mogę zapytać wprost... – Doktor na moment zawiesił głos, obrzucając Stellę i jej towarzysza uważnym spojrzeniem. – Co jej się tak naprawdę stało? Te obrażenia na pewno nie powstały tylko i wyłącznie z powodu upadku. Bo jeżeli to pies by ją pociągnął... Nie no, psa to można od razu wykluczyć! Tu się nic ze sobą nie zgadza! Siniak wielkości stodoły rozlewający się aż na plecy wyraźnie wskazuje, że ją coś uderzyło... lub ktoś...

– Słuchaj, Krzysiu, kręcisz. Przestań gdybać i powiedz, co tak naprawdę myślisz i co widzisz tym swoim doktorskim okiem –

przerwała mu Stella bezpardonowo.

– Myślę i widzę, że ktoś ją pobił – powiedział bez ogródek doktor.

– Poczekaj. – Stella z niedowierzaniem potrząsnęła głową. – Jak pobił?

– Nie wiem jak, ale widzę siniaki i obrażenia, jakie nie raz i nie dwa już widziałem. To nie jest tylko upadek, ale jedno porządne uderzenie na pewno! Czymś ciężkim i twardym.

– Cholera! Ale Helenkę... Czekać, czekaj. – Stella przypomniała sobie o Antonim. – Ty tam przecież byłeś... – Wbiła w niego pytające spojrzenie.

Antoni spojrzał na nią, potem na lekarza. A potem przypomniał sobie to, co mu powiedział kelner, któremu zostawiał należność za obiad i suty napiwek. Powiedział mu wyraźnie: „Ja to bym się na pana miejscu do tego nie mieszał, a już na pewno nic nie mówił...”. I właśnie dlatego powiedział wszystko. Bardzo nie lubił, gdy ktoś doradzał mu bycie chujem.

– I co my z tym wszystkim zrobimy? – zapytała Stella, przerywając ciszę, która zapadła, gdy skończył mówić.

– Ona się wszystkiego wyprze, ja z kolei niby wszystko widziałem, ale tak naprawdę nic nie widziałem i nic nie wiem. – Antoni w geście bezradności rozłożył ręce. – Nie jestem stąd, nie wiem, kim było to bydlę. I tak sobie myślę, że najlepiej byłoby udawać, że jej wierzymy, znaczy wy wierzycie, bo jeżeli chodzi o mnie, to pani Helenka wie, że ja wiem. Ale tak może uda się podstępem coś z niej wyciągnąć. Albo nie wiem... Można ją śledzić, pilnować...

– Ja tego w ogóle nie powinienem słuchać! Powinienem to natychmiast zgłosić na policję – mruknął doktor, pocierając ręką czoło.

– Daj spokój, Krzysiu, jak cię będzie gnębić sumienie, to zdejmij po prostu ten fartuch i przyjmij, że jesteś tu z nami po cywilnemu. Przecież tu chodzi o człowieka! A poza tym obowiązuje cię chyba tajemnica lekarska. Nie możesz bez zgody pacjenta rozpowiadać o nim na prawo i lewo – przypomniała mu Stella.

– Tak nawiasem mówiąc, to właśnie rozpowiadam z wami – uświadomił jej lekarz. – A poza tym ten pacjent jest zagrożony...

– No i dlatego my się tym zajmiemy – wtrącił się Antoni.

– My? – zdumiała się Stella.

– No my, bo przecież to ja wiem najlepiej – uświadomił jej mężczyzna. – Na całe szczęście chwilowo będzie bezpieczna, bo zostaje w szpitalu, tak?

– Tak na trzy, cztery, stawiałbym nawet, że na pięć dni. Na tyle na pewno, chyba że coś tam się dzieje, o czym dowiemy się po badaniach, wtedy zostanie dłużej. Rozumiem, że za wcześnie jej nie wypuszczać...

– Jakbyś mógł. – Stella spojrzała na niego prosząco.

– Zrobi się, a teraz to wy już idźcie, bo mi czekający na swoją kolejkę ludzie wyrwą aortę... Przywieź jej, Stello, pizamę i szczoteczkę do zębów. To na pewno. Do jedzenia to ja jej coś kupię, bo na wikcie szpitalnym... Szkoda gadać. – Machnął ręką. – A, i nie zapomnij o Franiu – dorzucił i w odpowiedzi dostał takie spojrzenie, że gdyby tylko wzrok mógł zabijać, padłby natychmiast martwy.

Gdy wyszli ze szpitala...

Gdy wyszli ze szpitala, Antoni już miał z rozpędu wsiadać do jej samochodu, zresztą sama mu zaproponowała, że go podwiezie, ale jednak w ostatnim momencie zmienił zdanie. Przypomniał sobie poranne zachowanie Henryka, jego słowa i poczuł nagle zaniepokojenie. Pomyślał, że nie powinien ciągnąć tej dziewczyny w okolice pensjonatu.

W tej samej chwili jego zamyślony wzrok zahaczył o Franka, który właśnie wypuścił z samochodu Bohuna i z poważną miną trzymając smycz, oprowadzał psa po wąskim paśmie ziemi, na którym zieleniła się młoda, miękka trawa. I nagle zalała go fala ogromnego niepokoju, a przed oczami przeskoczyły obrazy Henryka gapiącego się nienawistnym wzrokiem na przedszkole, a potem zaczajonego na półpiętrze. Cholera, wszystko to zaczęło do siebie pasować, choć nie tworzyło jeszcze konkretnego, pełnego obrazu! Temu świrowi naprawdę chodzi o nią i o małego, dotarło do Antka. Ale czemu? To musiało być związane z tą tajemniczą, powiązaną z przeszłością, wizytą w Kotkowie, to pewne. I teraz dopiero zdał sobie sprawę, że Henryk kręcił od samego początku. Jakoś mu to umknęło, zapewne dlatego, że nie zaprzętał sobie tym głowy. Ogólnie dbał o to, żeby z Heniem łączyły go w miarę możliwości tylko sprawy zawodowe. Teraz jednak przypomniał sobie, że przecież jak dostali zapytanie o możliwość zajęcia się tym projektem, Henryk najpierw się zainteresował i był podekscytowany, a potem, gdy tylko rzucił okiem na papiery i przeczytał nazwę miejscowości, jakby zbladł i zaczął wycofywać się rakiem...

Antoni wtedy przypisał to dziwne zachowanie jego humorom, miewał tak czasami, że strzelał focha, zwykle wtedy, gdy chciał zmusić innych, by zaczęli o niego zabiegać i wręcz prosić go o to, by łaskawie zmienił zdanie. Trochę to wprawdzie było dziwne, bo po dość długiej współpracy Henryk wiedział, że na Antka to nie działa,

ale wtedy Antoni nie poświęcił temu ani minuty. Prosić też nie zamierzał, zamiast tego wyjął mu papiery z rąk, znalazł odpowiednią stronę i palcem pokazał liczby. Tak dobrego kontraktu jeszcze do tej pory nie mieli. I to wystarczyło. Henryk nadal był nieco nadąsany i z jakiegoś powodu niezadowolony, ale już nie protestował. A kolejnego dnia Antoni zastał go w zgoła odmiennym nastroju, naładowanego energią, jakąś taką wręcz niepokojącą. Siedział przy biurku i przeglądał czyjś profil na Facebooku, ale gdy tylko Antek stanął koło niego, przełączył go na witrynę hotelu, przy którym mieli pracować. Zanim jednak strona zniknęła, Antoniemu mignęło zdjęcie. Cholera, i na tej fotografii była chyba Stella, dotarło do niego teraz. Głowy wprawdzie by sobie za to nie dał sobie uciąć, ale im dłużej o tym myślał, tym większej pewności nabierał.

Tamten dzień w ogóle był dziwny. Henryk z jednej strony był podekscytowany i widać było, że kwota, jaką mogli zgarnąć, mocno podziałała na jego wyobraźnię, ale z drugiej wściekał się z byle powodu, rozstawiał swoich ludzi po kątach, zwolnił Jolę, swoją wieloletnią sekretarkę, która jako jedyna ogarniała zarówno papiery, jak i humory Henryczka. Henryk zresztą od razu zdał sobie sprawę, że popełnił ogromny błąd, ale oczywiście się do tego nie przyznał. To nie było w jego stylu. Już tak miał, że zdania z zasady nie zmieniał. Antoni nawet nie usiłował go do tego przekonywać, za bardzo cenił swój czas, żeby go w tak głupi sposób marnować, więc machnął ręką i zatrudnił panią Jolę u siebie.

Teraz myśląc o tym wszystkim, zrozumiał, że tak naprawdę Henrykowi nie chodziło wcale o nowe wyzwanie w postaci hotelu i dużego kompleksu zabytkowych budynków, które go otaczały. Z równowagi wyprowadziło go coś innego. Coś, co ewidentnie miało związek z Kotkowem, Stellą i jej synkiem. I gdy w pełni to do niego dotarło, poczuł, że włoski jeżą mu się na karku.

– No to co? Jedziemy? Gdzie cię podrzucić? – W jego niewesołe myśli wdarł się głos Stelli.

– Wiesz co, jednak się przejdę – powiedział i z przykrością spojrzał na samochód, od którego dzieliło go zaledwie kilka kroków. Chętnie skorzystałby z jej propozycji i przeciągnął czas, który mógł

z nią spędzić. Sam nie wiedział, dlaczego go tak do niej ciągnie. Bo że ciągnęło, tego akurat był pewien. Była bardzo ładna, to fakt, ale na swojej drodze często spotykał piękne kobiety. I to takie bez dzieci, braci, którzy mogli mieć pretensje o to, jak potraktowano ich siostry, i staruszek, którymi zamierzały się opiekować. Bezproblemowe w użytkowaniu – ledwo to pomyślał, wzdrygnął się z niechęcią. Zabrzmiało strasznie! Tak po henryczkowemu.

Chyba musisz uważać, stary, bo z kim przestajesz, takim się stajesz, westchnął w duchu.

Ale właściwie taka była prawda. Stella niosła ze sobą wszystkie te problemy, których do tej pory konsekwentnie unikał. Nie była kobietą bez zobowiązań. Ani taką, którą można było potraktować jak rozrywkę na jedną noc.

Znał ją zaledwie od kilku godzin, ale to wystarczyło. Już wiedział. To nie była kobieta, z którą można było pożegnać się zdawkowym „miło było”, zostawiając w ramach podziękowania drogie perfumy.

Do tego, że być może i on nie mógłby jej tak zostawić i że trudno by mu było odejść, nie przyznawał się nawet przed sobą. Zresztą chyba wybiegł za daleko w przyszłość, bo o ile się znał na dziewczynach, to ona w ogóle nie była z tych, które ot tak wskoczyłyby do jakiegoś hotelowego łóżka. Nie, Stella nie była „jednorazowa”. I miała synka, którego poznał i nawet polubił. Dzieciak był rezolutny, zabawny i śmiały. I wszystko wskazywało, że właśnie na tego dzieciaka dybał Henryk.

Kurwa, zaklął w duchu Antoni. W co ja się, do diabła, wpakowałem?

I to dobrowolnie! Przez nikogo nieprzymuszany! Zadeklarowałem, że zajmę się pilnowaniem staruszki, którą ktoś prześladowa, a teraz jeszcze pakuję się w to – spojrzał na Frania i Stellę, która właśnie przykucnęła i wołała do siebie Bohuna.

A potem przed oczami mignęła mu inna chłopięca twarz. Przymknął powieki i niemal poczuł, jak jego szyję obejmują ciepłe rączki, a sercem szarpnęła tęsknota.

Muszę koniecznie zadzwonić do domu, pomyślał, otwierając oczy, i jeszcze raz spojrzał na kobietę, która pakowała synka do auta. Pies wskoczył sam i położył się obok chłopca na siedzeniu.

Antoni już wiedział, że wszystko, czym do tej pory się kierował i co traktował jako żelazne zasady, może odwiesić na kołku.

Ten wieczór, obietnica w sprawie Helenki i świadomość, że ten dzieciak i jego mama mogą być w niebezpieczeństwie, zmieniły wszystko.

W ten wieczór stał się też cud, którego nikt tak naprawdę nie zauważył. Serce Antka po raz pierwszy od kilku lat drgnęło. Cuda jednak mają to do siebie, że nie potrzebują ani poklasku, ani innego aplauzu. Wystarczy im to, że cichutko i niepostrzeżenie zmieniają świat, sprawiając, że pomięte ludzkie dusze pod ich wpływem się prostują i znów zaczynają z nadzieją patrzeć w przyszłość.

Stella wróciła do domu bardzo późno...

Stella wróciła do domu bardzo późno. Franio zmęczony usnął jeszcze w samochodzie, gdy wracali z domu Helenki, do którego zajechała po raz drugi, bo najpierw spakowała rzeczy starszej pani i zawiozła je do szpitala, a dopiero potem, gdy już wracała, zdała sobie sprawę, że nie wzięła nic dla Bohuna. Sklepy były już zamknięte, a przecież nie mogła zostawić zwierzaka bez jedzenia.

– A poza tym pewnie będzie ci rażniej, jak będziesz miał swoje poślanie i własne miski, co? – zagadała do niego, gdy już podjeżdżali pod jej dom ze wszystkim, co zabrała od Helenki.

Bohun w odpowiedzi tylko zastrzygł uszami. Wyskoczył z samochodu, poczekał cierpliwie, aż Stella wyjmie Frania z fotelika, i poszedł za nią do drzwi domu. Gdy je otwierała, nagle obejrzał się za siebie, zjeżył sierść na grzbiecie, a potem zawrócił i podbiegł do furtki, warcząc złowrogo. Stella odwróciła się, mocniej przyciskając do siebie synka, ale nie dostrzegła nic niepokojącego.

A nawet gdyby, to raczej nikt nie jest na tyle głupi, żeby pchać się wprost w paszczę psa, który wygląda jak Bohun, pomyślała i z miejsca się uspokoiła.

W domu położyła Frania do łóżka i z czułością popatrzyła na jego spokojną, uśpioną buzię, rozgrzane od snu policzki i potargane włoski. Pomyślała, że kocha go najbardziej na świecie. I że nigdy, przenigdy nie pozwoli go nikomu skrzywdzić. Opatuliła go kołdrą, po czym na moment przytuliła dłoń do jego twarzy. Niesamowite, taki mały, a jest moim całym światem, uśmiechnęła się, posiedziała tak jeszcze chwilę, a potem na palcach opuściła jego pokój.

Wyszła przed dom i gwizdnęła na Bohuna. Zjawił się natychmiast i podniósł na nią duże, brązowe psie oczy. Wyczytała w nich pytanie, którego przecież inaczej nie mógł zadać.

– No, niedobrze się stało, wiem, że się martwisz, ale twoja pani się z tego wyliże – mruknęła pocieszająco i położyła mu rękę na głowie. – Szkoda, że nie umiesz mówić, bo łatwiej by było załatwić

to wszystko, gdyby było wiadomo z kim, kto jej to wszystko robi – dodała. – A swoją drogą to chyba jednak dam sobie spokój z dyskrecją i z zastanawianiem się, czy coś jest w porządku, czy nie, i jeżeli Helenka nie da się namówić do zwierzeń, to pociągnę za język siostry. One przecież coś wiedzą... Widzisz, piesku, gdybym miała świadomość, że sprawa jest tak poważna, to już dziś bym je wypytała o to i owo... A teraz chodź, idziemy do środka – dorzuciła i po chwili krzątała się po domu, szukając jak najlepszego miejsca na posłanie Bohuna i stawiając jego miski w kuchni. Do jednej nasypała jedzenie, drugą napełniła wodą. Pies podszedł do nich i spojrzał na nią wyczekująco.

– No co tam? Zjedz coś – zachęciła go, ale Bohun tylko machnął ogonem i położył się ciężko na podłodze. – No rozumiem, możesz nie mieć apetytu, ale wiesz, musisz coś jeść, a pić to już w ogóle – przekonywała go Stella, a potem przypomniała sobie, że przecież obiecała Antoniemu, iż zadzwoni do niego i powie, czy wszystko w porządku, gdy tylko dotrze do domu.

Właściwie nie wiem, dlaczego ja się na to zgodziłam. Od kiedy to odmeldowuję się u, było nie było, obcych facetów? – zapytała samą siebie, idąc do przedpokoju i wyciągając z kieszeni płaszczka telefon oraz wizytówkę, którą dostała pod szpitalem od Antoniego. Odblokowała telefon i widząc liczbę wiadomości i nieodebranych połączeń, zaklęła szpetnie.

Zupełnie wyleciało jej z głowy, że przed wejściem do szpitala wyłączyła dzwonek! Trzy nieodebrane połączenia od Beniamina, cztery od Antoniego.

– Pięknie, po prostu pięknie... – mruknęła do siebie i najpierw wybrała numer tego drugiego.

Z nim pójdzie szybciej, pomyślała.

– Przepraszam cię bardzo, że dopiero teraz, ale przed momentem weszłam do domu. Dotarliśmy wszyscy cali i zdrowi... Bohun tęskni za panią, ale chyba rozumie, że przez jakiś czas musi zostać ze mną. Nawet pognął do furtki i obwarczał ziejącą za nią pustkę – powiedziała z uśmiechem.

– No to skoro masz takiego stróża, to chyba nie muszę się martwić. – Głos Antoniego zabrzmiał w jej uchu ciepło i zawibrował

zmysłowo. – Ale zamknęłaś furtkę na klucz, prawda? – dorzucił, a Stella wychwyciła lekkie napięcie w jego głosie.

– Tak, zrobiłam to od razu – powiedziała wolno. Przypomniała to sobie, bo strasznie trudno było jej wydostać klucz z kieszeni, jednocześnie nie wypuszczając Frania z objęć. – A czemu pytasz? – spytała zaniepokojona.

– A tak jakoś mi się wyrwało. To moja obsesja. Zawsze zanim pójdę spać, sprawdzam wszystkie zamki. Mam tak od małego i chyba mi się pogłębia, bo wychodzi na to, że teraz pilnuję nie tylko swoich drzwi, ale też znajomych – roześmiał się.

– No to spokojnie, jestem dużą dziewczynką, a teraz dodatkowo dużą dziewczynką z dużym psem. W domku zamkniętym na cztery spusty...

– No, to trochę mnie uspokoiłaś. Stella... – zawiesił na moment głos.

– Tak? – zapytała, a serce zabiło jej jeszcze mocniej.

– Cieszę się, że cię poznałem, i nie mogę doczekać się, aż cię znowu zobaczę. A takie uczucie nie towarzyszyło mi od lat – powiedział miękko i natychmiast się rozłączył.

Bo kompletnie nie był na to przygotowany. Na swoją szczerą i wylewną. I nie rozumiał, jakim cudem powiedział to głośno. Opanował się błyskawicznie, wyszedł ze swojego pokoju i zapukał do tego po przeciwnej stronie korytarza. Niestety, jak przypuszczał, Henryka nie było.

Antoni obawiał się, że Bohun wcale nie nawarczał na pustkę, tylko na coś, a raczej na kogoś dużo bardziej rzeczywistego.

Awięc to tak... ma psa...

Awięc to tak... ma psa. Wielkiego i czujnego. Widać po południu Opatrzność nad nim czuwała, skoro zesłała na niego tę wścibską sąsiadkę. Co za koszmarna baba! Jego Armani z bazaru! Na to wspomnienie Henryczek aż zatrzęsł się ze złości. Ale mimo wszystko z całą pewnością wolał stanąć oko w oko z tuzinem takich jak ona niż z jednym wrogo nastawionym psiskiem. Psisko w przeciwieństwie do babsztyla miało ogromną paszczę wypełnioną ostrymi zębami.

Cóż, w takim razie będę musiał wymyślić coś innego, postanowił, szybkim krokiem odchodząc spod domu Stelli i na wszelki wypadek trzymając się tej ciemniejszej strony ulicy, tam gdzie światło latarni prawie nie docierało. Jutro znowu pójdzie pod przedszkole... Może los będzie mu sprzyjał i nadarzy się sposobność...

Pokręcił głową, bo nadal nie wiedział, co może zrobić. Nie miał konkretnego planu. Ale co do tego, że takowy w końcu się pojawi, nie miał żadnych wątpliwości. W końcu zawsze dopinał swego i nie widział powodu, żeby tym razem miało być inaczej.

Następnego dnia Stella wstała pełna niepokoj...

Następnego dnia Stella wstała pełna niepokoj i od razu zauważyła, że miski stoją nietknięte, a pies leży koło nich, dysząc ciężko. Przez kolejne minuty zachęcała go na różne sposoby, żeby coś zjadł, a przede wszystkim się napił. W końcu zdesperowana otworzyła lodówkę i wyciągnęła z niej szynkę i kiełbasę, które podetknęła pod Bohunowy nos. Rezultat był ten sam. Psisko spojrzało na nią z rozpaczą i odwróciło głowę.

Niebawem wstał Franio i on też usiłował własnymi sposobami zachęcić zwierzaka do jedzenia, jednak Bohun nie dał się skusić. W końcu położył się tyłem do nich, złożył łeb na wyciągniętych łapach i zapatrzył się apatycznie w okno.

Cholera jasna, tęskni i z tej tęsknoty postanowił chyba się zagłodzić. Stella była zrozpaczona.

W końcu zostawiła Bohuna w domu, zapakowała Frania do samochodu i pojechała do szpitala.

Ku jej ogromnej uldze Helenka wyglądała o niebo lepiej. Wróciły jej kolory, a oczy znów nabrały blasku.

– O, jak dobrze was widzieć – ucieszyła się na widok swoich gości. – Jak tam Bohun, nie rozrabia za bardzo?

– Nie, absolutnie, tylko... – Stella zagryzła wargę, zastanawiając się, jak w miarę delikatnie przedstawić starszej pani problem.

– Umiera! – wystrzelił Franio, a Helenka zbladła jak płótno.

– Franiu, na litość boską, co ty w ogóle wygadujesz – zdenerwowała się nie na żarty Stella.

– No przecież sama powiedziałaś, że jak tak dalej pójdzie, to się wykończy – wytknął jej chłopiec i zrobił obrażoną minę.

– Jak to umiera? Co wy w ogóle opowiadacie? Co się stało? – Helenka uniosła się w pościeli i spojrzała na nich z przerażeniem.

Zaczęły jej drżeć dłonie, a po chwili starsza pani trzęsła się już cała.

– Pani Helenko, spokojnie, Franio po prostu jak to on wyraża się skrótowo, a ja pomimo tego, że przecież wiem, jak to zwykle wygląda, nie umiem upilnować tego, co przy nim mówię. Rzeczywiście powiedziałam coś takiego, bo Bohun od wczoraj nie tknął ani jedzenia, ani picia... Chyba za panią tęskni – dodała i ze zdumieniem stwierdziła, że Helenka nie tylko nie zaniepokoiła się jeszcze bardziej, a wręcz przeciwnie, jakby się uspokoiła i odetchnęła z wyraźną ulgą.

– Matko, ale mnie przestraszyliście – powiedziała, opadając na poduszkę. – Biedny Bohun, trafiła mu się kompletnie głupia pani, jak mogłam o tym zapomnieć – dodała i pokręciła głową.

– Ale o czym? – Stella nic z tego nie rozumiała.

– O tym, że on nie weźmie do pyska niczego, jeżeli nie podasz mu tego w odpowiedni sposób – wyjaśniła Helenka. – Sama go tego nauczyłam po obejrzeniu jakiegoś serialu, w którym ktoś usiłował otruć psa detektywa, i tylko dlatego mu się nie udało, bo tamten nie tykał niczego, co nie było odpowiednio podane. Tak jak Bohun teraz.

– O rany, czyli to dlatego patrzył na mnie z takim wyrzutem, gdy podsuwałam mu szynki i kiełbasy, i wszystko, co miałam najlepszego w lodówce – zrozumiała Stella i roześmiała się z ulgą. – Biedak musi uważać mnie za sadystkę! Powie mi pani, pani Helenko, co mam zrobić, żeby zaczął jeść?

– To nic skomplikowanego – uśmiechnęła się starsza pani i w kilku słowach wyjaśniła, jak trzeba podać miskę. – No to teraz przekonasz się, że tych kiełbas i szynki na pewno ci nie odmówi – dorzuciła. – A teraz, dziecko, mam jeszcze jedno pytanie... Nie wiesz przypadkiem, ile mnie tu będą trzymać? Bo ja już bym chciała wrócić do domu – powiedziała, a w jej głosie znów pojawiło się jakieś napięcie, ręce zacisnęła na brzegu kołdry.

– No, pani Helenko, jest pani u nas zaledwie od wczoraj, a już chce uciekać? – W progu sali stanął doktor Krzysztof i uśmiechnął się nieznacznie. – Tak pani źle z nami? – Uniósł pytająco brwi.

– Źle to nie, ale co w domu, to w domu – wymijająco odpowiedziała starsza pani. – No to jak będzie, Krzysiu? – Spojrzała mu w oczy.

– Panie doktorze, może pan zajrzeć tak na szybko do siódemki? – Za plecami lekarza pojawiła się pielęgniarka.

– Tak, oczywiście, za momencik wrócę – obiecał i już go nie było.

Stella tymczasem przysiadła na brzegu łóżka i popatrzyła na Helenkę uważnie.

– No to może, skoro zostałyśmy same, wykorzystamy to i w końcu szczerze porozmawiamy – powiedziała cicho. – Franiu, weź, proszę, krzeselko i wyrzuj przez okno, zobacz, czy widać stąd nasz samochód – dorzuciła, chcąc na moment zostać ze starszą panią sama. – Pani Helenko – zaczęła, gdy chłopczyk odszedł od łóżka i zajął się podstawianiem pod okno taboretu – to jest zbyt poważna sprawa, żeby bawić się w niedomówienia. Wyjdzie pani ze szpitala i naprawdę musimy zrobić wszystko, żeby taka sytuacja już się nie powtórzyła. Wszyscy wiemy, że Bohun z pani upadkiem nie miał nic wspólnego. Coś się dzieje, ktoś pani robi krzywdę. Musi pani powiedzieć, kto to. I lojalnie uprzedzam, że jeżeli nie usłyszę tego od pani, to wyciągnę to od sióstr. Uzmysłowiłam sobie, że one coś wiedzą. Przecież mówiły jakoś niedawno w piekarni, że w razie czego ma pani do nich lecieć jak w dym, bo rodzina Kazimierczaków niczego się nie boi...

– Daj spokój, dziecko. – Helenka skuliła ramiona. – To takie czcze gadanie! Nie boi! Załatwimy! Są sprawy, których nie można załatwić!

– Eee, pani Helenko, wszystko da się załatwić. Lepiej lub gorzej, ale się da! A z całą pewnością nie można milczeć i dawać się krzywdzić! Może jak więcej osób będzie wiedziało, co się dzieje, to wspólnie będzie łatwiej temu zaradzić.

– Posłuchaj, Stello... Masz pewnie rację – zgodziła się w końcu niechętnie starsza pani. – Ale daj mi jeszcze moment się nad tym zastanowić. I nie wypytuj na razie nikogo. Wyjdę ze szpitala i obiecuję, że opowiem ci, co się dzieje. Dobrze?

– Obiecuje pani, tak? – Stella popatrzyła w jej wyblakłe niebieskie oczy.

– Obiecuje – przytaknęła Helenka z powagą.

– Dobrze, w takim razie ja nie będę wypytywać. Poczekam – zgodziła się i pogładziła starszą panią po pomarszczonej dłoni. – To jesteśmy umówione, a ja teraz pójdę poszukać Krzysia i dowiem się, kiedy pani wychodzi – dorzuciła. – Franiu, idziesz ze mną czy zostajesz z panią Helenką?

– Zostaję – zdecydował chłopiec, co Stella przyjęła z ulgą, bo właściwie im mniej mały słyszał, tym lepiej.

Z Franiem było tak, że człowiek nigdy nie był pewien, kiedy z czymś wystrzeli i jaką formę to przybierze. Co zapamięta i jak zrozumie, i kiedy zechce z tego skorzystać.

Stella natknęła się na Krzysztofa tuż przed drzwiami sali, w której leżała Helenka.

– No i co z nią? – zapytała, nie bawiąc się w zbędne wstępy.

– Właściwie na pierwszy rzut oka wyglądało to gorzej, niż jest w rzeczywistości. Jest potłuczona, lewa strona bardzo mocno ucierpiała, ale na całe szczęście nie ma żadnych złamań, skończyło się na siniakach i stłuczeniach. No i ta ręka... Unieruchomiliśmy ją i będzie musiała jeszcze przez jakiś czas używać temblaka. Tak jak wam obiecałem, przetrzymam ją jeszcze cztery dni. Potem muszę ją wypisać... – Spojrzał na Stellę wyczekująco.

– Rozumiem i dziękuję. Wiem, co chcesz powiedzieć. Nie możesz w nieskończoność zajmować łóżka, no i dobrze by było wiedzieć, co się dzieje. I ja się jakoś dowiem, kto jej to zrobił. Nawet już wymusiłam na niej obietnicę, że mi powie. Dopilnujemy jej z Beniaminem, no i z Antonim... Nie znam go prawie w ogóle, ale dobrze mu z oczy patrzy.

– Umiał się znaleźć, to fakt – przytaknął Krzysztof. – A kim on w ogóle jest i co robi w Kotkowie? Bo nie widziałem go tutaj wcześniej, a to facet, którego trudno przeoczyć.

– A wiesz, że nie mam bladego pojęcia? Ale teraz do hotelu przyjechała duża grupa, na jakieś kilkudniowe szkolenie, potem mają jeszcze wykupiony pakiet integracyjny, może on jest z nimi. – Stella wzruszyła obojętnie ramionami, nie dając po sobie poznać, że na myśl o Antonim zrobiło jej się cieplej koło serca. – Ale wracając do tematu, to co, Helenkę odbieramy za cztery dni, tak?

– Tak mi wychodzi.

– No to świetnie. Bo w międzyczasie będę mogła załatwić kilka swoich spraw – mruknęła w zamyśleniu.

Potem wracając do domu, pomyślała, że życie to jednak dziwnie się plecie. Gdy przedwczoraj wychodziła z hotelu, zdruzgotana, trzymając w objęciach pudła i wszystkie swoje zawiedzione nadzieje, wydawało jej się, że nic gorszego i bardziej zaprzatającego uwagę nie może jej się przytrafić. A tu, proszę bardzo, jak człowiek potrafi się pomylić! Zaczął się już trzeci dzień, odkąd była bezrobotna, oszukana i z groźbą braku środków do życia deptająca jej po piętach, a ona nie miała nawet chwili, żeby się nad tym porządnie zastanowić. Pojawienie się Henryka i jego towarzysza, sytuacja z Helenką, a także zagadkowość sióstr sprawiły, że była zbyt zajęta, by bezproduktywnie się zamartwiać.

Ale teraz trzeba było powoli zacząć działać i rozprawiać się po kolei z tym, co na nią spadło. A było tego sporo. W tym samym momencie przypomniała sobie twarz Antoniego i jego piękne, głębokie oczy i pomyślała z irytacją, że tylko tego jej jeszcze brakowało! Zauroczenia! I to takiego, które absolutnie musi przegrać z rzeczywistością. Antoni nie był stąd. Nawet nie wiedziała, czy przypadkiem nie ma żony i stadka dzieci. I właściwie nie powinna się nad tym zastanawiać, bo na logikę on też nie powinien jej obchodzić. Facet jak facet. Przystojny i uroczy. I dlatego tym bardziej niebezpieczny. I idealnie się składa, że wtedy w przedszkolu niechcący obiecała Franiowi wycieczkę do dziadków. Jak stąd zniknie, to może wróci jej rozum. A kto wie, może przy okazji i inne problemy jakimś cudownym sposobem się rozwiążą. W końcu Paulinka i siostry Kazimierczakówny przepowiedziały jej tę wiosnę cudów – ledwo o tym pomyślała, parsknęła śmiechem i westchnęła głęboko.

Jakoś tak trudno było jej uwierzyć w jakiegokolwiek cudowne zrządzenie losu. Skoro nawet nie wierzy – a ponoć to wiara czyni cuda – ma naprawdę niewielkie szanse na to, by cokolwiek takiego wydarzyło się w życiu niedowiarka, jakim była.

Tego ranka komendant Robert Bonk...

Tego ranka komendant Robert Bonk, zwany przez przyjaciół Robercikiem, jechał do pracy, pogwizdując wesoło. Rozglądał się dookoła, jakby cały Kotków należał do niego. Trochę się tak nawet czuł. Był lokalnym komendantem policji, takim szeryfem i opiekunem mieszkańców. Starał się jak ojciec dbać o porządek i spokój. I chociaż czasami musiał być ojcem surowym i wlepić mandaty za wykroczenia, to jednak kochał podległe sobie miasteczko i cenił jego mieszkańców. No, może nie wszystkich, ale ogólnie był z nich zadowolony. Cieszył się, że strategia zero tolerancji, którą dostosował do tutejszych warunków, a podpatrzył w Nowym Jorku (oglądało się trochę filmów i seriali), sprawdziła się w Kotkowie doskonale. Trudno było tu szukać kobiet handlujących pietruszką na chodnikach czy wagarowiczów na skwerach. O drobnych pijaczkach sterczących z piwem pod sklepami już nie wspominając. Rozglądał się po czystych ulicach i estetycznie przyciętych drzewach. Wiosenny, wprost oślepiający błękit nieba jeszcze ten ład wyostrzał i podkreślał. Piękne miał miasteczko, bez dwóch zdań. Spojrzał we wsteczne lustro i jego wzrok padł na twarze siedzących z tyłu trzech synów. Czwarty, najstarszy, siedział obok, na siedzeniu pasażera, wgapiony w ekran telefonu komórkowego. Oczy Roberta zmrużyły się, natychmiast przypomniał sobie o porannej rozmowie z żoną, którą spokojnie można było nazwać kłótnią. Nie dość, że powiedzieli sobie trochę niemiłych rzeczy, to jeszcze okazało się, iż przyczyną całego problemu są chłopcy, jego ukochani, chociaż nieco może zbyt swawolni synkowie.

Zaparkował pod komendą i wszyscy opuścili samochód.

– Może my już pójdziemy do szkoły, co, tata? – spytał najstarszy, nieformalny lider całej grupy.

– Nie, najpierw do mnie – oznajmił lakonicznie komendant.

– Ale potem będziesz się złościł, że się spóźniliśmy – usiłował negocjować młodszy.

– Cicho! – Robert miał swój plan i zamierzał go wdrożyć, choćby synowie mieli w ogóle nie pójść na pierwszą lekcję.

Cóż w ogóle znaczy pierwsza lekcja w szkole wobec lekcji życia?

Gdy weszli do budynku, ojciec skierował swoje kroki do leżącej na uboczu celi. Raczej już nieużywanej, będącej reliktem przeszłości, ale nadal robiącej wrażenie.

– Wiecie, co to jest? – Spojrzał ostro na chłopców.

– No...

– A wiecie, że cele nie zawsze są puste i że rodziny policjantów tam po drugiej stronie nie nazbyt lubiane?

– Oj, tata, ale pytania zadajesz, no naprawdę – prychnął jeden z braci.

– Jak zadaję, to nie bez powodu. – Robercik spojrzał na nich ponuro. – I jak będziecie chuliganić, to was w końcu ktoś w takiej zamknie, z prawdziwymi przestępcami, a wiecie, co oni wam będą robić?

– Tak, będą nas w du... – Nie zdążył dokończyć najstarszy, bo zamilkł, uciszony ostrym spojrzeniem ojca.

– Do mnie, do gabinetu! – Robert wskazał ręką otwarte drzwi swojego pokoju.

– Szefie – podszedł do niego jeden z funkcjonariuszy – będzie jakaś kontrola, pismo przyszło...

– Później, albo zresztą daj mi to, zajmę się tym od razu. – Komendant zabrał mu zadrukowany arkusz.

Wszedł za chłopcami do gabinetu i usiadł za biurkiem. Nie do końca zgadzał się z tym, co musi im powiedzieć, ale wiedział, że jego żona tego właśnie oczekuje. Zbierał myśli i przelotnie spojrzał na trzymane w ręku pismo: bla, bla, bla, wizytacja robocza, bla, bla, bla, podpisano Filip jakiś tam, coś tam... Pies to srał, pomyślał lekceważąco. Doskonale wiedział, że ma świetne wyniki i nic mu nikt nie zrobi. Niechaj przyjeżdża ta zapewne jakaś malowana lala.

– No, łobuzy, a teraz jak na spowiedzi, coście zrobili tej starej Helenie?

– A nic, trochę tam dokuczaliśmy, ale ona psem nas szczyła – odpowiedział najstarszy.

– Dzieci psem? – zdziwił się komendant. – Jak ona mogła! Pokażcie mi te pogryzienia, ale szybko...

– No tatusiu, ale on nas nie pogryzł... To znaczy chciał, chciał, i to jak, ale nie udało mu się...

– Szymek, ty mnie nie wkurwiasz, przecież aż tutaj czuję, jak kłamiesz! To szkolony owczarek! Jakby was nim poszczyła, to w szpitalu byśmy się widzieli! Co wy sobie myślicie, że możecie mi tak kłamać?! Przez wasze błazeństwa Kazimierczakówny matce pieczywa nie chcą sprzedawać, a tego od Gimzaka jeść się nie da. Nigdy więcej nie chcę o tym słyszeć, rozumiano?

– Tak, tato... – Chłopcy pochylili głowy i w milczeniu czekali na obwieszczenie o karze.

– No idźcie już do szkoły... – Ojciec jakby odpłynął gdzieś myślami. – Aha, i jeżeli kiedyś przyjdzie wam do głowy coś równie głupiego, to dwa razy się zastanowicie, czy wolno i czy warto... I niezależnie, co postanowicie, to nikt nie może was rozpoznać. Róbcie to, co trzeba i co musicie, ale mądrze i z głową, rozumiano? – dodał po chwili.

– Pewnie, to my już pójdziemy... – Chłopcy wycofali się z gabinetu, a Robert zapatrzył się w okno.

Dobrze, że ich przestrzegł. Wiadomo, chłopcy to chłopcy, będą rozrabiać, takie ich prawo. Do komendanta wróciły wspomnienia, które nieskutecznie usiłował wymazać z pamięci. Znów słyszał krzyki, które dawno temu towarzyszyły największemu numerowi, jaki wycięli dawną paczką. W położonym wówczas niemal przy samym rynku sadzie podpalili szopę z narzędziami starego Kuziora – samotnego starego mężczyzny, który czymś im tam zawinił... Nie wiedzieli tylko, że Kuzior spał w tej szopie... Gdy płonąła żywym ogniem, obudził się i zaczął wrzeszczeć. Co prawda strażacy wyciągnęli go żywego, ale po kilku dniach zmarł od oparzeń.

Przynajmniej długo się nie męczył... – pomyślał Robert.

To był ich ostatni taki numer, bali się. Wprawdzie milicja przyjęła założenie, że buda zajęła się od papierosa, ale więcej nie chcieli ryzykować. Na szczęście stary nie miał rodziny ani nikogo bliskiego

i nikomu szczególnie nie zależało na wyjaśnieniu tej sytuacji. Robert potrząsnął głową i wrócił do rzeczywistości. Cieszył się, że tę rozmowę z chłopcami ma już za sobą, wiedział, że z tej strony wszystko już jest załatwione. Zrozumieli, co im chciał przekazać. A swoją drogą ciekawe, czy ten pies jest w ogóle szczepiony...

Stella odczekała jeszcze dwa dni...

Stella odczekała jeszcze dwa dni, zanim podjęła decyzję, że spokojnie może zostawić bieżące sprawy Benjaminowi i polecieć w końcu do rodziców. Bohun, któremu podawała miskę zgodnie z zaleceniami Helenki, miał apetyt za dwóch, starsza pani była już w pełni sił, chociaż ręka nadal porządnie jej dokuczała, Franek zostawał ze Stellą w domu, więc ponure widmo Henryka też jakby trochę się odsunęło i rzucało mniejszy cień. Dobrze nie było, ale lęk trochę odpuścił.

W końcu kupiła bilety na samolot. Rodzicom nic nie powiedziała, nie chciała, żeby jakoś specjalnie przygotowywali się na jej przyjazd.

Gdy skończyła się pakować, po chwili wahania sięgnęła po telefon i wybrała zapisany ostatnio numer.

– Antoni, bo widzisz, muszę wyjechać na dwa, może trzy dni – powiedziała, gdy w słuchawce usłyszała jego głos. – I pomyślałam, że dobrze, żebyś wiedział... Bo może Helenkę wypiszą i trzeba będzie na nią rzucić baczniejszym okiem. Wprawdzie mój brat ma się nią zaopiekować, ale...

– Słuchaj, a co powiesz na to, żebyśmy się spotkali? – wszedł jej w słowo, a jego głos brzmiał tak jakoś miękko i trochę niepewnie.

– To w sumie dobry pomysł – powiedziała, biorąc głęboki oddech.

– Świetnie, to za pół godziny? W Jeździe Bez Trzymanki?

– Idealnie – odpowiedziała, w duchu wymyślając sobie od kretynek.

Bo oto zamiast wykorzystać to, że wyjeżdża, i uwolnić się od niebezpiecznie przystojnego i pociągającego Antoniego, co ona robi? Rzuca się głową naprzód w to...

– No właśnie, w co właściwie? – mruknęła pod nosem.

Spotykasz się z facetem i będziesz z nim rozmawiała o staruszce! Ależ mi powód do ekscytacji! Chyba rzeczywiście pora zafundować sobie jakiś romans, bo jeżeli coś takiego jest w stanie zburzyć twój

spokój i rodzić w głowie grzeszne myśli, to nie jest dobrze, dokończyła w duchu.

Zanim wyszła, zadzwoniła jeszcze do Beniamina.

– Słuchaj, umówiłam się z Antonim, wiesz, tym od Helenki, tym, o którym ci opowiadałam. Chciałam mu powiedzieć, co i jak...

– W sensie, że wyjeżdżasz i kupiłeś bilet, i że boisz się latać, a Helenka nadal w szpitalu? Tak, to rzeczywiście wymaga spotkania – zakpił Beniamin.

– Nie, matołku, ale rzeczywiście chcę z nim pogadać o Helence, a poza tym przyjdę z nim do ciebie po Franka. Dobrze by było, żebyście się poznali, bo jeżeli Helenkę wypiszą, zanim wrócę, to chyba byłoby niezłe, gdybyście chociaż wiedzieli, jak wyglądacie. Na wszelki wypadek, gdyby coś się zaczęło dziać...

– Dobrze, dobrze, siostra, nie znam gościa, ale ktoś, kto nie zostawia samym sobie pokiereszowanych staruszek na ulicy, a potem nie wymiksowuje się przy pierwszej sposobności z, było nie było, niezbyt ciekawej sytuacji, jakoś z miejsca budzi moją sympatię. Idź i baw się dobrze. I zluźnij trochę. Może to jest dobry moment, żeby przypomnieć sobie, że są na świecie faceci, którzy już przestali bawić się misiami i dla odmiany mogą tobie zrobić śniadanie, a w twoim łóżku...

– O nie, skończ! Nie chcę tego słuchać. – Stella odsunęła od ucha telefon i spojrzała na niego z niesmakiem. – Kończę – dorzuciła głośniejszym głosem, tak żeby na pewno dotarło to do Beniamina, i nacisnęła czerwoną słuchawkę.

Potem pognęła do swojego pokoju, otworzyła szafę i zlustrowała uważnie wiszące tam sukienki. Ale gdy tylko zdała sobie sprawę z tego, co robi, jęknęła przeciągle i zatrzasnęła mebel z łoskotem.

– Mowy nie ma! – warknęła w kierunku lustra, które wisiało na przeciwległej ścianie i w którym wyraźnie widziała swoją podekscytowaną i zarumienioną twarz. – Po moim trupie, Stello, włożysz coś innego, niż masz na sobie – dodała, a potem obrzuciła jeszcze jednym uważnym spojrzeniem swoje odbicie.

Dżinsy i sweterek pasowały raczej na niezobowiązujący spacer, a nie na uwodzicielską randkę. Czyli były idealne na spotkanie z Antkiem. A zarumienione policzki... Cóż, siostry

Kazimierczakówny niewątpliwie byłyby zachwycone tym, że nie potrzebuje różu.

Antek czekał na nią przed wejściem...

Antek czekał na nią przed wejściem do restauracji. I ledwo ją zobaczył, poczuł, że właśnie na to chciałby czekać każdego dnia. Na to, żeby ona, tak zwyczajnie, szła w jego kierunku. I była coraz bliżej. Była pierwszą kobietą od lat, z którą rozmawiał. Tak normalnie, o wszystkim i o niczym. Wyłączając oczywiście rozmowy służbowe. Bo inne damsko-męskie spotkania były ściśle skalkulowane: szybkie wino, seks, perfumy jako miły pożegnalny gest i już.

Nigdy w życiu nie kupię jej perfum, pomyślał, patrząc, jak Stella lekko przeskakuje przez lśniąca na chodniku kałużę. Nigdy...

I właśnie w tym momencie dotarło do niego, że oto się stało. Zakochał się. W kobiecie, której praktycznie nie znał, którą wypatrzył z półpietra pensjonatu, zza pleców Henryka, którego nawiasem mówiąc, od tamtego wieczoru, gdy wrócił ze szpitala, nie spuszczał z oka.

Zakochał się jak sztubak miłością, w którą nie wierzył, tą od pierwszego, a kto wie, może drugiego wejrzenia... Zresztą mniejsza o liczby, grunt, że go dopadła. A myślał przecież, że nad tym panuje, że ma to poukładane, że w jego życiu nie ma na nią miejsca... Tymczasem proszę bardzo, miał wszystkie symptomy: myślał o niej, nie mógł się skupić, musiał się pilnować, żeby nie włączyć się koło jej domu. I zwyczajnie za nią tęsknił. A gdy powiedziała mu, że wyjeżdża, zrozumiał, że nie może jej puścić, ot tak, ryzykując, że więcej jej nie zobaczy. Musiał się z nią spotkać i spróbować zrobić coś, żeby dać jej do zrozumienia, iż on będzie czekał, a ona musi, po prostu musi wrócić. Do niego.

Teraz stanęła przed nim i uniosła głowę. Uśmiechnęła się. Świat stał się lepszy.

– To co, zjemy coś? – zapytała i tym przywróciła go do rzeczywistości.

– Pewnie, zarezerwowałem stolik – powiedział i odchrząknął.

Zajęty Stellą nie zauważył, że właśnie przechodzi obok nich dziewczyna z recepcji pensjonatu, Paulinka, która na widok Stelli w towarzystwie Antoniego zrobiła wielkie oczy i zamrugła gwałtownie. Stella też jej w pierwszym momencie nie dostrzegła. Zobaczyła ją, dopiero gdy weszli z Antonim do restauracji i spojrzęła w stronę okna. Zamachała do Paulinki przyjaźnie. Dziewczyna potrząsnęła głową i dyskretnie najpierw pokazała gest z kciukiem do dołu, a potem go uniosła, na co Stella uśmiechnęła się jeszcze szerzej i również pokazała uniesiony kciuk. Paulinka wyglądała na zdumioną, ale kiwnęła głową i ociągając się nieco, poszła w swoją stronę.

A potem Stella już o niej nie myślała. Rozmawiali z Antonim o Helence, o tym, że trzeba będzie na nią uważać. Powiedziała mu, że leci do rodziców... Po tej informacji nie wiedzieć czemu wyraźnie się rozluźnił i wyglądał na o wiele bardziej zadowolonego niż przed momentem.

– Do rodziców, tak? – upewnił się jeszcze.

Przytaknęła. Do Włoch, Franio tęskni. I tak dalej, i tak dalej. Rozmowa niby banalna, gdyby nie to, że nie mogli od siebie oderwać oczu i wcale a wcale nie spieszyło im się, żeby wstać od stolika.

– Muszę już iść – mruknęła Stella w końcu. – Odebrać Franka i wracać do domu. Wstajemy w środku nocy, Beniamin odwozi nas na lotnisko. Jeśli masz ochotę, możesz mnie odprowadzić, przy okazji poznasz mojego brata. Bo wiesz, skoro macie obaj mieć oko na Helenkę, dobrze by było, żebyście umieli się rozpoznać... A swoją drogą, to miałam zapytać i zapomniałam... Przyjechałeś z tą całą grupą do hotelu?

– Tak – odpowiedział krótko, zastanawiając się, skąd ona o tym wie i czy zdaje sobie sprawę, że coś łączy go z Henrykiem.

– Tak myślałam. – Pokiwała głową i nie wydawała się ani zaskoczona, ani zdumiona, a już na pewno nie zdenerwowana.

Trochę to dziwne... Antoni spojrzął na nią uważnie, ale nie wyglądało na to, żeby chciała kontynuować ten wątek.

– Jakoś wyjątkowo długo tam siedzicie, to musi być jakieś bardzo ważne szkło... – przerwała, a jej twarz rozjaśnił uśmiech. – No

proszę, zobacz, kto wyszedł nam na spotkanie – powiedziała na widok nadchodzącego z naprzeciwka mężczyzny z dzieckiem. Franio natychmiast rzucił się w jej stronę i mocno się do niej przytulił, a potem z powagą przywitał się z Antonim, podając mu rękę.

– No, wy się już znacie. – Stella zmierzwiła synkowi włoski. – A to jest mój brat, Beniamin. Beniamin, poznaj Antoniego – przedstawiła ich sobie.

Panowie uścisnęli sobie ręce i przez moment mierzyli się wzrokiem.

– Dużo już o tobie słyszałem – odezwał się w końcu Beniamin. – Same dobre rzeczy – dodał następnie.

– I pewnie to cię trochę zaniepokoiło – roześmiał się Antoni.

– No, może odrobinę, ale Franek cię lubi, Bohun nie zagryzł, a dzieci i psy mają nosa do ludzi, to chyba dobra rekomendacja. Ale tak na wszelki wypadek, to powiem ci, stary...

– Beniamin! – przerwała mu ostrzegawczo Stella.

– No powiedz mi, stary, powiedz – zachęcił go Antoni dobrotliwie.

– No powiem ci, że cokolwiek...

– Beniamin, do diabła! – W głosie Stelli zadźwięczały kryształki lodu.

– Że cokolwiek zrobisz mojej siostrze, to samo ja zrobię tobie – dokończył niezrażony Beniamin.

– Nie wiem, stary, czy by ci się to podobało. – Antek spojrzał mu w oczy, a kąciki jego ust uniosły się w półuśmiechu, gdy przelotnie spojrzał na Stellę.

– No dobrze, koguciki, to już skoczyliście sobie do oczu, pokazaliście, który ma większy grzebyk, i chyba możemy z tym skończyć, zanim umrę z zażenowania. – Stella pomimo wściekłości nie była w stanie ukryć rozbawienia. – Miałam nadzieję, że pod moją nieobecność będziecie jakoś sobie pomagać z Helenką, ale widzę, że tu się szykuje ring, a nie współpraca.

– Żartujesz, siostra? – Beniamin spojrzał na nią rozbawiony. – To są takie męskie rytuały. Teraz już wiemy, na czym stoimy, i będzie git.

– Dokładnie tak – przytaknął Antoni.

– Męskie rytuały – powtórzył Franio z zachwytem.

– Oho, no to teraz dopiero się zaczniesz – mruknęła Stella, przewracając oczami. – Już wiem, o czym będę rozmawiać przez cały wieczór...

– Ha, to będzie naprawdę pasjonujące – prychnął ubawiony Benjamin. – A teraz to ja już będę się zbierał. Wiem, że zostawiam was w dobrych rękach. Jestem u ciebie jakoś tak nad ranem. – Benjamin zamknął Stellę w objęciach. – Jest wporzo – wyszeptał jej do ucha. – Naprawdę, gdybym był dziewczyną, tobym brał...

– Dziękuję ci, Beniaminie. – Wyswobodziła się z jego uścisku, dusząc się ze śmiechu. – Za wszystko. Jesteś lepszy niż najlepsza przyjaciółka, naprawdę – dorzuciła z ciepłą kpina.

Poczekwała, aż Franek i Antoni się z nim pożegnają, i ruszyli w drogę powrotną. Gdy dotarli pod dom, otworzyła furtkę, a następnie drzwi wejściowe i wpuściła synka do środka.

– No to chyba czas się pożegnać – powiedziała, odwracając się do Antoniego i unosząc głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Obiecuję, że wrócisz jak najszybciej. Bo ja tu będę – powiedział i poczuła, jak jego palce oplatają jej dłonie. – Poczekam tyle, ile będzie trzeba – dorzucił, uniósł jej dłoń i przytulił do swojego policzka.

Poczuła na skórze ciepło i szorstkość kilkudniowego zarostu, z którym było mu diabelnie do twarzy. Oczy miał takie głębokie, że można było się w nich zatopić, zanurzyć i ukryć przed całym światem.

– Wrócisz? – powtórzył, nie puszczając jej dłoni.

– Wrócę... Tylko widzisz, ty nic o mnie nie wiesz i...

– To doskonale, bo to dokładnie tyle, ile ty wiesz o mnie. Mamy równe szanse. – Nachylił się do niej jeszcze bardziej, a serce Stelli najpierw się zatrzymało, po czym zatrzepotało i w tym momencie w uchylonych drzwiach pojawiła się główka Frania.

– Mamo, idziesz? – zapytał, lustrując ją i Antoniego bystrym spojrzeniem.

– Idę – uśmiechnęła się, oswabdzając czym prędzej dłonie z rąk Antoniego i odsuwając się od niego. – To znikam – dodała nagle zakłopotana i pomachała mu, wchodząc do domu.

A Antoni, idąc szybkim krokiem w kierunku pensjonatu, myślał o tym, że właściwie to nieprawda, że wiedzą o sobie tyle samo. Bo ona nie wiedziała o nim właściwie nic, a przecież miał co opowiadać. I nad czym myśleć. Zerknął na zegarek i westchnął. Było już za późno, żeby dzwonić do domu. Dobrze, że podczas porannej rozmowy nikomu nie obiecał wieczornego telefonu.

Zadzwonię jutro, obiecał sobie w duchu. Zresztą, gdyby się coś działo, pewnie by się o tym już dowiedział. A może tym razem się pomylił... Może źle ocenił to wszystko i miło się rozczaruje... Oby tak właśnie było, oby. Bo on mógł wytrzymać dużo, ale nie chciał, żeby to, co raniące i bolesne, dotknęło tych, których kochał najbardziej.

Za każdym razem...

Za każdym razem, gdy Stella tu przyjeżdżała, traciła na chwilę oddech. Z zachwytu. Toskania jest najpiękniejszym miejscem na ziemi. A teraz dodatkowo prezentowała swoje najpiękniejsze, rozpromienione wiosenne wydanie. W Polsce już czuło się wiosnę, pachniało nią powietrze, wiatr był cieplejszy i łagodniejszy, krokusy tworzyły barwne kobierce, gdzieś pojawiały się wczesne prymulki. Ale tutaj można było ulec złudzeniu, że to już początek lata. Wszystko kwitło i kusilo świeżą, soczystą zielenią. Nagrzana słońcem ziemia pachniała najpiękniejszą aromatyczną mieszanką bazylii i rozmarynu.

Stella stała na krańcu ogrodu, który otaczał stary i dość duży tokański dom, w którym mieszkali jej rodzice. Z tego miejsca rozciągał się widok na pofałdowane tokańskie wzgórza. Za jednym z nich kryło się kolejne, na szczycie którego rozciągało się jedno z piękniejszych i najbardziej magicznych miast, Volterra. Tam, nawiasem mówiąc, wybierała się z lotniska, bo w Volterrze według jej wiedzy mieli mieszkać rodzice. Jakże była zdumiona, gdy okazało się, że jednak jest nieco inaczej.

– Tato, siurpryza! – zawołała do telefonu, gdy wylądowali. – Właśnie przylecieliśmy z Franiem i jesteśmy we Florencji...

– Co ty mówisz! Świetnie! To rzeczywiście nie przesadzałaś! A to niespodzianka, i to taka, nooo, z górnej półki. – W głosie ojca usłyszała radość, ale wychwyciła też nutkę zakłopotania.

– Tato, ale czy mi się wydaje, czy w czymś wam przeszkodzimy?
– zapytała, marszcząc brwi. – Bo wiesz, jakby co, to możemy wynająć sobie tu pokój – oczyma duszy widziała topniejące w oczach pieniądze na koncie – i dojechać do was jutro albo pojutrze...

– Oszalałaś? Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak się za wami z mamą stęskniliśmy i jak bardzo się cieszymy! Tyle tylko, że zamierzaliśmy trochę inaczej to wszystko urządzić. – Odchrząknął. –

Ale cóż, może to nawet i lepiej, przynajmniej odpadnie nam problem, jak wam to oznajmić – dodał.

– Tato, czy mi się wydaje, czy tu pachnie tajemnicą?

– Czy dziadek pachnie tak, jakby go ktoś przytulał? – wtrącił Franio, który wiedział, że nieładnie jest przeszkadzać podczas rozmowy, ale widać stracił resztki cierpliwości. – Tak jak mówił miś z Niebieskiego Domu?

– Na pewno będzie tak pachniał, jak go wyściskamy – zapewniła go Stella.

– A czy ja słyszałem swojego ukochanego, najbardziej wytęsknionego i najcudowniejszego wnuczka? – rozpromienił się ojciec.

– Dokładnie, ale tato...

– Kochanie, jak będziesz na miejscu, to pogadamy – uciał ojciec, wyjątkowo jak na niego stanowczo. – Przyjadę po was, co wy na to?

– Eee, bez sensu. To nie będzie konieczne. Sprawdziłam połączenia kolejowe, pociągiem chyba będzie szybciej.

– No to was odbiorę z dworca. Uwierz, to już jest konieczne. To o której będziecie?

Słyszając to, Stella uniosła brwi i podała planowaną godzinę dojazdu. Wszystko to brzmiało tajemniczo i dziwnie. A to był zaledwie początek. Bo po tym, jak wysiedli z pociągu, jak już się obłąkańczo wyściskali, wycałowali i nadziwili („O rety, jak ty schudłaś!” – to mama. „Jacy jesteście opaleni!” – to Stella. „Dziadku, ożenisz się z mamą, bardzo proszę?” – to Franio) i zapakowali do samochodu, zrobiło się jeszcze bardziej tajemniczo.

Bo auto nie skręciło do miasta. Ojciec prowadził pewnie i widać było, że przemierzał tę drogę wielokrotnie. Wjechali w boczną uliczkę, która wkrótce przeszła w drogę gruntową. Oddalali się od centrum, zanurzając coraz głębiej w tokańskie wzgórza, mijając gaje oliwne i winnice. Samochód rodziców piął się coraz wyżej i wyżej, aż w końcu przystanął przed kutą bramą.

– No to jesteśmy – zakomunikowała mama jak gdyby nigdy nic.

– Jak to: jesteśmy? – Stella zmarszczyła brwi. – A przypadkiem nie mieszkaliście w centrum Volterry, w małym apartamenciku?

W którym mogliście zostać na dużo dłużej, niż początkowo planowaliście?

– Cóż, być może nie do końca byliśmy precyzyjni w tym, jak to opisywaliśmy – mruknął tata. – Ale na szczegóły przyjdzie pora. Teraz najważniejsze jest to, że dotarliśmy na miejsce i że nareszcie będziemy mogli się sobą nacieszyć. Na pewno nie będzie wam tu gorzej niż w volterrskim apartamenciku – dodał. – To co, wysiadamy?

Wysiedli. Stella już nic nie mówiła, tylko zaskoczona najpierw obeszała cały dom, potem ogród, a teraz stanęła na jego krańcu i podziwiała widok. Wszystko tu tchnęło spokojem. Ptaki śpiewały, rośliny wyciągały ku słońcu zielone, pełen oczekiwania ramiona, w konarach wielkiego dębu szeleścił wiatr. Było pięknie. I tak cudownie spokojnie. Stella pomyślała, że rodzice wiedzieli, co robią, zatrzymując się tutaj, choć nie do końca, a nawet nie od początku rozumiała, czemu nie powiedzieli, że wynajmują dom. Dom, który nawiasem mówiąc, był domem szczęśliwym. Czuć było to w każdym z pomieszczeń, w każdym kąci. Stare cegły, kamienna podłoga, masywne podsufitowe belki, wszystko to aż promieniało. Tak samo zresztą jak rodzice, którzy jakby odmłodnieli.

Coś za jej plecami brzęknęło. Odwróciła się i zobaczyła mamę, która szła w jej stronę, niosąc naręczę talerzy.

– Wiedziałam, że tu cię znajdę. Stąd rozciąga się najpiękniejszy widok, a ty zawsze miałaś do tego nosa. Instynktownie odkrywasz takie perełki – uśmiechnęła się do niej. – A tam kawałek dalej mamy zadaszony taras i właśnie tam będziemy jeść. Obiad z widokiem. Może nie tak spektakularnym jak ten, ale też zachwycającym. Pomożesz mi?

– Pewnie. – Stella pokiwała głową i spojrzała na mamę spod oka.

Nie miała pojęcia, jak w tak sielskim otoczeniu, widząc, jak są spokojni i szczęśliwi, ma w ogóle zacząć mówić o tym, z czym przecież tu przyjechała.

Dam sobie czas do wieczora, pomyślała. Teraz i tak nie ma warunków. Franio jest tak stęskniony, że nie odstąpi dziadków na krok. Powiem im, jak już pójdzie spać. A poza tym grzechem byłoby psuć taki obiad. Z rozkoszą wciągnęła aromat zupy chlebowej,

łakomym wzrokiem obrzuciła grzanki z pastą z krewetek i wątróbki. A wiedziała, że to nie wszystko, że za moment ojciec doniesie jeszcze gnocchi zatopione w szpinakowym sosie i posypane startym serem.

Cóż, jej rewelacje nie zając, nie uciekną, a takie jedzenie nie zasłużyło na to, żeby czekać.

W ten sposób sama sobie podarowała kilka godzin beztroski. I tokańskiego, pachnącego rozmarynem i szalwią szczęścia.

Franio zażądał stanowczo...

Franio zażądał stanowczo, żeby tego wieczoru spać położył go dziadek. Miał z nim bardzo ważną sprawę do omówienia. Sprawę dla prawdziwych mężczyzn. Zanim jednak poszli do łóżka, usiedli razem na balkonie, na wygodnych leżakach. Dziadek z kieliszkiem wina, a Franio z kubkiem kakao. Było im dobrze w swoim towarzystwie.

– Dziadku – zaczął Franio, ale przerwał, żeby upić łyczek.

– Słucham cię, wnusiu. – Ojciec Stelli spojrzał na małego z czułością.

– Czy ty możesz dla mnie coś zrobić? To nie będzie trudne – zaczął chłopiec i ścisnął mocno ucho kubka.

Teraz ważyła się najważniejsza sprawa w jego życiu. Musiał zrobić wszystko, żeby dziadek się zgodził.

– No, skoro nietrudne, to pewnie tak. – Dziadek już zapomniał, że przy tym kawalerze za nic nie powinien na cokolwiek zgadzać się w ciemno.

– To świetnie. – Mały odstawił kubek na metalowy stolik i zatarł z zadowoleniem rączki. – Bo ja bym bardzo chciał, żebyś ty, dziadziusiu, ożenił się z mamą – wyjawiał uszczęśliwiony.

– Ehem, ehem. – Dziadek niemal zachłysnął się winem i spojrzał na wnuczka z zastanowieniem i lekkim zakłopotaniem. – Twoją mamą? – zapytał na wszelki wypadek.

– No tak. Jak ją pytałem, czy kiedyś się ożeni, to powiedziała, że to nie jest proste, bo żeby mieć męża, to trzeba go lubić. I chcieć przytulać, i musiałyby spać z nią w jednym łóżku, a tego to ja nie chcę. – Mały zmarszczył nos.

– No a dlaczego padło na mnie? – Dziadek uniósł pytająco brwi.

– No, dziadku, mama cię lubi i ty ją lubisz. Przytulasz ją. A śpisz w łóżku z babcią, to chyba już nie musisz u mamy...

– Nawet mądrze to sobie wykombinowałeś, ale wiesz co, muszę cię zmartwić... To tak nie działa. No i obawiam się, że ani babcia,

ani mama nie byłyby zadowolone. Bo widzisz, twoja mama to moja córka, a tatusiowie nie żenią się ze swoimi dziećmi!

– Tatusiowie też nie? Synkowie też nie mogą! – Franio zdegustowany pokręcił głową.

– No cóż, tak właśnie urządzone jest świat – westchnął filozoficznie dziadek, usiłując ukryć rozbawienie. – A czemu tak bardzo ci zależy na tym, żeby ożenić mamę? – zapytał po chwili.

– Bo żeby mieć dzieci, to muszą być mama i tata, tak?

– No wiesz, zasadniczo... – powiedział wymijająco dziadek, bo nagle odniósł wrażenie, że ta rozmowa może za chwilę okazać się zbyt trudna.

– No właśnie. Mamusi już raz się ze mną udało, bo ja nie mam tatusia, a jednak mamusia powiedziała, że mnie chce, i dostała. Ale drugi raz to pewnie już się nie uda...

– A ty byś chciał, żeby się udało? – dopytywał dziadek, usiłując zrozumieć, co tak naprawdę dzieje się w tej małej główce.

– No tak, bo chcę mieć braciszka – wyrzucił w końcu z siebie Franio. – Moi koledzy z przedszkola mają i jak im jest fajnie, dziadziu! A ja nie mam. Ani tatusia, ani braciszka. Jest wujek Misio, ale wujek to nie to samo... Naprawdę nie możesz ożenić się z mamą? – spróbował raz jeszcze.

– Naprawdę, poza tym z dziećmi to też nie jest proste.

– No wiem, prosiłem już Mikołaja, żeby mi przyniósł pod choinkę, ale nie przyniósł. A wyobrażasz sobie, dziadziusiu, zachwyty mamy, gdyby tam zajrzała, a tu braciszek! – rozmarzył się chłopiec.

– O tak, już to widzę oczami wyobraźni, tę jej dziką euforię – zakasłał podejrzenie dziadek. – Byłaby naprawdę uszczęśliwiona, tak, że ho, ho! Myślę, że długo by się z tego szczęścia nie mogła otrząsnąć!

– Prawda? Ale Mikołaj nie przyniósł. – Franio nawet nie usiłował ukryć rozczarowania.

– Wiesz, może akurat były braki. Tam u Mikołaja też czasami może być kiepsko – mruknął ojciec Stelli, usiłując zachować powagę i uratować reputację świętego od podarków. – Albo może taki braciszek nie zmieściłby się w kominie...

– Eee, jak Mikołaj ze swoim brzuchem się mieści, to braciszka też by jakoś przepchnął – mruknął Franio, który pomimo tego, że nie dostał prezentu, o który prosił, nadal był pełen wiary w mikołajowe zdolności. – No właśnie, dziadku, to ja mam kłopot. Bo jak nie ty i nie Mikołaj, to kto? Kto jeszcze mógłby mi pomóc? Chyba nikt. – Chłopczyk pociągnął nosem.

– No wiesz, Franio... Ogólnie rzecz biorąc, to sprawa nie jest prosta, ale na pewno nie beznadziejna. – Dziadek usiłował naprędcę coś wymyślić. Spojrzał w niebo i odetchnął z ulgą. Znalazł rozwiązanie. – Wiesz, zawsze możesz poprosić o pomoc wróżkę – zaczął przekornie, wiedząc doskonale, co mały myśli o wrózkach i czarodziejkach.

– Dziadku, wróżki są dla dziewczyn, a nie dla poważnych chłopaków – uświadomił mu, kręcąc główką.

– No tak, masz rację, więc zostaje nam tylko jedno rozwiązanie: musisz wypatrzeć spadającą gwiazdę i wypowiedzieć życzenie.

– I to zadziała? – Franio wyraźnie się ożywił.

– Powinno. Tylko musisz wiedzieć, że z gwiazdami to jest tak, że nigdy nie wiadomo, kiedy to życzenie się spełni. Może zdarzyć się tak, że zadziała od razu, ale częściej trzeba na to poczekać. – Dziadek spojrział na niego z rozczeniem.

– Dobrze, zawsze to lepsze niż nic – uśmiechnął się Franio i widać było, że znów odzyskał humor.

– No to skoro mamy to załatwione, to teraz pora do łóżka.

– Dziadku, jak do łóżka? To kiedy ja mam tę gwiazdę zobaczyć, jak wy mi każecie w kółko chodzić spać! – Chłopczyk popatrzył na niego z rozżaleniem.

– No wiesz, jak teraz nie trafisz do łóżka, to mama nie będzie zachwycona i obu nam zmyje głowy... Ale twoje łóżko stoi pod oknem, a ja właśnie za momencik odsłonię ci firanki i będziesz mógł patrzeć w niebo ile dusza zapragnie – mruknął do wnuczka porozumiewawczo dziadek. – Wiesz, z kobietami trzeba sposobem – dodał.

– Prawdziwi mężczyźni nie mają łatwo, co, dziadku? – westchnął przeciągle Franio. – Ciągłe muszą robić to, co im każą mamy albo babcie... Chodzić spać, sprzątać zabawki...

– No cóż, ale bez mamy i babci nie byłoby dobrze, co? – uśmiechnął się do niego dziadek, prowadząc go do małego, przytulnego pokoiku.

– No nie byłoby. Myślisz, dziadku, że ta gwiazda to już dziś spadnie?

– Jest taka możliwość, ale tak jak ci mówiłem, gwiazdy są kapryśne i z nimi nigdy nic nie wiadomo.

– Ale spełniają życzenia?

– A to to masz jak w banku. Od tego są – zapewnił go dziadek głosem ze spiżu.

– No i świetnie. – Franio uśmiechnął się od ucha do ucha. – A to się Marcel zdziwi. To mój kolega z przedszkola. Głupek – dodał i zachichotał.

– A dlaczego głupek? – zainteresował się dziadek.

– Bo mówił, że nie można sobie zażyczyć starszego braciszka, tylko takiego obrzydliwie małego. A ja przecież dostanę takiego, o jakiego poproszę.

– O choroba... – Ojciec Stelli zrobił wielkie oczy.

– Co, dziadku? Coś się stało?

– Eee, nic, właściwie nic... Tylko tak sobie zdałem sprawę, że ta twoja gwiazda to będzie miała co robić – mruknął i pomyślał, że z Franiem nie sposób się nudzić i że wnuczek chyba nigdy nie przestanie go zadziwiać.

Franio w końcu usnął...

Franio w końcu usnął – zameldował swojej żonie, która w kuchni przygotowywała kieliszki. – Gdzie Stella?

– Została na zewnątrz. Jest pod wrażeniem tego, jak tu ciepło... No i chyba ma nam coś ważnego do powiedzenia, bo widać było, że z minuty na minutę denerwuje się coraz bardziej. Nie może sobie miejsca znaleźć.

– Cóż, nie tylko ona ma nowiny do przekazania...

– Ale wiesz co, Wojtuś, dajmy jej najpierw powiedzieć, co ją gniecie. To jest coś dużego kalibru, widać to na pierwszy rzut oka. Jeszcze przy małym się trzymała, ale jak tylko zniknąłeś z nim w domu, to się posypała. Znacząca starała się nie dać niczego po sobie poznać, ale przecież za dobrze ją znam.

– No to rzeczywiście, jeżeli nie chciała mówić przy Franiu, to musi to być coś poważnego. Widzę, że przygotowałaś już akcesoria do rozwiązywania języka. – Spojrzał wymownie na wino.

– Raczej znieczulacz, bo ona i tak wszystko nam powie. Po to tu przyjechała. Chodź, niech się już dłużej nie męczy, to po pierwsze, a po drugie, ja też, patrząc na nią, zaczęłam się denerwować – dorzuciła, wychodząc przed dom, gdzie przy wielkim kamiennym stole na metalowym, artystycznie giętym krzeselku siedziała Stella.

Rodzice, nic nie mówiąc, dosiedli się do niej, a ojciec napełnił kieliszki winem. Przez moment panowała głucha cisza.

– No dawaj, powiedz to wreszcie. – Mama w końcu nie wytrzymała. – I tylko, na litość wszystkiego, nie pytaj z udawanym zdziwieniem: „Co?”, bo przecież wszyscy wiemy, że coś się stało. Widzimy to z ojcem od momentu, gdy zobaczyliśmy cię na dworcu.

– Ale tak bez wstępów? Tak z grubej rury? – Stella nawet nie usiłowała zaprzeczać. – To nie jest wiadomość z gatunku miłych i przyjemnych...

– Tym bardziej rozpraw się z nią raz, a dobrze. – Ojciec pochylił się i pogłaskał ją po ramieniu.

– Macie rację, odwlekanie sprawy nic tu nie da. – Stella wzięła głęboki oddech. – Mieliście też rację w innych kwestiach. Na przykład tych dotyczących hotelu i Aldony – zawiesiła na chwilę głos, wzięła głęboki oddech, a potem opowiedziała im wszystko. Od początku do końca. Wszystko, co dotyczyło jej zwolnienia z pracy, bo Henryka zostawiła sobie na później. Tym razem postanowiła posłuchać sióstr i najpierw powiedzieć o nim mamie.

Gdy skończyła mówić...

Gdy skończyła mówić, jednym haustem opróżniła kieliszek.

– No i tak jak mówiłam, wyszło na to, że mieliście rację – dodała, bawiąc się opróżnionym naczyniem. – A ja byłam idiotką. I to taką totalną. Nie domyślałam się ani trochę, co mnie czeka. A nawet siostry Kazimierczakówny wiedziały. Znaczą przypuszczały, że tak się stanie, bo jakaś przyjaciółka Misi usłyszała, jak siostra Aldony chwaliła się przez telefon tym, że mnie tak wycyckały. Nawet się nie kryła, rozumiecie? Używała mojego nazwiska i drwiła z mojej głupoty ile wlezie! Ale mniejsza o to. Ja tylko chciałam wam powiedzieć, że do tej pory mieszkałam razem z wami, ale teraz, kiedy nie wiem, jak to się wszystko potoczy, to się wyprowadzę. Wynajmę coś po prostu, bo o kupnie nie mam co marzyć, a przecież mało prawdopodobne, żebym znalazła pracę, w której będę zarabiać tyle, żeby starczyło mi na spłatę kredytu, a to znaczy, że prędzej czy później będę miała kłopoty, komornika na karku i tak dalej. Nie możecie płacić za moje błędy i brak rozumu, i bezt...

– To bardzo chlubna postawa, córeczko, ale przepraszam cię bardzo, dawno nie słyszałem nic głupszego, rzeczywiście zaczynam podejrzewać, że masz chwilowe zaćmienie umysłu. Chwilowe, bo znam cię na tyle, żeby wiedzieć, że jesteś mądra, dobra, uczciwa i inteligentna – przerwał jej bezpardonowo ojciec.

– Dokładnie to samo chciałam powiedzieć. – Matka pokiwała głową i dołała wszystkim wina.

– Ale przecież...

– Żadne przecież! Nie masz pracy, za chwilę nie będziesz miała pieniędzy i tak żeby sobie jeszcze dołożyć problemów, chcesz płacić dodatkowo za wynajem? – zapytał celnie ojciec.

– Nie chcę, ale nie mogę pozwolić... Zresztą już wam mówiłam!

– Mówiłaś! I nie wzięłaś pod uwagę, że rodzice to taka instytucja, która nie porzuca swoich dzieci w potrzebie? – spytała mama.

– Ale ja to wszystko wiem i dziękuję, ale nie mam pojęcia, co możecie zrobić. To są gigantyczne pieniądze i konsekwencje. A w ogóle to jakim cudem nie jesteście na mnie wściekli?

– Po pierwsze, córko, dlatego, że cię kochamy. Po drugie, bo nie leży w naszej naturze kopać leżącego, a po trzecie, nie jest to dla nas zaskoczeniem, spodziewaliśmy się takiej niespodzianki ze strony Aldony już od dawna. Szczere mówiąc, zdziwilibyśmy się, gdyby się okazało, że się pomyliliśmy, a ona załatwiła sprawy uczciwie i zgodnie z obietnicami. I chyba tym razem chcielibyśmy się mylić, no ale wyszło na nasze. – Mama spojrzała Stelli w oczy.

– Ponadto w sumie to nawet dobrze, że mleko w końcu się rozlało. Ta cała sytuacja z Aldoną sprawiała, że mieliśmy związane ręce, baliśmy się, że jeżeli tylko miałabyś możliwość, to włożyłabyś w ten hotel wszystko, co masz...

– No przecież włożyłam, na swoje nieszczęście nie to, co miałam, ale to, co pożyczyłam...

– Uwierz mi, dziecko, że mogłaś włożyć dużo więcej – mruknął ojciec. – I możesz się przestać martwić. Będziesz miała z czego spłacać ten swój kredyt i dodatkowo starczy, żebyś w coś, tym razem miejmy nadzieję tylko swojego, zainwestowała, więc w sumie dobrze się złożyło...

– Nic z tego nie rozumiem. Ani o czym dokładnie mówicie, ani co niby dobrze się złożyło? Że zostałam bankrutem? Zaczynam się o was martwić. Ten przedziwny optymizm i spokój są naprawdę niepokojące. Na pewno zrozumieliście, o czym mówię? I że ktoś nie urządził wam tu prania mózgu?

– Z naszymi mózgami jest wszystko w najlepszym porządku, naprawdę – zapewniła ją mama.

– No dobrze, to jeszcze raz. Ja wiem, że macie oszczędności i wiem, że chętnie mi pomożecie, ale pamiętacie, ile wynosi moja rata?

– To się robi nudne, czas przejść do meritum. Czy taka suma cię uspokoi? – Ojciec pogrzebał w kieszeni puloweru i wyciągnął z niej paragon sklepowy i długopis. Na odwrocie świstka coś napisał, przyjrzał się temu raz jeszcze pod światło padające z ogrodowych

lamp i dopiero gdy upewnił się, że wszystko się zgadza, podał papieraek Stelli.

Spojrzała, otworzyła usta, ale nie zdołała nic powiedzieć. Potrząsnęła głową i jeszcze raz popatrzyła na trzymaną w palcach karteczkę.

– Ale to jest jakaś gigantyczna kwota... Nie rozumiem, co wy chcecie mi przez to powiedzieć – wyjąkała w końcu.

– Że twój ojciec był przez całe życie maklerem... Ba, nie tylko był, ale nadal jest. Zarabiał na giełdzie – wyjaśniła jej spokojnie mama.

– To ja wiem, nie musisz mi przypominać, kim jest mój tato, ale...

– Ale nie wiesz, że swojego czasu zarobił naprawdę duże pieniądze. Właściwie wciąż zarabia. Choć teraz nieco mniej, ale i tak całkiem sporo. Ale nie o tym miałam mówić. Zresztą, Wojtuś, dokończ ty, bo ja to zaraz wpadnę w milion dygresji, a tu lepiej będzie zwięźle i na temat. – Mama przekazała pałeczkę ojcu.

– Krótko mówiąc, inwestowaliśmy w nieruchomości. W dużych miastach. Warszawie, Wrocławiu, Krakowie.

– Ale czemu nic nie mówiliście? – Stella obracała trzymany paragon w palcach.

– Bo pieniądze, droga córko, to jedna z podstawowych przyczyn wszelkich swarów, kłótni i nieprawdopodobnych oczekiwań. A my mieliśmy wizję rodziny zgodnej, stojącej za sobą murem i kochającej się bez względu na wszystko. Poza tym mieliśmy takie pragnienie, żeby wychować was na ludzi zaradnych. Umiejących pracować, podejmować wyzwania, odnoszących sukcesy i umiejących podnosić się po porażkach. Ja i mama chcieliśmy wam w tym towarzyszyć, być obok, podawać rękę w miarę potrzeby, otrzepywać z piasku, naklejać plastry na zadrapania. A w odpowiednim czasie pomóc otworzyć nowe drzwi. I ten czas właśnie nadszedł.

– Marzy nam się, córeczko, emerytura. Dlatego będziemy teraz korzystać z tego, na co pracowaliśmy. Sprzedaliśmy większość naszych nieruchomości. Zostały dwie, które będą nadal na nas zarabiać. Resztę sprzedaliśmy już jakiś czas temu i chcieliśmy załatwić z wami sprawy finansowe... – Ojciec zawiesił głos i spojrzał na nią spod oka.

– Ale baliście się, że ja z miejsca wpakuję całą swoją kwotę w interes Aldony – zrozumiała w końcu Stella.

– Cóż, przemknęło nam coś takiego przez myśl. I szczerze mówiąc, byliśmy w kropce, bo nie mieliśmy pojęcia, ile to jeszcze będzie trwać, a jednocześnie, cóż... musielibyśmy wam w końcu co nieco powiedzieć, bo właśnie kupiliśmy dom. – Mama spojrzała wymownie na majaczący za ich plecami budynek.

– Kupiliście ten dom? – Stella uniosła się z krzesła i z niedowierzaniem rozejrzała się wokół siebie.

– Cóż, zawsze chciałam poczuć się jak bohaterka powieści – roześmiała się mama. – Był w dobrej cenie, poprzedniemu właścicielowi bardzo się spieszyło, a my mieliśmy gotówkę. A resztę pieniędzy podzieliliśmy i każdy z was dostanie taką samą sumę – dorzuciła, patrząc znacząco na trzymany przez Stellę paragon.

– *Taką* sumę?! – Stella myślała i mówiła samymi znakami zapytania i wykrzyknikami.

– Właśnie taką – potwierdził tato i na moment przy stole zapanowała cisza.

Stella usiłowała to wszystko sobie jakoś poukładać. Nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Cholera, to rzeczywiście jest cud! Wiosna cudów! Jeszcze tylko tego księcia brakuje, przemknęło jej przez głowę i stanęła jej przed oczami twarz Antoniego. Cholera, pomyślała. A może wcale nie brakuje? Może on się właśnie zjawił niepostrzeżenie, jak ta wiosna z wierszyka dla dzieci? Jednego z ulubionych Frania...

No właśnie, może Antoni też przyszedł tak jak ta wiosna. Bez białego rumaka, pieszo... A potem przyklęknął na chodniku obok niej – wtedy, gdy przykuciała koło Helenki. Może...

– Powiesz coś? – Jej rozmyślania przerwał głos mamy.

– Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to to, że jesteście krezusami – mruknęła, potrząsając głową.

– No bez przesady. Ale rzeczywiście, jesteśmy majątnymi ludźmi – uśmiechnął się ojciec z zadowoleniem. – A skoro jeszcze o tym mówimy, to bardzo byśmy chcieli załatwić kolejną niecierpiącą zwłoki sprawę: domu. Tego w Polsce. W sumie zastanawialiśmy się nad tym i widzieliśmy pewne rozwiązanie, ale wtedy jeszcze nie

mieliśmy pojęcia, że masz takie kłopoty. A one co nieco zmieniają w naszych ustaleniach. Bo początkowo myśleliśmy, żeby albo go sprzedać i podzielić pieniądze równo, by nikt z was nie miał poczucia krzywdy, albo zostawić go tobie, bo reszta mieszka gdzie indziej, a ty zwyczajnie byś spłaciła rodzeństwo. Ale teraz, skoro Aldona tak cię wycykała, to rozumiemy, że to nie najlepszy czas na spłaty...

– Ale w końcu te pieniądze od was...

– Te pieniądze od nas masz zainwestować – przerwał jej ojciec. – Mądrze. Kup na przykład ziemię i na początek przenieś tam kilka domów z drewna i zacznij je wynajmować. Może to nie jest to, o czym marzyłaś, ale zawsze jakiś początek. Albo zrób coś zupełnie innego, tylko coś takiego, co z czasem zaprocentuje. A z domem zrobimy tak, na razie w nim zostaniesz. A potem, gdy sytuacja się ustabilizuje, dogadacie się we własnym gronie. Czy chcecie go sprzedać, czy jednak zostanie i będzie waszą wspólną własnością, czy może, jeżeli będziesz chciała w nim zostać, to spłacisz resztę. Ale to później – dokończył.

– Matko, czuję się oszołomiona – wyszeptała Stella, przełykając głośno ślinę. – Trochę tak, jakby ktoś podarował mi gwiazdkę z nieba, a ja nie bardzo wiem, co z nią zrobić! Przecież ja jeszcze przed momentem myślałam, że, że...

– Że damy ci umrzeć z głodu? Tobie i Franiowi? Chyba jednak coś zrobiliśmy nie tak, jeżeli masz o nas tak kiepskie zdanie. Zresztą twoje siostry i brat też raczej nie patrzyliby beczynnie, jak pakujesz karton i idziesz pod most – mruknęła kpiąco mama i wstała, żeby przytulić Stellę, która na kilka bezcennych sekund znów poczuła się małą dziewczynką. – A teraz możemy nareszcie w spokoju napić się wina... – dodała i Stella natychmiast doszła do wniosku, że dorosłość też w sumie nie jest taka zła. Można pić wino z rodzicami. A jeszcze lepsze jest to, że jednocześnie można nadal czuć się dzieckiem. To jest możliwe tylko przy mamie i tacie.

Jak dobrze, że ich mam, pomyślała.

– O tak, jak powiedział ktoś mądry: „Tam, gdzie nie zabraknie wina, tam smutki i troski nie trafiają” – powiedziała, otrząsając się z zamyślenia.

– Tym kimś mądrym, córeczko, był Owidiusz. – Ojciec popatrzył na córkę z czułością. – Proponuję też wznieść toast za przyszłość, za całkiem nowe otwarcie.

– Poczekajcie, zanim wzniesiemy cokolwiek, ja jeszcze muszę zadać jedno pytanie: czemu żadne z was nie napomknęło nawet o tym, że Aldonie trzeba coś zrobić, nie wiem, podać ją do sądu albo cokolwiek...

– Bo znamy historię od środka i od dawna. I wiemy, że nic nie możesz jej zrobić. To jedno jej trzeba przyznać, że ma głowę na karku i zabezpieczyła się z każdej strony – odpowiedział ojciec. – A ty jak klasyczne zbuntowane i przekonane o swojej racji dziecko nie chciałaś słuchać, jak ci o tym mówiliśmy. Ale chwilowo dajmy temu spokój. Tym bardziej że życie nauczyło mnie dwóch rzeczy: świat, a i owszem, nie jest sprawiedliwy, ale jakoś tak przewrotnie ci, którzy są wyjątkowo paskudni, zazwyczaj jednak w jakiś sposób płacą za te swoje ohydztwa. Rzadko bywają szczęśliwi... To co, za szczęście? – Wzniósł kieliszek.

I wypili i za szczęście, i za nowe początki. Siedzieli długo, aż w końcu ojciec podniósł się pierwszy.

– To co, dziewczynki, chyba pora się położyć – powiedział, przeciągając się.

– Idź, Wojtuś, my tu jeszcze chwilę posiedzimy i pogadamy po dziewczynsku. – Ku ogromnej uldze Stelli mama postanowiła jeszcze chwilę zostać.

Bo Stella bardzo, ale to bardzo chciała już dziś załatwić wszystko, z czym tu przyjechała. Wiedziała, że jeżeli nie powie o tym mamie, nie zmruży oka.

Potem też pewnie nie zmrużę, ale przynajmniej nie będzie to już nade mną wisieć, pomyślała.

Poczekwała, aż ojciec zniknie w głębi domu, i upewniła się, że poszedł na piętro, skąd nie powinien ich usłyszeć.

– Mamo, bo ja muszę ci jeszcze coś powiedzieć. – Na wszelki wypadek zniżyła głos. – Henryk przyjechał.

– Jaki Henryk? – Mama spojrzała na nią, tłumiąc ziewnięcie.

– No, TEN Henryk, mamó! Mój biologiczny ojciec.

Minęła dłuższa chwila...

Minęła dłuższa chwila, zanim do matki Stelli w pełni dotarło to, co właśnie usłyszała.

– Jak to przyjechał? – zapytała, wolno wypowiadając słowa. – Ot tak, zjawił się, stanął przed tobą i powiedział: „Jestem”? A w ogóle skąd on się o tobie dowiedział? Stella, wiesz, że to jest niebezpieczny człowiek, że... – zamilkła zdenerwowana.

– Poczekaj, po kolei. Po pierwsze, musiałam ci to powiedzieć, bo nie wiem, co robić... Nie chciałam, żeby tata słyszał, bo mimo że wszystko wie, to na taką rewelację z miejsca by się zdenerwował, a po tym, jak w zeszłym roku odezwało się mu serce, nie chciałam ryzykować.

– I dobrze zrobiłaś. Między innymi dlatego, że coraz częściej się to jego serce odzywa, postanowiliśmy przeprowadzić się tutaj i trochę zwolnić. – Mama odetchnęła i widać było, że robi wszystko, żeby się uspokoić. – Skąd w ogóle wiesz, że to on?

– Bo nazywa się Henryk Wiśniewski... Wiem, wiem, to o niczym nie świadczy, ale to, że mieszka w Niemczech, a pamiętasz, sama mówiłaś, że po tym, jak zwiął z Kotkowa, w rezultacie wylądował właśnie tam...

– No wiem, wtedy zupełnie przypadkiem się o tym dowiedziałam i szczerze mówiąc, kamień z serca mi spadł, że jest tak daleko. Ale to jeszcze o niczym nie świadczy...

– To prawda, ale to, że wypytywał o Frania pod przedszkolem, już bardziej, prawda? Poczekaj, daj mi skończyć. – Machnęła ręką, widząc, że matka chce jej przerwać. – Wiem o tym, bo zaczął jedną z mam. Postąpił idiotycznie, bo założył, że z nią pogada, a ona po prostu przyjmie to wypytywanie jak gdyby nigdy nic. Nawet się przedstawił: Henryk Wiśniewski, dziadek Frania.

– To już wyklucza pomyłkę – wyszeptowała mama pobielającymi ustami.

– No właśnie, wychowawczyni Frania z miejsca zawiadomiła mnie o tym w liściku, mam go ze sobą, potem ci pokażę, tyle tylko, że ona napisała, że ten niejaki Henryk podaje się za krewnego Frania. To, że użył określenia „dziadek”, wiem już od tej mamy, którą wypytywałam, bo ja też z nią porozmawiałam... Poza tym, nawet gdybym po tym wszystkim miała wątpliwości, to Alina go rozpoznała. Zobaczyła go w pensjonacie, wprawdzie nie była stuprocentowo pewna, ale potem zajrzała do papierów i zobaczyła niemiecki adres. To ją utwierdziło w przekonaniu, że nic jej się nie wydaje i że on to on.

– I on wystaje pod przedszkolem Franka? Czego chce, do cholery?

– Nie wiem, ale łązi też za mną. Nie przyjechał sam, jest z nim albo brat, albo syn, cholera wie, w każdym razie mają tak samo na nazwisko. Tak oficjalnie to przyjechali do pracy, Aldona ich zatrudniła do remontu ostatniego hotelowego skrzydła – tym, o ile dobrze zrozumiałam, zajmuje się Henryk – i moich domków. – Przełknęła gorzko ślinę. – A raczej tych, które miały być moje – doprecyzowała. – I to by się zgadzało, bo już wtedy, gdy cię... Gdy cię tak urządził, zajmował się budowlanką.

– Nie tylko mnie tak urządził, jak to określiłaś. Ale niemal zabił ciebie! Gdyby nie najstarsza Kazimierczakówna, nie uratowałiby cię. Nigdy sobie nie wybaczę, że nie przewalczyłam strachu! Powinnam zgłosić to na policję! Powinnam być silniejsza!

– Mamo, przerabiałymy to wielokrotnie. Pobił cię prawie do nieprzytomności, skopał brzuch, trudno oczekiwać, żebyś się nie bała! Nawet Alina to rozumie... Z nią też miałam niezłe przejścia, bo ani ona nie wiedziała, ile ja wiem i czy w ogóle coś wiem, ani ja nie do końca byłam świadoma, ile wie ona... Oczywiście wiedziałam od ciebie, że to Kazimierczakówna cię znalazła i wezwała lekarza, i załatwiła wszystko, co trzeba, żeby nikt o tym nie rozpowiadał. Muszę ci powiedzieć, że im dłużej o tym myślę, tym bardziej uważam, że ona musi chyba umieć czarować. Żeby w takiej miejscinie jak Kotków nie wypłynęło to dalej...

– Oj dziecko, widać tego ci nie powiedziałam. To nie żadne czary, tylko trochę szczęścia w nieszczęściu. Lekarz nie był stąd. Ja nawet

nie pamiętam, dlaczego wyszło tak, jak wyszło, ale w rezultacie znalazłam się w szpitalu w Kielcach.

– A tego nie mówiłaś, ale to w sumie nie ma znaczenia... W każdym razie ona nie wiedziała, co może mi powiedzieć, dokładnie jak ja jej. Ale chciały mnie z Misią ostrzec, mówiły samymi zagadkami, ja się dostosowałam... Słowem, to była najdziwniejsza rozmowa w moim życiu.

– Ale poczekaj, jakim cudem Henryk dowiedział się o tobie? I czemu dopiero po tylu latach...

– Wiesz co, ja to sobie przemyślałam. I oczywiście nie wiem tego na pewno, ale wydaje mi się, że się domyślałam. Bardzo możliwe, że on na początku w ogóle o mnie nie wiedział, tylko dostał propozycję pracy przy hotelu. Gdy czekaliśmy z Franiem na pociąg we Florencji, przejrzałam jego stronę internetową. Ma się czym pochwalić. Jego firma jest rozchwytywana. A więc wyobraź sobie: dostaje propozycję pracy przy hotelowym projekcie, potem okazuje się, że ten hotel znajduje się w Kotkowie, to co byś na jego miejscu zrobiła?

– Na jego miejscu to ja bym trzymała się z daleka – parsknęła mama. – Ale rozumiem, o co pytasz. Na pewno bym przejrzała Facebooka... Ale jak on mnie znalazł? Przecież mam teraz inne nazwisko...

– Ale imię wciąż to samo! W naszej rodzinie słabość do nietypowych imion panuje od lat. Powiedz mi, ile w Kotkowie jest jeszcze Gizel poza tobą?

– Żadnej – mruknęła mama.

– No właśnie. Więc znalazł twój profil, Gizela, Kotków... Nic prostszego. Może zrobił to za pomocą powiązań. Wiesz, na przykład włączył sobie stronę piekarni Kazimierczaków. Lubisz ją i obserwujesz. Tak czy siak, jakoś cię znalazł, przescrollował sobie twój profil bardzo dokładnie. W ten sposób jak po nitce do kłębka dotarł do mnie i do Frania. To są tylko moje domysły, ale wydaje mi się, że to bardzo prawdopodobne. A że to psychopata, to widać się wściekł i zapragnął praw do swojego wnuka. A może, kto wie, chce cię ukarać za to, że jednak mnie urodziłaś... To psychol! Chciał

wleźć na nasze podwórko przez siatkę, ale Walusiakowa go przepędziła...

– Jezus Maria, on naprawdę wrócił! – Gizela zabębniła palcami o blat stołu. – I z własnej woli nie wyjedzie, wiem o tym... – dodała, marszcząc brwi. – A przynajmniej dopóki nie dostanie tego, co sobie wymyślił. On jest niebezpieczny, Stello. I nie można go lekceważyć...

– To prawda. I szczerze ci powiem, że śmiertelnie się boję... Nie wiem, co mam robić. Początkowo chciałam to wszystko zbagatelizować, normalnie zaprowadzałam Franka do przedszkola, ale potem, gdy przylazł pod dom, dotarło do mnie, że nie ma żartów. Ale to, że zdałam sobie z tego sprawę, nie uczyniło mnie mądrzejszą. Nie wiem... zgłosić go na policję?

– W policji to on może mieć znajomych – mruknęła mama. – To trzeba załatwić inaczej... Słuchaj, a ty powiedziałaś Alinie, że on interesuje się Franiem? – zapytała nagle, mrużąc oczy.

– Nie, wolałam to ukryć, bo bałam się, że siostry nie wytrzymają i puszczą to w świat. Plotki to ich żywioł...

– Ale nie takie, na litość boską – sarknęła Gizela. – Jak widzisz na załączonym obrazku, o mnie i o tobie nie puściły pary z ust przez tyle lat i nawet teraz, gdy Henryk, psia jego mać, wrócił!

– Przepraszam cię, mamo, ale kompletnie nie wiem, jak wiedza o tym, że ten psychol czai się pod przedszkolem, mogłaby w czymkolwiek pomóc...

– No i tu się mylisz, moja droga. To jest jedyny punkt w tej historii, który daje nam przewagę. I coś, czego Henryk po prostu nie wytrzyma. Kiedy chciałaś wracać do domu?

– Za jakieś dwa albo trzy dni.

– No to zostaniesz trochę dłużej – mruknęła Gizela.

– Ale mamo, ja...

– Powiedziałam! Słuchaj się matki, szczególnie że tym razem dokładnie wiem, co mam robić – dorzuciła tonem, który z miejsca przypomniał Stelli czasy, gdy była nastolatką i chciała wynegocjować wyjście na nocną dyskotekę. Ten ton oznaczał jedno: nie ma sensu dyskutować, bo w tym wypadku niczego nie da się ugrać.

– No dobrze, a mogę chociaż zapytać, co chcesz zrobić?
– Nie, ale powiem ci, jak już wszystko będzie załatwione.
– A przynajmniej wolno mi poinformować Beniamina, że wrócę później?

– A to akurat jest nawet wskazane – zgodziła się mama. – A, i mam prośbę. Nie mów nic tacie. On od lat nie myśli o Henryku, ciebie kocha, bo jesteś jego najstarszą, wymarzoną córeczką i nigdy nie miał z tym problemu... Jakby się dowiedział, to jeszcze by nie wytrzymał i pojechał, żeby obić temu skurwysynowi mordę...

– Mamo! Chyba pierwszy raz cię tak poniosło. – Stella spojrzała na nią ze zdumieniem pomieszanym z rozbawieniem.

– Cóż, okoliczności mnie usprawiedliwiają. A kończąc to, co zaczęłam, to obije takiemu bydlakowi mordę, a pójdzie siedzieć za człowieka. Chyba rozumiesz, że wolałabym tego uniknąć... Tym bardziej że właśnie zaczęliśmy nasze piękne *dolce vita*...

– Akurat to rozumiem w pełni, choć nadal nie wiem, co wymyśliłaś i co do tego mają siostry Kazimierczakówny...

– Wbrew pozorom całkiem sporo. Po pierwsze, można im zaufać, po drugie, mają bratanka... Ale pozwól, że to już ja załatwię. – Gizela energicznie pokiwała głową. – A teraz muszę iść do taty, bo za moment zacznie mnie szukać – dodała. – Ty też idź się położyć – dorzuciła.

– Pójdę za moment – powiedziała Stella, ale tak naprawdę wiedziała, że i tak nie zaśnie. Za dużo się wydarzyło, targwały nią najróżniejsze sprzeczne emocje. I kompletnie nie wiedziała, jaki plan ułożyła jej mama. To też wcale nie sprzyjało uspokojeniu.

Z ociąganiem podniosła się z krzesła, sięgnęła po wiszącą na oparciu drugiego ściereczkę i przeniosła się na stojący tuż pod ścianą domu leżak. Wytarła go z rosy, położyła się i zapatrzyła w granatowe, usiane złotymi gwiazdami niebo. Jedna z nich spadła, migocząc. Stella westchnęła i przymknęła oczy. I pomyślała, że jest niesamowitą szczęściarą. Bo ma cudownego synka, wspaniałych rodziców i ludzi, którzy się o nią troszczą. Nie jest samotna, ma się na kim oprzeć. I właściwie to jest najważniejsze: rodzina.

I nawet nie zauważyła, kiedy usnęła, choć przecież była przekonana, że nie zmrzuci oka.

Taką śpiącą głębokim snem i zmarzniętą znalazł ją ojciec i z czułością opatulił grubym kocem. Tak jak to robił, gdy była malutką dziewczynką. Jedyne prawdziwy tata, jedyna w swoim rodzaju córka. Bo choć miał więcej dzieci, każde z nich było wyjątkowe. I każde tak samo jego.

Następnego dnia Stella zadzwoniła...

Następnego dnia Stella zadzwoniła do Beniamina.

– Cześć, siostra, wiem, że dotarłaś cała i zdrowa, mama dzwoniła jeszcze wczoraj, więc już cię nie nękałem. Ale dziś to mnie ubiegłaś, bo też miałem dzwonić... O rany, poczekaj, bo właśnie zobaczyłem coś, co na pewno cię zainteresuje. Jestem właśnie w sklepie i kupiłem gazetę; wiesz, co jest w ogłoszeniach? Ten twój ulubiony dwór, czy tam pałac, wystawiony na sprzedaż...

– Naprawdę? – Stella poczuła, że serce zaczyna jej mocniej bić. – To niesamowite! Wydawało się, że jego właściciel w życiu się na coś takiego nie zdecyduje...

– Wiesz, może dotarło do niego, że nie jest w stanie tego miejsca utrzymać. Przecież to ogromny dom, park i cały kompleks z czworakami, i czymś tam jeszcze, czego nazw nie znam. Swoją drogą ciekawe, ile będzie chciał. W ogłoszeniu nie ma ceny, tylko numer telefonu...

– A podasz mi go?

– A co, obrabowałaś bank?

– Nie, ale chciałabym tak po prostu z ciekawości wiedzieć – mruknęła, siląc się na obojętny ton.

To nie był przecież dobry moment na mówienie Beniaminowi o rewelacjach, które wczoraj poznała. Zresztą nie była pewna, jaki plan mają rodzice i jak chcą poinformować o swojej decyzji resztę rodzeństwa. Tak czy owak, nie zamierzała wychodzić przed szereg.

– Dobrze, to wyślę ci ten numer esemesem. Ale właściwie to ja jeszcze mam dla ciebie jedną nowinę. Helenka dzisiaj wychodzi...

– Ale jak to dzisiaj? – zdenerwowała się natychmiast Stella. – Przecież Krzysztof obiecał, że ją przetrzyma jeszcze kilka dni!

– Może i obiecał, i może nawet by przetrzymał, ale Helenka się zbuntowała i powiedziała, że najwyżej wypisze się na własne żądanie. No i doktor stwierdził, że w takiej sytuacji lepiej będzie, jak on jej ten wypis zrobi z własnej woli. Bo gdyby coś się pogorszyło,

będzie łatwiej z ponownym przyjęciem, czy jakoś tak. Nie znam się, ale wierzę, że skoro on tak mówi, to tak jest lepiej. A i nie denerwuj się, bo nikt pogorszenia nie przewiduje. Między nami mówiąc, to wcale nie dziwię się, że pani Helenka chce już wyjść, bo czuje się naprawdę dobrze i trzymanie jej w łóżku to trochę znęcanie się nad starszym człowiekiem...

– No dobrze, to skoro jesteś taki humanitarny, to pamiętaj, że tego biednego starszego człowieka trzeba pilnować – uświadomiła mu Stella. – A ja między innymi po to dzwonię.

– Żeby mi o tym powiedzieć? – zdumiał się Benjamin.

– Nie, żeby powiedzieć ci, że zostajemy kilka dni dłużej. Mama nie chce słyszeć o moim szybkim powrocie. Dasz radę zająć się Helenką przez jakieś – bo ja wiem? – cztery, może pięć dni?

– No przecież to nie jest dziecko, które trzeba niańczyć. Najważniejsze, żeby nie wychodziła sama, ale to już powiedział jej doktor, ja i Antoni też powtórzymy jeszcze kilka razy. Umówię się z nią, że będę jej robił zakupy albo że z nią będę chodził... Chociaż na dłuższą metę to nie wyjdzie, bo przecież nie możemy tak przez cały czas robić za jej przyzwoitki i ochronę.

– Ona mi obiecała, że powie, kto jej to zrobił i kogo się boi, ale obawiam się, że zdradzi to tylko mnie, i dodatkowo będzie ją trzeba trochę przycisnąć. Tobie pewnie nie będzie chciała nic powiedzieć.

– To akurat nie jest żadna nowość, że ona ma największą słabość do ciebie, to fakt, a z faktami się nie dyskutuje – przytaknęła Benjamin. – Trudno, do twojego powrotu jakoś się ją upilnuje. A ty już powiedziałaś rodzicom o Aldonie? I o tym gościu, co to wypytywał o Frania, jak napisała jego wychowawczyni z przedszkola? Tym, co się podaje za jego rodzinę? I czy w końcu możesz mi powiedzieć, czy to jest jego ojciec?

– Nie, to nie jest jego ojciec. – Stella poczuła, że zasycha jej w gardle. – Ale to świr, typ, który ma związek z naszą mamą, dlatego też oprócz Frania i mnie pytał jeszcze o nią, co też wiesz, bo czytałeś liścik. A rodzicom powiedziałam i o jednej, i o drugiej sprawie, ale raczej nie poruszaj z nimi tego tematu – poradziła mu Stella, przybierając lekki ton.

– A co, wściekli się? I pewnie zdenerwowali?

– No tak jakby... Opowiem ci wszystko, jak będę mogła, bo teraz mam tu i Frania, o tato też idzie – dorzuciła, choć koło niej nie było nikogo.

– Rozumiem. To w takim razie uściskaj wszystkich ode mnie i do zobaczenia! No i jednak zazdrozczę ci trochę tych włoskich klimatów. Trzymaj się, siostra, i niczym nie martw – dorzucił, a ona pomyślała, że łatwiej powiedzieć niż zrobić.

Bo cały czas męczyło ją, że nie wie, co – do diabła – zamierza jej mama. A jak by nie było, cokolwiek by planowała, miało to związek z nią i z Frankiem.

Tymczasem Gizela zaszyła się...

Tymczasem Gizela zaszyła się w najdalszym krańcu ogrodu i wybrała numer Aliny.

Najstarsza z najstarszych sióstr odebrała natychmiast.

– Poczekaj chwilkę, muszę wyjść na zaplecze, bo jestem w piekarni – powiedziała. – No już, Gizelo. Jestem cała twoja...

– Pani Alino, ja wiem, że jest pani zajęta, bo to przecież poranek, dlatego zapytam wprost. – Mama Stelli nie zamierzała bawić się w żadne przydługie wstępy. – Czy może mi pani pomóc? Nikogo innego nie mogę o to poprosić...

– Dokładnie tak jak lata temu, co, dziecko? – mruknęła Alina, dając jej tym samym znać, że rozumie, o czym jest mowa.

– Dokładnie – przytaknęła Gizela. – Wiem, co się dzieje, Stella jest u nas i wszystko, a przynajmniej większość mi powiedziała...

– Posłuchała mnie i poszła z tym tylko do ciebie? – Widać w Alinie ciekawość zwyciężyła.

– Na całe szczęście tak. Wojtek, jak pewnie pani pamięta, wie wszystko, ale po co go denerwować... – zawiesiła na moment głos. – No właśnie, ale przechodząc do meritum, Stella nie powiedziała paniom wszystkiego. Na przykład tego, że Henryk za nią łązi, próbował się dostać do jej domu...

– A to menda – prychnęła wyraźnie zdenerwowana Alina.

– Wystaje też pod przedszkolem, wypytuje o Franka...

– Ooo! – Głos Kazimierczakówny zabrzmiał groźnie. Właściwie to „ooo!” mówiło wszystko. – U nas w rodzinie nikt nie lubi ludzi, którzy krzywdzą małych i bezbronnych – powiedziała powoli. – A i za tymi, którzy mają to chwilowo tylko w planach, też nie przepadamy. Już wiem, po co dzwonicz, i coś się wymyśli... Kiedyś to można by go było walnąć czymś ciężkim po łbie i wywieźć do lasu... W sumie jakąś łopatę by się znalazło, chyba nawet mój brat jedną taką akuratną wozi w bagażniku...

– Pani Alino, brzmi kusząco, ale to chyba nie będzie konieczne – przerwała jej te piękne rojenia Gizela. – Mam całkiem inny pomysł. Natomiast pani brat, a właściwie jego syn, stanowczo się przyda... Bodajże Dareczek. Czy on nadal pracuje w gazecie w Kielcach?

– Tak, a co on ma do tego? – zdziwiła się Alina.

– Pani Alino, proszę tylko pomyśleć... Przedszkole, dziennikarz i facet, który gapi się na dzieci...

– Aaa – złapała w lot najstarsza ze starszych. – Muszę ci powiedzieć, Gizelo, że to jest jeszcze lepsze niż łopata... Bardziej satysfakcjonujące...

– Tylko czy chłopak zrozumie, że nie będzie mógł o tym mówić?

– A jak ma nie zrozumieć? Jak mu o tym we właściwy sposób powiem, to będzie milczał jak zaklęty. Zresztą to bardzo mądry dzieciak... – odparła z uśmiechem Alina, jakby umknęło jej, że ten „dzieciak” dobija już, bagatela, do czterdziestki. – To ja to wszystko załatwię. Z ogromną zresztą przyjemnością. Bo z naszym uroczym Heniem mam cały czas niewyrównane rachunki – dodała, a w jej głosie dało się słyszeć, że uśmiecha się pod nosem. I gdyby w tym momencie Henryk zobaczył ten uśmiech i usłyszał jej ton głosu, to z całą pewnością zastanowiłby się nie tylko nad tym, czy naprawdę chce kiedykolwiek jeszcze przejść się w okolicach jakiegokolwiek przedszkola, ale czy nie powinien też spakować walizek i pognać tam, gdzie go oczy poniosą. Byle tylko poniosły go jak najdalej od Kotkowa i wściekłej Kazimierczakówny.

Mijał już trzeci dzień...

Mijał już trzeci dzień, odkąd Helenka wróciła ze szpitala. I właśnie teraz postanowiła, że najwyższa pora wracać powolutku do normalności. Nie może przecież wiecznie prosić Beniamina albo Antoniego o pomoc. Zresztą przez całe życie była samodzielna i nie zamierzała z tego zrezygnować. Poza tym w szpitalu miała dostatecznie dużo czasu, żeby przemyśleć sobie całą tę sprawę. I przyznała Stelli rację. Nie może pozwolić na to, żeby ktoś robił jej krzywdę. Postanowiła też, że opowie jej wszystko, i może rzeczywiście wspólnie coś wymyślą. No ale Stelli chwilowo nie było, miała wrócić dopiero za kilka dni, a życie się toczyło i Helenka postanowiła do niego wrócić. Dość długo już była na bocznym torze. Najwyższy czas to zmienić.

Szła właśnie ulicą niemal na palcach. Jednak się bała. Rozglądała się nerwowo dookoła i niemal podskakiwała na każdy szelest za plecami. Wiał wiatr, więc tych szelestów było mnóstwo, a każdy dźwięk sprawiał, że jej serce waliło, jakby miało wyskoczyć z piersi. Jej pierwsza samodzielna przechadzka. Dodatkowo przypominająca wagary, bo przecież nikt nie wie, że właśnie łamiąc wszystkie obietnice, wymknęła się na zakupy. Sama, bez żadnego towarzysza.

– Ale przecież nie mogę w kółko być dla nich ciężarem. Nie mogę też do końca życia bać się wyjść z domu, bo co to by było za życie – mruknęła sama do siebie, powtarzając na głos to wszystko, o czym przed chwilą myślała.

Musi przełamać strach. W końcu prawdopodobieństwo tego, że akurat teraz natknie się na kogoś z braci, jest naprawdę nikłe. Wielokrotnie pytała samą siebie, dlaczego tak się dzieje? Całe życie była naprawdę lubianą nauczycielką, nawet ci, którzy za polskim nie przepadali, wspominali ją dobrze, bo jak ktoś choć minimalnie się starał, ona to dostrzegała i doceniała. Ogólnie widziała w dzieciakach głównie dobro i one to czuły.

A tych czterech małych drani... Dzieci, dzieci, Helenko, zganiła się w myśli, to tylko nieszczęśliwe dzieci... Dlaczego jednak upatrzyli sobie na ofiarę właśnie ją? Na to pytanie trudno było jej znaleźć odpowiedź, a przynajmniej przyznać otwarcie, że tych czterech chłopców należałoby potraktować kijem, że oni naprawdę są źli do szpiku kości i że nic innego tu nie pomoże, tylko lęk przed karą może trzymać ich w ryzach... Gdyby powiedziała to głośno albo nawet tak zwyczajnie bez żadnych wyrzutów pomyślała, wtedy cała jej filozofia życiowa ległaby w gruzach. I nie wiedziała, czy potrafiłaby żyć wśród tych ruin. Starła się więc za dużo na ten temat nie myśleć.

Teraz jednak trudno było odgonić od siebie strach. Powracał niczym nieproszony gość. Rozejrzała się nerwowo; nikogo dookoła nie było, tylko nieco dalej majaczył duży czarny samochód, a obok niego stał mężczyzna i palił papierosa.

No i dobrze, zawsze to jednak raźniej zobaczyć jakąś żywą duszę, pomyślała Helenka z ulgą i w tej samej chwili usłyszała jakieś podejrzanе brzdęknięcie dochodzące z rozpadającej się rudery stojącej przy ulicy.

Rety, zadrżała z lęku i poczuła, jak na jej karku podnoszą się włosy. Zmieniam się w zaszczute zwierzę, pomyślała i pokręciła głową.

Naprawdę dużo by oddała, żeby teraz koło niej maszerował Bohun. Niestety, pies musiał zostać w domu, bo po tym brutalnym potrąceniu przez jadącą szybko hulajnogę nie doszła jeszcze do siebie, a doktor Krzysio kazał jej nosić rękę na temblaku, zatem musiała wybrać, czy wziąć siatkę i zrobić zakupy, czy wziąć psa i nie zrobić nic. Teraz jednak ogromnie żałowała, że uparła się być taką zosią samosią. Mogła jednak zadzwonić do Beniamina albo Antka i poprosić któregoś z nich o pomoc. Wiedziała, że by nie odmówili, jak nie jeden, to drugi by z nią poszedł. Na wspomnienie brata Stelli uśmiechnęła się nieznacznie. Lubiała go bardzo. Był taki... no, taki nieoczywisty. Z jednej strony rozmarzony i mało praktyczny, a z drugiej jednocześnie tak czarujący, że nie raz i nie dwa uchodziły mu płazem wszelkie błazenady, które urządzał. Ale

pomimo tego wyrósł na troskliwego brata. I przyjaciela, pomyślała o nim z czułością.

No dobrze, myślenie o bliskich jej ludziach pomagało. Utrzymywało strach w ryzach i powodowało, że droga mniej się dłużyła.

O, proszę bardzo, już prawie rynek, pomyślała, krok za krokiem maszerując biegnącą w kierunku głównego placu uliczką, minęła komendę, no przecież tutaj nic już mi się nie może stać, przeleciało jej przez głowę.

I w tej samej chwili w jej kierunku, podskakując po bruku, potoczył się niewielki kamień. Przystanęła przestraszona i odwróciła się. Tuż za nią stali jej prześladowcy i z kpiącymi uśmiechami zbliżali się do niej.

– No i co, stara ruro, teraz nie ma kundla? A nie wiesz, że nieładnie szczuć ludzi psem? – wycedził jeden z nich.

– Czego wy ode mnie chcecie?! – chciała krzyknąć, ale z jej ust wydostał się tylko cichy, niewiele głośniejszy od szeptu głos.

Rozejrzała się nerwowo, bo w zasięgu jej wzroku było tylko dwóch chłopaków z piekielnej czwórki. A zwykle w takich sytuacjach dbali o to, żeby mieć przewagę.

Chociaż na mnie to i jeden by wystarczył, pomyślała, czując, że serce bije coraz mocniej, tak jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi.

Niestety, nie myliła się co do braci, bo niespodziewanie za jej plecami cichutko pojawił się trzeci i zręcznym ruchem strącił jej z głowy uroczy burgundowy berecik, który tuż przed wyjściem troskliwie ułożyła sobie na głowie. Miała swoje lata, ale nadal chciała ładnie wyglądać.

– E, babcia, capka ci spadła, założyć ci?! – Wielkie chłopaczysko nachyliło nad nią swoją nieco krostowatą twarz i chuchnęło nieświeżym oddechem. Patrząc jej prosto w oczy, nadepnął wielkim buciorem na delikatną tkaninę i przejechał nią po bruku.

– Podnieś... – wycedził przez zęby.

– Nie – powiedziała ku swojemu zdumieniu Helenka i wytrzymała jego wzrok.

– Podnieś, bo jak cię... – Agresor złapał ją za płaszcz i potrząsnął jak szczeniakiem.

Mimo tego, że spięła się ze wszystkich sił, nie była w stanie się przeciwstawić.

– Ej, jełopie, daj jej spokój. – Starszy z braci pacnął chłopaka w potylicę. – Zobacz, babcia da nam teraz pieniądze na lody, bo tak kocha dzieci. Dobrze mówię, co nie, stara ruro? – Trącił ją brutalnie w bolące ramię.

Helenka skrzywiła się z bólu i poczuła, że po twarzy powoli staczają się jej dwie wyjątkowo słone łzy. Łzy bezsilności i przerażenia...

– Nie, nic wam nie dam, dość tego zasłaniania się ojcem, pójdę na policję i... – Helenka postanowiła, że nie pozwoli się upokorzyć.

Nikomu się to nie udało, nigdy, i nadal się nie uda. Spojrzała chłopakowi w oczy i zobaczyła w nich zdziwienie tak wielkie, że pomimo tej podłej sytuacji zachciało jej się śmiać. Ale twarz miała tak spiętą, że nie poddała się tej chęci.

Chłopak zamknął otwarte gapowato usta i zacisnął wargi.

– Nie dasz? Miałaś szansę, stara próchnico. Nie dasz? To zobaczymy. – Ponownie złapał ją za ramię i najwyraźniej szykował się, aby wymierzyć jej siarczysty policzek.

Helenka skuliła się w sobie i próbowała osłonić głowę jedyną sprawną ręką.

Filip Duńczyk stał przy swoim służbowym samochodzie...

Filip Duńczyk stał przy swoim służbowym samochodzie i palił papierosa za papierosem. Pograżony był w całkiem niewesołych myślach, w których to właśnie on, a także jego złe, głupie i niewdzięczne zachowanie odgrywało rolę pierwszoplanową. Filip pochodził z Kotkowa, co prawda nie mieszkał tutaj już od wielu lat, ale nadal część jego duszy przechadzała się kotkowskimi ulicami i spotykała się z dawnymi przyjaciółmi.

Ciekawe, czy mnie jeszcze pamiętają? – przemknęło mu przez głowę. Wbrew temu, co przed sobą przyznawał, lubił stałość miasteczka i myślał o niej z nostalgią. Te same oszczędzone przez wojnę domy, ci sami jeszcze gdzieś ludzie i drzewa, te same, chociaż sporo większe.

Teraz wrócił tu po latach i stał, patrząc na uroczy rynecek, gdzie nadal kilka sklepików pamiętało jego młodość. Przede wszystkim piekarnia. Uśmiechnął się do siebie... Ach, te bułki z makiem. Ciepło rozlało się po jego wnętrzu. Bułki, którymi najczęściej dzielił się z Julią. Dziewczyną o oczach jak studnie, w których przepadał na długich spacerach niemal każdego dnia... Wszyscy mówili o niej Julka, przypominał sobie. Tylko on używał pełnego imienia. On był wyjątkowy i ona też. Dla niego była Julią, taki był układ. W odmętach pamięci pokazały się twarze jej sióstr i brata. Jedna z pewnością nazwała się Stella, a ten mały to był Beniamin... Nieco kosmiczne imiona... Nadal nie mógł przypomnieć sobie imienia ostatniej z sióstr. Zadziwiające, ale pozacierały się, zginęły w odmętach spychanej w najdalsze kąty pamięci przeszłości. Spojrzał w osłonięte firankami okna, przez które przez wiele lat wyglądał co rano. To były dobre lata. Dzisiaj żałował, że skończyły się tak nagle i tak głupio. Mieszkał w tym niewielkim, chociaż w sumie jak na warunki kotkowskie całkiem sporym domu ze

stryjostwem. Tak się jakoś porobiło, że rodzice zdecydowali o emigracji zarobkowej. Najpierw nawet miał jechać z nimi, ale końcówka podstawówki zniechęcająca do zmiany szkoły, poza tym przyjaciele i koledzy, których żał było porzucać, spowodowali, że jednak został. Umowa była taka, że dalej będzie mieszkał w swoim domu, tylko że opiekę nad nim przejmą stryj Maciej z żoną. Mieszkali w drugiej połowie domu, którą Maciej za swoim bratem Kazikiem – ojcem Filipa – odziedziczyli po rodzicach. I tym razem nie było jak w powiedzeniu o rodzinie i zdjęciach. Bracia bardzo się kochali i pomagali sobie wzajemnie, a że ich żony też się polubiły, to wspólne obejście nigdy nie było dla nikogo problemem. Zresztą Filip, noszący imię po dziadku kawalerzyście, był dla stryjów jak ich własne dziecko. Sami mieli kiedyś córeczkę, której życie przerwał pijany konował, próbujący resekować wyrostek, ale coś mu nie wyszło... Trochę później ojciec Filipa uratował brata od zniszczenia sobie małżeństwa i życia. Zaciągnął go do AA i pomógł wyjść z alkoholizmu. Ale w domu zostało już tylko jedno dziecko. Filip przypomniał sobie, że idąc do liceum, nawet nie zastanawiał się, czy dołączyć do rodziców za granicą. Zresztą oni pracowali dużo i nie za bardzo nawet na to nalegali. Stryj Maciej zaproponował, aby Filip dalej mieszkał z nimi. I tak było dobrze... Aż zdał maturę i myślał, aby przez rok odpocząć od nauki i trochę dorobić. Miał nadzieję, że może znajomość z Julią przerodzi się w coś poważniejszego, a wtedy dobrze by było mieć coś na start... Bardzo liczył na rodziców, że pomogą mu zacząć. Jednak im bliżej było do matury, tym bardziej coś nie grało w kontaktach z nimi. Starali się odwozić go od przyjazdu, zasłaniaли się obowiązkami i dużą ilością pracy. Ze swojej strony stryj Maciej też proponował, żeby Filip od razu poszedł na studia, bo przecież ma gdzie mieszkać i za co żyć, że im jest z nim dobrze, a Kotków to niemal pępek świata... Mleko się rozlało, gdy już po odebraniu świadectwa, może nie najlepszego w klasie, ale sporo powyżej średniej, Filip zadzwonił do ojca i chciał uzyskać konkretne informacje, jak i kiedy może przyjechać. Rozmowa nie była szczególnie udana. Ojciec nie chciał, aby syn przyjeżdżał, przyznał się, że już od dwóch lat są z matką w separacji i oboje próbują ułożyć sobie życie na nowo. Obecność Filipa byłaby zbędną

komplikacją i niczemu dobremu by nie służyła. Poza tym to właśnie kilka tygodni temu urodziło mu się dziecko i teraz jest nim bardzo zajęty...

„Więc sam rozumiesz, Filipie, to zły moment...”.

Filip zacisnął zęby, gdy przypomniał sobie, co ojciec odpowiedział, gdy on wrzasnął, że też jest przecież jego synem. „To nie takie proste” – usłyszał wtedy w słuchawce. „Wiesz, matka jest zawsze pewna, ale co do ojca, można mieć wątpliwości” i roześmiał się radośnie. Filip nie miał ochoty z nim dalej rozmawiać i nie słuchał, że to był przecież tylko taki żart. Sytuacyjny. Odłożył słuchawkę. Później była już tylko awantura ze stryjami i łyzy stryjenki. Oni wiedzieli o rozstaniu rodziców.

– Filip, dla mnie jesteś nie jak bratanek, ale jak syn, rozumiesz? – Maciej próbował rozmawiać ze wzburzonym chłopcem.

– Jesteście pieprzonymi kłamcami. Wszyscy! – Filip pamiętał, że nie przebierał w słowach, pamiętał łyzy na twarzy ciotki.

Ale wtedy nic go nie obchodziło. Poza własnym poczuciem krzywdy. Poszedł do swojego pokoju, spakował się w jedną torbę i wyszedł, trzaskając drzwiami.

I wrócił dopiero dzisiaj... Te lata nieco ich postarzyły, ale gdy stanął w progu i ich zobaczył, nie powstrzymał łez. Wybaczyli mu już dawno, zresztą kto by nie wybaczył. Filip był dobrym dzieckiem, tylko nieco zbyt porywczym i zbyt honorowym. Wstyd mu było wrócić. Co prawda regularnie wysyłał im listy, nigdy jednak nie podał żadnego adresu zwrotnego i dopiero kilka dni temu w jego służbowej skrzynce mailowej pojawiła się krótka wiadomość: „Przyjedź wreszcie, synku!”. Pamiętał, jak zamknął gabinet i niemal godzinę siedział w milczeniu, a łyzy ciekły mu po policzkach. Chyba podświadomie czekał na tego maila. Sam by się tam nie pokazał, duma by mu nie pozwoliła... Tak, praca, pomyślał i przetaił twarz. Pracował na stanowisku kontrolnym w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. W zasadzie podlegała mu w dużym stopniu policja w całym kraju i między innymi do jego obowiązków należało odwiedzanie komend policji, tak aby komendanci nie zapominali, że ktoś jest wyżej, ktoś, kto patrzy im na ręce i może po tych łapach dać w miarę potrzeby. W Kotkowie nie był dotychczas ani razu. Po

pierwsze, nie chciał chyba spotkać ani stryjów, ani znajomych, a po drugie, komendantem tutaj był niepospolity kretyn, jego dawny kolega z klasy, niejaki Robert. Dureń, ale dawniej silny, co nie raz i nie dwa Filip odczuł na własnej skórze. Robert niezbyt go lubił. W ogóle nie lubił ludzi zbyt inteligentnych. Co prawda w szkole średniej już się raczej nie spotykali, czego Filipowi w ogóle nie brakowało. No, ale teraz trzeba, pomyślał. Jeszcze raz spojrzął w okno i pomachał ręką ukrywającym się za firankami stryjom. Ciotka zawsze tak robiła, gdy szedł do szkoły.

Ależ ja byłem głupi, tyle lat zmarnowałem! – jeszcze raz przyszło mu to do głowy i poczuł, że znów jest na siebie całkiem solidnie wściekły. To może i dobrze, przecież zaraz spotkam się z tym debilem, pomyślał o swoim szkolnym koledze, dzisiejszym komendancie. Tacy nigdy się za bardzo nie zmieniają. Zdeptał wypalonego papierosa i ze zdziwieniem ujrzał u swoich stóp trzy niedopałki. Chyba się trochę zagapiłem... Rozejrzał się dookoła i w oddali, na jednej z ulic odchodzących od rynku, ujrzał co najmniej dziwną scenę. Niemal pod komendą policji na chodniku trzech gówniarzy popychało jakąś staruszkę. Był zszokowany, przecież dotychczas Kotków jawił mu się jako raj na ziemi... Gdy ruszył szybkim krokiem w tamtym kierunku, zorientował się, że staruszka wygląda jak jego ukochana nauczycielka, pani Helenka. Tyle tylko, że dużo starsza. Ale kimkolwiek była, potrzebowała pomocy, a pomysł spuszczenia komuś łomotu w tej chwili wyjątkowo przypadł mu do gustu. Nie dane mu jednak było nic zrobić. Nagle na gnojków jak jastrząb na gołębie spadł młody mężczyzna i Filip pomimo odległości widział, że celne ciosy znajdowały te miejsca, które i on by wybrał, gdyby tylko miał okazję.

Kuląca się Helenka nie doczekała się bolesnego uderzenia...

Kuląca się Helenka nie doczekała się bolesnego uderzenia. Zmienacka poczuła nagłe szarpnięcie, gdy ręka trzymająca jej płaszcz została brutalnie od niego oderwana. Na twarzy pojawiły ciepłe kropelki. Zdziwiona otworzyła oczy i odruchowo dotknęła policzka. Przed jej zdumionymi oczami pojawił się Beniamin, o którym przecież przed momentem myślała i którego chyba tymi myślami ściągnęła. Teraz za jego sprawą jeszcze przed chwilą szarpiący ją za płaszcz chłopak klęczał na chodniku, a z ręki, którą trzymał się za nos, kapłała krew. Halinka spojrzała na swoje palce – również były na nich czerwone ślady...

Beniamin tymczasem rozprawiał się z pozostałymi braćmi, którzy całkiem nieźle sobie radzili, i chociaż jednemu z nich już puchła warga, to podchodzili Beniamina z dwóch stron. Chłopak przybliżył się tyłem do Helenki i udając, że potyka się o kamień, sprowokował ich do ataku. Starszy z wyrostków doskoczył i próbował go kopnąć, ten jednak tylko na to czekał i schwycił nogę przeciwnika, przyciągnął go do siebie i Helenka usłyszała nieprzyjemny trzask, jaki wydał nos chłopaka po zetknięciu z pięścią jej niespodziewanego obrońcy. Beniamin zamachnął się drugi raz.

– Nie! – krzyknęła, widząc, co zamierzają pozostali bracia.

Ale to ostrzeżenie tylko go rozproszyło. Nie dostrzegł, że najmłodszy z braci wyciągnął z krzaków gruby kij i zmienacka zamachnął się, celując prosto w głowę Beniamina. Z drugiej strony podbiegł z krwawiącym nosem najstarszy z trójki, ten jednak zamiast kija dzierżył w dłoni butelkę po piwie. Beniamin odepchnął trzymanego za nogę chłopaka, który padł na chodnik, i uskoczył przed butelką, jednak nie zdołał uchylić się przed kijem, który z dużą siłą zdzielił go w plecy. Beniamin potknął się o leżącego na ziemi chłopaka i ledwo zdołał naprężyć mięśnie brzucha, aby

choć trochę zamortyzować kopnięcie ciężkiego buta najstarszego z braci. Trzeba przyznać, że było bardzo mocne, Beniamin zdołał jednak schwycić nogę napastnika i z całej siły uderzyć go w kolano.

– Ty chuju! – usłyszał, po czym poczuł na plecach but kolejnego łobuza.

Oto pojawił się zaginiony dotąd czwarty brat. Helenka przymknęła oczy. Nie chciała patrzeć na to, za co przecież była odpowiedzialna. Gdyby nie wyszła sama, gdyby nie była tak głupio uparta, to wszystko by się nie wydarzyło... A tak pociągnęła za sobą chłopaka, który niczemu nie był winny, a którego niewątpliwie za moment zakatują na śmierć...

Filip już prawie dobiegał na miejsce bójki...

Filip już prawie dobiegał na miejsce bójki, gdy obok walczących z piskiem zatrzymał się elegancki samochód i wyskoczył z niego równie elegancki mężczyzna. Był znacznie większy zarówno od Beniamina, jak i od Filipa. Uderzenie w plecy z dużą prędkością posłało na chodnik chłopaka, który wcześniej kopał Beniamina. Najstarszy z braci, kulejąc, próbował uciec, ale ręka sprawiedliwości okazała się szybsza i szarpnięty za kołnierz dołączył do leżących na chodniku braci. Beniamin, krzywiąc się, wstał. I tylko pani Helenka nadal stała jak żona Lota, zupełnie nie rozumiejąc, co się właściwie wydarzyło i jakim cudem sprawy przybrały zupełnie inny obrót. Filip nie musiał już dołączać do bójki, z czego się ucieszył, bo zdał sobie sprawę, że udział w ulicznej awanturze jednak niezbyt licuje z jego stanowiskiem. Choć widmo szarpaniny nadal wydawało mu się całkiem pociągające. W tym samym momencie z impetem otworzyły się drzwi komendy i wypadło z nich ośmiu funkcjonariuszy, którzy podbiegli do uczestników bójki.

Rychło w czas, pomyślał Filip. Musi chyba podkreślić nieco Robercika...

– Gleba, kurwa, gleba, ale już! – W tym momencie oczy Filipa ze zdumienia zrobiły się wielkie niczym pięcioletówki. Policjanci zamiast młodocianych bandziorów kładli na ziemię facetów, którzy obronili Helenkę! Bo teraz wiedział już na pewno, że to była ona.

Kurwa, no nie... – pomyślał i podbiegł do próbujących skuć mężczyzn policjantów.

– Co tu się dzieje?! – huknął tubalnym, nawykłym do posłuszeństwa głosem.

– A czego, kurwa, pytasz? Łobuzów łapiemy, nie widać? – odburknął mu jeden z młodych mundurowych. – A pani idzie do domu, bo też zamkniemy na dwadzieścia cztery – odezwał się do nadal oszołomionej zającami starszej pani. Funkcjonariusz ponownie spojrzał na Filipa, który powoli osiągał stan ostatecznego

wkurwienia. I widać coś w wyrazie jego twarzy zaniepokoiło policjanta, bo przyjrzał mu się uważniej.

– Czego tu chcesz, człowieku, tu są czynności realizowane, mam cię za utrudnianie zgarnąć czy jak? – powiedział i pokręcił z przyganą głową.

– No spróbuj może... – odezwał się cicho Filip. Widać dla policjanta tego było już za dużo, bo obrócił się i szybkim ruchem złapał go za ramię. – Sam chciałeś, kozaku... – powiedział i głośno jęknął, gdy szybki ruch Filipa zmusił go do stanięcia na palcach, a próba oporu groziła wyłamaniem stawu w trzymanej przez mężczyzną rękę.

– To... jest... napaść... – wycharczał przez zęby, a jego koledzy przyskoczyli, gotowi bronić kolegi.

– Tak, to jest napaść – zgodził się Filip i wolną ręką sięgnął do kieszeni. – Teraz wyjmę rękę, mam w niej dokument – powiedział do policjantów mierzących do niego z broni.

Kto im dał te cholerne pistolety? – zdumiony potrząsnął głową i ponieważ uświadomił sobie, że przecież któryś z tych bałwanów mógłby go po prostu zastrzelić. Bazował na swojej szybkości i zdecydowaniu, ale wiedział, że na każdego cwaniaka znajdzie się kiedyś większy cwaniak. No ale widać to jeszcze nie był ten dzień. Tym razem miał szczęście. Wolnym ruchem wyjął niewielki portfelik i pokazał trzymanemu przez siebie policjantowi jego zawartość. Ten aż jęknął i zbladł.

– Już dobrze? – spytał Filip.

– Tak jest, ja bardzo przepraszam... Chyba źle oceniłem sytuację... – wyjąkał policjant. – Chłopaki, schowajcie broń... Nie ma tematu...

– I podnieście panów, i przeproście. I zapraszam wszystkich na posterunek. – Filip przejął inicjatywę. – Gnojki przodem!

– Ale... – chciał coś powiedzieć jeden z młodszych funkcjonariuszy, ale uciszyła go dłoń kolegi, położona sugestywnie na jego ramieniu. – Później, Wojtek... – mruknął i pokręcił ostrzegawczo głową.

– Pani Helenko, nie poznaje mnie pani? – Filip podszedł do wyraźnie oszołomionej staruszki i podniósł leżący u jej stóp берет.

Delikatna tkanina była zniszczona. – To już do niczego... – powiedział cicho i spojrzał Helence w oczy.

– Filip Duńczyk! – Na jej twarzy pojawiło się radosne zaskoczenie, gdy go rozpoznała. – Gdzieś ty się podziewał tyle lat?!

– Długo by opowiadać... Później odwiozę panią do domu, to porozmawiamy. – Podał Helence ramię. – Teraz musimy jeszcze załatwić sprawy urzędowe, więc niestety odwiedzimy naszego Robercika...

– Ale Filipie, to są właśnie jego synowie... – wyszeptała przestraszonym tonem starsza pani, a Filip poczuł, że krótkie, niemal wygolone włosy na karku stają mu dęba.

Cholera, wychodziło na to, że ta kontrola w Kotkowie była naprawdę, ale to naprawdę potrzebna.

Na komendę przyszli ostatni...

Na komendę przyszli ostatni, zarówno funkcjonariusze, jak i obrońcy Helenki wysłuchiwali już ryku komendanta. Czterech chłopców siedziało na krzesłach i wydawało się, że są całkiem zadowoleni z takiego obrotu sprawy. Filip wszedł do środka i podstawił krzesło Helence.

– A kogo my tu mamy?! Kto napada na moich ludzi i broni bandytów bijących Bogu ducha winnych chłopaków? Ja ciebie, człowieku, z pierdła nie wypuszczę! – Najwyraźniej komendant nie wiedział jeszcze, z kim ma do czynienia. – A tych łobuzów z miejsca do ciupy, dlaczego nie są jeszcze skuci? Czy wy, kurwa mać, w cyrku pracujecie?

– Ale szefie... – próbował mu przerwać policjant, który widział dokumenty Filipa.

– Co szefie? Już...

– Uspokój się, Robercik, bo mam dosyć twoich wrzasków – odezwał się cicho Filip, a komendant, o ile to możliwe, poczerwieniał jeszcze bardziej, a oczy prawie wyszły mu z orbit.

Podszedł szybkim krokiem do Filipa.

– Pierdolnąć ci w obronie własnej, przybłędo? – spytał cicho.

– Spróbuj – wycedził przez zęby Filip i chwycił ramię komendanta. Ścisnął je z całej siły i powiedział: – Robercik, to ja, twój stary kumpel, Filip Duńczyk, zapomniałeś? Pism urzędowych nie czytasz czy jak?

Komendant zbladł i spróbował uwolnić rękę, ale dłoń Filipa trzymała go mocno. Robert przypomniał sobie dostarczone jakiś czas temu pismo o wizytacji z ministerstwa, które totalnie zlekceważył i którego nawet do końca nie przeczytał. Przelotnie zarejestrował tylko, że podpisał je jakiś Filip, ale wtedy nie miało to znaczenia. Teraz jednak pojawiły się pewne wątpliwości. Z przyjacielską wizytą odwiedził go stary znajomy... Taki, którego bezkarnie popyrgiwał w podstawówce i nie raz, i nie dwa dał mu po głowie. I w tym

momencie dotarło do niego, że upływający czas ma jednak znaczenie i że sytuacja jest dzisiaj jednak diametralnie inna. Coś jakby na jego niekorzyść.

– No jak nie, Filip, oczywiście, poznaję... Miło cię widzieć i przepraszam za to nieporozumienie, zupełnie nie wiem, czemu ci ludzie napadli moich chłopców, a bardzo chcę to wyjaśnić. Zabierzcie ich, chłopcy, do któregoś z boksów – poleciał.

– Tak, zabierzcie, ale grzecznie i miło! Poczęstujcie czymś ciepłym, tak żeby było jak w domu, jak u mamusi – powiedział Filip tonem nieznoszącym sprzeciwu. A potem poczekał, aż ich wyprowadzą, i ponownie zwrócił się do komendanta: – A więc mówisz, że nie rozumiesz, dlaczego ci ludzie napadli twoich chłopców? To ja ci, Robercik zrozumieć pomogę... – W głosie Filipa brzęczały tony, które bardzo się komendantowi nie podobały, spojrzał w milczeniu na dokument, który pokazał mu Filip, i zrozumiał, że w tej chwili jego gust nie ma najmniejszego znaczenia. – Pani Helenko, proszę chwilę poczekać, a któryś z panów – kontynuował Filip i spojrzał na milczących mundurowych – zrobi pani kawę lub herbatę... Tylko migiem, a ja zaraz wrócę. I proszę pamiętać, żeby przyjąć od tamtych panów zeznania – dodał, po czym wskazał Robertowi drzwi jego gabinetu.

Komendant bez słowa poszedł w tamtym kierunku. Coś, co widział w oczach Filipa, sprawiło, że nie zamierzał się odzywać. Również dlatego, że po raz pierwszy od niepamiętnych lat zaschło mu w gardle, które ścisnął strach. I dotarło do niego, że są sytuacje, które nie śniły się nawet wydawałoby się wszechwładnym komendantom. I zdarzają się takie chwile, w których własny gabinet może nagle zamienić się w miejsce kaźni.

Komendant i nowo przybyły zniknęli w gabinecie...

Komendant i nowo przybyły zniknęli w gabinecie, a reszta policjantów spojrzęła po sobie ze zdumieniem pomieszany ze strachem. Było jasne, że to wszystko może skończyć się nie najlepiej. A w takich sytuacjach najczęściej po głowach obrywali najniżsi rangą...

Uświadomiwszy to sobie, najmłodszy z funkcjonariuszy szybkim krokiem podszedł do czajnika, włączył go i pytająco spojrzęł na starszą panią.

– To może poproszę herbatę. – Zrozumiała go bez słów i skinęła głową. Przed chwilą grozili jej zamknięciem w celi, a teraz, proszę bardzo, herbatą częstują.

Kolejni policjanci powoli dochodzili do siebie i zaczęli rozumieć to, co przed momentem dotarło do ich najmłodszego kolegi. I zaczęli działać.

– On kazał ich przesłuchać – mruknął jeden z nich. – Tylko jak? Tak jakby chciał komendant czy jednak zgodnie ze sztuką?

– Ochujał... to znaczy oszalałeś, Roman? Dokładnie na odwrót – mruknął jego kolega i znacząco popukał się w czoło. – Grzecznie i z estymą – dodał dobitnie.

Po tych słowach już do wszystkich dotarła powaga sytuacji. Na komendzie zaroilo się niczym w ulu. Wszyscy przy tym prześcigali się w grzeczności i uprzejmości.

– Cholera, czy ty to widzisz? – mruknął Beniamin do swojego towarzysza, gdy wylądowały przed nimi kruche ciasteczka i kubki z kawą.

– Widzę coś jakby Wersal – parsknął śmiechem Antoni. – Coś mi się wydaje, że mieliśmy sporo szczęścia, bo... – Nie dokończył, bo nagle drzwi komendy się otworzyły i do środka wparowało dwóch wielkich mężczyzn.

– Gdzie inspektor? – spytał minimalnie niższy z nich.

Zaskoczeni policjanci spojrzeli po sobie.

– A wy kto? I w jakiej sprawie? – Dyżurny zniecierpliwiony odzyskał rezon i odrobinę pewności siebie.

– Koledzy ze służb, Edek jestem, wystarczy to? – Niższy machnął policjantowi legitymacją przed nosem. – Szefa szukamy. Miał tu wpaść na wizytację. O, i chyba jest tam... Możesz go poprosić?

– A ja Mietek... – przedstawił się policjant i zerknął w kierunku gabinetu komendanta. – Wiesz, to chyba nie jest najlepszy pomysł... Mamy tu nieco skomplikowaną sytuację...

– Ktoś coś spieprzył? – zapytał tamten domyślnie.

– Tak jakby... – Mietek wcale nie chciał być tym pierwszym wyrywającym, co to obcych wtajemnicza w sprawy wewnętrzne.

– No to macie przejebane... Dostaniemy kawy? – uśmiechnął się półgębkiem drugi.

– Nie no, jasne, niedługo będziemy zapraszać wszystkich i serwować na wynos – burknął pod nosem najmłodszy z posterunkowych, ale tak, żeby żaden z przybyłych go nie usłyszał.

– Pewnie, wejdźcie. – Mietek zgromił go wzrokiem. – A ja jednak może powiem, że przyszlście – zdecydował po chwili wahania.

– Lepiej nie – mruknął wyższy z przybyszów. – Karol jestem – dodał i na powitanie wyciągnął dłoń wielkości bochna chleba. – Jak Filip jest wkurwiony, a chyba jest – wskazał palcem na gabinet komendanta, który robił się na przemian czerwony jak pomidor i biały jak papier – to lepiej się nie pokazywać bez powodu. Uwierz, wiem, co mówię.

– Wkurwiony? Przecież nawet nie krzyczy... – zdziwił się któryś z policjantów, witając się z gośćmi.

– Jakby krzyczał, byłoby lepiej... A tak, ani chybi polecą jakaś głowa. – Edek nie wydawał się ani nadmiernie przejęty, ani zdziwiony. – Filip jest sprawiedliwy, gdyby było tutaj dobrze, to jak w banku mielibyście jakieś nagrody i premie. On zawsze docenia dobrą robotę, a zresztą przecież jest stąd, więc swoim na pewno by coś sypnął. Ale teraz jest inaczej... Bo jak on mówi tak cicho, to wtedy jest najgorzej...

I rzeczywiście, powiedzieć, że jest źle, to jak nic nie powiedzieć...

I rzeczywiście, powiedzieć, że jest źle, to jak nic nie powiedzieć. Było fatalnie. Filip najpierw poprosił Roberta o opisanie zaistniałej sytuacji, nie mówiąc, że sam był świadkiem całego zdarzenia. Od początku do końca. Więc Robert puścił wodze fantazji i dopiero to tak na całego obudziło w Filipie gniew.

– To ja panu, panie komendancie, powiem, jak było naprawdę – powiedział cicho. – Bo widzisz, tak się składa, że stałem kawałek dalej i wszystko widziałem jak w teatrze z najlepszego miejsca. Rozumiem, że to twoje chłopaki? Te zuchy, co to tak pięknie biją i kopią słabe staruszki?

– Nie ująłbym tego w ten sposób, ale tak... Trochę łobuzują... No tak jak my za młodu, co nie? – Robert łudził się jeszcze, że takim nawiązaniem nawiąże z Filipem nić porozumienia.

– No to jeśli tak jak my, to dzisiejsza lekcja bardzo im się przyda... – Filip zmrużył oczy. – Za młodu byłeś kawał fiuta. Prześladowałeś słabszych i nie robiłeś psikusów, tylko coś dużo większego kalibru. Miałem nadzieję, że jako policjant jesteś kimś innym i twojateczka zdaje się to generalnie potwierdzać, ale... – Pokręcił w zamyśleniu głową.

– O co ci chodzi, Filip, mamy dobre wyniki i jest spokój, weź się ode mnie odpiardol! – Nagle Robertowi wydało się, że właśnie zyskuje przewagę i to jest idealny moment, żeby wziąć dawnego kolegę na huki.

– Nie wiesz, co mówisz, i gwarantuję ci, że wcale nie chcesz, abym się odpiardolił, więc morda w kubeł. Nie mówimy o twoich wynikach, a o twojej przyszłości. Możesz to wreszcie zrozumieć? Twojej i tych osrańców na krzesłach pod ścianą. Robert, jeżeli stąd wyjdę, to ty wylatujesz, a oni w najlepszym razie idą do poprawczaka. Tego chcesz? – Głos Filipa był cichy i spokojny, ale

jego zaciśnięte szczęki nie dawały zapomnieć, że sytuacja jest bardziej niż poważna.

– Nie no... weź, stary... – cicho odpowiedział poblady nagle komendant. – Tego nie chcę...

– To ja ci powiem, jak będzie. Zbieram teraz zeznania tych kolesi, zawożę do domu panią Helenkę, a te gnojki mają areszt domowy. Zawozisz ich osobiście do chaty i dzisiaj już nigdzie nie wychodzą. Rozumiemy się? A jutro wpadam rano i porozmawiamy na spokojnie. W tej chwili to wszystko, co mogę ci zaproponować, a to i tak za dużo... Leży ci to? – Pytanie było raczej retoryczne.

– Tak... – Robertowi ledwo przeszło to słowo przez gardło. Wiedział, że ta bitwa jest przegrana, ale bitwa to nie wojna...

– To dobrze, rozsądnie. – Filip wstał i wyszedł z gabinetu, nie podawszy Robertowi ręki na pożegnanie.

W sali dostrzegł swoich ludzi i przywitał się z nimi serdecznie. No tak, pewnie się zdenerwowali, nie czekał na nich tam, gdzie byli umówieni. Ale to, że tu są, tylko dowodziło tego, że może na nich polegać. Stał na moment na środku komendy i obrzucił wszystkich zamyślonym spojrzeniem, po czym przeszedł do drugiej salki, gdzie siedziało dwóch gości, którzy stanęli w obronie Helenki. Komendant podczas pogawędki, którą właśnie skończyli, wygadał się, że jeden z nich to Benjamin. Nie było mowy, żeby był jakiś inny niż ten, którego pamiętał z przeszłości; takie imiona są raczej rzadkie. Niesamowicie, że dziś o nim myślałem, przemknęło mu przez myśl, gdy podchodził do mężczyzn.

– Nie poznajesz mnie, chłopie? – Wyciągnął w jego stronę rękę.

Benjamin zmrużył oczy. Rzeczywiście kogoś mu ten facet przypominał... Ale kogo?

– Filip jestem, ten sam, którego kilka razy wpuszczalesz przez okno, pamiętasz, przychodziłem do twojej siostry...

– Julki. – W jego oczach pojawił się błysk olśnienia. – Teraz pamiętam! I chociaż nie bardzo rozumiem, a właściwie rozumiemy – zerknął na swojego towarzysza – co tu się właściwie stało, ale bardzo ci dziękujemy, bo czarno na białym widać, że to dzięki tobie nie trafiliśmy jeszcze do pierdła.

– I nie traficie, to wam mogę obiecać. A tak w ogóle, to nie macie mi za co dziękować. Obroniliście kogoś, kto był i jest dla mnie bardzo ważny. Nie mogę pojąć, że ktokolwiek mógłby chcieć skrzywdzić kogoś takiego jak pani Helenka! A wyobrażacie sobie, ja to widziałem, tylko nie zdążyłem dobiec, bo wy już się pojawiliście. Panu też bardzo dziękuję – wyciągnął dłoń do towarzysza Beniamina. – Jestem Filip i będę musiał prosić pana o jakieś dane kontaktowe...

– Antoni – odpowiedział tamten. – A co do danych, to już ci, co spisywali nasze zeznania, wpisali je u siebie. Znaleźć mnie raczej nie jest trudno, bo zatrzymałem się w pensjonacie u...

– U Gąsików – dokończył za niego Filip.

– Dokładnie... Skąd pan wie?

– Proszę mi mówić Filip. Stąd, że tutaj nie ma raczej wielkiego wyboru: można przenocować albo u Gąsików, albo w hotelu, ale słówko „pensjonat” wystarczyło – zaśmiał się.

– No tak, a ja, tak jak wspominałem, jestem Antoni, też bez „pan”.

– Uścisnęli sobie ręce. – Pozwoli pan, sorry, pozwolisz, że się jutro odezwę?

– Oczywiście.

Antoni wręczył mu swoją wizytówkę.

– Dziękuję, ale nie mogę się zrewanżować, budżetówka, rozumiesz. – Filip schował bilecik do kieszeni i uśmiechnął się przepraszająco. – Jesteście wolni i dziękuję za postawę obywatelską – uśmiechnął się do nich szeroko i szczerze.

– No, Filip, to na razie, ale jeżeli wydaje ci się, że to koniec, to się mylisz, musimy się jeszcze złapać, bo wiesz, są pewne zaszłości... – Beniamin spojrzał Filipowi głęboko w oczy. – A i z panią, pani Helenko, mamy do pogadania! Obiecała nam pani, że nie ruszy się bez nas nigdzie! I co?

– No i narozrabiałam – westchnęła skruszona. – A tobie najbardziej się dostało. Panu Antoniemu zresztą też całkiem solidnie...

– Na całe szczęście tamci wyglądają o niebo gorzej – zaśmiał się Antek. – Tylko nie wiem, czy możemy panią spuścić z oczu, żeby znowu się pani nie wdała w jakieś awantury.

– Zostawiacie ją w dobrych rękach – wtrącił Filip. – A jeżeli chodzi o łapanie mnie – zwrócił się do Beniamina – to jakby co, moje zamiary będzie miała pani Helenka... A, i żeby nie było wątpliwości, chętnie się spotkam... Już nie uciekam – dodał, bo domyślał się, o czym będzie rozmowa.

Potem poczekał, aż mężczyźni opuszczą posterunek, i poprosił policjantów o spisane wcześniej protokoły. Spojrzeli na niego skonsternowani. Jeden z funkcjonariuszy rzucił pytające spojrzenie na tkwiącego w gabinecie szefa, a gdy ten skinął głową, włożył zapisane kartki do teczki i bez słowa wręczył mężczyźnie.

– Dziękuję. Chłopcy, zamienimy na zewnątrz dwa słowa, okej? – zwrócił się do współpracowników Filip i zerknął spod oka na swoją dawną nauczycielkę. – Pani Helenko, mogę panią odwiedzić do domu? – zapytał z galanterią.

– Ale jak? Przecież ja miałam zrobić jeszcze zakupy... Tyle przeżyłam, że za nic nie zrezygnuję i bez nich nie wracam. – Pokręciła z uporem głową.

– To zrobimy je po drodze, przynajmniej nie będzie musiała pani dźwigać.

– Cóż, tylko głupi odmawia, gdy mądry prosi – uśmiechnęła się do niego.

– No to w takim razie ruszamy – zakomenderował i podawszy ramię pani Helence, w asyście dwóch zwalistych towarzyszy Filipa skierował się do wyjścia. – A, panowie, my widzimy się jutro rano – powiedział do nich już na zewnątrz. – Ale gdybyście byli tak dobrzy i przejechali dziś wieczorem raz, może dwa koło domu komendanta i upewnili się, że żaden z jego synalków nie wychodzi... – zawiesił znacząco głos.

– Nie ma sprawy szefie, a rano to jak zwykle o ósmej?

– Dokładnie, chyba że chcecie mieć jutro wolne, nie sądzę, żeby po tym, co dzisiaj się tu działo, ktoś miał ochotę robić mi pod górkę.

A przynajmniej nie jutro z rana. Jeżeli już, to raczej dziś wieczorem mogłoby się coś wydarzyć. Dlatego też profilaktycznie poprosił Karola i Edka, żeby mieli na oku dom komendanta. Pracował w swoim fachu na tyle długo, żeby wiedzieć, iż różne rzeczy mogą się zdarzyć.

– Nie, szefie, zostaniemy. Wie szef, jak jest – mruknął Karol. – Lepiej dmuchać na zimne...

– I wiemy, że w razie czego szef sobie da radę, ale my też mamy swoją robotę. Lubimy szefa w jednym kawałku, pojedynczego łatwiej upilnować – dorzucił Edek.

– No to w takim razie do jutra, panowie – uśmiechnął się Filip.

Lubił ich i cieszyło go niezmiernie, że oni też żywią do niego i sympatię, i zaufanie.

– No to teraz, pani Helenko, ja i mój samochód jesteśmy do pani dyspozycji – powiedział z uśmiechem. – Jedziemy na zakupy, a pani opowie mi wszystko. Bez owijania w bawełnę. Myślę, że już dawno powinna pani to zrobić...

– Może i powinnam, tylko nie bardzo było komu – mruknęła starsza pani. – Tu wszyscy się ich boją, tak samo zresztą jak ich ojca.

– Ale na całe szczęście ja nie jestem wszyscy, no i jednak to uogólnienie chyba jest trochę niesprawiedliwe, bo Benjamin i Antoni nie wyglądali na zbyt przerażonych...

– Nie, bo to dobrzy chłopcy. Ale gdyby nie ty, to marnie by się to wszystko skończyło – powiedziała, patrząc mu w oczy. – I dla nich, i dla mnie. I jedna rzecz, Filipie, jeżeli mamy rozmawiać szczerze, to nie traktuj mnie jak dziecinniej staruszki. Nic nikomu nie mówiłam, bo to oznaczałoby tylko tyle, że pociągnę za sobą każdego, kto się za mną ujmie. A do wypadku z hulajnogą, o którym zresztą za moment ci opowiem, jakoś sobie radziłam. Miałam Bohuna, to mój pies – dodała wyjaśniająco. – Mądry i gotowy za mnie oddać życie. Przy nim jestem bezpieczna. Dziś dorwali mnie tylko dlatego, że ta zwichnięta ręka nie pozwoliła mi wziąć i psa, i siatki jednocześnie. Przy Bohunie nie podeszliby nawet na krok. A skoro znów jesteśmy przy tym temacie, to oszczędzę ci zachodu i sama wszystko opowiem – dodała, wsiadając do samochodu.

Tego wieczoru Filip dowiedział się wszystkiego o tym, co tu się wydarzyło. Szlag go trafiał na myśl o tym, że takie rzeczy dzieją się gdziekolwiek, ale jeszcze bardziej irytowało go, że to akurat wydarzyło się w jego miasteczku. Stanowczo zbyt długo go tutaj nie było. Za długo uciekał, bał się powrotu do różnych porzuconych spraw. Gdy zaczęło się robić ciemno i właśnie miał się pożegnać

z Helenką, zadzwoniła jego komórka. W słuchawce usłyszał głos stryja.

– Filip, twojego samochodu nie ma już pod domem, wiem, że miałeś dziś wyjeżdżać, ale nawet się nie pożegnałeś... I tak pomyślałem, że na wszelki wypadek zapytam: wszystko u ciebie w porządku?

– Tak, stryju, przepraszam. – Zaklął szpetnie w myślach, bo zapomniał o aucie i pewnie zburzył spokój stryjostwa. – Wszystko w całkowitym porządku, musiałem gdzieś podjechać, ale wrócę, bo plany mi się trochę zmieniły i chyba zostanę w Kotkowie na noc.

– No to mam nadzieję, że będziesz spał w domu? – W cichym głosie stryja pobrzmiwała nadzieja.

Uwagi Filipa nie umknął fakt, że padł zwrot „w domu”, a nie „u nas”. Trochę się tego spodziewał, ale i tak poczuł wzruszenie i ulgę. Pomimo tego, jak się zachował, nadal traktowali go jak własne dziecko.

– Jeżeli mogę, stryju, to bardzo chętnie... Ale jeszcze w tej chwili nie wracam. Wpadłem do pani Helenki, wiesz, mojej dawnej nauczycielki polskiego, i trochę się zasiedziałem.

– Oczywiście, w końcu jesteś dorosły. Masz klucze?

Gardło Filipa zacisnęło się boleśnie. Miał klucze... te same, z którymi kilka lat temu wybiegł z domu, a oni nadal nawet nie zmienili zamków. Teraz też wymacał je w kieszenie kurtki. Woził je zawsze, trochę na dobry omen, a trochę ku przestrodze. Żeby nie zapomnieć, że gniew nigdy nie bywa dobrym doradcą.

– Tak, mam, stryju, ale nie wrócę zbyt późno... Postaram się być tak, żebyśmy jeszcze mieli czas pogadać – dorzucił i wzruszony zakończył rozmowę.

– Pani Helenko, będę już szedł – zwrócił się do starszej pani. – Mamy wszystko omówione i proszę się nie bać, będę tutaj wpadał regularnie, a zresztą ma pani mój numer i jeżeli cokolwiek wzbudzi pani niepokój, to proszę walić do mnie jak w dym.

– No wiesz, po tym, jak w jedno popołudnie załatwiłeś coś, z czym niemal całe miasteczko nie mogło się uporać od miesięcy, nie musisz mnie za bardzo namawiać – uśmiechnęła się, kładąc dłoń na wielkim psim łbie.

Bohun rzeczywiście nie odstępował jej nawet na krok. Widząc to, Filip zrozumiał, że nie przesadzała. Z takim obrońcą i przyjacielem nie musi się bać.

Gdy Helenka odprowadziła Filipa do furtki...

Gdy Helenka odprowadziła Filipa do furtki, kątem oka dostrzegła, że z ławki po drugiej stronie ulicy podniósł się ubrany na czarno mężczyzna. Uśmiechnęła się lekko do siebie i gwizdnęła na Bohuna.

Gdyby nie wiedziała, kto siadał tam, gdy słońce było jeszcze dość wysoko, z pewnością ostrzegłaby Filipa, ale w obecnej sytuacji uznała, że pewne długi należy spłacać.

Filip wyszedł na ulicę...

Filip wyszedł na ulicę i skierował się w stronę nadchodzącego mężczyzny. Widział, że ten tam siedzi, ale było już zbyt ciemno, aby dostrzec, czy to ktoś znajomy. Nic jednak nie mówił, bo nie chciał niepokoić dawnej nauczycielki. I tak miała za sobą trudny dzień. A on... no cóż, nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz zdarzało się, że ktoś problemy zawodowe usiłował rozstrzygnąć alternatywnymi metodami. Filip nie miał nic przeciwko temu, nawet lubił raz na jakiś czas taki skok adrenaliny. Sam nie szukał zaczepki, ale bronić się było jego świętym obowiązkiem. Mężczyzna był coraz bliżej. W jego sylwetce było coś znajomego.

– Beniamin? – Filip dawno już nie był tak zdziwiony.

– No, a kto? Spodziewałeś się kogoś innego?

– No raczej – zaśmiał się. – Takiego kogoś, kto będzie chciał mi obić to i owo... Mam taką robotę, że nie wszyscy mnie lubią – dodał wyjaśniająco.

– Jeśli bardzo chcesz... Sam wiesz, że ci się należy... Ale tak na serio, to chciałem podziękować. Gdyby nie ty, poszlibyśmy siedzieć za tych gnojków komendanta.

– Bardzo proszę, ale powiem ci, że to wasze spokojne miasteczko to jakiś smutny żart. Od dawna się to dzieje?

– Z panią Helenką? Nie wiem dokładnie, my, odkąd wiemy, staramy się ją chronić, pilnować jej, chociaż do tej pory nie bardzo wiedzieliśmy, kto ją prześladowa, i dopiero dziś pod tą nieszczęsną komendą wydało się, kto za tym stoi. Nie chciała nic powiedzieć. Zapała się i tyle. A poza tym gdybym wiedział, to chyba nie sądzisz, że nie zareagowałbym. Zresztą gdybym nawet okazał się takim gnojkiem, to Stella by wzięła sprawy w swoje ręce. Jak się ma takie siostry, stary, to się nie ma wyboru, trzeba być dzielnym, żeby nie wypaść gorzej od nich – dodał.

– Stella... U niej wszystko dobrze? – Filip doskonale wiedział, że to przynęta, i z pełną świadomością dał się złapać. – Ale czekaj,

będziemy tak gadać na ulicy? Może chodźmy gdzieś posiedzieć, masz chwilę?

– Chwilę tak... – Chłopak spojrzął na zegarek. – Jakąś godzinę...

– To na piwko wystarczy. Akurat.

Poszli do ulokowanego w piwnicy pubu oferującego oryginalnego Guinnessa. Drogo, ale pysznie i dzięki temu spokojnie, bo nie było zbyt wielu klientów. Usiedli przy najbardziej ustronnym stoliku znajdującym się z tyłu.

– Kim ty jesteś, Filip? – Beniamin rozpoczął z grubej rury.

– To znaczy?

– To znaczy, że gruby Robert trząśł przed tobą portkami i nawet się nie zająknął, jak wydawałeś jego ludziom polecenia. A w końcu to on tu jest szeryfem...

– Szeryfem? – Filip o mało co nie zakrztusił się piwem i sięgnął do kieszeni, po czym podsunął Beniaminowi swoją legitymację. – Szeryfem – powtórzył, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Dobrze, że nie musi jeździć konno, szkoda byłoby konia... A to – wskazał na dokumenty – zostaw dla siebie. W ogóle nie musisz o mnie nikomu mówić, chociaż i tak pewnie się wyda, że wróciłem, bo będę tutaj często zaglądać. Głupi byłem, że tak to po szczeniacku rozegrałem. Skrzywdziłem najbliższych mi ludzi...

– To dobrze, że wracasz. Gdy wyjechałeś, twój stryj usiłował dowiedzieć się od Julki, gdzie jesteś. Trudno mu było uwierzyć, że nawet ona nic nie wie... Jak ty, kurka, mogłeś to zrobić?

– Kiedyś ci opowiem... Dzisiaj śpię u stryjów, więc jeden temat z głowy... Przyjdzie czas na następne...

– No myślę, bo słabo ci to wyszło.

– Wiem, ale daj mi czas. I powiedz, co u ciebie?

– Pętam się trochę bez celu, trochę maluję, nawet idzie mi nieco lepiej niż na początku... I tak jakoś leci. Nie mam tak jak ty ścieżki kariery...

– To może i lepiej, jeśli starcza ci na życie... Przynajmniej nie musisz pracować z debilami. Mnie to przeszkadza coraz bardziej. Mnóstwo dobrych ludzi poszło na bruk albo znaleźli inne zajęcie, no ale też dzięki temu jestem, gdzie jestem... Powiem ci, że jest coraz trudniej. A co u Stelli?

– Dobrze, ma synka...

– A męża? Czy jestem zbyt niedyskretny?

– Wybrała wersję okrojona, bez męża... Mela też nie wyszła za mąż, ale ma kogoś na stałe. Właściwie to prawie tak jakby była starą mężatką, bo z tym jej Jacusiem mieszkają już długo. Jacuś jest prawnikiem i kompletnie nie pojmuję, jak moja siostra, która głównie łązi po górach i pisze prace o wilkach, ptakach, roślinkach i wszystkim, co zielone, pierzaste i umie wyć, może z nim wytrzymać. To chyba faktycznie musi być miłość. – Beniamin upił łyk piwa i zerknął spod oka na Filipa.

– A Julia? – To pytanie z trudem przeszło mu przez gardło, tak jakby bał się odpowiedzi.

– Julka... No cóż, skończyła studia i wróży z kart. Tarot i te sprawy... – Beniamin doskonale wiedział, o co pyta Filip, ale wcale nie zamierzał mu niczego ułatwiać. I wtedy zobaczył, jak smutne oczy ma dawny chłopak jego siostry. – I tak na marginesie, nadal sama jada śniadania... – dokończył litościwie.

– To dobrze, że jada śniadania, to najważniejszy posiłek dnia... – powiedział nagle uradowany Filip i uznał, że to najlepszy dzień w jego życiu. Bynajmniej nie tylko dlatego, że spuścił emocjonalne manto Robertowi, swemu dawnemu prześladowcy.

– Stary, muszę już lecieć. – Z zadumy wyrwał go głos Beniamina.

– Miło było się spotkać i porozmawiać. Mam nadzieję na kolejne spotkanie, może nawet jeszcze w tej dekadzie, co?

– Na pewno, nie, ja płacę, to ja zapraszałem, ty następnym razem.

– Filip zauważył, że Beniamin sięga po portfel. – To do zobaczenia, ja tu jeszcze chwilę posiedzę – dorzucił.

– Do zobaczenia! – Uścisnęli sobie dłonie i Beniamin wyszedł, a Filip poprosił kelnerkę o jeszcze jedno piwo.

Był szczęśliwy i miał wrażenie, że wielki kamień, który leżał mu od lat na piersi, w końcu spadł i rozbił się w pył. I dopiero w tej chwili, gdy się go pozbył, poczuł, jak bardzo był ciężki.

Po powrocie do stryjów przy późnej kolacji rozmawiali długo i szczerze. Idąc spać do swojego starego pokoju, Filip czuł się dziwnie na swoim miejscu. Zасыpiając, myślał zaś o tym, co

przyniesie mu jutro i czy ma prawo tak bardzo naginać wszystkie zasady, których do tej pory uporczywie się trzymał.

Świt przyniósł Filipowi nowe siły...

Świt przyniósł Filipowi nowe siły na trudny dzień. Poranna przebieżka, która była jego codziennym rytuałem, ułożyła mu myśli i założenia w jasny schemat. Na komendzie czekał już Robert z mocno podkrążonymi oczami i poszarzałą twarzą.

– Dzień dobry panom – przywitał się Filip z policjantami. Widać było na pierwszy rzut oka, że ma wyśmienity humor.

– Dzień dobry. – Usłyszał w odpowiedzi.

– Poproszę panów o kawę, później muszę z każdym z was porozmawiać na osobności, da się zrobić, panie komendancie? – zwrócił się do Roberta.

– Tak, oczywiście udostępnię swój gabinet... – Takiego obrotu spraw komendant się nie spodziewał.

– No to może na początek zaczniemy od pana, dobrze, Robercie? Jak to na roboczej wizycie... – rzucił Filip i energicznie zatarł ręce.

– Tak, tak zapraszam... – Robert otworzył drzwi do gabinetu i puścił Filipa przodem.

Miał raczej zły nastrój i niespecjalnie widział jakiegokolwiek dobre rozwiązanie zaistniałej sytuacji. Było źle. Wieczorem w akcie desperacji zadzwonił do starego kumpla ze szkoły policyjnej, chcąc go podpytać o Filipa. Tak naprawdę to szukał pomocy w pozbyciu się tego natręta, ale Kazimierz pozbawił go złudzeń. Filip był nie do ruszenia. Pomijając fakt, że był wyśmienitym oficerem, to jeszcze przyjaźnił z kilkoma ważnymi ludźmi, takimi, co to nie muszą nawet wydawać rozkazów. Wystarczy tylko, że wyrażą życzenie. Co więcej, Filip Duńczyk był absolutnie nieprzekupny i sprawiedliwy. Kazimierz zapytał w końcu, o co dokładnie chodzi, ale Robert oględnie odpowiedział, że to dawny kolega i że się cieszy na jego wizytę... Nawet on słyszał w tym jakąś nieszczerość, ale każdy ma prawo do sekretów. Pożegnali się serdecznie i Robert bezsennie oczekiwał poranka. Teraz, siedząc razem ze swoją nemezis w osobie przybysza z Warszawy, nie wiedział, co będzie dalej.

Filip wpatrywał się w niego intensywnie niebieskimi oczami. Milczał, aż na stoliku pojawiła się kawa, o którą prosił... Dopiero wtedy zaczął mówić.

– Robert, nie mam w zasadzie zastrzeżeń co do twojej pracy i do tego, jak funkcjonuje komenda. Ogólnie, bo sam wiesz, jaka sprawa leży mi na wątrobie...

– Filip, ja naprawdę nie wiedziałem, znaczy nie o wszystkim...

– Daj mi dokończyć. Słuchaj, nie byliśmy przyjaciółmi, byłeś kawał wała, i to bezdyskusyjna prawda, ale może dzięki temu trzymasz ten posterunek twardą ręką. Jednak nasze relacje i twoje grzeszki z naszego dzieciństwa wiszą mi niskim kalafiorem. Było, minęło. Co jednak zrobisz z tą sprawą? Bo coś zrobić musisz.

– A co mam zrobić?

– Przede wszystkim zajmij się swoimi dziećmi, bo następnym razem na obitych mordach się nie skończy. To ci mogę zagwarantować... – Filip spojrział na Roberta i dostrzegł w jego oczach tę odrobinę nadziei, której się spodziewał.

Wiedział, że zapędzone w kąt dzikie zwierzę, gdy zobaczy, że nie ma drogi ucieczki, będzie walczyło znacznie zacieklej niż wtedy, kiedy pozwoli mu się uciec. On zamierzał dać Robertowi tę szansę.

– Dopilnuję ich, to ci obiecuję...

– Dobrze, ale to nie wszystko. Przez cały rok mają Helence grabić liście, sprzątać chodnik, odśnieżać i tak ogólnie ogarniać. Będę tu zaglądał, więc będę to widział. Mają ją przeprosić, a ty masz jej ogarnąć na przeprosiny ogródek, tak żeby miała jak u Monty’ego Dona. Nie musisz tego robić sam, nie wiem, może weź kogoś zatrudnij, ale ma być szczęśliwa i zadowolona. – Filip obserwował zaciskające się szczęki Roberta. – Pamiętaj, że to od niej zależy, czy złożysz doniesienie o napad, i to nie jeden, jak pewnie wiesz...

– No jak to „nie jeden”? – Robert wydawał się autentycznie zaskoczony. – Słowo ci daję, że o niczym takim wcześniej nie słyszałem.

– A nie widziałeś jej ręki na temblaku?

– Stara jest, może się przewróciła czy coś...

– Tak, przewróciła, bo ktoś jakiś czas temu potrącił ją, jadąc na hulajnodze elektrycznej, a myślę, że nie chcesz, abym szukał

winnego.

– Nie, raczej nie, sam go znajdę... – mruknął Robert. Nie lubił Helenki, ale jeszcze bardziej nie cierpiał znajdować się w takiej niekomfortowej sytuacji.

– No to wiemy, na czym stoimy, ale czy możemy, drogi komendancie, wspomóc was jakimiś działaniami z góry? – Filip gładko przeszedł do oficjalnej części rozmowy.

Później porozmawiał z policjantami, problem Helenki i synów komendanta w tych rozmowach już się nie pojawił. Wychodząc z komendy, zajrzał jeszcze do Roberta. Ten oderwał się od pracy i z tłumioną niechęcią spojrzął na stojącego w drzwiach gabinetu Filipa.

– To jesteśmy dogadani, Robert?

– Tak. I Filip, dzięki... – Widać było, że te słowa przechodzą komendantowi przed gardło z trudem.

– Nie ma za co, dopilnuj tylko wszystkiego... Pamiętaj, w Polsce nie ma szeryfów... – odpowiedział Filip i zamknął za sobą drzwi.

Wychodząc z komendy, uśmiechnął się do siebie, bo zdał sobie sprawę, jak wyglądało to z punktu widzenia Roberta i jak bardzo byłby zdziwiony, gdyby wiedział, że chociaż decyzja o pozostawieniu go na stanowisku i niewszczynaniu śledztwa wewnętrznego zależała od Filipa, to jednak autoryzowana była przez samego ministra. Zasady są zasadami, pomyślał Filip i zadzwonił pod ten sam numer, pod który dzwonił wczoraj zdesperowany Robert.

– Cześć, Filip, jak poszło? – Usłyszał w słuchawce.

– Cześć, Kazimierz. Dobrze, chyba... Komenda jest okej, Robert też daje radę, tylko te gnojki to jego słaby punkt. Szkoda by było chłopaków i jego w sumie też, bo jak trzeba, to umie dopilnować porządku. Myślę jednak, że zostawienie go było dobrym wyjściem. Teraz będzie się starał, a chłopcy nie mają za co się mścić, bo gdybyśmy usunęli ich ojca ze stanowiska... No, mogłoby być różnie. Więc jeszcze raz dziękuję ci za radę.

– To ja dziękuję, że zgodziłeś się to przemyśleć. Może nie jest najlepszym ojcem, ale to niezły glina i szkoda by go było...

– Tak, zgadzam się. Znikam, czekają mnie jeszcze dwie, chyba trudniejsze rozmowy. – Filip pomyślał o Beniaminie i Antonim, których zamierzał poprosić o milczenie w sprawie wczorajszego zajścia.

– Cześć, Filip, i do zobaczenia!

– Do zobaczenia! – pożegnał się Duńczyk i zakończył rozmowę.

Spotkanie z Antonim było krótkie...

Spotkanie z Antonim było krótkie. Filip w kilku słowach opowiedział mu o układzie, jaki zawarł z Robertem, i wyjaśnił, dlaczego nie chcą zrobić z tą sprawą nic więcej. Facet był rozsądny, wiedział, co znaczy pracować z ludźmi, i zgodził się zapomnieć o całej historii. Przynajmniej tak długo, jak długo komendant też będzie się trzymał ustalonych założeń.

Nieco trudniej było z Beniaminem, ale i on ostatecznie zgodził się na propozycję Filipa. Zobowiązał się też, że spojrzy uważniej na to, co dzieje się u Helenki. Pożegnali się, obiecując sobie rychło znowu się spotkać. I co dziwne, obaj mieli na to nadzieję.

Henryk nie był w najlepszym nastroju...

Henryk nie był w najlepszym nastroju. Wszystko szło nie tak, jak powinno. W hotelu był jakiś przestój i pomimo tego, że umowa została już podpisana, nadal nie dojechały niezbędne materiały. Wkurzało go to niezmiernie, bo ludzie czekali w gotowości, ale nie mogli pracować, a on musiał im płacić. To już było dostatecznie irytujące, jednak jakby tego było mało, to od kilku dni smarkacz nie zjawiał się w przedszkolu. Henryk próbował o niego podpytywać, ale w porę zauważył, że budzi zaniepokojenie i nieufność, więc ograniczył się tylko do tego, że przychodził rano i obserwował, czy przypadkiem małego ktoś nie przyprowadzi. Ze dwa razy zaczął jakieś dzieciaki, które bawiły się na placu zabaw. Raz kompletnie nie trafił, bo pulpetowata dziewczynka nie dość, że nie wiedziała, o kogo on pyta, to jeszcze wystraszyła się go śmiertelnie i pognęła z jęzorem do pani, która na szczęście Henryka była w drugim końcu podwórka i zanim przyszła zaalarmowana przez małą skarżypytę, on zdążył się bezpiecznie ewakuować. Drugi raz miał więcej szczęścia, bo zapytany o Frania chłopczyk okazał się jego kolegą z tej samej grupy, ale wiedział tylko tyle, że Frania nie ma.

Też mi nowina, sarknęła w duchu Henryk. Tyle to sam zdążył zauważyć. Że go nie ma. Tak samo jak dzień później i dziś również. Pod dom Stelli bał się już zaglądać, bo po pierwsze nieustająco kręcił się tam ten wścibski babsztyl, a poza tym wolał unikać spotkania z psem. To było zbyt ryzykowne.

Cholera, a miało być tak prosto, myślał, wracając do pensjonatu. Intratne zlecenie, a przy okazji przypomnienie tej kłamliwej suce, że jego się tak łatwo nie robi w konia! I że nigdy nie będzie znała dnia ani godziny! Okłamała go! Mimo że przecież jej zakomunikował, że sobie tego nie życzy, jednak urodziła tego bachora! Ale skoro już zrobiła taką głupotę, skoro tak bezczelnie i idiotycznie mu się przeciwstawiła, to powinna go o tym poinformować! W końcu miał

wnuka! I zamierzał go użyć, żeby zatruć życie tej krowie, która chciała złapać go na brzuch!

Wszedł do pensjonatu i ulżył sobie, z całych sił trzaskając drzwiami, a przy okazji przestraszył tę głupkowatą recepcjonistkę, która aż podskoczyła. Na ten widok Henrykowi odrobinę poprawił się humor.

– O, dzień dobry panu. – Dziewczyna, widząc go w korytarzu, błyskawicznie przybrała profesjonalną i obojętną minę.

Trzeba jej było przyznać, że była dobra. Potrafiła błyskawicznie się opanować i trudno ją było wyprowadzić z równowagi. Właściwie to jeszcze ani razu mu się to nie udało, choć próbował już kilka razy.

– Dla kogo dobry, dla tego dobry – mruknął i obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

Miała niezłą figurę, taką całkiem apetyczną... Nie tak pociągającą, jak właścicielka hotelu, Aldona, która z niewiadomych przyczyn nie zwracała na niego uwagi, choć przecież dawał jej do zrozumienia, że mogliby spędzić miło czas, ale też całkiem niezłą...

Nieświadoma jego myśli Paulinka wychyliła się zza kontuaru, demonstrując całkiem okazały dekolt.

Henrykowi zaświeciły się oczy.

– Dobrze, że pana widzę. – Dziewczyna uśmiechnęła się jeszcze szerzej, a Henryk pomyślał, że może to jest dobry moment, żeby jednak trochę poprawić sobie humor.

Piwo, które przed momentem wypił, nie wystarczyło, ale szybki seks... To zawsze działało. Przywołał na twarz jeden ze swoich najbardziej czarujących uśmiechów i podszedł sprężystym krokiem do recepcji.

– Stęskniła się pani? – zapytał miękko, tak bardzo lubianym przez kobiety tonem. – Bo ja dziś wprost nie mogłem przestać o pani myśleć...

– A co, w pokoju coś nie w porządku? Coś cieknie? Nie działa? – Paulinka przybrała tępowy wyraz twarzy i uchyliła gapiowato usta.

Naprawdę tylko tego brakowało, żeby ten stary cap zaczął skutecznie tu jakieś końskie zaloty.

– Nie, nie w pokoju wszystko w porządku. – Henryk sprawiał wrażenie trochę zbitego z tropu, a Paulinka w duchu zaśmiała się z satysfakcją.

– A to świetnie, bo tak to bym musiała jeszcze pana zatrzymać, a ja dla pana mam wiadomość. Był tu ktoś z hotelu i prosił, żeby panu przekazać, że będzie czekał na pana w Jeździe Bez Trzymanki między dziewiętnastą a dwudziestą...

– Ktoś z hotelu? A skąd niby ten ktoś wiedział, że ja będę mógł przyjść? – Henryk zmarszczył brwi. – I dlaczego do mnie nie zadzwonił?

– Bo to chyba ma być jakaś niespodzianka... A pan zawsze wraca koło dziewiętnastej do pensjonatu, to podpowiedziałam... – zająknęła się.

– Aaa, niespodzianka – ożywił się Henryk. Czyżby właścicielka Aldonka poszła po rozum do głowy, przemknęło mu przez myśl. A jednak! W głębi ducha wiedział, że nadal ma to coś i że żadna mu się nie oprze. Uśmiechnął się i niemal w ostatniej chwili powstrzymał przed zatarciem rąk. Po złym humorze nie został nawet ślad. – A czy to ma związek z kobietą? – Puścił porozumiewawczo oko do Paulinki.

– Cóż, tyle akurat mogę powiedzieć, bo chociaż nie znam szczegółów, to to akurat wiem. Ma pan rację, będzie kobieta i będzie gorąco – dorzuciła, zanim ugryzła się w język.

– Cudownie! – Henryk na całe szczęście w tej chwili stracił dla niej całe zainteresowanie.

Obrócił się na pięcie i stanął przed znajdującym się w recepcji lustrem. Przygładził włosy, poprawił szalik i zapiął płaszcz.

– No! – mruknął z zadowoleniem. – To dziś wrócę raczej późno – uśmiechnął się do siebie, przesuwając językiem po dolnej wardze, a Paulinka na ten widok wzdrygnęła się ze wstrętem.

– Ohyda! – powiedziała, gdy tylko za Henrykiem zamknęły się drzwi. – Jak w ogóle mogło mi się wydawać, że on jest przystojny!?

– Podeszła do okna i lekko odchyliła firankę, żeby zerknąć za oddalającą się męską sylwetką. – Cóż, bratku, coś mi się wydaje, że wrócisz wcześniej niż później – dodała jeszcze i pomyślała, że w sumie powiedziała Henrykowi prawdę. To miała być

niespodzianka, tyle że z tego, co zrozumiała, niezbyt miła, ale cóż, kto powiedział, że będzie lekko? Kobieta, a nawet dwie, które odgrywały w tym przedstawieniu główne role, na pewno sprawią, że atmosfera podgrzeje się wprost nie do wytrzymania.

W sumie to wszystko jest kwestią interpretacji, zaśmiała się pod nosem i sięgnęła po telefon. Znalazła na liście kontaktów interesujące ją nazwisko i nacisnęła zieloną słuchawkę.

– Idzie – oznajmiła, zniżając głos, i rozłączyła się natychmiast, tak jak to było umówione.

A potem postawiła na parapecie dwa kubki i wsypała do nich aromatyczną mieszankę herbacianą. Tę, za którą przepadał jej Piotruś, który miał się tutaj zjawić lada moment.

Henryk wpadł do Jazdy Bez Trzymanki...

Henryk wpadł do Jazdy Bez Trzymanki podekscytowany i w wyśmienitym nastroju. Rozejrzył się po zatłoczonym wnętrzu i dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że nie wie, kogo ma wypatrywać.

Wprawdzie był prawie pewien, że to tajemnicze i działające na zmysły zaproszenie pochodziło od Aldony, ale jednocześnie nie chciał zrobić z siebie kretyna, gdyby okazało się, że jednak się pomylił. Podszedł do baru, dziś za kontuarem było dwóch mężczyzn. Jednego z nich Henryk kojarzył ze swoich poprzednich wizyt; był tu dość częstym gościem, a drugiego widział pierwszy raz. Chyba jakiś nowy... Chyba uczeń, biorąc pod uwagę, że tylko przyglądał się pracy starego barmana.

– Dzień dobry, Henryk Wiśniewski, ktoś tu na mnie ma czekać...

– A tak, zaprowadzę pana. – Zerwał się ten nowy.

– Staszek, pamiętasz? Ostatnia sala. – Ten, którego Henryk już kojarzył, popatrzył na niego jakoś tak dziwnie.

Cóż może mu zazdrości. Aldona jest naprawdę, no, naprawdę... Henryk głośno przełknął ślinę. No, po prostu kociczka! Aż miło było pomyśleć, jak będzie można ją ujarzmić.

Zajęty smakowitymi myślami nawet nie zauważył, kiedy wszedł do ostatniej salki. Tym bardziej że widok przesłaniały mu szerokie plecy prowadzącego go mężczyzny.

A gdy ten się odsunął, Henryka zatkało. Zrobił krok w tył, ale było już za późno. Drzwi się zamknęły, a koło nich stał ten facet, który go tu przyprowadził, i jeszcze jakiś inny, o wyglądzie niezachęcającym do jakichkolwiek konwersacji. Wielki, zwalisty łysol.

Przy bocznym stoliku siedziało kolejnych czterech. Może nie tak pokaźnej postury jak łysy, ale też nie ułomków. Widać było, że siłka i dresy to ich życie.

A przy ustawionym najdalej, wciśniętym w uroczy, intymny kącik stoliku siedziały one. Te, które go tu podstępnie zwabiły. Te, które, jak mu się wydawało, nic nie wiedzą o jego bytności w miasteczku. Bo niby skąd miały wiedzieć? A poza tym, do chuja pana, były starsze niż dinozaury i skoro jeszcze jakimś cudem nie wymarły, to powinny mieć na tyle przyzwoitości, żeby o nim nie pamiętać! Żeby w ogóle nic nie pamiętać. Ale cóż, jak było widać na załączonym obrazku, siostry Kazimierczakówny z przyzwoitością, przynajmniej taką, o jakiej myślał Henryk, nie miały nic wspólnego. Siedziały przy stoliku w obstawie tych wszystkich bandziorów i patrzyły na niego z politowaniem i obrzydzeniem. I z wyższością.

Henryk jeszcze raz rozejrzał się dookoła i zrozumiał, że nic nie jest w stanie zrobić. Był w pułapce. I nie miał wyjścia. Przy stoliku, przy którym siedziały siostry, stało jeszcze jedno, puste krzesło. Sugestywnie odsunięte, oczekujące.

I Henryk, chcąc nie chcąc, podszedł do niego i usiadł.

– Co, do ciężkiego chu... – zaczął, ale zamilkł w pół słowa w momencie, gdy ta starsza, ta, której nienawidził całym sercem i której unikał od momentu, gdy tu przyjechał, przesunęła w jego stronę plik kartek, które do tej pory leżały przed nią.

Wystarczyło jedno wnikliwe spojrzenie, żeby Henryk zrozumiał. To nie były kartki, tylko powiększone, bardzo wyraźne i profesjonalnie zrobione zdjęcia. Przedstawiające jego samego. Stojącego pod przedszkolem, zagadującego do tej cholernej pulpetowatej! Nie miał pojęcia, co go podkusiło, żeby jeszcze raz ją zaczepić! Na jednym tak wyciągał rękę, że wyglądało to, jakby chciał któregoś z tych bachorów złapać.

– Dzień dobry, Henryku. – W końcu ta druga przerwała ciszę. – Nie chce nam się z tobą za długo gadać, bo za mało czasu nam zostało, wiadomo, latka lecą, i nie lubimy strzepić języka po próżnicy...

– Wszyscy wiemy, że przyjechałeś nie tylko do pracy, ale też masz coś do Stelli.

– I do Franka – wtrąciła ta druga. – A my mamy dowody, że coś jest z tobą nie w porządku. Widzisz, jak wyglądają te zdjęcia?

Wystarczy, że trafią do internetu, prasy... Wiesz, co się zacznie i czym skończy?

– To jest cholerna manipulacja! – Henryk w końcu odzyskał głos i już się poderwał, a nawet miał zamiar trzasnąć pięścią w stół, ale w tym samym momencie jego zapał ostudził gwałtowny rumor odsuwanych krzeseł. Obejrzał się i zobaczył, że byczki przy sąsiednim stoliku wstały i nie odrywają od niego oczu.

– Spokojnie, Heniu, po co denerwować chłopców. – Ta, jak jej tam było, chyba Alina, spojrzała na niego zmrużonymi oczami. – To są koledzy naszych rodzinnych wnuków. Swoich własnych wprawdzie nie mamy, ale od czego jest duża familia... Początkowo miałyśmy przyjść z braćmi, ale potem pomyślałyśmy, że młodzieży też się coś od życia należy. Niech się trochę chłopcy rozerwą, a przy okazji może życia trochę się nauczą. Bo warto sobie zapamiętać, że bycie kanalią to duże ryzyko – zakończyła.

– Czego chcecie? – Wściekły i bezsilny Henryk opadł z powrotem na krzesło i jeszcze raz spojrzał na zdjęcia.

Owszem, były zmanipulowane, ale jednocześnie prawdziwe i przywodzące na myśl jedno. W tym momencie zrozumiał, że jeżeli siostry spełniłyby swoją groźbę, on się z tego nie wywinie. Zjedzą go, przypną mu łątkę zboczeńca. Zniszczą mu życie.

– Tak naprawdę to ty wiesz, co masz zrobić. Prawda, Misiu, że wie? Widać to po oczach – zwróciła się do swojej siostry Alina.

– Widać, widać – przytaknęła tamta i beztrąsko uśmiechnęła się do siedzących przy sąsiednim stoliku drabów.

– Dobrze, wygrałyście, nie tknę tego bachora, zapomnę o jego istnieniu...

– O nie, bratku, za łatwo by ci poszło, a poza tym my takim jak ty nie wierzymy – przerwała mu Alina. – Ty teraz wrócisz do pensjonatu, spakujesz się i wyjedziesz.

– Przecież ja mam podpisany kontrakt, pracę, ludzi, którzy bez tego nie będą mieli roboty!

– Ależ my nie każemy ci z tego rezygnować... Znajdź zarządcę, niech ktoś pilnuje interesu, masz dużą firmę, wiemy, że wielokrotnie przyjmowałaś kilka zleceń naraz i wtedy też nie mogłaś się rozdwoić ani roztroić. Zdajemy sobie z tego wszystkiego sprawę. Wiemy –

powiedziała dobitnie. – Internet jest bardzo przydatny, dokumentuje sukcesy, pomaga w zdobywaniu zaufania i klientów, ale też daje możliwość bardzo dokładnego zapoznania się z czyimś życiem... Ale tego to my ci tutaj nie musimy za mocno tłumaczyć, bo sam z tych możliwości korzystasz, prawda? Gizela, Stella, Franio. Dużo można się dowiedzieć, nie ruszając się z fotela, co?

– Niech on już nie odpowiada, błagam! – wtrąciła się Misia. – Kończ, waść, wstydu oszczędź – dorzuciła, upijając z gracją łyżeczek piwa, które zamigotało bursztynowymi refleksami.

– Wy to naprawdę zrobicie. – Do Henryka dotarło to w tej chwili z całą jasnością.

– Bez mrugnięcia okiem. A to i tak za mało, biorąc pod uwagę, co zrobiłeś kiedyś. W kodeksie Kazimierczaków nie ma mowy o przedawnieniu – powiedziała zwięźle Alina.

– A jaką mam gwarancję, że jeżeli to zrobię, i tak nie użyjecie tych zdjęć? – zapytał, choć i tak znał odpowiedź.

– Nie masz. – Usłyszał dokładnie to, czego się spodziewał.

– Ale możesz mieć nadzieję – dorzuciła Misia, a Henryk pomyślał, że gdyby tylko mógł, chętnie by ją zdzielił tym jej prawie pełnym kuflem w głowę.

– To co, jutro cię tu nie ma, tak? – Alina zacięła usta w wąską kreskę i wymownie przesunęła szczupłymi palcami po zdjęciach.

– Dobrze, nie mam wyboru... I módlcie się, żebym nigdy go nie miał – powiedział, gotując się z wściekłości. – Oczywiście tych zdjęć mi nie dacie...

– Oczywiście, że nie, zresztą to tylko odbitki. A poza tym skoro była mowa o modlitwach, to ja na twoim miejscu modliłabym się, żeby już nigdy nie przyszło ci do głowy coś tak głupiego, że ten swój wybór masz! Bo jak widzisz, nas jest dużo. – Obrzuciła spojrzeniem salę. – I nigdy, przenigdy nie pozwalamy krzywdzić tych, na których nam zależy... Ot, taka specyfika dużych rodzin i malutkich miasteczek... – dorzuciła i razem z Misią już w milczeniu patrzyły, jak Henryk wstaje i idzie do wyjścia.

Skinęły lekko głowami, na co chłopcy bez słowa otworzyli drzwi i odsunęli się z przejścia.

– Dziękujemy wam bardzo – powiedziała Misia, gdy tylko Henryk zniknął im z oczu.

– Nie ma sprawy, ciociu – uśmiechnął się ten, który przyprowadził Henryczka do sali. – To może teraz, skoro już załatwiliśmy co trzeba, pokażecie nam, co było na tych zdjęciach?

– Niestety, to jest coś, czego nie powinniście oglądać. Zasada konspiracji: im mniej wiesz, tym lepiej. – Alina schowała wydrukowany plik do pokaznej torby przewieszanej przez krzesło. – A teraz możecie zamówić sobie, co tam chcecie, na nasz koszt – dorzuciła i z sympatią spojrzała na mężczyznę. – Cóż, chciałam im nawet zaproponować kolejeczkę, ale jakoś tak pomyślałam, że nie wypada rozpijać młodzieży – powiedziała do Misi, gdy salka opustoszała.

– Alina, z nich jest taka młodzież, jak z nas panny na wydaniu – uświadomiła jej z pobłażliwym uśmiechem siostra. – Przecież to chłopcy jak dęby, wszyscy po trzydziestce.

– No i dlatego z mojego punktu widzenia to smarkateria – roześmiała się starsza ze starszych sióstr. – A zmieniając temat, to myślisz, że nam się udało? – zapytała, poważniejąc.

– Udało. To jest tchórz pospolitus. A poza tym nie dałyśmy mu wyboru – mruknęła Misia. – Tyle tylko, że mam jakiś niedosyt i poczucie, że za łatwo się wywinął. Może jednak popełniłyśmy błąd i powinniśmy wykorzystać te zdjęcia...?

– Oszalałaś? Fakt. To jest bydlę i psychopata. On wtedy Gizełę niemal zabił... I ma na jej punkcie jakąś obsesję... Ale, na litość wszystkiego, nie jest pedofilem. Nie można nikomu zrobić czegoś takiego...

– No niestety, muszę przyznać ci rację – zgodziła się Misia niechętnie. – Ale myślisz, że dobrze zrobiliśmy, nie wykurzając ich obu? Tego jego syna, czy tam brata, zostawiłyśmy w spokoju i nie wiem, czy to było właściwe. Bo skoro była okazja...

– Ale tamten nie wydaje się niczemu winny. Nigdy nie popierałam zasady odpowiedzialności zbiorowej. Nie można go źle oceniać wyłącznie dlatego, że miał pecha i jest spokrewniony z tym szmondakiem! Chyba biedak znalazł się w tym wszystkim przypadkiem. Przecież z tego, co wiemy, cały czas spędza w pracy,

ludzie, których zatrudnia, mówią o nim z szacunkiem... No i dba o Helenkę, chociaż nie bardzo wiem, skąd on ją, u licha, w ogóle zna. Coś ostatnio nie jesteśmy na bieżąco ze sprawami miasteczka i chyba czas to zmienić. – Alina wyprostowała się i wygładziła obrus.

– Co chcesz, nie można mieć wszystkiego. Byłyśmy zajęte pracą wywiadowczą i organizowaniem akcji – zauważyła trzeźwo Misia. – I myślę, że zasłużyliśmy na kieliszeczek wiśnióweczki...

– A nawet dwa – przytaknęła Alina. – A jak wrócimy do domu, to przypomnij mi, żebyś spaliła te zdjęcia, by przypadkiem nie wpadły w żadne niepowołane ręce...

– No właśnie, a Dareczka jak przekonałaś, żeby je zrobił, nie wyciągając jednocześnie pochopnych wniosków?

– Zwyczajnie. Powiedziałam mu prawdę... Tylko taką trochę zmodyfikowaną. Że gościa trzeba przestraszyć. I że on pod tym przedszkolem wystaje w nie najlepszych zamiarach, ale jednocześnie nie takich, żeby od razu niszczyć mu życie. Potem użyłam słów „szantaż” i „groźby”, a wiesz, że z takimi sprawami Dareczek nie chce mieć nic wspólnego. Ale jednocześnie nie mógł mi odmówić, bo nam się przecież nie odmawia – zaśmiała się.

– Dobrze mieć pozycję lidera, co? – zachichotała do wtóru Misia.

– I majątek do przepisania. Niesamowite, jak to zawsze zacieśnia więzy rodzinne – dorzuciła Alina kpiąco.

– Bez przesady, to nie jest najważniejsze...

– Ale na pewno pomocne i swoje robi. – Alina nie dała się zbić z pantałyku.

– A niech ci będzie. Ja tam wolę myśleć, że to z dobroci serca... To co, wiśnióweczka?

– Wiśnióweczka. Po dobrej robocie zwyczajnie należy się nagroda – mówiąc to, Alina skinęła na kelnera.

Tego wieczoru siostry wróciły do domu późno i niczego nie żałowały. A wiśniówka szumiała im w głowach zupełnie jak za czasów ich młodości.

Antoni patrzył oszołomiony...

Antoni patrzył oszołomiony na poczynania Henryka, który w jego oczach zachowywał się irracjonalnie i kompletnie niezrozumiale. Miotał się po pokoju, klął, kopał Bogu ducha winną walizkę i jednocześnie wrzucał do niej ubrania.

– Czy możesz mi wyjaśnić, co ty, do diabła, wyprawiasz? – Antoni po raz któryś z rzędu usiłował dowiedzieć się, co tu właściwie się odbywa.

– Nie widzisz? Pakuję się! Wyjeżdżam! Kurwa, czego tu można nie rozumieć? – Henryk poczerwieniał, jakby dostał ataku apopleksji.

– Ale jak wyjeżdżasz? Jutro przyjeżdżają materiały. Ściągnąłeś dodatkowych ludzi. Jak ty to widzisz?

– Kurwa, nijak – ryknął Henryk, ale w tym momencie zdał sobie sprawę, że natychmiast musi się opanować.

Choć prawdę mówiąc, jeżeli mógłby zrobić to, czego najbardziej pragnął, to najpierw walnąłby Antoniego prosto pomiędzy te nic nierozumiejące niewinne oczęta, a potem pognałby do recepcji, rozwaliłby ją w drobny mak, stłukł tę całą głupią Paulinkę na kwaśne jabłko, a następnie jeszcze podpalił to całe pieprzone miasteczko, które najwyraźniej przynosiło mu pecha. Zrównałby je z ziemią!

Ale niestety nie mógł sobie pozwolić nawet na spełnienie choć jednego ze swoich marzeń. Nie miał złudzeń. Antoniego potrzebował, i to bardzo, i choćby tylko z tego względu powinien się jak najszybciej opanować i sprawić, żeby tamten chciał mu pomóc. Paulinki nie mógł ruszyć, bo nie miał wątpliwości, że wtedy te piekielne staruchy również wykorzystają zdjęcia.

Było jasne, że przez nie jest w Kotkowie skończony i szczerze mówiąc, nigdy nie zamierza tu wracać. Ale teraz trzeba wziąć się w garść i uratować co się da, pomyślał i kilka razy głęboko westchnął.

– Przepraszam – mruknął, przysiadając na łóżku. – Zdenerwowałem się, zresztą znasz mnie nie od dziś i wiesz, że u mnie wszystko, co w środku, to i na wierzchu. Muszę wracać do domu, posypały mi się prywatne sprawy. Bardzo mocno. Nie mam wyboru. Tak więc muszę cię prosić, żebyś przez moment zajął się moimi ludźmi i tym całym bałaganem, który tu zostawiam. Tylko na kilka dni, siedem, może dziesięć. Jak najszybciej ściągnę tu... no, kogoś, kto to ogarnie zamiast mnie. Dasz radę przypilnować przez ten czas moich interesów?

– Myślę, że tak. – Antoni zmarszczył brwi. – Ale ty tak na stałe? Nie wrócisz tu?

– Nie wrócę – mówiąc to, Henryk niemal zazgrzytał zębami.

Nigdy więcej, dodał w myślach. Miejsca, które przynoszą pecha, trzeba omijać z daleka.

O tym, że po prostu nie będzie miał odwagi na powrót, nie zamierzał ani myśleć, ani tym bardziej komukolwiek mówić.

Stella wróciła do Kotkowa...

Stella wróciła do Kotkowa zaraz po tym, jak wyjechał Henryk.

– Słuchaj, mogę ci powiedzieć, jak do tego doszło, ale moim zdaniem, jeżeli nie będziesz znać szczegółów, tym lepiej dla ciebie – powiedziała jej mama po tym, jak oznajmiła, że Henryk zniknął z miasteczka i nigdy już tam się nie pojawi. – Najważniejsze, że siostry załatwiły sprawę raz a dobrze – dodała.

W końcu Stella przewyciężyła ciekawość i postanowiła nie dopytywać.

I tak oto wracała do domu z zupełnie czystą kartą. Od Beniamina i Antka – ten drugi dzwonił do niej co wieczór – wiedziała, że sprawa Helenki też została wyjaśniona i wszystko wskazuje na to, że nikt już nie będzie jej zaczepiał. W końcu dbał o to sam komendant policji. Dodatkowo okazało się, że w tej całej akcji swój udział miał ich dawny przyjaciel, Filip Duńczyk.

– I ja nie wiem, siostra, co robić – zwierzył jej się Benjamin. – Kojarzysz, jak było z nim i z Julką... A teraz on się pojawił. Ale nie wiadomo, czy tylko na chwilę, czy na dłużej. Mówi, że będzie wracać, ale grom go tam wie... Zobaczę, jak uwierzę. A poza tym to było tak dawno temu. Skąd mam wiedzieć, czy Julka w ogóle chce o nim słyszeć, czy go pamięta?

– Pamiętać to go pamięta, na pewno. Od czasu do czasu ta pamięć nadal ją boli...

– No właśnie. Mówić jej czy nie?

– Ja bym nie mówiła – poradziła mu Stella. – Skoro wrócił, niech sam po sobie posprząta.

I z tego, co wiedziała, Benjamin jej posłuchał.

Natomiast jej prześladowca Henryk zniknął i w końcu nie musiała się bać, że nie będzie miała za co żyć. Wprawdzie nie miała jeszcze pojęcia, co zrobi z pieniędzmi od rodziców, ale tu pośpiech nie był wskazany. Zdawała sobie sprawę, że wprost przeciwnie, powinna dobrze rozważyć tak poważny krok, który prawdopodobnie będzie

w dużej mierze decydował o przyszłości zarówno jej, jak i Franka. Ale tak czy owak ta przyszłość rysowała się w naprawdę jasnych barwach. Stella momentami uważała, że aż w za jasnych.

Niedobrze, jak jest za dobrze, tłukło się jej po głowie, ale starała się te myśli spychać w głąb i nie dać im się opanować.

Jeszcze zanim wyleciała do Polski, zadzwoniła pod podany przez Beniamina numer, który – jak się okazało – należał do właściciela dworu, starszego pana, Wiktora. W rozmowie potwierdził, że dwór jest na sprzedaż, ale nie chciał podać ceny przez telefon.

– Niech pani najpierw przyjdzie i go obejrzy – powiedział, a słówko „go” wypowiedział w taki sposób, jakby mówił o kimś najbliższym. I Stella zrozumiała, że tak naprawdę nie chodzi o to, żeby ona obejrzała dwór, ale żeby Wiktor mógł obejrzeć ją.

Przemilczała więc to, że jest z Kotkowa i że park otaczający posiadłość zna jak własną kieszeń, a dom zawsze ją zachwycał, i umówiła się ze starszym panem na oględziny.

Poszła tam jeszcze tego samego dnia...

Poszła tam jeszcze tego samego dnia, w którym wróciła. Wzruszona stanęła przed starą, jak zawsze uchyloną bramą i pogładziła czule jej zdobione pręty. Aż ścisnęło ją w gardle na myśl, że może, może... Bała się nawet pomyśleć, że ten dom mógłby być jej, że ona mogłaby być dla niego. Weszła na teren posiadłości i spojrzała w głąb potężnej alei lipowej. Drzewa już się zazieleniły, lada moment całe otulą się szeleszczącą liściastą narzutką, opowiadającą szumiąco dawne dzieje. Tak samo zresztą jak cały park okryje się zieloną szatą, park, który pomimo zaniedbania dużo bardziej, niż pamiętała, nadal opromieniał ją swoim ogromnym urokiem. Bez trudu wyobrażała sobie, jak czarownie musiało być tutaj, gdy dbano o róże i rododendrony, gdy fontanny tryskały wodą, której krople mieniły się w słońcu tęczowo, gdy w czystych i zadbanych stawach odbijały się pochylone nad ich wodami srebrne topole i wierzby. Teraz było dużo gorzej. Połamane ławki, splątane zarośla, które kiedyś przycinane i pielęgnowane tworzyły zgrabne żywopłoty i szpalery. Widać było, że posiadłość potrzebuje czulej i troskliwej ręki, i z całą pewnością okazałego zastrzyku gotówki. Sam dwór majaczący na końcu alei wyglądał stąd tak samo dostojnie i pięknie jak kiedyś. I Stella miała wrażenie, że ucieszył się na jej widok. Powoli kroczyła w kierunku schodów prowadzących na taras. Tych samych, na których siadywała jako dziewczynka. Tam zresztą umówiła się z właścicielem. Ale jego jeszcze nie było.

Rozejrzała się wokół, a potem zerknęła na zegarek. Była wcześniej, do umówionej godziny zostało jeszcze kilka minut i korzystając z tego, przemknęła do głównego wejścia i odetchnęła z ulgą, widząc, że stary kamienny posąg psa nadal tam jest. Podeszła do niego i czule położyła na jego masywnym łbie rękę.

– Wróciłam – wyszeptała wprost do zimnego kamiennego ucha i w tym momencie tuż za plecami usłyszała chrząknięcie.

Odwróciła się speszona i zobaczyła, że tuż za nią, przyglądając jej się zupełnie otwarcie, stoi starszy pan.

No, to teraz zapewne weźmie mnie za wariatkę, pomyślała trochę speszona.

– Dzień dobry, byliśmy umówieni. – Odsunęła się od posągu i wyciągnęła do Wiktora rękę.

Trochę jakby czas się cofnął, pomyślała z rozrzewnieniem. Teraz powinien wyciągnąć pudełeczko ze słodyczami... Ale szkopał w tym, że ja go pamiętam, a on mnie nie, westchnęła w duchu.

– Dzień dobry, widzę, że radzi sobie pani całkiem nieźle. – Uścisnął jej dłoń i uśmiechnął się, a w tym uśmiechu była głównie sympatia.

– Bo my jesteśmy dobrymi znajomymi, ja i on. – Wskazała na psa. – To ja byłam jednym z tych nieznośnych dzieci, które łaziły po parku, uwielbiałam tu przychodzić – dorzuciła. – Od kiedy pamiętam, dwór był dla mnie czarodziejskim miejscem – powiedziała, odwracając głowę i patrząc z zachwytem na budynek, a potem przenosząc spojrzenie na otulające go drzewa. Pamiętam, jak przyszłam tu po raz pierwszy. – Stella wróciła wspomnieniami do dzieciństwa i nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak teraz wygląda, że na jej twarzy pojawia się dziwna miękka łagodność, a oczy nabierają ciepłego blasku.

Ale nic z tego nie umknęło starszemu panu, który znieruchomiał i bał się poruszyć, żeby tylko nie spłoszyć tej chwili, gdy czas zawracał. Z doświadczenia wiedział, że takie momenty zdarzają się niezwykle rzadko i są najcenniejsze, bo niepowtarzalne.

– A może to nie był pierwszy raz, tylko ja go tak zapamiętałam – mówiła dalej Stella. – To był początek zimy. I wtedy zdarzyło się coś, czego nigdy więcej nie widziałam. Spadł deszcz, a jednocześnie chwycił tak duży mróz, że woda z miejsca zamarzała. I cały świat zaczął przypominać baśń. A tutaj wszystko przystrojone było jakby mieniącymi się kryształami. Cała aleja lśniła, dom połyskiwał, jakby cały zrobiony był z masy perłowej. A dodatkowo deszcz zamienił się w śnieg i to szkło, ten błysk zostało otulone przez miękkie czapy... To musiało być późne zimowe popołudnie, bo stałam na schodach tarasowych, odwróciłam się i na końcu alei zobaczyłam zachodzące

słońce, które dodatkowo otulało to miejsce jakąś taką niezmierną, perłowoopalową poświatą... To jest jeden z piękniejszych widoków i jedno z moich cenniejszych wspomnień. – Potrząsnęła głową, wracając do rzeczywistości. – Przepraszam, mnie tutaj często to dopada, dobrze mi się tu myśli – uśmiechnęła się lekko zawstydzona. – Nie wiem dlaczego, ale zawsze gdy tu wchodziłam, miałam, a teraz po latach nadal mam wrażenie, że jestem tu bezpieczna. Tak jakby wszystko, co we mnie niepoukładane, a proszę mi wierzyć, że jest tego całkiem sporo, nagle znajdowało się na swoim miejscu, uspokojone i wyciszone...

– A to bardzo ciekawe, co pani mówi. – Wiktor uniósł brwi i spojrzał na nią spod oka. – Uspokojona i wyciszona... A teraz proszę spojrzeć w górę, nad drzwi – dodał nagle, zmieniając temat, a Stella odebrała to jako przywołanie do porządku.

Rzeczywiście popłynęła, sama nie wiedziała, co ją napadło, żeby opowiadać to wszystko obcemu, i z tego, co wiedziała i słyszała, dość ekscentrycznemu właścicielowi dworu. Obiecała sobie w duchu trzymać język i wspomnienia na wodzy i spojrzała w kierunku, który wskazywał jej starszy pan. Zobaczyła fragment, z którego najwidoczniej coś musiało odpaść, jakaś tablica albo coś, co było integralną częścią domu. Teraz w tym miejscu widoczna była wyrwa, trochę jak blizna, pozostałość po tym, co domowi odebrano.

– Tam kiedyś był pewien napis. Został niestety zdewastowany... Ale to historia nie na dziś – zaczął opowiadać Wiktor, a Stella pomyślała, że starszy pan ma dość specyficzne podejście do oprowadzania po budynku, który chce sprzedać, zostawiła jednak tę uwagę dla siebie. Tym bardziej że ona lubiła ten dom i była go ciekawa, i opowieści wszelkiej maści też zawsze ją fascynowały, a tu szykowałą się rzadka możliwość dowiedzenia się czegoś więcej o miejscu, które przecież było bliskie jej sercu. – W każdym razie – ciągnął Wiktor – ten napis był ważny dla całego domu, mówił o tym, co czuli jego piersi mieszkańcy, gdy tu się wprowadzili. Gdy wejdziemy do środka, proszę mi o tym przypomnieć, w bibliotece mam oprawioną rycinę przedstawiającą to wejście, pokażę ją pani – dodał, a potem podszedł do dużych dwuskrzydłowych drzwi i otworzył je jak gdyby nigdy nic.

Jakby nie zauważył, że Stelli w tym momencie zabrakło tchu w piersi, taka była wzruszona. Oto miało spełnić się jej wielkie marzenie, mogła obejrzeć dwór od środka. I oglądała urzeczona. Szła za starszym panem i patrzyła na wielkie okna, wysokie sufity, niektóre przyozdobione tylko żarówkami, inne pyszniące się wielkimi żyrandolami, przemierzała pokoje, w większości puste i zaniedbane, ale doskonale pamiętające czasy, gdy były dopieszczone i zamieszkane. W końcu dotarli do biblioteki, wypełnionej od góry do dołu ogromnymi regałami pełnymi książek. Stella stanęła pośrodku i objęła pokój zachwyconym wzrokiem.

– Mogłabym stąd nie wychodzić – wyrwało się jej z głębi serca. – Tu jest pięknie – powiedziała, mając na myśli cały dom.

Starszy pan uśmiechnął się pod wąsem z wyraźnym zadowoleniem, tak jakby pochwaliła kogoś mu najdroższego.

– Zgadzam się – powiedział krótko. – Ma pani rację, tu nadal jest pięknie, choć w niektórych miejscach trzeba użyć i serca i wyobraźni, żeby to dostrzec. A co do tej ryciny, którą chciałem pani pokazać, to jest tutaj. – Zdjął ze ściany obrazek przedstawiający wejście do domu.

Był na nim kamienny pies, wokół którego rosły kwiaty. Te same dwuskrzydłowe drzwi, a nad nimi piękny duży napis. Stella pochyliła się, ale niestety nie umiała go rozszyfrować.

– To chyba po łacinie – powiedziała po chwili, podnosząc głowę znad obrazka. – Ale na tym moja wiedza się kończy... Wprawdzie miałam łacinę w liceum, ale to było dawno, to po pierwsze, a po drugie, trochę wstyd, ale głównie z niej uciekaliśmy... Nie bardzo przepadaliliśmy za nauczycielką... Tak delikatnie rzecz ujmując – uśmiechnęła się.

– Łacina niestety wychodzi z mody... Ale na szczęście ja mogę pomóc. – Wiktor przysiadł na krześle o rzeźbionym oparciu i siedzisku obłożonym skórą. – Tu jest napisane: „Przystań Śpiących Wiatrów”. Dwór najpierw należał do czwórki rodzeństwa...

– Trzech siostr i brata – weszła mu w słowo Stella.

– Dokładnie... A skąd pani to wie? – Wiktor spojrział na nią zaskoczony.

– Cóż, tak jakoś mi się skojarzyło. – Machnęła ręką, usiłując ukryć podekscytowanie.

– To dość dziwne, bo wydawało mi się, że to taka nasza wewnętrzna rodzinna historia i raczej nigdzie nie była publikowana – mruknął starszy pan, popatrując na Stellę z coraz większym zainteresowaniem. – Dość nietypowa zresztą, bo wbrew ówczesnym zwyczajom naszych panien nie zmuszano do zamążpójścia... Zresztą było to powodem do plotek i skończyło się dość zaskakująco, bo panny okazały się tak interesujące i nietypowe, że w końcu wyszły za mąż nie tylko z miłości, ale zrobiły takie partie, że nikt w najśmielszych snach o tym nie marzył... Skąd pani o tym wiedziała?

– Nie wiedziałam – przyznała Stella. – Tylko skojarzyło mi się to z moim własnym rodzeństwem... Jest nas czworo i czasem tata się śmieje, że jesteśmy jak te wichry z czterech stron świata. Każde inne, ale równie temperamentne. I kto wie, może gdybyśmy zebrali się tutaj wszyscy razem, tobyśmy na ten moment, w tym domu, odetchnęli pełną piersią – uśmiechnęła się. – No dobrze, to skoro jesteśmy już niejako przy temacie... powie mi pan, jaka jest cena posiadłości?

– A to nie takie proste... – Starszy pan zaprosił ją gestem, by usiadła na drugim krześle. – Bo cena to jedno, a warunki specjalne to drugie... I od tych ostatnich chciałbym zacząć – zamilkł na moment. – Nikomu jeszcze ich nie zdradziłem i pani będzie pierwsza – dodał po chwili. – Wszyscy, którzy tu byli, oglądali teren i dom, traktując zarówno jeden, jak i drugi bezdusznie. Tu wytniemy, tu zburzymy, a tu przeszklimy... Jak tego słuchałem, czułem, że wszystko we mnie zamiera, i wiedziałem, że dokładnie to samo czuje mój dom. Jesteśmy ze sobą związani od tak dawna, że nie ma w tym nic dziwnego... – Wziął głęboki wdech. – Pani pierwsza podeszła do niego z sercem. I naprawdę go pani lubi. A to dużo więcej, niż mogli mi zaoferować pani poprzednicy... Ale ja sprzedam posiadłość tylko i wyłącznie temu, kto zgodzi się na to, żebym tu został aż do końca... – powiedział cicho. – Nie jestem już najmłodszy, pewnie za długo nie będę zajmował tu miejsca, ale jednocześnie nie wyobrażam sobie, żebym mógł żyć gdziekolwiek

indziej... Mam tu swoje pokoje, w tym tę bibliotekę, która oczywiście może być częścią wspólną... Ale ta część domu jest mi najbliższa i nie chcę jej opuszczać – powiedział.

– Dom jest bardzo duży, to chyba nie byłoby problemem – powiedziała Stella ostrożnie.

Rozumiała Wiktora doskonale. Nie opuszcza się takiego domu. Nie wtedy, gdy się go kocha i gdy on tę miłość odwzajemnia.

– Dobrze... To pierwsza rzecz. Druga to światła... Z pokolenia na pokolenie przechodzi tradycja. Dom, w głównych pokojach, co wieczór musi być rozświetlony. Wyobraża sobie pani, z jaką ulgą moje babki musiały przywitać erę elektryczności? – zaśmiał się. – To też zapewne związane jest z jakąś konkretną historią, która znając życie, jest do odgrzebania w którymś z pamiętników moich przodków. Ja jeszcze na nią nie trafiłem, jak pani widzi, nasza biblioteka jest pokaźna, jeszcze nie wszystko zdołałem odkryć... A skoro już jesteśmy przy światłach, to każdy potencjalny kupiec musi przespać się w jednym z konkretnych pokoi...

– Pewnie tym, w którym to światło gaśnie – wyrwało się Stelli, zanim ugryzła się w język. – Ups... Chyba się wygadałam – mruknęła ze skruchą, patrząc na Wiktora spod oka. – Jeszcze parę lat temu zaszywałam się w parku i patrzyłam, jak po zmroku pomieszczenie po pomieszczeniu rozjaśnia się światłem... Uwielbiałam ten moment, wyobrażałam sobie, jak dom ożywa, jak pokoje wypełniają się gośćmi, jak wracają do niego dawne, najlepsze lata, gdy był jeszcze młody. I dlatego wiem, że tylko w tym ostatnim był z tym problem i kończyło się na świeczce...

– Widzę, że pani naprawdę związana jest z tym domem, i to w sposób zadziwiający – roześmiał się starszy pan. – I ma pani rację, właśnie to pomieszczenie jest kluczowe. Można wierzyć albo nie wierzyć w duchy, ale to był pokój jednej z moich prababek. Ponoć zagląda tam każdej nocy albo wieczora. I jak legenda głosi, jeżeli polubi kogoś spoza rodziny, to światło w końcu się zapali, a świeca postawiona w oknie w tym samym momencie zgaśnie... Cóż, ja nie jestem aż tak przesądny i chcę tylko mieć pewność, że nasz rodzinny duch zwyczajnie nie wykurzy stąd kogoś, kto będzie chciał przejąć po mnie całą schedę.

– Pan naprawdę w to wierzy? – Stella poczuła, jak po plecach przebiega jej dreszcz. – W tego rodzinnego ducha, światło i świecę?

– Nie wiem, dziecko, czy wierzę czy nie. Światło nigdy w życiu się w tym pokoju nie zapaliło, przypuszczam, że prababka Urszulka ma na bakier z elektrycznością, bo już niejeden fachowiec był wzywany i każdy twierdzi, że przewody są w porządku, a światło jak nie chciało się tam zapalać, tak nie chce. Faktem jest też to, że nie każdy przesypia tam noc. Niektórzy, którzy próbowali albo którym chcieliśmy wyciąć psikusa, uciekali stamtąd, gdzie pieprz rośnie... Ja osobiście nigdy nie miałem z prababcią żadnych kłopotów. Nigdy też nie dała mi o sobie znać. Poza tym oczywiście, że światło nie działa. Ale żeby być uczciwym, chcę, żeby potencjalny nabywca spędził w pokoju chociaż jedną noc. Nie oczekuję zapalenia światła, ale chciałbym mieć pewność, że Urszulka nie będzie się rzucać...

– No dobrze... Powiedzmy, że pan zostaje u siebie, Urszulka nie ma nic przeciwko... I dochodzimy do pytania, które musi paść: jaka jest cena?

Starszy pan przez moment siedział bez ruchu, a w końcu sięgnął po leżący obok notes, wydarł z niego kartkę, wyjął z kieszeni marynarki pióro i napisał na kartce cyfry.

Stella rzuciła na nie okiem i z piersi wyrwało jej się westchnienie pełne zawodu. Ze smutkiem pokręciła głową.

– Cóż... widać nie ja jestem temu miejscu pisana. – Podniosła na starszego pana posmutniałe oczy. – Nie stać mnie. I żeby mnie pan, panie Wiktorze, dobrze zrozumiał... Ja nie mówię, że to za drogo, ten dom, park, w ogóle całe to miejsce warte są każdych pieniędzy, ale ja zwyczajnie takiej sumy nie posiadam... A poza tym nie mogłabym kupić dworu ze świadomością, że nie stać mnie na jego remont...

– Strasznie mi przykro. – Starszy pan wyglądał na autentycznie poruszonego. – A może jednak... – zawahał się.

– Nie, niech pan szuka kogoś, kto będzie mógł mu dać to, na co ten dom zasługuje – uśmiechnęła się smutno Stella. – I dziękuję. Za to, że mogłam wejść do środka i poznać go i pana bliżej... A do tych warunków, o których pan mówił, to ja jeszcze dorzuciłabym jeden... Żeby ten ktoś, kto go kupi, zrekonstruował nad drzwiami napis.

Nazwa „Przystań Śpiących Wiatrów” jest zbyt piękna, żeby dać jej odejść w niepamięć – dorzuciła, gdy podniosła się z krzesła.

Wychodząc z dworu, zegnała się z każdym mijanym pomieszczeniem i życzyła mu szczęścia. I człowieka, który będzie ich godzien.

Cała nadzieja w Urszulce, pomyślała, gdy wyszli już na taras, a jej wzrok padł na okna pokoju, w którym wieczorami Wiktor stawiał zapaloną świecę. – Miejmy nadzieję, że nie dopuści do dworu nikogo, kto nie będzie go rozumiał...

– Jeszcze raz dziękuję – zwróciła się do Wiktora. – I życzę powodzenia.

– Niech pani chwilę poczeka. – Starszy pan zawrócił i zniknął za tarasowymi drzwiami.

Po chwili wrócił. Uśmiechnął się szeroko i bez słowa wyciągnął w kierunku Stelli puszkę z cukierkami.

– Smacznego, młoda damo – powiedział z galanterią.

– A jednak mnie pan poznał! – Stella była wzruszona i poruszona.

– Oczywiście... W końcu tylko jedna dziewczynka miała takie ładne imię... A poza tym, nawet gdybyś, dziecko, nazywała się Ania albo Kasia, to i tak bym wiedział, że to ty... – Wiktor na moment zawiesił głos. – Żadna inna tak pięknie ze mną nie milczała i żadna nie witała się tak jak ty z kamiennym psem... Miałem wrażenie, że zawsze po twojej wizycie on jakby trochę ożywał – zaśmiał się i tak jak kiedyś udał, że uchyla niewidzialny kapelusz.

A potem patrzył za odchodzącą Stellą z narastającym smutkiem. Swoim i domu, który z minuty na minutę pochmurniał. I wszystko dookoła dawało mu do zrozumienia, że nie jest zachwycone jego decyzją... Co starszy pan przyjął ze zdumieniem i prawdę mówiąc, kompletnie nie wiedział, co ma o tym myśleć. Rozumiał swój dom doskonale. I przywykł do tego, że staremu budynkowi zdarza się miewać humory. Ale czegoś takiego jeszcze nigdy nie czuł. Dwór był nie tylko zirytowany – on był rozpaczony i najwyraźniej tęsknił za Stellą. I chciał, żeby wróciła.

Stella dotarła do domu przygnębiona...

Stella dotarła do domu przygnębiona.

A czego właściwie się spodziewałaś, zapytała się w duchu. Przecież nie tego, że uda ci się kupić cały wielki dwór.

Fakt, suma od rodziców była spora, dla niej wręcz niewyobrażalna, ale niewystarczająca, żeby kupić za nią wielką, wiekową posiadłość. Z parkiem i zabudowaniami. Cóż, widać są marzenia, które muszą marzeniami pozostać, powiedziała sobie stanowczo w duchu, włączając komputer i zerkając w kierunku okna, przez które widać było furtkę. Czekala na Beniamina i Frania. Powinni nadejść lada moment, bo za kilka minut mieli umówione spotkanie online z resztą rodzeństwa i rodzicami, którzy osobiście chcieli przekazać pozostałym dzieciom to, o czym Stella już zdążyła się dowiedzieć.

I rzeczywiście po chwili szcęknęła furтка i chłopaki wpadły do środka. Franio z miejsca pognał do telewizora, bo u dziadków spędzał czas zupełnie inaczej i porządnie stęsknił się za swoimi ulubionymi bajkami. Stella w tej chwili nie zamierzała zwracać mu uwagi. Szczerze mówiąc, było jej na rękę, że Franio przez jakiś czas będzie skupiony na oglądaniu, a oni dzięki temu pogadają ze wszystkimi spokojnie.

Połączyli się bez przeszkód. Stella, która jako jedyna wiedziała, czego po tym spotkaniu ma się spodziewać, skupiła się na reakcji rodzeństwa. Było mniej więcej tak, jak się spodziewała: Benjamin – entuzjizm. Super, że spełniacie swoje marzenia, zarabicie, tyle kasy! Julka – radość bardziej stonowana niż u Beniamina i lekkie niedowierzanie. Chociaż najmniejsze zaskoczenie.

– Wiedziałam, że coś się kroi, karty w takich sytuacjach są lepsze niż nasze wszechwiedzące siostry Kazimierczakówny – wyjaśniła krótko.

Wiadomość o pieniądzach jakby do niej w pierwszym momencie nie dotarła. Stella wiedziała, że Julka najpierw musi to sobie

poukładać, podpytać swoje karty, a dopiero potem wyjdą z niej na wierzch wszystkie emocje.

Mela przyjęła to podobnie jak Julka. Chociaż była trochę nieobecna i Stella miała wrażenie, jakby nie do końca to wszystko, o czym usłyszała, do niej dotarło.

Widać coś niedobrego się u niej działo. Pytanie tylko, czy to znowu „zastuga” Jacusia Zgredusia, czy raczej coś złego działo się u wilków albo innych stworzeń. Mela była fotografem dzikiej przyrody, ale też żyła tym, co działo się w jej ulubionych Bieszczadach, z których niedawno wróciła. Stella od tamtego czasu, zajęta swoimi sprawami i kłopotami, nie miała kiedy tak od serca porozmawiać ze swoją średnią siostrą.

A chyba powinnam, pomyślała, patrząc na bladą twarz Meli.

Rodzice powiedzieli pozostałym mniej więcej to, co oznajmili jej. Że nie mówili im wcześniej o inwestycjach, bo nie chcieli, żeby pieniądze mieszały im w głowach, bo pragnęli, żeby ich dzieci nauczyły się sobie radzić.

A kupno domu w Toskanii wszyscy przyjęli z entuzjazmem.

– W końcu – podsumowała Julka – kto nie chciałby mieć posiadłości w takim miejscu, i to takiej, którą utrzymują rodzice, a ty do niej po prostu jeździsz? – zaśmiała się beztrąsko. Pogadali jeszcze chwilę i rodzice się pożegnali.

– Zostaniecie jeszcze na moment? – Stella zatrzymała pozostałych. To był doskonała okazja, żeby powiedzieć rodzeństwu o tym, co się u niej wydarzyło. Opowiedziała więc im w skrócie o Aldonie i o tym, jak była przyjaciółka zrobiła ją a szaro.

– Na szaro? – prychnęła Julka. – Ona cię po prostu wyru...

– Wybrykała – wszedł jej w słowo Benjamin. – Nie zapominaj, że tutaj są dzieci – dodał, unosząc sugestywnie brwi.

– Masz na myśli siebie czy Frania? – zapytała kpiąco Mela, która w końcu zaczęła wyglądać nieco lepiej. Tak jakby rozmowa z rodzeństwem wracała ją do życia. – A swoją drogą, to jesteście podli! Z tego, co zrozumiałam, to tylko ja nic nie wiedziałam!

– Spokojnie, Stella wisi nam jeszcze trochę innych wyjaśnień, na które załapiesz się równolegle z nami. – Julka zawiesiła oczekująco głos. – No wiesz, sama mówiłaś, że jeszcze coś się dzieje... I karty...

– Te twoje karty czasami są do utopienia! Jak będą za bardzo grzebać w moim życiu, to w końcu dostaniesz na nie szlaban! – parsknęła Stella.

– Aha, ciekawe, jak byś chciała mi go dać. – Julka przewróciła oczami.

– Wykorzystałabym prawo starszej siostry! A tak na poważnie, to wracając do tego, o czym mówiłaś, to był fałszywy alarm. – Stella wzruszyła ramionami. – Ktoś wypytywał o Franka i o mnie, ale potem okazało się, że to dawny znajomy mamy... – Nie czuła się komfortowo, nie mówiąc rodzeństwu całej prawdy, ale po pierwsze, nie była gotowa na jej zdradzenie, a poza tym to nie była tylko jej tajemnica. Mama z tatą podjęli taką, a nie inną decyzję, a ona obiecała, że nie będzie z tym dyskutować. „Jesteś moją i tylko moją córeczką” – powiedział jej kiedyś ojciec. „O czym miałbym w ogóle mówić? Skoro jesteś moja, no i trochę też mamy...” – dorzucił żartobliwie, żeby za tym lekkim tonem ukryć wzruszenie. I właściwie tak było. Dlatego Stella nie zamierzała nic z tym robić. Bo tym samym podważyłaby jego słowa, a być może mógłby nawet pomyśleć, że to ona ma z tym problem. A nie miała. Ona była jego córeczką, a on jedynym tatą, jakiego miała. I chciała, żeby tak zostało.

– I co, ten dawny znajomy już nie miesza? – wdarł się w jej rozmyślania głos Meli.

– Nie, wyjechał. Widać to miał być jakiś taki niezbyt udany żart, podawał się nawet za kogoś z rodziny – powiedziała i posłała Benjaminowi znaczące spojrzenie.

On jeden wiedział więcej niż młodsze siostry. W końcu widział list od pani z przedszkola, widział, co tam było napisane, o co wypytywał ten gość, i widział reakcję Stelli, która daleka była od spokoju i obojętności. Ale jednocześnie był jedynym spośród rodzeństwa, który potrafił zapanować nad swoją ciekawością i umiał nie wściubiać nosa w nie swoje sprawy. O ile oczywiście owe sprawy nie zagrażały bezpieczeństwu któregoś z nich. I teraz, skoro potencjalne zagrożenie zniknęło, Stella wiedziała, że brat nie będzie naciskać.

– No, nawet powiem wam, że zastanawiałem się przez moment, czy to nie jest tatuś Frania – mruknął Beniamin, przychodząc Stelli z pomocą. Doskonale znał swoje siostry i wiedział, że jeżeli chce się odciągnąć je od drażenia jakiegoś tematu, najlepiej je zagadać i skierować ich uwagę na coś innego.

– No właśnie... Mały nie słyszy? – Julka wyciągnęła przed kamerką głowę, tak jakby to mogło jej pomóc w zobaczeniu, co dzieje się za plecami Beniamina i Stelli.

– Nie słyszy, ogląda bajki. – Stella na wszelki wypadek obejrzała się, ale Franio nadal tkwił przed telewizorem, pogrążony w historii jakiegoś superbohatera.

– No to skoro już jesteśmy przy temacie, to może byś nam w końcu powiedziała, kim ten dziad jest? I dlaczego nie płaci ci alimentów...? Może gdybyśmy wiedzieli, to nie trzeba by było w każdym obcym, który się koło ciebie pojawi, upatrywać wyrodnego tatusia! – Julka połknęła przynętę rzuconą przez Beniamina.

– No widzicie, a ja wam teraz powiem coś, co was totalnie rozczaruje. – Stella nieoczekiwanie dla wszystkich zamiast się zirytować, parsknęła śmiechem. – Dopóki nie wiedzieliście, to mogliście sobie wyobrazić Bóg wie co. Snuć domysły i upatrywać w tej sytuacji czegoś dramatycznego, ale sami chcieliście! Ojcem Frania jest taki jeden chłopak...

– No to rzeczywiście zaskoczenie – wtrąciła Mela ze śmiertelną powagą.

– Taki jeden chłopak – Stella nie dała się wyprowadzić z równowagi ani wciągnąć w żadne dyskusje – z którym szłam przez dwa tygodnie szlakiem beskidzkim. Dobrze nam się szło, wprost rewelacyjnie. W drugim tygodniu zaczęło nam się rewelacyjnie robić również inne rzeczy... Wędrówka bardzo zbliża ludzi... Nigdy nie puszczajcie na samotne wyprawy swoich drugich połówek, bo szlaki są podstępne, a samotne wędrowanie nieoczekiwanie przynosi rezultaty, które owa samotność raczej powinna wykluczać.

– No i chcesz nam powiedzieć, że to ten z górskiego szlaku jest...

– Dokładnie tak. Jedyne, co o nim wiem, to to, że miał na imię Łukasz i był z Krakowa... Coś jak w tej piosence Kabaretu OT.TO,

pamiętacie?

*Przystojny był jak Linda,
więc po nocach szlocham
Pomóżcie mi go znaleźć
bo go kocham, Zocha³*

– zanuciła.

– Tyle samo danych, też był przystojny, chociaż bardziej niż Linde przypominał młodego Pierce’a Brosnana...

– Żartujesz! – Julka z niedowierzaniem pokręciła głową. – I nawet nie wzięłaś od niego adresu?!

– Ależ wzięłam! On też wziął mój. Tyle tylko, że ja ten karteluszek gdzieś posiałam... A on też nigdy się nie odezwał. Więc sami rozumiecie... Znaleźć po prostu Łukasza z Krakowa nie byłoby łatwo. A dodatkowo ja nawet nie jestem jak ta Zocha z *To już lato*, co to tego Krzyśka kocha. Bo on...

– Ten Łukasz? – upewniła się Mela.

– Ten Łukasz – przytaknęła – był dla mnie cudowną górską przygodą, towarzyszem szlaku, ale z całą pewnością nie życia. I ja doskonale o tym wiedziałam. To miało być coś jak „to, co wydarzyło się w Vegas, zostaje w Vegas”.

– Chyba w tym wypadku to, co wydarzyło się na szlaku, zostaje na szlaku, chociaż patrząc na Frania, to chyba nie do końca – parsknął śmiechem Beniamin. – No to powiem ci, siostra, że wycięłaś niezły numer! A skoro już o numerach mowa, to rodzice też są niezli, co? Przychodzi wam do głowy jakiś pomysł, co zrobicie z kasą?

– Ja wiedziałam i wiem, ale nie mogę – westchnęła Stella. – Jak się tylko dowiedziałam, że nasz kotkowski dwór jest na sprzedaż, to pomyślałam, że to chyba jakiś znak albo cud. Bo dostałam kasę od rodziców i w tym samym czasie taka wiadomość! Wicie przecież, że mnie do tego miejsca ciągnęło od zawsze. A tu bach, jest do kupienia! No i dziś byłam i oglądałam...

– I co? – przynagliła ją Julka.

– No i wszystko pięknie, tylko mnie nie stać. Chyba że... – zawiesiła głos.

– Chyba że co? – Mela zmarszczyła brwi.

– Chyba że kupilibyśmy go razem, zrobilibyśmy w nim gościniec, ja bym się tym wszystkim zajęła, wiecie, że jestem w tym dobra...

– Taaa, tylko nie znasz się na ludziach, jak pokazała historia z Aldoną – wytknęła jej Julka bezlitośnie.

– Tak, to prawda. Wykazałam się kompletną głupotą. – Stella ani myślała się obrażać. Taka przecież była prawda. – Ale podobnie jak Ania z Zielonego Wzgórza mam taką zaletę, że nigdy nie powtarzam raz popełnionego błędu. I o to nie musicie się już martwić. W cokolwiek zdecyduję się zainwestować, to wszystko będzie na papierze, pięć razy sprawdzone i poświadczane przez każdego, kto powinien to poświadczyć. A co do dworu, to naprawdę nie jest to zły pomysł – zakończyła na wydechu i spojrzała najpierw w monitor na Julkę i Melę, a potem na siedzącego obok Beniamina.

I nie zobaczyła w ich twarzach zbytniego entuzjazmu.

– Wiesz co, siostra, ja nie wiem... Jakoś słabo to widzę – mruknął Beniamin.

– Ja też nie bardzo. – Mela wzruszyła ramionami. – Lubię stare domy, ale nigdy nie myślałam o prowadzeniu czegoś w rodzaju hotelu.

– A ja nie wiem... – powiedziała z lekkim wahaniem Julka. – Bo tak sobie myślę, że gdybyśmy złożyli te pieniądze do kupy, to można by było z nimi zrobić coś naprawdę sensownego... Ale rozumiem, że każdy może mieć swoje plany – zaznaczyła natychmiast. – I ja ci, Stella, powiem tak... Nie jest to moje marzenie, a przynajmniej do tej pory nie wiedziałam, że może nim być, ale jeżeli przekonasz pozostałych, to ja w to też wejdę. A co! Turystyka to dobra branża. Jak się z głową do niej podchodzi, to dochody też są całkiem przyjemne...

– Dziękuję ci bardzo. – Stella bohatercko zdobyła się na uśmiech.

– Ale ja też tak naprawdę rozumiem, że możecie chcieć zrobić coś swojego. Tylko nie darowałabym sobie, gdybym nie spróbowała. To jest takie miejsce, no, takie, o które musiałam zawalczyć do końca. A wiecie, że jego pierwszymi właścicielami było rodzeństwo? Trzy

siostry i brat? – dodała z rozpędu. – I nazwali ten dwór „Przystanią Śpiących Wiatrów”. Ech, ale już milknę i nie powiem na temat kotkowskiego pałacu ani słowa – dodała, tłumiąc westchnienie. – Natomiast mam propozycję z zupełnie innej beczki... Może byście do mnie przyjechali w przyszłym tygodniu, co? Dawno nie robiliśmy zlotu siostrzano-braterskiego...

– A to jest doskonały pomysł – podchwyciła Julka. – Mela, ty też się nie wykręcaj, bo przecież dopiero co wróciłaś z tych swoich Bieszczad!

– Nie zamierzałam, przyszły tydzień jest super. Będzie wino?

– Morze wina, piwa i góra domowej pizzy – obiecała Stella. – Tak jak za starych dobrych czasów, gdy wszyscy mieszkaliśmy pod jednym dachem – dodała i pomyślała, że już nie może doczekać się przyszłego tygodnia.

I dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo za nimi wszystkimi tęskniła.

Mijał już kolejny dzień...

Mijał już kolejny dzień od wizyty Stelli w dworze, a Wiktor nie mógł przestać o niej myśleć. Co więcej, miał wrażenie, że dwór też robił wszystko, żeby o niej nie zapomniał. Kamienny pies wyglądał na śmiertelnie obrażonego, starszy pan miał nawet wrażenie, że gdyby tylko mógł, to na jego widok odwracałby kamienny łeb w drugą stronę. Kamyczki, którymi były wysypane alejki, irytująco chrzęściły mu pod butami, układając z tych zgrzytów jej imię: Stella, Stella, Stella, które słyszał przy każdym niemal kroku. I to wszystko by nawet zniósł, ale najbardziej martwił i denerwował go pokój Urszulki. Dlatego że od momentu wizyty Stelli światło tak jak zawsze migotało i niemal natychmiast gasło, ale świeczka również nie dawała się zapalić. Kiedy Wiktor podpalał knot, pojawiał się chybocliwy płomyk i natychmiast gasł. Raz tylko zapalił się na dobre i gdy gospodarz już stawiał latarnkę na parapecie, nagle pojawił się znikąd podmuch i zgasił ją stanowczo. Wiktor zaczął podejrzewać, że w tym gaszeniu świeczki macza swoje widmowe palce, a może nawet płuca, wkurzona nie na żarty Urszulka.

I co ja mam z tym wszystkim zrobić? – zastanawiał się teraz, spacerując po budzącym się do życia parku. Niemal wszystko już się zazieleniło. Na trawnikach pojawiły się barwne dywany tulipanów i hiacyntów, które obłądnie pachniały. Było pięknie. Wiktor bardzo lubił wiosnę, była początkiem i dawała nadzieję. Ale ta tegoroczna wyjątkowo go nie cieszyła. Musiał sprzedać dwór, już zimą zrozumiał, że nie przetrwa kolejnej bez pomocy kogoś, kto choć w części ogrzeje stary dom. Park też z roku na rok robił się bardziej zaniedbany. Dach w dworze należało już gdzieś uzupełnić dachówkami... A on już sobie z tym wszystkim nie radził i nie miał odpowiednich środków. Tymczasem wszyscy potencjalni kupcy, którzy zjawili się do tej pory poza Stellą, okazali się nic niewarci... Co z tego, że mogli zapłacić, skoro zniszczyliby dom. Wyrwaliby mu duszę. Jeden nawet chciał usunąć stare kaflowe piece. Wiktor,

słuchając jego wywodów o nowoczesnym podejściu do takich miejsc, czuł, jakby dom się kurczył z odrazy i niepokoju.

Ale tego ranka, kiedy wstał słoneczny i pogodny dzień, postanowił chwilowo o tym nie myśleć. Chciał po prostu wyjść do parku i przez moment zwyczajnie cieszyć się życiem i tym, że nadal tu jest, jeszcze sam... A przynajmniej tak mu się wydawało, dopóki nie zobaczył dwóch mężczyzn idących aleją. Jeszcze go nie dostrzegli, z czego Wiktor skorzystał, i skręcił w wąski przesmyk pomiędzy porośniętymi już małymi listkami krzewami. Było to takie trochę ukryte przejście, po drugiej stronie stała ławka niewidoczna od strony alei. Wiktor przysiadł na niej z zamiarem, by poczekać, aż tych dwóch się oddali. Widocznie kolejni zwiedzający, którzy dowiedzieli się, że dwór jest na sprzedaż. Odkąd dał ogłoszenie w gazecie i portalach internetowych, w kółko ktoś tu się kręcił. I Wiktor zasadniczo to rozumiał. W końcu każdy, kto myślał o nabyciu nieruchomości, chciał ją najpierw obejrzeć. Ale dziś wyjątkowo go to irytowało. Jeszcze bardziej niż zwykle. No i nie miał absolutnie żadnej ochoty na oprowadzanie gości. To miał być jego dzień, dzień świętego spokoju.

Przyszli, to i pójda, pomyślał, sadowiac się wygodnie na ławce i wystawiając twarz do słońca. Tamci dwaj się zbliżali, coraz wyraźniej było słyszeć ich kroki, w końcu przystanęli. No tak, z miejsca, w którym się znajdowali, najlepiej było widać dwór...

– No i co myślisz? – zapytał jeden męski głos.

– Dobrze. Na klinikę chirurgii plastycznej idealne. Będzie trzeba wprawdzie rozwalić to i owo, ale teren jest tego wart. Paniusie, które będą chciały zrobić sobie cycki, usta i pośladki, uwielbiają takie klimaty. Musi być luksusowo. A tutaj, o ile się trochę wytnie i przetrzebi, będzie tak jak trzeba. No a poza tym sam wiesz, jaki jest układ...

– No wiem, ale musisz poczekać, aż stary się zawinie...

– Jak sam zauważyłeś, jest stary. Długo nie pociągnie. Spadkobierców nie ma. To już sprawdziłem. No i dogadałem się z kim trzeba. Już wiem, że jak stary wyciągnie kopyta, to odkupię to za bezcen. Bo za cenę, za którą on chce to puścić, nikt tego nie kupi... Więc jestem bezpieczny. A gdyby żył za długo...

– O nie, nie, ja tego nie chcę słuchać – mruknął drugi głos. – Czyli co, to już praktycznie jest twoje?

– Praktycznie tak. Własność dostanie miasto, ja posmaruję komu trzeba, a już wiem, kim ten ktoś jest, i już. Tak się teraz robi interesy... – Żwirek na ścieżce znowu zachrząścił, gdy tamci odchodzili.

W uszach pobladłego Wiktora znów zabrzmiało imię, które szeptały kamyczki: Stella, Stella, Stella... Tylko że teraz brzmiało to o wiele bardziej nagłaco i natarczywie. I Wiktor zrozumiał, że dłużej tego nie może lekceważyć.

Aldona tkwiła w swoim hotelowym biurze...

Aldona tkwiła w swoim hotelowym biurze i ze zmarszczonymi brwiami przeglądała plik kartek. Dostarczyła je przed momentem jej siostra, która teraz z założonymi na biurko nogami siedziała naprzeciwko i irytująco ciamkała gumą do żucia.

– Kopyta – powiedziała Aldona, nie podnosząc ani na moment oczu znad papierów.

– O Jezu, ale ty jesteś! Szefowa! Wczułaś się w rolę!

– A co, masz jakieś wątpliwości, Beata? Jesteś w pracy i się nie zapominaj! Zabieraj te giry!

– Matko, jak ta Stella z tobą wytrzymywała – parsknęła dziewczyna, ale zdjęła nogi z biurka.

– Stella wiedziała, jak się zachować... I umiała szukać dostawców, w przeciwieństwie do ciebie – powiedziała Aldona, ciskając papiery na biurko i podnosząc błyszczące gniewnie oczy. – Jak to jest możliwe, że jej kalkulacja wyglądała zupełnie inaczej? Przecież w twojej wszystko jest dwa razy droższe!

– Nie mogę znaleźć niczego w tych cenach co ona! Może to była ściema...

– Nie ma mowy o żadnej ściemie! Stella była uczciwa i prawdomówna do bólu. A poza tym kalkulowała dla siebie, to co myślisz, że sama siebie by chciała oszwabić?

– Ale ja naprawdę szukałam! To, co masz w tych wyliczeniach, to najtańsza opcja.

– A i tak dwa razy droższa i w większości jakościowo gorsza – mruknęła Aldona. – Wiesz co, zostaw mi to na dwie, trzy godziny... Zobaczę, co mi wyjdzie, gdy ja poszukam.

Ale jak się okazało, jej zaangażowanie nie wniosło do sprawy niczego nowego. Rzeczywiście wszystko, do czego dotarła, kosztowało więcej.

Cholera, pospieszyłam się, pomyślała teraz z niezadowoleniem. Powinna się wstrzymać i najpierw, zanim wywaliła Stellę na zбитy

pysk, wycygnąć od niej adresy dostawców... Gromadziła namiary od lat. I dobrze żyła z ludźmi.

Beata nie miała niestety takich zalet. Co więcej, im dłużej Aldona z nią pracowała, tym mocniej przypuszczała, że jej siostra składa się głównie z lenistwa i nieporadności.

I znów będę musiała załatwić to sama, pomyślała z irytacją, dzwoniąc do siostry.

Oczywiście zanim dotarła do biura Aldony, minęło niewiarygodnie dużo czasu.

– Czy ty w ogóle pamiętasz, że my tu pracujemy? – Aldona nie ukrywała, że jest wściekła. – Gdzie ty byłaś?

– No, w parku, oglądałam domki i zastanawiałam się z Grzesiem, co można jeszcze zrobić – uśmiechnęła się niewinnie.

– Oj, Beata, Beata. Pan Grześ jest pracownikiem, bardzo dobrze zbudowanym i pięknie umięśnionym i bardzo, ale to bardzo żonatym. Z żoną, która też widzi jego zalety i nie lubi się nimi dzielić – uświadomiła jej bezlitośnie Aldona.

– Co ty mówisz! A ja się z nim już prawie umówiłam...

– To się całkiem odmów i na przyszłość nie mieszaj spraw prywatnych z pracą. – Aldona czuła, że powoli traci cierpliwość.

Poza tym wkurzało ją jeszcze to, że nie była do końca szczerą w tych swoich poradach, bo sama też chętnie korzystała z nadarzających się możliwości. W końcu kiedy miała się wyszumieć jak nie teraz? Latka lecają. A jeżeli ktoś większość czasu spędza w pracy, to cóż... Tak krawiec kraje, jak mu materii staje. Gdyby chciała rozgraniczać swoje życie prywatne od zawodowego, to ani chybi musiałaby z któregoś zrezygnować. A tak miała i jedno, i drugie. Tyle że w przeciwieństwie do Beaty była mądra i nie umawiała się z nikim w ciemno. Nie potrzebowała użerać się z zazdrosnymi żonami ani narzeczonymi. Teraz na przykład prześwietliła sobie tego apetycznego Antoniego. Wydawał się nie mieć żadnych poważniejszych zobowiązań, ale niestety nie zwracał na nią uwagi. Pracował rewelacyjnie, wszystko było w terminie, ludzie go słuchali. Właściwie nie miał wad, oprócz tej jednej, że kompletnie był nieczuły na jej ponętne spojrzenia i gesty. A poza tym, dowiedziała się o tym niedawno, ponoć spotykał się ze Stellą!

To budziło w Aldonie niemały niepokój. Bo gdyby tamta coś mu nagadała... No to co? Przecież nie zerwie kontraktu! Biznes to biznes! – pomyślała i zabębniła palcami o blat biurka.

– A tak ogólnie, to ty ode mnie coś chciałaś? – wdarł się w jej rozmyślania głos Beaty.

– A tak... usiłowałam znaleźć jakieś inne opcje, ale tym razem wykonałaś dobrą robotę, ja też nie mogłam namierzyć nic w lepszych cenach. Ale remont tych domków nie może tyle kosztować. Za długo by się to zwracało. Stella widać miała swoją prywatną bazę kontaktów.

– No i co z tym zrobimy? – Beata spojrzała na siostrę jak na wyrocznie.

– Zdobędziemy te adresy, a konkretniej ja je zdobędę. Pójdę do niej i przekonam ją, żeby mi ich użyczyła...

– Taaa, a ona po tym, co jej zrobiłaś, tak po prostu ci je da – parsknęła Beata.

– Po prostu to może nie, ale skuszę ją jakoś. Zaoferuję odpowiednią sumę i już. W życiu wszystko da się kupić, tylko trzeba zaoferować odpowiednią kwotę... A w jej sytuacji kasa na pewno się przyda. W końcu została z kredytem wielkości góry lodowej. Bez pracy – mówiła Aldona beznamiętnie, tak jakby kompletnie nie obchodziło jej, że to ona wpakowała Stellę w tak tragiczną sytuację.

– A jak się nie uda? – Beata była sceptyczna.

– Uda się, uda... Mnie się wszystko udaje – mruknęła Aldona i postanowiła załatwić to następnego dnia.

Po pracy. Bo w końcu praca była najważniejsza.

Przyszła do Stelli bez zapowiedzi...

Przyszła do Stelli bez zapowiedzi. Łatwiej ją będzie wziąć z zaskoczenia, myślała, naciskając klamkę od furtki, która – o dziwo – ustąpiła. Zwykle przecież Stella pilnowała, by była zamknięta, żeby Franio nie wypadł na ulicę i tak dalej, i tak dalej.

I dobrze. Zaskoczenie będzie jeszcze większe, uśmiechnęła się pod nosem Aldona. Miała szczęście, bo okna były pootwierane, więc Stella musiała być w domu. Aldona zatrzymała się przed drzwiami wejściowymi i już sięgała do klamki, ale po chwili jednak cofnęła rękę i przycisnęła guzik dzwonka.

W końcu już się nie przyjaźnimy, pomyślała, jakby zrobiło jej się odrobinę niezręcznie, ale natychmiast nakazała sobie nie przejmować się głupotami. Ostatecznie Stella sama sobie była winna. W życiu nie powinno się ufać nikomu poza sobą samą. Może to i dobrze, że tak dostała po głowie, bo na przyszłość już będzie mądrzejsza, pomyślała obłudnie Aldona, nasłuchując zbliżających się za drzwiami kroków.

Po chwili w otwartych drzwiach stanęła uśmiechnięta Stella. Na widok Aldony uśmiech znikł z jej twarzy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Patrzyła na byłą przyjaciółkę w milczeniu.

– Słuchaj, ja wiem, że niekoniecznie chcesz mnie widzieć, a już tym bardziej ze mną rozmawiać, ale mam sprawę. Tam w hotelu głupio wyszło – zaczęła spokojnym, rzeczowym tonem Aldona. – Nie tak to miało wyglądać... Wpuścisz mnie czy będziemy rozmawiać w drzwiach?

– Możesz wejść do kuchni, Aldona – powiedziała Stella jakoś dziwnie głośno i zrobiła jej przejście. – W piekarniku właśnie dochodzi pizza... I nie, nie zapraszam cię, tylko nie chciałabym, żeby mi się spaliła – dorzuciła chłodno.

Aldona trochę się zdziwiła. Szczerze mówiąc, wydawało jej się, że weźmie Stellę sposobem. Była naiwna, powinno być łatwo ją przekonać, że przyjaciółka, no bo przecież kiedyś się przyjaźniły,

żałuje tego, co się stało. Aldona zamierzała stworzyć pozory, że myśli, jak to wszystko odkręcić, ale prace muszą trwać, przecież Stella rozumie, więc może ona zapłaci jej z góry jeszcze jedną pensję i za moment, jak już się załatwi papierkowe sprawy, Stella wróci na swoje stanowisko... Brzmiało to idiotycznie, ale przecież do tej pory wszystko inne, na co Stella dawała się nabrać, też było grubymi nićmi szyte.

Tylko ten chłód Stelli nie zwiastował niczego dobrego. Ale w końcu jest zła, rozzalona... To czego się spodziewałam? – wytłumaczyła sobie naprędce Aldona. Trzeba po prostu ją ułagodzić. Jak gdyby nigdy nic usiadła przy stole, na tym samym miejscu, które zajmowała zazwyczaj, gdy przychodziła, i zaczęła dokładnie tak, jak sobie zaplanowała:

– Jest mi tak przykro, bla, bla, bla... To była nieprzemyślana decyzja, bla, bla, bla, to wcale nie tak, że chciałam cię oszukać, nie dajemy sobie rady bez ciebie. – Słowa płynęły wartko, Aldona dawała z siebie wszystko i patrząc na słuchającą ją w milczeniu Stellę, już gratulowała sobie w duchu zwycięstwa.

– No i teraz tylko te adresy, wiesz... Tych wszystkich, którzy mieli dostarczyć materiały i wyposażenie do domków, bo my to wszystko z tobą odkręcimy, ale robota nie może czekać – zakończyła na wydechu.

I ku swojemu ogromnemu zdumieniu zobaczyła, że Stella poczerwieniała, ale widać nie ze wzruszenia ani wdzięczności, bo po chwili parsknęła niepohamowanym śmiechem.

– Ty naprawdę masz mnie za idiotkę, co? – zapytała, gdy w końcu zdołała się opanować i przestała się śmiać.

– Ja? No coś ty! To wszystko, co powiedziałam, było szczerze! Jak chcesz, to na dowód zapłacę ci od razu kolejną pensję z góry... Albo dwie – podbiła stawkę.

– No to widzę, że jesteś naprawdę zdesperowana. – Stella pokręciła głową. – Ale wiesz co, skończ już ten kabaret. Zostaw mi choć resztki szacunku dla ciebie... Chociaż czekaj, muszę wsłuchać się w siebie. – Udała, że czegoś pilnie nasłuchuje. – Jednak nie trzeba, nie ma ich tam, nawet odrobiny. Spadaj stąd, Aldona, i więcej się nie pokazuj – dodała twardo.

Tego prawdę mówiąc, Aldona się nie spodziewała. I w ciągu sekundy całe jej opanowanie i serdeczność zniknęły jak sen złoty.

– Tak? Jesteś tego pewna? Ty, kretynka i naiwniaczka, dająca się robić bez mydła przez te wszystkie lata? Brałaś te kredyty na remonty, na inne rzeczy, i łykałaś wszystko, co ci powiedziałam, wierząc w moje obietnice! A ja z ciebie żyłam! A teraz co, unosisz się honorem? Ciekawe, czy tego swojego dzieciaka tym wykarmisz. Powinnaś być mądrzejsza i brać to, co ci daję! Bo ty niczego nie osiągniesz! Żyjesz tymi mrzonkami o przywróceniu czemuś życia, takimi romantycznymi achami i ochami! Jak ten dwór, który jak na ironię właśnie teraz został wystawiony na sprzedaż. A ty co, możesz tylko patrzeć, jak ci go ktoś sprzątnie sprzed nosa, bo przecież dałaś się wrobić, spłacasz mój hotel i jesteś bankrutem! A przecież wiem, że to było twoje marzenie! Ten dwór, czy tam pałac, ty przegrywie życiowy! Tak samo zresztą jak te domki! Ciekawa jestem...

– A ja już nie. – Za jej plecami rozległ się zniecierpliwiony głos. – Wypierdalaj stąd, Aldona, zanim ci w tym pomogę. – Za nią stał Benjamin, a oczy lśniły mu z wściekłości.

– My też możemy pomóc. Wyjdź stąd. – Za Beniaminem pojawiły się Julka i Mela, które zrobiły kilka kroków i stanęły po obu stronach Stelli.

Aldona przez moment patrzyła na to oniemiała, a potem szpetnie zaklęła w duchu i zagotowała się ze złości. Tego się nie spodziewała. To nie tak miało wyglądać!

– Tak? To jeszcze zobaczymy! A tak na początek, to od razu ci powiem – zerwała się z krzesła i stanęła naprzeciwko Stelli – że pierwsze, co zrobię, to zrównam te twoje ulubione domki z ziemią! Nie zostanie z nich nawet kamień... Postawię na ich miejscu...

– Poczekaj, poczekaj – przerwała jej Stella, a coś w wyrazie jej twarzy sprawiło, że Aldona zamilkła nagle zaniepokojona. – Zanim nadmiesz się jeszcze bardziej i nie daj Boże pęknieś, chciałam ci tylko uświadomić, że domki są pod opieką konserwatora zabytków...

– Jak? Od kiedy? Jak to w ogóle możliwe?

– Normalnie, gdy planowałam remont, to przyszedł do mnie taki facet, co to zaczął opowiadać, jakby było najlepiej... Usunąć piec

chlebowy, zamiast odnawiać okiennice, wyrwać to stare dziadostwo i wstawić nowe... Dogadałabyś się z nim natychmiast i w pół słowa – dorzuciła Stella, patrząc na Aldonę z nieukrywaną niechęcią. – No, ale ja to nie ty. Podziękowałam mu i sama tknięta nagłą myślą, zgłosiłam te budynki, które miały być moje, do konserwatora zabytków. Sama to podpisałaś, a ja, rzeczywiście głupia, usiłowałam ci powiedzieć, co tam w tych papierach jest, ale mnie zbyłaś machnięciem ręki... Jakoś tak powiedziałaś, żebyś dała ci spokój, bo nie masz głowy do czegoś tak banalnego jak papiery... Zaraz, co powiedziałaś, gdy wyrzucałaś mnie z hotelu? Żebyś na przyszłość wszystko miała na piśmie... To ja ci się teraz też odwdzięczę dobrą radą: na przyszłość patrz, co podpisujesz.

– No to by było na tyle... Zbędnym słowem ust nie kalaj, zbieraj rzeczy i... Resztę sobie dopowiedz. – Beniamin zrobił krok w jej kierunku, ale tym razem nie musiał powtarzać.

Wściekła Aldona wypadła z kuchni do przedpokoju, po czym trzasnęła drzwiami z takim impetem, że aż zadrżała futryna.

I ani ona, ani Stella i jej rodzeństwo nie mieli pojęcia, że jest ktoś jeszcze, kto przez otwarte w kuchni okno słyszał dokładnie całą tę awanturę. I był porządnie wstrząśnięty tym, czego właśnie się dowiedział.

Tymczasem po wyjściu Aldony...

Tymczasem po wyjściu Aldony w kuchni na kilka sekund zapanowała cisza.

– Powiedzcie mi, dlaczego właściwie ja jej nie wytargałam za te jej blond kudełki? – w końcu pierwsza przemówiła Julka.

– Zadaję sobie mniej więcej to samo pytanie, tylko ja myślałem, żeby ją całą wytargać – mruknął Beniamin.

– Ale z ciebie świntuch... ale swoją drogą, to trzeba mieć tupet! – Mela opadła na krzesło, ale zaraz z niego wstała. – Ja mam pewne przemyślenia – powiedziała powoli.

– Ja też – zawtórował jej Beniamin. – Jak przypuszczam, dotyczące tego samego...

– To ja też się dołączam – mruknęła Julka. – Zobaczymy, kto kogo zniszczy i kto tu jest życiowym przegrywem...

– O czym wy, do cholery, mówicie? – Stella ze zdumieniem wodziła wzrokiem od jednego do drugiego.

– O tym, że to jest scena prawie że finałowa i jak to było w *Dirty Dancing*? Jak to powiedział Patrick? – Julia zmarszczyła brwi.

– „Nikt nie będzie stawiał Baby do kąta!” – podpowiedziała jej Mela.

– A, no właśnie! I ciebie też nie damy postawić. – Julka energicznie pokiwała głową.

– Wiecie co, ja dziękuję za próby wyjaśnienia, ale nadal nic nie pojmuję. – Stella gęsto zamrugała.

– No więc może inaczej... Polećmy Tolkienem – wtrącił się Beniamin. – Masz mój miecz. – Spojrzał z wyczekiwaniem na Julkę.

– I mój łuk. – Zrozumiała w lot.

– I mój topór. – Mela też nie miała z tym problemu i tylko Stella wyglądała na skołowaną.

– No po prostu chcemy ci powiedzieć, że Aldona nie może pozostać bezkarna – ulitował się w końcu nad nią Beniamin. – Nie po tym, co zrobiła, a już na pewno nie po tym, co tu powiedziała.

Z Sagankami się nie zadziera! Wdepczemy ją w ziemię! Jak tu przyszliliśmy, to jeszcze mieliśmy pewne wątpliwości, ale teraz...

– Teraz już ich nie mamy – weszła mu w słowo Julka.

– Kupimy wspólnie ten dwór – dokończyła uroczyście Mela.

– Mówicie poważnie? – Stella z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Mówimy śmiertelnie poważnie. – Julka opadła na krzesło przy stole. – Tyle tylko, że mamy warunki...

– Poczekajcie, ale jak to? Przecież...

– Przemyśleliśmy to wszystko, przegadaliśmy to przed przyjazdem do ciebie – westchnął głęboko Beniamin. – Mieliśmy wprawdzie zamiar to jeszcze pięć razy przemielić, ale teraz już naprawdę nie ma takiej potrzeby. Nie po tym, co ta... Wszystkie określenia, które przychodzą mi na myśl, są odzwierzęce, a szkoda obrażać niewinne stworzenia... A więc nie po tym, co tu usłyszeliśmy! A, i jeżeli masz zamiar mówić: „Ale nie podejmujcie decyzji pochopnie” i krygować się w jakiś inny, ale też irytujący sposób, to lojalnie uprzedzam, długo tego nie wytrzymam!

– I lepiej korzystaj, dopóki jesteśmy zdecydowani – dorzuciła Mela, wyjmując z piekarnika pizzę.

– Czuję się, jakbym znów dostała gwiazdkę z nieba – szepnęła Stella. – Pierwszą dali mi rodzice, gdy usłyszałam, że nie umrę z Frankiem z głodu...

– Jeszcze się tak nie ciesz, bo tak jak już wspominaliśmy, mamy pewne warunki – przypomniała Julka. – Będziesz musiała ponegocjować z tym swoim panem Wiktoorem... Bo możemy zrobić to tak: któreś z nas dołoży swoją część kasy...

– W sensie całą kwotę, którą dostał od rodziców – sprecyzował Beniamin. – I to będę ja. Moja i twoja działka pójdą na zakup dworu.

– A moja i Julki musi zostać na remonty, utrzymanie i inwestycje – dorzuciła Mela. – Inaczej to nie przejdzie. Jak chcesz uruchomić tam pensjonat czy gościniec, zwał jak zwał, to oznacza worki diamentów i musimy je mieć... Jak ci się uda przekonać Wiktora, żeby na to poszedł, to jesteśmy gotowi z mieczem, łukiem i toporem...

– I Patrickiem Swayze... Chociaż on chyba nie żyje... – mruknęła Julka. – Ale już występował jako duch, to może i tym razem nie będzie mu to przeszkadzać...

– No i co, nic nie mówisz? – Benjamin trącił łokciem milczącą Stellę.

– Bo mi mowę odebrało – mruknęła w końcu. – Ale jeżeli myślicie, że będę was odwozić od tej decyzji, to nic z tego!

– I dzięki ci, panie jeżu malusieńki! Czy teraz możemy w końcu zjeść pizzę i popcorn? A, tylko zostawmy coś Franiowi! Na całe szczęście usnął przy oglądaniu bajki, przynajmniej ominęła go ta cała awantura – dodał Benjamin, po czym podszedł do Stelli i mocno ją przytulił. – No co ty, siostra, chyba nie myślałaś, że my cię tak zostawimy? – zapytał, patrząc jej w oczy.

– Ale wiecie, toby nie było porzucenie... W końcu taka kasa nie zdarza się co dzień i...

– I my to właśnie dokładnie przedyskutowaliśmy – przerwała jej Julka. – Jeszcze kilka dni temu przecież jej nie mieliśmy i byliśmy szczęśliwi, z planami na życie i spokojem w duszach. A teraz nic się nie zmieni... Poza tym, że będziemy mieli dwór!

– O ile, oczywiście, to się uda. – Stella postanowiła nie rozbudzać w sobie zbyt wczesnie nadziei.

– To prawda, ale coś mi mówi, że wszystko nam wyjdzie, a Aldonka jeszcze nieraz zapłacze. I kończąc już tę rozmowę, rzeknę tak dwornie: „Na pohybel skurwysynom...”⁴ – mówiąc to, Benjamin wyjął z lodówki piwo i nalał każdemu do szklanki.

Stella, patrząc na nich, znów poczuła, jak ściska ją w gardle, a serce wprost rozsadza coś ogromnego, mocnego i niezniszczalnego. To była właśnie miłość.

Tymczasem Antoni nie mógł uwierzyć...

Tymczasem Antoni nie mógł uwierzyć w to, czego niechcący został świadkiem. Przyszedł do Stelli niezapowiedziany, bo nie widział się z nią, odkąd wróciła od rodziców. I stęsknił się za nią ogromnie. Rozmawiali wprawdzie codziennie przez telefon, ale przecież to nie to samo. Po nagłym wyjeździe Henryka nie wiedział, w co ręce włożyć w hotelu. Musiał pilnować zarówno swoich spraw, jak i tamtego. Oczywiście mieli podpisane osobne kontrakty, nie musiał przejmować się tym nie swoim, no ale współpracowali. Henryk negocjował umowy dla nich obu, poza tym Antoni zwyczajnie obiecał, a on obietnic dotrzymywał...

I dziś w końcu, ku jego niebotycznej uldze, przyjechał Tadeusz Moch, który miał zastąpić Henryka, i zdjął z barków Antka nadprogramowe zajęcie. Dlatego nareszcie mógł urwać się z pracy nieco wcześniej, czyli nie po dwudziestej drugiej. I postanowił zobaczyć, czy Stella przypadkiem jest w domu. Przepadkiem była. I nie tylko ona. Przed nim do jej domu weszła właścicielka hotelu, Aldona. Antek był trochę zaskoczony, ale potem pomyślał, że chyba nie powinien się dziwić, bo w takich miasteczkach ludzie po prostu się znają.

Nie miał zamiaru podsłuchiwać, ale zanim zapukał, zaczęła się ta dziwna rozmowa, którą dokładnie słyszał przez otwarte okno. Wynikało z niej jasno, że Aldona oszukała Stellę, i to w sposób paskudny, a teraz dodatkowo usiłowała wręczyć jej coś w rodzaju łapówki... No a potem wybuchła już regularna awantura, która tylko utwierdziła go w tym, że zupełnie nieświadomie podpisał kontrakt z oszustką i podłą osobą. A Antoni wystrzegał się takich ludzi jak diabeł święconej wody. A jakby tego było mało, potraktowała Stellę... tak, że gdy Antek o tym myślał, targała nim potworna złość i miał ochotę zrobić Aldonie coś naprawdę paskudnego.

A już na pewno nie chciał mieć z nią nic wspólnego, nie zamierzał pracować dla kogoś takiego! Najpierw jednak musiał się upewnić, że ma rację, że wszystko dobrze zrozumiał.

Niestety musiał z tym poczekać do następnego ranka. Tej nocy nie zmrużył oka.

Następnego dnia zaczął od podpytywania ludzi...

Następnego dnia zaczął od podpytywania ludzi w hotelu. Starał się być dyskretny, ale jednocześnie pytał otwarcie. I zrozumiał, że to był błąd. Ludzie nabierali wody w usta i było widać, że boją się cokolwiek powiedzieć. A to utwierdziło go w przekonaniu, że raczej nie ma mowy o pomyłce. Nadal jednak nie miał pewności.

W końcu, gdy bez większych nadziei zapytał ochroniarza o Stellę i Aldonę, ten spojrział na niego spod oka i pokręcił głową.

– Ja to panu nic nie powiem i nikt stąd też nie. Ale to już pan wie, bo przecież rozpytuje pan o to od rana z marnym skutkiem... Już mnie parę ludzi ostrzegało, żebym nie trzepał językiem, bo wiedzą, że ja to pogadać lubię. I mają rację, ale do emerytury dorobić też muszę, więc tak od serca radzę panu, niechże pan nie naraża ludzi na utratę pracy, tylko idzie do piekarni Kazimierczaków i zapyta siostr, które tam sprzedają. Podobno już od wczoraj o niczym innym tam się nie mówi – dorzucił i zdusił w popielniczce niedopałek.

I Antek poszedł. Jakoś tak do tej pory z piekarnią nie było mu po drodze. Znaczący mijał ją wielokrotnie, ale w środku zawsze panował tłok, który go zniechęcał. Dziś też nie było inaczej, ale tym razem stanął w kolejce. Niesamowicie długo trwało, zanim dotarł do lady, bo tutaj wszyscy ze sobą rozmawiali, dwie starsze panie, chyba te wspomniane przez ochroniarza siostry, zagadywały każdego i w ogóle się nie spieszyły. Zanim dotarł przed ich oblicza, zapach gorącego pieczywa i drożdżówek sprawił, iż poczuł się tak głodny, że miał ochotę wykupić pół piekarenki.

– O, no proszę, kto do nas zawitał! Pan Wiśniewski. – Jedna z siostr nie wiedzieć skąd znała jego nazwisko.

– To my się znamy? – Zmarszczył ze zdumieniem brwi.

– My tu znamy każdego... – uświadomiła go ta druga. – I dobrze, że pan przyszedł... My za moment kończymy zmianę, a mamy

z panem do pogadania – dorzuciła. – Poczekaj pan przed piekarnią?

– Pewnie – zgodził się, myśląc, że nic z tego nie rozumie, ale w sumie jest mu to na rękę, bo może będzie jakoś tak łatwiej i naturalniej podpytać o Stellę i Aldonę.

Poprosił więc o dwa pączki, pół bochenka chleba i masło domowej roboty i tak zaopatrzony wyszedł przed sklep, odprowadzany ciekawskimi spojrzeniami wszystkich, którzy stali za nim w kolejce. A kolejkowiczów było całkiem sporo. Antoni usiadł na ławce, zjadł pączka, który okazał się tak pyszny, że od razu musiał sprawdzić, czy drugi smakuje równie dobrze. Smakował jeszcze lepiej. Takich pączków Antoni nie jadł jeszcze nigdy w życiu. Z rozmarzeniem oblizwał palce z lukru i w tym właśnie momencie tuż koło niego pojawiły się dwie starsze panie. Ku jego ogromnemu zdumieniu wcale nie wyglądały przyjaźnie. A raczej tak, jakby szykowały się do niezłej awantury.

– Panie Wiśniewski, nie będziemy owijać w bawełnę – zaczęła z miejsca ta, która pierwsza odezwała się do niego w piekarni. – Dobrze, że pan przyszedł, bo i tak zamierzałyśmy pana znaleźć...

– Mnie? – zdumiał się niepomierne.

– Pana, pana. Bo podobno spotyka się pan z naszą Stellą... A my wiemy, że dobrych zamiarów to pan nie ma – powiedziała druga.

– Pana ojca już się pozbyłyśmy...

– Mojego ojca? Mój ojciec nie żyje, umarł na zawał, jak byłem mały, i mam nadzieję, że panie nie miały z tym nic wspólnego – przerwał im, gęsto mrugając.

– A to przepraszamy, niezręcznie wyszło – mruknęła ta pierwsza. – Znaczący, rzecz jasna, my z zawałem ani z tatusiem nie mamy nic a nic wspólnego, tylko jakoś tak głupio to zabrzmiało. Ale wracając do meritum: w takim razie jak nie ojca, to brata...

– Jakiego brata i co z nim? – Antek kompletnie zbaraniał i zaczął poważnie zastanawiać się nad tym, czy staruszki z jakiegoś niezrozumiałego dla niego powodu nie oszalały.

– No, przegoniłyśmy go – wyjaśniła cierpliwie ta druga.

– Aaa, tak... Wynika z tego, że koniecznie muszą panie kogoś przeganiać, to zrozumiałe – postanowił na wszelki wypadek nie dyskutować, bo z wariatami przecież nigdy nic nie wiadomo.

- Nie kogoś, tylko pańskiego brata.
- Ja nie mam brata. – Pomimo tego, że siostry budziły w nim coraz większe zaniepokojenie, postawił na szczerość.
- Też umarł na zawał? – Ta druga spojrzała na niego podejrzliwie.
- Raczej nie... Zwyczajnie, nigdy nie miałem rodzeństwa...
- Ale nazywa się pan Wiśniewski, tak? – drążyła ta pierwsza, a może druga, Antoni już niczego nie był pewien.
- Tak, raczej tak – przytaknął ostrożnie.
- To kim, do cholery, jak nie bratem i nie ojcem, jest dla pana Henryk? – wypaliła któraś z piekielnych staruszek.
- A dlaczego w ogóle panie mnie o to pytają? – W końcu zdołał się otrząsnąć z pierwszego zaskoczenia. – Zresztą nieważne. – Machnął ręką. – Bo Henryk jest dla mnie nikim! Nikim – powtórzył dobitnie. – Mamy tak samo na nazwisko i traf chciał, że pracujemy w tej samej branży, kilka ostatnich projektów robiliśmy wspólnie...
- A to, że mieszka pan tam, gdzie on, w Niemczech, to może też przypadek? – Staruszki nie wyglądały na przekonane.
- Ale ja nie mieszkam w Niemczech, tylko pod Warszawą...
- Jak to pod Warszawą? Alina, przecież mówiłaś, że widziałaś meldunek...
- No wiesz, Misiu, wydawało mi się, że widziałam, ale tak naprawdę to zobaczyłam tylko nazwisko... Henryka zdążyłam przeczytać w całości, a tego pana, to już tylko pobieżnie – mruknęła Alina i przygryzła dolną wargę.
- O cholera! Czy ty wiesz, co my zrobiliśmy? – Ta cała Misia wyglądała na porządnie zdruzgotaną.
- Namieszałyśmy – mruknęła wyraźnie skruszona Alina.
- I musimy to natychmiast odkręcić!
- Dobrze, ja nie do końca wiem, o co tu chodzi, ale czy mógłbym zadać jedno pytanie? A właściwie nawet dwa? – Antoni z trudem przebił się z tym, z czym przecież tu przyszedł. I skoro już przeżył tę dziwną sytuację inwigilowania przez staruszki, nie zamierzał odchodzić bez uzyskania odpowiedzi. – Czy Aldona Sitek, właścicielka hotelu, oszukała w jakiś sposób Stellę? I dlaczego, do diabła, uważacie, że ja chcę jej zrobić krzywdę, skoro ja się w niej... – ugryzł się w język.

– Jeżeli chodzi o to drugie, chłopcze. – Alina nagle spojrzała na niego z wyraźną sympatią. – To masz nasze błogosławieństwo. – Nie pozostawiła mu złudzeń, że nie rozumiała z siostrą, co ma na myśli. – A myślałyśmy tak, bo wydawało nam się, że jesteś spokrewniony z Henrykiem. Ale nic więcej ci nie możemy powiedzieć. Musisz o to zapytać Stellę...

– Oby nie dziś – wtrąciła szybko Misia. – Bo dziś to my musimy z nią porozmawiać...

– O tak, wyjątkowo się z tobą zgadzam – przytaknęła Alina. – Natomiast jeżeli chodzi o to pierwsze, to my nie tylko możemy, ale chcemy wszystko panu, panie Wiśniewski, opowiedzieć. A zacznę od tego, że gdybym chciała odpowiedzieć tylko jednym słowem, to brzmiałoby ono „tak”. Oszukała ją w podły, obrzydliwy sposób.

I popłynęła opowieść, która potwierdziła to, co Antek przypuszczał już wcześniej: doskonale rozumiał, o co chodziło w podsłuchanej rozmowie. I nie pozostawało mu nic innego, jak zastanowić się nad tym, co ma z tym fantem zrobić...

Stella zadzwoniła do Wiktora...

Stella zadzwoniła do Wiktora następnego dnia z samego rana. Z ulgą usłyszała, że dwór nadal jest na sprzedaż. W głosie starszego pana wychwyciła też jakieś dziwne, niesłyszane dotąd nuty. Niewątpliwie ucieszył się, że zadzwoniła, ale było też coś jeszcze.

– Panie Wiktorze, spokojnie, ja nie zamierzam pana nakłaniać do niczego, czego pan nie będzie chciał – zinterpretowała to po swojemu. – Mam tylko pewną propozycję. Taką do rozważenia – dorzuciła z westchnieniem, bo pomyślała, że pewnie i tak z tego nic nie wyjdzie.

Ale nie mogła odpuścić. Nie teraz, gdy wszyscy już się w to zaangażowali. Przynajmniej spróbuje, nawet jeżeli wróci z niczym, to przecież korona jej od tego nie spadnie.

Starszy pan bąknął coś niezrozumiałego w odpowiedzi.

Gdy przyszła na umówione spotkanie, wyraźnie był nieswój. Ale na jej widok się ucieszył, tego była pewna.

– Panie Wiktorze – rozpoczęła, gdy usiedli tak jak poprzednio w bibliotece. – Ja od razu powiem, z czym przyszłam, bo nie dam rady inaczej... Myślę o tym od wczoraj, nie spałam przez większą część nocy i nie mam siły niczego owijać w bawełnę. Tak jak wspomniałam przez telefon, mam pewną propozycję, ale obawiam się, że i tak nie będzie dla pana atrakcyjna...

I powiedziała mu wszystko, co wczoraj ustaliła z rodzeństwem. Starszy pan słuchał uważnie i jednocześnie wsłuchiwał się w swój dom. Miał wrażenie, że w obecności Stelli dworek odetchnął. Tak jakby zapewniała mu poczucie bezpieczeństwa.

– No to w takim razie teraz ja odwrócę rolę i zapytam: to ile wy macie tych pieniędzy?

Stella się uśmiechnęła. Podobnie jak podczas poprzedniej wizyty starszy pan, teraz ona sięgnęła po leżący na stole plik kartek, wyciągnęła z kieszeni swetra długopis i napisała na papierze kwotę. Pod nią kolejną, tę przeznaczoną na remonty, i podała Wiktorowi.

Popatrzył na napisane cyfry, uniósł brwi i przez chwilę nic nie mówił.

No to się nie zgodzi, przemknęło jej przez myśl. Po prostu nie ma opcji!

– No to kiedy możemy podpisać umowę? – W tym samym momencie podniósł na nią siwe oczy i uśmiechnął się szeroko.

Stella w pierwszym momencie sądziła, że coś źle zrozumiała, ale gdy pojęła, co tak naprawdę powiedział starszy pan, wydała z siebie niekontrolowany okrzyk radości.

A mężczyzna odniósł wrażenie, że gdyby tylko domy mogły krzyczeć, dwór by jej zawtórował.

Stella, wracając ze spotkania z Wiktorem...

Stella, wracając ze spotkania z Wiktorem, nie mogła uwierzyć, że starszy pan się zgodził. Roznosiła ją radość i czuła, że w tym stanie absolutnie nie może wrócić do domu, bo i tak nie da rady usiedzieć na miejscu. Poszła więc okreśną drogą, zahaczając o pensjonat Gąsików. Przy okazji podpyta Paulinkę o tego drugiego, który u niej wynajmuje, tego syna albo brata Henryka Wygnanego. Właściwie to dobrze by było, żeby w końcu dowiedziała się, jak on wygląda. Wprawdzie nie wiedziała, co by jej to miało dać, ale nie powinno też zaszkodzić.

Paulinkę zastała na miejscu. Pogadały chwilę o wszystkim i o niczym, Stella musiała naprawdę się pilnować, żeby nie podzielić się z nią radosną nowiną dotyczącą dworu, ale wiedziała, że tego jeszcze zrobić nie może. Najpierw powinno dowiedzieć się jej rodzeństwo, a potem długo, długo nikt, aż do podpisania umowy, pomyślała.

Niby wszystko było dogadane, ale lepiej poczekać na podpisy, notariusza i wszelkie inne formalności – tyle zdążyła się już nauczyć po sytuacji z hotelem i Aldoną.

– A właśnie – powiedziały jednocześnie, przerywając ciszę.

– Ale się zgrałyśmy – roześmiała się Paulinka. – Dawaj, ty pierwsza – dodała.

– A ja chciałam zapytać o tego drugiego Wiśniewskiego. Bo Henryk to już przeszłość, ale ten drugi został. Siostry Kazimierczakówny mówiły, że wydaje się w porządku, ale ja pomyślałam, że lepiej jednak podpytam, no i dowiem się, kiedy zazwyczaj wraca, bo może bym tak niby niechcący na niego wpadła i go sobie obejrzała... No co? – zdziwiła się, widząc minę Pauliny. – Wiem, że rodziny się nie wybiera i że on nie musi być wcale podobny do Henryka, ale jednak tak na wszelki wypadek chciałam go zobaczyć!

– Żartujesz, prawda? – Paulina oparła się rękami o blat recepcji i spojrzała Stelli prosto w oczy.

– Ale z czym? – zdumiała się niepomiernie.

– Bo widzisz, ja chciałam zapytać o coś podobnego... Mianowicie czemu spotykasz się z tym powinowatym Henryka...?

– Nie spotykam się z nim! Na oczy go nie widziałam... Nie! – Nagle zaczęło jej coś świtać. – Nie, tylko mi nie mów, że ten drugi Wiśniewski to Antek – powiedziała, błędąc.

– Antoni Wiśniewski – przytaknęła Paulinka. – Nie mów, że nie wiedziałaś! Ja byłam niesamowicie zdziwiona, jak cię wtedy z nim zobaczyłam w Jeździe Bez Trzymanki, ale pokazałaś mi podniesiony w górę kciuk, więc uznałam, że to jakaś część planu. Potem wyjechałaś i nie było jak cię zapytać... Ale powiedz mi, jak to możliwe? Nie zastanowiło cię, kim on jest? Nie zapytałaś?

– Najpierw założyłam, że przyjechał do hotelu z grupą gości, mieli zostać ponad tydzień... Potem rzeczywiście zgadaliśmy się przez telefon i okazało się, że on tam pracuje. Nie ukrywał tego, a ja się nie zastanawiałam... Bo wiedziałam, że sporo nowych ludzi przyjechało, żeby zająć się ostatnim hotelowym skrzydłem, no i tymi domkami. Ale nie wiedziałam, że on to on... Jakoś nie przedstawialiśmy się sobie z nazwiska. Matko, Paulina, ty nawet nie wiesz, co się stało. Ja muszę koniecznie iść do domu, muszę to sobie wszystko poukładać. – Nie czekając na reakcję dziewczyny, odwróciła się na pięcie i wybiegła z pensjonatu.

Ledwo znalazła się na ulicy, wpadła prosto na wzburzonego Antoniego.

– O nie! Nie! Nie mogę z tobą rozmawiać – powiedziała, stając przed nim i patrząc na niego zrozpaczonymi oczami.

Jak to możliwe? – zapytała się w duchu. Cholera, zakochałam się w swoim bracie... Albo jeszcze gorzej, w wujku! Boże, prawie że się z nim całowałam.

– Aha, rozumiem, że nie rozmawiałaś jeszcze z tymi dziwnymi staruszkami z piekarni? – Spojrzał na nią zupełnie niezdziewiony jej reakcją.

– A powinnam? I w ogóle to one nie mają z tym nic wspólnego...

– Z czym, z tym, że właśnie umierasz z przerażenia, bo odkryłaś, że nazywam się Wiśniewski?

– A skąd wiesz? – Nie miała siły zaprzeczać.

Zresztą była zbyt zaskoczona tym, że wie, o co jej chodzi. I chyba to zaskoczenie paradoksalnie pomogło jej się uspokoić, bo nagle poczuła, że wprawdzie ogarnia ją zmęczenie i przerażenie na myśl, co by się stało, gdyby poszła z Antkiem o krok dalej, wprawdzie czuła ogromny, wprost przepełniający ją smutek, bo przecież on nigdy nie będzie dla niej, ale przynajmniej już nie chciała uciekać. Ani go nie obwiniąta, bo patrząc mu w oczy, zrozumiała, że on niczego nie wiedział. I tak jak powiedziała Paulinie, nie był przecież winny temu, że był, kim był. Rodziny się nie wybiera.

Tylko cholera, żeby to jeszcze tak nie bolało, pomyślała, czując, jak jej serce rozrywa się na milion kawałków. Ale tym zajmie się później. Stała przed mężczyzną, którego – teraz była tego pewna – mogła pokochać, ba, ona już go pokochała i powinna mu to jakoś sensownie wytłumaczyć. To, dlaczego widzą się po raz ostatni...

Podniosła na niego wielkie, wypełnione po brzegi smutkiem oczy i nagle poczuła, że zamyka ją w objęciach, a jego usta odnajdują jej wargi.

Było to tak zaskakująco cudowne, że na ułamek sekundy nie myślała o niczym innym, tylko o tych jego wargach, o zapachu, który sprawiał, że dostawała gęsiej skórki, o dłoniach, mocnych i silnych, które teraz czuła na swoich plecach.

Ale w końcu przyszło opamiętanie i chciała się od niego odsunąć, ale on trzymał ją mocno i nie zamierzał puścić.

– Słuchaj, ty mi to wszystko przystępnie wyjaśnisz później – wyszeptał jej do ucha. – A teraz nie będziesz mi przerywać, tylko posłuchasz, co mam ci do powiedzenia...

– Ale ty nie rozumiesz...

– Wszystko rozumiem – mruknął i musnął ustami płatek jej ucha. – Nie wyrywaj się; jak skończę mówić, a ty nadal będziesz chciała być z dala ode mnie, sam cię puszcze, obiecuję. Tylko daj mi minutę! – dorzucił, po czym przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej i spojrzał jej prosto w oczy. – Po pierwsze, nie będę pracował w hotelu, rezygnuję z tego zlecenia. Będę musiał jakoś to ogarnąć,

załatwić swoim ludziom inną robotę, ale o to mniejsza. Zajmę się tym. Ale nie chcę pracować dla kogoś takiego, po pierwsze, ze względów etycznych, a po drugie, że absolutnie nie chcę mieć z Aldoną nic wspólnego ze względów osobistych, skrzywdziła cię, a ja nie pozwolę, żeby ktokolwiek bezkarnie cię ranił. Po drugie, takie główne po drugie, to miasteczko jest jakieś paranoiczne! Wszyscy robią wielkie halo o moje nazwisko, a tak się składa, że Wiśniewskich jest jak psów! To trzecie nazwisko w Polsce pod względem popularności. Wiem, bo jedna z pań w szkole nieustająco mi to powtarzała, nie wiem zresztą po co... Może umiała przewidywać przyszłość i wiedziała, że ta wiedza kiedyś mi się przyda.

– Nie rozumiem... – Stella jak zahipnotyzowana patrzyła mu w oczy, które miały w sobie morze czułości pomieszane ze szczyptą irytacji.

– Ależ rozumiesz – zniżył głos i lekko opuścił głowę, tak że jego usta niemal dotykały jej warg. – Rozumiesz, że ja i Henryk nie mamy ze sobą nic wspólnego. Czy nadal chcesz, żebym cię puścił, czy mogę zrobić to, na co naprawdę mam ochotę? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, przytulił wargi do jej ust.

Pocałunek był długi, namiętny i czuły. A Stella pomyślała, że nigdy w życiu nie była tak szczęśliwa. Widać na każdego w pewnym momencie czeka jego własna wiosna cudów.

I jej właśnie nadeszła.

Siostry Kazimierczakówny stały przyczajone...

Siostry Kazimierczakówny stały przyczajone za rogiem ulicy i beczelnie podglądały całującą się parę.

– Nie zdążyłyśmy – mruknęła z zachwytem Misia.

– Ale widać poradziły sobie bez naszej pomocy. – Alina uśmiechnęła się z rozrzewaniem.

– Ale co my mu powiemy? – Misia spojrzała na siostrę i pokręciła głową. – Bo przecież coś musimy. Wie, że Henryk czegoś chciał od Stelli. I wie, że go nie lubiłyśmy, bo myślałyśmy, że są spokrewnieni. A on nie jest w ciemę bity... Nie zostawi tak tego i nie zadowoli się byle jakim wyjaśnieniem. Wygląda mi na prawdziwego mężczyznę...

– Powiemy mu to samo, co Paulince – zawyrokowała Alina. – Wiesz, zasada tego samego, zmodyfikowanego kłamstwa...

– Tylko musimy to zrobić już, żeby naszej Stelli nie przyszło do głowy, że musi być nadmiernie szczerą – mruknęła Misia.

– Masz rację, ale dajmy im jeszcze chwilę. – Alina z rozczeniem i sympatią popatrzyła na wciąż wtuloną w siebie parę. – Wiesz, w końcu to ich pierwsze pocałunki, niech się nimi nacieszą – dodała i oparła się o płot, który miała za plecami.

Coś jej mówiło, że chwilę tu jeszcze postoją.

Tego wieczoru wszyscy byli szczęśliwi...

Tego wieczoru wszyscy byli szczęśliwi. Stella i Antoni, którzy w końcu pozbyli się sióstr Kazimierczakównien i zostali sami. Siedzieli wtuleni w siebie, nie przyspieszając tego, co miało się za moment wydarzyć. Tak dobrze było na to czekać.

Na górze w łóżeczku miarowo posapywał Franio, który usnął spokojny po tym, jak dziadek zapewnił go, że spadająca gwiazda, którą zobaczył pierwszej nocy we Włoszech, na pewno już działa i trzeba tylko cierpliwie poczekać.

Siostry Kazimierczakówny w swoim starodawnym, przepełnionym atmosferą dawnych lat saloniku piły naleweczkę, szczęśliwe, że udało im się wyjaśnić sprawę Henryka tak, jak chciały.

Na całe szczęście Stella nie protestowała.

A w starym dworze Wiktor jak zawsze chodził od pokoju do pokoju, zapalając w każdym z nich światła. Gdy w ostatnim światło kilka razy mignęło i zgasło, sięgnął po latarenkę ze świeczką. Zapalił ją i chwilę czekał niepewny. Świeca rozjaśniła się jasnym, chybotliwym płomieniem, który tym razem nie zgasł.

Widocznie tego wieczoru dwór też usypiał szczęśliwy i spokojny o swój dalszy los... Dla niego również rozpoczynała się wiosna cudów.

¹ *Sekret Kardynała Richelieu*, słowa W. Sobol.

² L. Carroll, *Alicja w Krainie Czarów*, tłum. A. Marianowicz, Wydawnictwo MG, Kraków 2021, s. 44.

³ Kabaret OT.TO, *To już lato*, słowa R. Makowski.

⁴ A. Sapkowski, *Chrzest ognia*, wyd. SuperNowa, Warszawa 2014, s. 155.

Redaktorka inicjująca: Ewa Orzeszek-Szmytko
Redaktorka prowadząca: Kamila Sypniewska
Redakcja: Maria Śleszyńska
Korekta: Marta Stochmiałek, Jolanta Tyczyńska

Projekt okładki: Urszula Gireń
Zdjęcie wykorzystane na okładce: © Taras Atamaniv/Shutterstock

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-8318-634-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek